

*CANDANCE CAMP*

**MISTYFIKACJA**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

1812

Zgubili drogę.

Camilla podejrzewała to już od pewnego czasu, teraz więc, gdy odsunęła zasłonkę i zerknęła w mrok, tylko nabrała co do tego pewności. Dylizans zewsząd otaczała mgła. Camilla poczuła się tak, jakby tkwiła w chmurze. Nie miała pojęcia, gdzie są. Dylizans mógł stać dziesięć metrów od domu jej dziadka, lecz również na krawędzi klifu.

- Co mam robić, proszę pani? - zawołał do niej woźnica z kozła.

- Przez chwilę spokojnie posiedzieć. - Popełniliby wielką lekkomyślność, decydując się jechać dalej przez tę mleczną zupę. Było nie do przewidzenia, gdzie skończyłaby się ich jazda. - Niech pomyślę...

Camilla pozwoliła opaść zasłonce i z westchnieniem oparła plecy o poduszkę miękkiego siedzenia. Wiedziała, że to wszystko jej wina. Gdyby bez przerwy nie dumiała, nie roztrząsała na wszystkie strony swoich kłopotów, może zauważyłaby nadciągającą mgłę albo zorientowała się, że wynajęty woźnica, który nie znał okolicy, skręcił nie tam gdzie trzeba. W gruncie rzeczy powinna była zatrzymać dylizans we wsi i zgodzić chło-

paka z poczty do pokazywania drogi. Ponieważ jednak zamiast tego łamała sobie głowę, jak wyjść z opresji, w której znalazła się przez swoje kłamstwo (dlaczego dziadek powiedział wszystko ciotce Beryl?), nie interesowała się ani trochę tym, dokąd jedzie dylizans. Teraz płaciła za nieuwagę.

Otworzyła drzwi pojazdu i wychyliła się na zewnątrz. Nie widziała wyraźnie nawet łbów pierwszej pary koni. Zerknęła pod koła. Dzięki temu przynajmniej stwierdziła, że jadą po czymś, co nie zasługuje na bardziej szumną nazwę niż dróżka przez wrzosowisko. Na pewno nie był to gościniec wiodący do Chevington Park. Bóg jeden raczył wiedzieć, dokąd dowiózł ich londyński woźnica.

Otuliwszy się peleryną i zawiązawszy ją pod szyją, lekko zeskoczyła na ziemię. Woźnica obrócił się na koźle i zmierzył ją zdziwionym spojrzeniem.

- Co pani robi? - Wykonał taki ruch, jakby zamierzał pójść jej śladem. - Nawet nie dałem pani schodków.

Camilla lekceważąco machnęła ręką.

- Nie szkodzi, nie warto się tym przejmować. Jak widać, wysiadłam bez pomocy. Zamierzam się trochę rozejrzeć.

Woźnica wydał się zafrasowany.

- Niech pani nigdzie nie odchodzi. We mgle człowiek nie widzi własnej ręki. Piekielne miejsce ten Dorset - dodał z niechęcią.

Camilla uśmiechnęła się pod nosem, ale w porę ugryzła się w język, więc nie spytała, czy w Londynie nie zdarza się mgła.

- Czy macie latarnię, dobry człowieku? - zainteresowała się zamiast tego. - Przydałaby się teraz.

- Tak, proszę pani. - Woźnica podał jej żądany przedmiot,

choć wciąż miał bardzo powątpiewającą minę. Było widoczne, że w jego pojęciu eleganckie panny nie błądzą we mgle, wszystko jedno z latarnią czy bez.

Camilla zlekceważyła jego zastrzeżenia i podeszła do koni. Latarnię trzymała wysoko, żeby ta rzucała jak największy krąg światła. Mgła pozostała mgłą, ale przynajmniej stał się widoczny kawałek wąskiej drogi z przodu. Koń z pierwszej pary, stojący po prawej stronie, na jej widok nerwowo przewrócił oczami, ale Camilla czule do niego przemówiła i poklepała go po szyi, więc szybko się uspokoił.

Znów zwróciła się do woźnicy.

- Najlepiej będzie, jeśli spróbuję poprowadzić konie - powiedziała. - W ten sposób dylizans na pewno nie zjedzie w krzaki ani nie wpadnie w żadną dziurę. Widzę przed sobą całkiem dobrze kilka metrów drogi.

Woźnica wydawał się tak przerażony tą propozycją, jakby Camilla wpadła na pomysł, że zdejmie z siebie odzienie i krzycząc, pobiegnie w mrok.

- Proszę pani! Nie może pani tego zrobić!

- Dlaczego nie? Wydaje mi się, że to jedyne rozsądne wyjście.

- Nie wypada. Sam poprowadzę konie. - Chciał odłożyć wodze, ale Camilla go powstrzymała.

- Niedorzeczność! Kto wtedy opanowałby konie, gdyby się spłoszyły? Ja nie mam wprawy w powożeniu. Za to na pewno mogę iść i patrzeć w ziemię przed sobą. Poza tym prawie całe życie mieszkałam w tej okolicy. To jest wbrew rozsądkowi, żebyście to wy prowadzili konie.

- Ale tak naprawdę nie wypada, proszę pani...

- Mniejsza o to, co wypada. Trzymanie się zasad nic a nic nam teraz nie pomoże.

Odwróciła się do niego plecami, ucinając tym samym dyskusję, i wróciła do pierwszej pary koni. Ujęła jednego za uzdę, po czym ruszyła naprzód, drugą ręką wysoko podnosząc latarnię. Konie posłusznie poczłapały za nią.

Droga była dość błotnista, nieco wcześniej padał deszcz, toteż Camilla starała się iść po trawie i unikać kolein, żeby błoto nie oblepiło jej półbucików. Wkrótce jednak przemoczyła je wieczorna rosa. Za to mgła nieco się podniosła, więc na poboczu tu i ówdzie pokazały się krzaki jałowca albo dzikiej róży. Niestety jednocześnie zaczęło mżyć. Camilla ciężko westchnęła i nasunęła na głowę kaptur peleryny, żeby osłonić twarz przed zimnymi, zacinającymi kropelkami.

Mżawka stopniowo gęstniała i po niedługim czasie zamieniła się w spory deszcz. Camilla zaczęła potykać się na śliskiej, mokrej trawie, ale gdy próbowała iść koleiną, było jeszcze gorzej. Na domiar złego deszcz przemoczył jej cienki kaptur. Pomyślała o wyjęciu parasolki z dyliżansu, wtedy jednak nie byłaby w stanie nieść latarni i jednocześnie trzymać konia za uzdę. Naturalnie mogła poczekać, aż deszcz przestanie padać, ale nie chciała tkwić w tym niemiłym miejscu dłużej, niż to absolutnie konieczne. Brnęła więc naprzód, dziękując niebiosom, że przynajmniej mgła się rozstępuje i już tylko gdzieś zalegają nad ziemią jej rzednące kłęby.

Nagle zauważyła jakiś ruch z prawej strony. Drgnęła zaskoczona i przenikliwie krzyknęła. Uniosła wyżej latarnię, żeby móc cokolwiek zobaczyć.

I rzeczywiście zobaczyła. Pod drzewkiem stał mężczyzna, choć zwisające gałęzie czyniły go prawie niewidocznym.

- Proszę pana! - zawołała, puszczając uzdę, i żwawym

krokiem ruszyła w jego stronę. - Czy może pan mi pomóc? Chyba zabłądziliśmy, a...

Mężczyzna obrócił się do niej z wściekłą miną. Dopiero teraz zobaczyła, że w dłoni trzyma pistolet z długą lufą.

- Ciszej! - syknął. - Chce nas pani wyprawić na tamten świat?

W tej samej chwili latarnia z głośnym trzaskiem rozprysnęła się w jej dłoni. Konie zarżały i zaczęły się boczyć. Resztki latarni, wybite z jej ręki siłą uderzenia, posypały się na ziemię i zapadła kompletna ciemność. Camilla głośno krzyknęła i biegiem zawróciła do dylizansu.

Nie zdążyła jednak przebiec nawet dwóch kroków, gdy mężczyzna jednym susem pokonał dzielącą ich przestrzeń i zbił ją z nóg. Potoczyli się po trawie. Nieznajomy przygniótł ją plecami do ziemi. Próbowwała się oswobodzić, jednak upadek odebrał jej dech i siły do walki.

- Przestań się szarpać, do diabła! - burknął, jeszcze mocniej przygważdzając ją do ziemi. - Nie widzisz, że strzelają? Chcesz, żeby nas zabili, głupia?

Dopiero wtedy zrozumiała, czym był trzask, który usłyszała, i dlaczego latarnia rozprysnęła się w jej dłoni.

Ktoś do niej strzelił!

W oddali rozległy się krzyki, ale po chwili kanonada ustała. Spłoszone wystrzałami konie, zaprzężone do dylizansu, zaczęły rzeć, podrywać kopyta i rzucać łbami. Woźnica, klnąc, starał się utrzymać je w ryzach.

Nieznajomy podniósł głowę i spojrzał za siebie. Teraz wreszcie Camilla mogła mu się lepiej przyjrzeć. Twarz miał zaciętą i ponurą, kości policzkowe wystające, brwi ciemne, nieco skośne. Wygląda dość groźnie, pomyślała. Instynkt podpowiedział

jej, że to właśnie do niego strzelano. Czyżby miała do czynienia ze ściganym bandytą? Boże!

- Do stu piorunów! - wybuchnął. - Chyba nas ścigają.

- Co takiego? - Jej głos stał się niepokojąco wysoki. - Co się tu dzieje? Kim pan...?

Mężczyzna pokręcił głową i przysiadł w kucki. Zanim zorientowała się w jego zamiarach, chwycił ją pod ramiona i prostując się, poderwał z ziemi.

- Biegiem! - zakomenderował i puścił się w stronę dyliżansu, ciągnąc ją za sobą.

- Niech pan mnie puści! - Camilla próbowała wyszarpnąć ramię z uścisku, ale mężczyzna był za silny.

Za ich plecami padły jeszcze dwa strzały. Coś piasnęło o burtę dyliżansu. Mężczyzna otworzył drzwi pojazdu i dosłownie wrzucił ją do środka. Z krzykiem upadła na podłogę, a dyliżans gwałtownie ruszył, woźnica bowiem nie był w stanie dłużej utrzymać koni.

Nieznajomy trzymał się drzwi. Camilla sądziła, że zamierza wślizgnąć się do środka, ale on, ku jej zdziwieniu, chwycił za krawędź dachu i wykorzystał drzwi jako stopień na górę.

- Uwaga! - zawołała do woźnicy, po czym usłyszała okrzyk zaskoczenia, odgłosy krótkiej walki, a potem już tylko łoskot ciała, opadającego na ławę. Bez wątplenia był to nieszczęsny woźnica.

Dyliżans szybko nabierał prędkości, spłoszone konie rwały, gryząc wędzidła. Pojazd podskakiwał na nierównej drodze. Camilla z całej siły trzymała się wystającej części siedzenia, bojąc się, że wypadnie przez otwarte drzwi w czasie jednego z gwałtownych przechyłów.

Znowu rozległy się strzały i wtedy uświadomiła sobie, że

gnają prosto na strzelających. Po chwili zauważyła ciemne sylwetki, które wkrótce przybrały kształt ludzi na koniach. Nagle z mroku wyskoczył wielki człowiek, który zdołał chwycić za drzwi dylizansu, a nogami dosięgnąć podłogi. Camilla przeraźliwie krzyknęła i odskoczyła na drugi koniec siedzenia. Walcząc o utrzymanie równowagi, zawadziła dłonią o parasolkę, leżącą na podłodze.

Poderwała ją z ziemi i z całej siły zdzieliła napastnika po goleniach. Gdy zawył z bólu, poprawiła uderzenie energicznym sztychem w brzuch. Tamten wydał jeszcze jeden okrzyk bólu, rozwarł palce, trzymające za drzwi, i runął do tyłu, na drogę.

Camilla usiadła pewniej i chwyciła dłonią za rzemieniową pętlę, przymocowaną do ściany dylizansu. Drugą ręką trzymała w pogotowiu parasolkę, na wypadek gdyby następny zbir próbował szczęścia. Przez kołyszące się na zawiasach drzwi widziała galopujących mężczyzn. Dylizans wciąż trząsał się i skakał na porytej koleinami drodze, jakby lada moment miał się przewrócić. Tymczasem deszcz zamienił się w ulewę, a siekące strugi ukośnie wpadały do środka.

Wkrótce zauważyła, że dylizans zwalnia biegu. Udało jej się przesunąć na drugi koniec siedzenia i zatrzasać drzwi. Spojrzała z odrazą na kałużę u swych stóp, zdjęła przemoczony płaszcz. Przy okazji spostrzegła, że całe odzienie ma w błocie. Musiało się ubrudzić, gdy obcy przewrócił ją na ziemię.

Obcy. Na myśl o nim przymrużyła powieki. Kto to jest i czego szuka w tej dzicy, w Dorset, na wybrzeżu oceanu? Jedno było pewne. Nie należało się po nim spodziewać niczego dobrego. Tamci ludzie do niego strzelali, zapewne nie bez powodu. Gdy zaś go zobaczyła, bez wątpienia na kogoś czatował,



schowany za drzewem. Nic dziwnego, że na jej wołanie zareagował taką wściekłością. Najwidoczniej zdradziła jego obecność tamtym. Ciekawe, czy spotkała zbója rabującego podróżnych, czy tylko pospolitego obwiesia, mającego porachunki z kompanami.

Naturalnie, zważywszy na miejsce w którym się znajdowali, mężczyzna mógł też mieć coś wspólnego z „dżentelmenami”. Słowo to wypowiedziano zawsze przyciszonym głosem, określając nim ludzi zajmujących się uprawianym tu z dawien dawna przemysłem. Wszyscy o tym wiedzieli i, szczerze mówiąc, wielu najznamienitszych mieszkańców okolicy, nawet sędziów i innych stróżów prawa, przymykało oko na nielegalny handel.

Zresztą o świecie po bezksiężycowej nocy niejednen z nich regularnie znajdował skrzynkę francuskiej brandy na progu kuchennych drzwi. Byli to ci, którzy pogardzając prawem celnym, uważali, że „dżentelmeni” mają święte prawo je omijać. Mieszkańcy peryferyjnych nadmorskich regionów zazwyczaj nie znosili wtrącania się centralnych władz w sprawy, które uważali za swoje. W osiemnastym stuleciu przemytnicy byli tak silni, że gang Hawkridge'a wydawał nawet regularne bitwy armii. Teraz, choć czasy bezprawia już minęły, przemysł nadal kwitł, zwłaszcza w takich okresach, jak ten, gdy dopływ poszukiwanych towarów z Francji uniemożliwiała wojna.

Camilla wróciła myślami do człowieka, który teraz powoził dyliżansem. Przypomniała sobie, jak groźnie wyglądał, gdy pochylał się nad nią z zaciętymi ustami i posepnym spojrzeniem. Tak, dokładnie tak może wyglądać przemytnik skłócony ze swymi kamratami, zbójca, który czyha na podróżnych, lub po prostu szubrawiec, szukający zemsty.

Bez względu na to, kim w istocie był mężczyzna, nie mogła czuć się przy nim bezpieczna. Widziała go w miejscu, w którym nie chciał być widziany, była świadkiem strzelaniny i pościgu. A że od początku był na nią wściekły, niewątpliwie nadal kipiał ze złości. Szalona jazda mogła więc okazać się niczym w porównaniu z tym, co się stanie, gdy dyliżans wreszcie się zatrzyma.

A dyliżans właśnie zwalniał. Camilla czuła to wyraźnie. Wiedziała, że za chwilę pojazd znieruchomieje, mężczyzna zeskoczy z kozła i otworzy drzwi. Potem wyciągnie ją na zewnątrz i...

Dalszego ciągu nie знаła, łatwo mogła jednak wyobrazić sobie różne straszne sceny od bicia po duszenie, by nie wspomnieć odebrania czci, przed którym matrony ostrzegały przyciszonymi głosami dziewczęta, które niefrasobliwie wychodziły z domu bez odpowiedniego towarzystwa.

Camilla zacisnęła dłoń na rączce parasolki. Ta broń dowiodła już swej przydatności. Gdyby udało jej się zaskoczyć mężczyznę, może zdołałaby go unieszkodliwić na tyle, by uciec.

Dyliżans stanął, a ona zaczęła się przy drzwiach. Krew pulsowała jej w uszach. Usłyszała, jak mężczyzna zeskakuje na ziemię. Chrząszczące kroki były coraz bliżej. Trzasnęła zasuwka i drzwi stanęły otworem.

- Czy pani...?

Camilla z głośnym okrzykiem rzuciła się przed siebie. Rączką parasolki uderzyła nieznajomego w twarz, parasolka z trzaskiem pękła na pół, a mężczyzna zatoczył się do tyłu, odruchowo przyciskając dłoń do policzka.

Camilla nie czekała na jego reakcję. Zeskoczyła na ziemię

i puściła się biegiem, krzycząc wniebogłosy o pomoc. Wiedziała, że prawdopodobnie odjechali daleko od ludzkich siedzib i nikt jej nie usłyszy, ale musiała przynajmniej próbować, tak samo jak musiała biec naprzód. Podtrzymując ręką spódnicę, gnała więc ile sił w nogach po błotnistej drodze, ciągnącej się przed dylizanssem, nie zwracając uwagi na gęsty deszcz ani na maź, oklejającą jej półbuciki.

Mężczyzna dogonił ją prawie natychmiast. Usłyszała za sobą jego oddech i mimo iż pędziła tak, że pękały jej płuca, po kilku chwilach jego stalowe ramię chwyciło ją wpół.

- Skończ te kocie wrzaski, kobieto! - burknął. - Coś ci się poprzestawiało w głowie? Sprowadzisz tutaj całą wieś!

Camilla przestała krzyczeć, ale tylko dlatego że zabrakło jej tchu. Nabrawszy nową porcję powietrza do płuc, gwałtownie skrzyła ciało i z całej siły uderzyła mężczyznę pięścią.

Trafiła jednak w tors. Ból przeszył jej ramię. Mężczyzna soczyście zaklął i chwycił ją za nadgarstek.

- Do stu piorunów, kobieto, przestaniesz wreszcie? Oszałałaś?

Oboje przemokli już do suchej nitki, ani jedno, ani drugie nie zwracało jednak na to uwagi. Mężczyzna był o wiele wyższy i bardziej krzepki od Camilli, więc wynik walki był z góry przesądzony, ale Camilla walczyła o życie, toteż stawiała zacięty opór, wciąż wymierzając przeciwnikowi kopniaki i ciosy rozpaczy. Mężczyzna oplótł ją ramieniem i poderwał z ziemi, zdołała się jednak odchylić i rozczapierzonymi palcami uderzyć go w twarz. Cofnął głowę, mimo to ostre paznokcie dziewczyny rozorały mu policzek, o milimetry mijając oko.

Upadli na ziemię, na szczęście błoto złagodziło siłę upadku. Zresztą to mężczyzna był pod spodem, więc przyjął na siebie

cały impet uderzenia. Camilla skorzystała z okazji, by się oswobodzić, ale zanim zdążyła wstać, jej prześladowca wyciągnął ramię i szarpnięciem powalił ją twarzą w błoto. Podniosła się, plując i parskając, i z furią go zaatakowała. Spleceni w walce, potoczyli się po mokrej ziemi.

Camilla wiła się jak wąż, natomiast mężczyzna próbował przygwoździć ją do ziemi, unieruchamiając jej ramiona przy ciele. W pewnej chwili poczuła, jak dłoń nieznajomego przesuwają się po jej piersi. Zachłysnęła się powietrzem.

Mężczyzna także wydał się zaskoczony tym zetknięciem. Znieruchomiał. Camilla wykorzystała ten moment, żeby się zerwać, zdążył jednak chwycić ją za rękaw sukni. Przemoczone szwy nie wytrzymały i kawałek materiału został mu w ręce. Camilla skoczyła naprzód, lecz i tym razem na próżno. Znowu potoczyli się w błoto. Mężczyzna wgniół ją w miękkie podłoże i wreszcie przycisnął jej nadgarstki do ziemi na wysokości głowy, po czym usiadł na niej okrakiem.

Wpatrywał się w nią, ciężko dysząc. Był mokry i brudny, ciemna koszula rozchyliła mu się u góry, w walce stracił bowiem górne guziki. Włosy miał posklejane, policzek skaleczony rączką parasolki, a oczy gniewnie mu błyszczały.

Camilli zaschło w gardle. Nieznajomy był bardzo męski i bardzo zły, ona zaś zdawała sobie sprawę z dwuznaczności ich pozycji - aż nadto wyraźnie czuła na udach ciężar jego ciała. Zdawała też sobie sprawę z tego, że w jej wnętrzu gniew miesza się z podnieceniem i czymś dziwnym, czego nawet nie umiała nazwać. Mężczyzna przesunął wzrokiem po jej ciele, zatrzymując go szczególnie długo na zmoczonej staniku sukni.

- Niech pan mnie puści! - poprosiła.

- Najpierw odpowie mi pani na kilka pytań! - odburknął.

- Kim pani, u diabła, jest, i co pani tu robi?

- Co ja tu robię? - sapnęła oburzona. - Mam święte prawo tędy jechać! Za to pan na pewno coś knuje. Krył się pan w ciemności, a jacyś ludzie do pana strzelali. Niech pan mnie natychmiast puści, bo będzie pan miał jeszcze większe kłopoty!

- Sytuacja raczej nie upoważnia pani do stawiania żądań

- zwrócił jej uwagę i uśmiechnął się kąpiąco.

Usta miał szerokie, z mięsistą dolną wargą. Powinien mieć ujmujący uśmiech, ale chłodny, ironiczny wyraz odbierał jego twarzy wszelki urok. Camillę rozwścieczyło do białości, że nieznamy mężczyzna bawi się jej kosztem, zniecka szarpnęła więc ciałem, usiłując strącić go z siebie. Naturalnie był jednak dla niej zbyt ciężki i zbyt silny, więc nawet nie zdołała go przesunąć.

Dla ukrycia lęku pogardliwie wykrzywiła usta.

- Widać, że jest pan ladaco - oświadczyła zimno. - Stawowczo jednak przestrzegam pana przed wstąpieniem na drogę zbrodni.

Jego uniesione brwi ułożyły się w kształcie odwróconych liter „V”, co nadało twarzy jeszcze bardziej demoniczny wygląd-

- Dobrze powiedziane, szanowna pani. Chyba jednak nie muszę przypominać, że jeśli nie ma świadków, trudno jest oskarżyć człowieka o zbrodnię. - Poczekał, aż złowieszczą aluzja dotrze do celu, potem uśmiechnął się chłodno i dodał:  
- Trudno również nazwać zbrodnią zajęcie miejsca na koźle zaprzęgu dla uratowania damy przed bandą rzezimieszków.

- Wie pan równie dobrze, jak ja, że w ogóle tych mężczyzn nie obchodziłam - odpaliła Camilla. - Oni strzelali do pana.

Na usta wystąpił mu ponury grymas.

- Możliwe, ale z pewnością by tego nie robili, gdyby pani 'nie zaczęła krzyżeć i wymachiwać latarnią

- Skąd miałam wiedzieć, że robi pan potajemnie coś podejrzanego? Szukałam u pana pomocy, rzecz jasna na próżno, ale wtedy jeszcze nie zdawałam sobie sprawy z pańskiego charakteru. Nie wiedziałam, że zwracam się do złodzieja!

- Nie jestem złodziejem - odparł groźnie.

- Ha! - Camilla zmierzyła go spojrzeniem pełnym pogardy. - Cóż wobec tego pan robił, kryjąc się za drzewem w mglisty wieczór?

- Nie pani sprawa. Poza tym gdyby nie pani wścibstwo, nie wpadlibyśmy w tarapaty.

- Powinam była od razu wiedzieć, że pan jest z tych, którzy uwielbiają obarczać winą innych. Dobrze sobie! Może to ja jestem odpowiedzialna za pańskich kamratów, wrogów czy kimkolwiek byli tamci ludzie?

- Boże, ależ pani ma swarliwą naturę. - Mężczyzna nagle wstał i pociągnął ją za sobą. - Dość tego, nie mam ochoty tu stać i przekomarzać się z panią. Ci ludzie mogą w każdej chwili wrócić.

Mocno zacisnął jej dłoń na ramieniu i ruszył do dyliżansu, jednak Camilla zaparła się ze wszystkich sił.

- Chwileczkę! Nigdzie z panem nie pojedę!

- Myślę, że lepiej dla pani byłoby wrócić do Edgecombe, niż stać w ciemnościach na bezdrożu, w okolicy, po której włóczą się uzbrojone bandy.

- Wcale nie zamierzam tu tkwić. Chciałam tylko powiedzieć, że pan nie wsiądzie do mojego dyliżansu.

Przez dłuższą chwilę mierzył ją wzrokiem, wreszcie puścił jej ramię i cofnął się o krok.

- Naturalnie, ma pani rację. To jest pani dylizans i nie mogę rościć sobie do niego praw. Wobec tego pozostaje mi się oddalić. Wszystkiego dobrego, szanowna pani.

Odwrócił się i odszedł energicznym krokiem. Oszołomiona Camilla patrzyła w zamyśleniu na jego plecy. Nagle przypomniała sobie, że woźnica leży nieprzytomny. Boże, może nawet zabity! Ona zaś umiałaby sobie poradzić z gigiem, ale na pewno nie z powożeniem czwórką koni. Co gorsza, gdzieś w pobliżu czyhała groźna banda.

- Chwileczkę! - zawołała, a gdy nieznajomy się nie zatrzymał, przebiegła za nim kilka kroków. - Niech pan zaczeka! Proszę!

Odwrócił się i spojrzał na nią pytająco.

- Tak?

- Niech pan nic odchodzi. Nie mogę... nie umiem powozić dylizansem, nie dojadę sama do Edgecombe.

- Aha. W takim razie będzie pani miała kłopot. Dobranoc.

- Niech pan przestanie mnie irytować. Powiedziałam, że może pan jechać ze mną do Edgecombe.

- Czy to znaczy, że chce pani zrobić mi ten zaszczyt i zgodzić mnie do pracy? - spytał z gryzącą ironią. - Doceniam pani uprzejmość. Obawiam się jednak, że muszę podziękować za wyróżnienie. Wolę iść piechotą. We mgle pojedynczego człowieka widać zdecydowanie słabiej niż wielki dylizans.

- Tak, ale konie są szybsze.

Wzruszył ramionami, obrócił się i znów ruszył przed siebie.

- Niech pan zaczeka! Nie może mnie pan tu zostawić! Dżentelmen nie zostawiłby damy w takiej sytuacji.

- Z pewnością zauważyła już pani, że nie mam zadatków

na dżentelmena, zresztą, szczerze mówiąc, nie widzę też u pani wielu cech damy.

Camilla spiorunowała go wzrokiem.

- Dość tego. Myślę, że naobrażał mnie pan do woli. Czas jechać. Oboje wiemy, że byłoby niedorzecznością iść piechotą, skoro do dyspozycji mamy dyliżans. Nie musimy się lubić, ale z pewnością możemy zawrzeć umowę. Wymienimy pańską umiejętność powożenia na prawo przejazdu moim dyliżansem.

Nie odezwał się ani słowem, zawrócił jednak i wspiął się na kozioł. Camilla szybko wsiadła do powozu i wyruszyli znowu, tym razem w tempie bardziej dostosowanym do nierównej drogi. Mimo wszystko dyliżans podskakiwał na wybojach i raz po raz podrzucał Camillę, która wnet nabrała podejrzeń, że nieznamy powozi tak specjalnie, żeby jej dokuczyć.

Czuła się tym gorzej, że pamiętała, w jakim stanie są jej odzienie i fryzura. Tego ranka ubrała się z wdziękiem w muślinową suknię, ozdobioną deseniem z gałązek, i zielone, skórkowe półbuty, a włosy upięła w koronę, z której zwisało kilka uroczych loczków. Teraz półbuty miała przemoczone i oblepione błotem zarówno z wierzchu, jak i w środku, a jej suknia i fryzura były w nie lepszym stanie. Tu i ówdzie błotnista maź powoli zasychała na jej ciele.

Jak mogła wytłumaczyć się z takiego wyglądu po przyjeździe do Chevington Park? Do oczu napłynęły jej łzy. Zupełnie jakby nie dość było kłopotów z dziadkiem i okropnymi kłamstwami, w które się uwikłała. Jeśli na domiar złego miałyby przyjechać tam, wyglądając jak bezdomna sierota, chyba by tego nie zniosła.

Zacisnęła zęby, żeby się nie rozpłakać. Wszak łzy niewątpliwie zostawiłyby ślady na jej policzkach, dowodząc tym, że



płakała. A ten człowiek na pewno pomyślałby, że to z jego powodu. Skrzywiła się, bo znów pomyślała o tym odrażającym ordynusie, który w gruncie rzeczy ją uprowadził.

Był nieokrzesany, arogancki i irytujący w najwyższym stopniu. Potraktował ją wręcz nieprzyzwoicie. Żaden dobrze wychowany mężczyzna nie chwyciłby jej tak brutalnie ani tym bardziej nie przygniótł do ziemi.

Przypomniała sobie, jak nieskromnie przyglądał się jej piersiom, widocznym pod cienką, moką tkaniną sukni. Chociaż teraz siedziała w dyliżansie zupełnie sama, aż się zarumieniła na wspomnienie intymnej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Mężczyzna oplótł ją nogami, ich ciała się stykały, a gdy na nią patrzył, jego ciało oburzająco się poruszyło.

Hm, prawdę mówiąc, dziwnie się wtedy poczuła. Wydało jej się to prawie przyjemne, choć zarazem bardzo niestosowne i budzące wściekłość.

Camilla poruszyła się na siedzeniu, odsuwając jak najdalej od siebie tkaninę przemoczonej sukni. Z każdą chwilą czuła się coraz bardziej nieswojo. Na skórze nadal zasychało jej błoto, a suknia i bielizna kleiły się do ciała. Najgorsze zaś, że marzyła w przemoczonym ubraniu, więc nieustannie drżała.

Chciała otulić się peleryną, żeby zatrzymać choć trochę ciepła, ale bała się ubłocić ją po lewej stronie. Pomyślała jednak, że nie warto dobrowolnie się przeziębić. Znów zerknęła niepewnie na pelerynę, gdy nagle uświadomiła sobie, że dyliżans trzęsie się na bruku. Odchyliła zasłonkę i omal nie krzyknęła z radości, widząc, że wjechali właśnie do wsi.

W chwilę później dyliżans wtoczył się na podwórze gospody „Pod Niebieskim Dzikim”. Camilla odetchnęła z ulgą. Chociaż próbowała odpędzić od siebie złe przeczucia, przez

całą drogę martwiła się, że nieznajomy nie zawiezie jej do wsi, lecz uświadomiwszy sobie niebezpieczeństwo rozpoznania, wysadzi ją z dyliżansu w ciemnym zakątku albo zrobi coś jeszcze gorszego.

Wydała cichy okrzyk, szarpnęła za drzwi pojazdu i jeszcze w biegu zeskoczyła na ziemię.

- Chłopcze, zajmij się końmi - zawołała do stajennego, który ruszył przez podwórze ku dyliżansowi. - I zajmij się moim woźnicą. Może być potrzebny doktor.

Stajenny stanął jak wryty, wytrzeszczając na nią oczy, ale Camilla nie zwróciła na to uwagi. Już śpieszyła do frontowych drzwi, pochłonięta myślą, by dopaść ich, zanim nieznajomy ją dogoni.

Gdy tylko weszła na salę, wszystkie rozmowy ucichły, a goście jak jeden mąż zwrócili głowy w jej stronę. Znieruchomiła, zaniepokojona tymi objawami zainteresowania. Odczuła taką ulgę na widok gospody, że zupełnie zapomniała o swoim wyglądzie, teraz jednak zdumione miny przywołały ją do rzeczywistości. Sięgnęła dłonią do posklejanych błotem włosów, potem zerknęła na przemoczoną suknię, obciskającą się na jej ciele w wyjątkowo niestosowny sposób, a w dodatku pozbawioną rękawa. Spłonęła ciemnym rumieńcem aż po cebulki włosów.

Właściciel gospody, postawne, poczciwe chłopisko, ruszył ku niej ze swego miejsca przy kranie z piwem. Widząc go, Camilla uznała, że jest uratowana.

- Saltings! Jak się cieszę, że was widzę!

Postąpiła dwa kroki w jego stronę, ale zatrzymała się raptownie, słysząc:

- Hej, co robisz, kobieto? Jak można wejść na salę w takim stanie? To jest przyzwoita gospoda, nie ma tu miejsca dla...

- Saltings! - wykrzyknęła wstrząśnięta Camilla. - Nie poznajecie mnie, człowieku? - Z upokorzenia do oczu napłynęły jej łzy. To była ostatnia kropla, przelewająca czarę, straszliwy koniec straszliwego dnia. Saltings, którego znała od dziecka, wziął ją za zwykłą ladacznicę. Czyżby naprawdę zamierzał ją wyrzucić?

Oberżysta przystanął i spojrzał na nią badawczo.

- Czy ja panią znam?

- To ja, Camilla Ferrand! - Nie była w stanie dłużej powstrzymać łez. Popłynęły po jej policzkach, rozmazując zaschnięte błoto.

- Panna Ferrand? - powtórzył i z wrażenia zamarł. - Boże drogi, co się stało? Co panienka tu robi w takim stanie?

Podszedł do niej, delikatnie ujął ją za ramię i zaczął prowadzić w kierunku saloniku, po chwili jednak znów przystanął.

- Ojej, salonik zajęty, siedzi tam pewien dżentelmen. - Jeszcze raz zmierzył wzrokiem Camillę, brudną, potarganą, walczącą z naporem łez, potem omiótł wzrokiem resztę gości, chciwie się na nią gapiących. - Trudno - westchnął. - Nic innego nie da się zrobić. Tu pani nie może zostać, to pewne.

Głośno zapukał do saloniku, a gdy rozległ się w odpowiedzi męski głos, otworzył drzwi.

- Bardzo przepraszam, że przeszkadzam, ale mamy pewien kłopot - powiedział, wprowadzając Camillę do środka. - Jest tu dama, która nie powinna siedzieć na ogólnej sali ze wszystkimi, sir.

Camilla rozejrzała się po saloniku, wciąż usiłując powstrzymać łzy. Przy kominku siedział dżentelmen. To, że jest dżentelmenem, nie ulegało wątpliwości tak samo, jak to, że przedtem miała do czynienia z szubrawcem. Szybko wstał, a na twa-

rzy odmalowało mu się zaskoczenie. Ubrany był nieskazitelnie, od prostego, lecz eleganckiego wiązania białego halsztuka, po czubki wypastowanych, wysokich butów.

Zmierzył Camillę szybkim spojrzeniem i powiedział:

- Macie rację, Saltings. Panienska musi mieć pokój do dyspozycji. Kłopot w tym, że na kogoś czekam... o, już go widzę. Nawiasem mówiąc, wygląda tak, jakby przeżył jakąś przygodę w towarzystwie tej młodej damy.

Na te słowa Camilla raptownie się obróciła.

- To pan! - wykrzyknęła z nienawiścią.

Na progu saloniku stał jej prześladowca.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Mężczyzna obdarzył Camillę spojrzeniem, które w zasadzie nie pozostawiało wątpliwości co do tego, że podziela jej uczucia. Wyprostowała się, bardzo pokrzepiona jego irytacją. Pocięszało ją też, że nieznajomy jest nie mniej brudny, przemoczony i obszarpany niż ona.

- Co pani tu robi, u diabła? - spytał gniewnie. - Czy ja się pani nigdy nie pozbędę?

- Mogłabym powiedzieć to samo o panu.

- Wnoszę, że państwo już się znają - odezwał się dżentelmen, stojący przy kominku, a powiedział to tak gładko, jakby znajdowali się w londyńskim salonie.

Nieznajomy z dyliżansu wydał z siebie gniewny pomruk i wszedł głębiej do pomieszczenia.

- Obawiam się, że nie byliśmy sobie przedstawieni - stwierdziła Camilla lodowatym tonem.

- Och, Benedykcie - westchnął dżentelmen. - Wciąż zbywa ci na manierach. - Zwrócił się do Camilli: - Proszę pozwolić, że naprawię jego niedopatrzenie. Jestem Jermyn Sedgewick, a to jest pan Benedykt... hm...

- Miło mi pana poznać, panie Sedgewick - odrzekła oficjalnie Camilla, starając się nie zwracać uwagi na to, jak absurdalna jest wymiana uprzejmości przy takim jej wyglądzie.

Zerknęła na drugiego mężczyznę. - Żałuję, że nie mogę powiedzieć tego samego o panu Benedyckie.

Sedgewick otworzył usta, ale po chwili zamknął je bez słowa. Przesłał tylko Benedyktowi uśmiech i mruknął znacząco.

- Widzę, że jak zwykle zrobiłeś piorunujące wrażenie.

Jedyną odpowiedzią był nieartykułowany dźwięk, przypominający warknięcie psa. Benedykt odwrócił się do nich plecami, podszedł do kominka i wyciągnął ręce do ognia. Nie zrażony jego zachowaniem, Sedgewick zwrócił się do gospodarza.

- W tej sytuacji, Saltings, potrzebujemy dużo gorącego ponczu. Przynieście nam czarę, ja zmieszam składniki.

- Służę, sir.

Saltings z ociąganiem opuścił salonik. Camilla wiedziała, że liczył na usłyszenie szczegółów przygody, która spotkała ją i Benedykta.

Gdy oberżysta zniknął, Sedgewick zwrócił się do niej.

- Proszę spocząć, panno...o

- Och! Proszę mi wybaczyć. Pan jest taki uprzejmy, a ja nawet się nie przedstawiłam. Jestem Camilla Ferrand.

- Bardzo mi miło panią poznać, panno Ferrand, nawet w tak godnych ubolewania okolicznościach. Jest miejsce przy kominku, żeby się ogrzać. Na pewno pani przemarzła. - Zaprowadził ją do pobliskiego fotela.

Camilla usiadła i zaczęła się rozkoszować ciepłem, płynącym od ognia. Pochyliła się w tę stronę, żeby mieć go dla siebie jak najwięcej. Benedykt zerknął na nią, krzywiąc usta, i przeszedł na drugą stronę kominka. Odwrócił się do niej plecami i wsparł łokieć na gzymsie. Sedgewick spojrzał na niego, potem na Camillę, ale nic nie powiedział. Milczenie stało się kłopotliwe.

Wreszcie rozległo się pukanie i wszedł Saltings, a za nim pomocnik, niosący srebrną czarę, najlepszą w całej gospodzie, oraz zestaw składników. Postawili wszystko na komodzie, Saltings jeszcze przez chwilę próbował szukać sobie zajęcia w saloniku, aż w końcu Benedykt znacząco otworzył drzwi i pokazał mu drogę na zewnątrz.

- Znakomicie - powiedział Sedgewick, zbliżając się do srebrnej czary. - To postawi panią na nogi, panno Ferrand. Wprawdzie w normalnych okolicznościach nie uważałbym ponczu za stosowny trunek dla młodej damy, ale zważywszy na chłód panujący dziś wieczorem oraz ciężkie przeżycia, jakie ma pani za sobą, jestem zdania, że właśnie tego pani trzeba.

Wprawnie zaczął przyrządzać napitek, dodając kolejno rumu, cukru i cytryn, aż w końcu uznał, że gorący napój nabrał odpowiedniego smaku. Nalał go do srebrnej filiżanki i podał Camilli. Z wdzięcznością wzięła od niego parujące naczynko. Nigdy przedtem nie piła tak mocnego trunku, jak bowiem Sedgewick zwrócił uwagę, nie był on przeznaczony dla dam.

Camilla nie czuła się jednak niewolniczką tradycji i była całkiem zadowolona, że spróbuje czegoś, co zwykle piją tylko mężczyźni. Owocowa słodycz miała niemiłą przymieszkę gorzycy, ale poncz wcale nie był ani tak mocny, ani tak niesmaczny, jak można by się spodziewać. Za to rozgrzewał wspaniale. Camilla wypiła całą filiżankę i uznała, że samopoczucie bardzo jej się polepszyło.

- To było wyśmienite, panie Sedgewick. Bardzo dziękuję - powiedziała, a Sedgewick natychmiast nalał wszystkim po drugiej porcji.

- Skoro tak, panno Ferrand, koniecznie musi mi pani opowiedzieć, jak doszło do spotkania z panem... hm, Benedyktem.

Camilla przesłała miążdzące spojrzenie swemu niedawnemu prześladowcy.

- Uprowadził mnie - oświadczyła krótko.

- O Boże - jęknął Benedykt, odwracając się plecami do ognia, żeby ogrzać się również z drugiej strony. - Znowu to samo.

- Omal nie straciłam życia - dodała Camilla, skrzyżowała ramiona na piersiach.

- Benedyckie! - Sedgewick spojrzał na przyjaciela z najwyższym zdumieniem. - Co się stało, na Boga?

- Nic takiego. Ona przesadza. - Lekceważąco machnął ręką. - Strzelano do nas i...

- Strzelano? - powtórzył Sedgewick niedowierzająco. - I ty nazywasz to niczym?

Benedykt wzruszył ramionami.

- Nikomu nic się nie stało. Tamci byli dość daleko, zresztą nie sądzę, żeby którykolwiek umiał trafić nawet w ścianę stodoły.

- Nikomu nic się nie stało! - powtórzyła wzburzona Camilla, podnosząc głowę. - A co z moim woźnicą? Zdaje się, że go pan zabił.

Benedykt przewrócił oczami.

- Och, stuknąłem go ledwie w głowę - wyjaśnił Sedgewickowi. - A leży tak długo nieprzytomny, bo cały wieczór pociągał z flaszki. Był pijany. Nic dziwnego, że zgubiliście drogę.

- Zgubili drogę? Jeśli tak, to panna Ferrand miała okropny dzień - Sedgewick był pełen współczucia.

Na myśl o tym dniu Camilli znowu zachciało się płakać. Rzeczywiście był okropny, nawet zanim jeszcze to podejrzane indywiduum o imieniu Benedykt zaczęło ją prześladować.



- Och, nie ma pan nawet pojęcia - powiedziała drżącym głosem. - To był... to był najgorszy dzień w moim życiu.

Niespodziewanie, nawet dla siebie samej, zalała się łzami.

Sedgewick wpatrywał się w Camillę z miną dżentelmena, w którym szloch kobiety wzbudza trwogę.

- Droga pani - zaczął nieśmiało. - Proszę, niech pani nie płacze. Na pewno nie jest aż tak źle.

- Właśnie, że jest! - krzyknęła Camilla, zasłaniając twarz dłońmi. - Pan nie wie, jakie to straszne! - Policzki miała już całkiem mokre.

- To nie tragedia - bezlitośnie stwierdził Benedykt. - Na pewno już nieraz zgubiła pani drogę i jeszcze nieraz pani zgubi. Nic nam tak naprawdę nie groziło. Powiedziałem to pani.

- No, wie pan! - Camilla miała ochotę wykrzyknąć przed nim, że nie jest taka głupia, żeby dostawać spazmów z powodu zgubienia drogi, ale nie mogła opanować łez. Kiedy indziej z pewnością zapadłaby się pod ziemię ze wstydu, gdyby rozsłochała się w obecności dwóch obcych ludzi, zwłaszcza jeśli jeden z nich byłby tak niesympatyczny i grubiański, jak Benedykt, tego dnia była jednak zbyt zmęczona i rozstrojona, by się tym przejmować.

- Nie powinieneś był jej dawać ponczu - powiedział Benedykt do Sedgewicka. - Podchmieliła się i teraz beczy.

Sedgewick zerknął na niego ze zniecierpliwieniem

- Nie gadaj głupstw.

Benedykt wzruszył ramionami.

- Głupstw? Ona ma dobrze w czubie.

- Wcale nie! - rozżłościła się Camilla i poderwawszy głowę, przesłała mu gniewne spojrzenie. Wściekłym ruchem otarła

ły z policzków. - Jestem tylko zmęczona i... i mam tego dość! Wszystko się na mnie wali!

Benedykt spojrział na nią złośliwie.

- Wszystko? A co takiego konkretnie? Odwołane przyjęcie? Piękny młodzieniec wybrał inną?

Camilla zerwała się z miejsca, zaciskając dłonie w pięści.

- Jak pan śmie! Jak może pan tak trywializować moje... moje... Och, nienawidzę pana! Mój dziadek umiera!

Opadłszy na krzesło, znów się rozszlochała. Sedgewick spojrział karcąco na przyjaciela i nawet sam Benedykt miał na tyle wstydu, że się zaczerwienił.

- Przepraszam - powiedział sztywno. - Nie miałem pojęcia...

- Bardzo mi przykro, moja droga. - Sedgewick podszedł do niej, wziął ją za rękę i krzepiąco poklepał po plecach. - Jeśli tylko mogę pomóc...

- Nikt nie może mi pomóc - powiedziała Camilla, gdy opanowała łzy. Jeszcze raz rozmazała sobie błoto na twarzy, ocierając policzki, i niepewnie zaczerpnęła tchu. - Dziadek jest stary, ciało nie chce mu dłużej służyć. Kilka miesięcy temu miał atak apopleksji i od tej pory nie może samodzielnie opuścić pokoju. Doktor... - Przełknęła ślinę. - Doktor powiedział, że niewiele życia mu zostało, ale dziadek się nie poddaje. - Uśmiechnęła się - Zawsze był wyjątkowo uparty.

- Pani dziadek na pewno ma za sobą długie, bogate życie - wtrącił pocieszającym tonem Sedgewick.

Camilla skinęła głową.

- Ma. A ja... ja już się prawie pogodziłam z jego śmiercią. Tylko że... och, tak okropnie namieszałam. - Znów przełknęła ślinę i spojrzała wielkimi, błagalnymi oczami na Sedgewicka.

- Naprawdę nie chciałam. Zrobiłam to wszystko dla jego dobra. Ale teraz... teraz muszę powiedzieć mu prawdę. Jemu i im wszystkim. I boję się, że właśnie to go zabije.

- Nie może być aż tak źle.

- Ale jest. Widzi pan... ja go okłamałam.

Benedykt wydał z siebie znaczące parsknięcie, po czym dodał z gryzącą ironią:

- Naturalnie.

Camilla obróciła się do niego oburzona.

- Zrobiłam to dla dobra wszystkich!

- Zawsze tak się mówi - odparł. - Najpierw się oszukuje, a potem tłumaczy, że to dla czyjegoś dobra.

- Cicho, Benedykcie. Proszę nie zwracać na niego uwagi, panno Ferrand. Nasz Benedykt ma dość zniekształcony obraz kondycji ludzkiej.

Benedykt skrzywił się, ale nie odpowiedział, a Camilla zwróciła się do pana Sedgewicka tak, jakby nikogo więcej w saloniku nie było.

- Zrobiłam to dla dobra wszystkich - powtórzyła. - Chciałam go pocieszyć, rozjaśnić jego ostatnie dni. Ale nie sądziłam, że dziadek powie ciotce Beryl!

- To naturalne - przyznał Sedgewick, całkiem zdezorientowany, lecz mimo to szczerze współczujący.

- Nie byłam u dziadka, odkąd miał atak apopleksji, bo nie zniosłabym spotkania z ciotką Beryl. Ona zadawałaby masę trudnych pytań, pan rozumie, a przede wszystkim chciałyby wiedzieć, gdzie on jest. To byłoby nie do zniesienia. A teraz jest tam Lidia, która, rzecz jasna, nie może udźwignąć ciężaru kłamstw. Nie dlatego, żeby brzydziła się okłamać ciotkę Beryl. Lidia, jeśli chce, umie kłamać jak z nut. - Z jej tonu należało

wnosić, że zazdrości Lidii tej umiejętności. - Kłopot polega na tym, że Lidię ponosi i wtedy mówi mnóstwo rzeczy, które nijak do siebie nie pasują. Dlatego przyjechałam. I będę musiała powiedzieć im prawdę.

- W tym, co pani mówi, nie ma ani krzty sensu - brutalnie stwierdził Benedykt.

- Benedykcie...

- Nie, nie. Pan Benedykt ma rację. Zaplątałam się trochę. - Camilla przytknęła dłoń do skroni i westchnęła. Przez chwilę patrzyła na Sedgewicka, potem nieznacznie skinęła głową, jakby podjęła decyzję. - Panu można zaufać, prawda? Nikomu nie powie pan ani słowa?

- Skądże znowu! - Mężczyzna wydawał się urażony, że można zwątpić w jego szczerość. - Ale niech mi pani nic nie mówi, jeśli to panią krępuje. Naprawdę nie trzeba.

- Nie. Czuję, że muszę komuś to powiedzieć, bo inaczej oszaleję. Jadąc tutaj, myślałam o tym cały dzień. Prawdę mówiąc, nie myślę o niczym innym od tygodni. Nie wiem, co zrobić, jak rozplątać to, co sama namotałam.

- Daję słowo honoru - odezwał się Sedgewick - że to, o czym rozmawiamy, nie wyjdzie poza ściany tego pokoju. Może nam pani śmiało powiedzieć.

Camilla niepewnie spojrzała na Benedykta, który skrzywił się i mruknął pogardliwie:

- Można mi zaufać, panno Ferrand. Nie będę rozpowiadał po całym Londynie dziewczęcych sekretów.

- Tak. Za Benedykta ręczę osobiście - szybko wtrącił Sedgewick. - Nie piśnie ani słówka. A teraz proszę nam powiedzieć, z jakim kłopotem pani się boryka.

Camilla zawahała się. Wbiła wzrok w czarę z ponczem.

- Czy sądzi pan... Czy mogłabym jeszcze napić się ponczu? Wyśmienicie rozgrzewa.

- Naturalnie. - Sedgewick wziął od niej filiżankę i nalał jej nową porcję wonnego trunku. Przy okazji dopełnił również dwie pozostałe filiżanki.

- Skończy się tym, że będziemy mieli na głowie pijaną kobietę - ostrzegł go Benedykt, upijając łyk ze swojej filiżanki.

- Niech pan nie mówi niedorzeczności - odparła Camilla.

- Jeszcze nigdy nie zdarzyło... nie zdarzyło mi się upić.

- Cicho, Benedykcie. Panno Ferrand, proszę mówić.

Przełknęła odrobinę ponczu, zaczerpnęła tchu i zaczęła opowiadać:

- Jak panom mówiłam, dziadek dostał ataku apopleksji i lekarz zapowiedział mu, że długo nie pożyje. Naturalnie wyruszyłam do Chevington Park, gdy tylko o tym usłyszałam.

- Chevington Park? - powtórzył Sedgewick zaskoczony.

- Czyżby pani dziadek był...

- Jest earlem Chevington. - Camilla skinęła głową. Zapatrzona w poncz, nie zauważyła szybkiego spojrzenia, jakie jej dobroczyńca przesłał Benedyktowi. - Tak. Moja matka była jego córką. Rodzice osierocili mnie w dzieciństwie. Dlatego moim wychowaniem zajęli się dziadkowie, no i ciotka Lidia, czyli lady Marbridge. Ciotka była żoną mojego wuja, dziedzica tytułu earla, ale wuj zmarł, gdy ich syn, Anthony, był jeszcze dzieckiem. Jestem jej bardzo wdzięczna za to, że się mną zajęła. Mieszkałyśmy w Chevington Park i pewnie dlatego czuję się bardzo silnie związana z dziadkiem. Moja babka od kilku lat nie żyje. Zaraz po tym, jak dowiedziałam się o ciężkiej chorobie dziadka, przyjechałam go odwiedzić. Lekarz powiedział, że trzeba uważać i że nie wolno nam go denerwować, bo to

zaszkodziłoby jego zdrowiu, a może nawet doprowadziłoby do następnego ataku. Ale dziadek i tak bez przerwy się o mnie zamartwiał. Panowie rozumieją, bardzo niepokoi go to, że wciąż jestem panną. Wielokrotne powtarzał, że potrzebuję męża, który by się mną zaopiekował. To jest naturalnie niedorzeczność, bo sama doskonale umiem się sobą opiekować...

Benedykt chrząknął znacząco, więc Camilla zgromiła go wzrokiem. W odpowiedzi spojrział na nią beznamiętnie i gestem zachęcił do podjęcia opowiadania.

- Jak mówiłam, dziadek bardzo się o mnie niepokoił. Rozumiecie panowie, on jest bardzo staroświecki i dlatego uważa, że powinnam wyjść za mąż.

Sedgewick odchrząknął.

- Cóż, to zwykle robią młode damy.

- Tak, ale ja nie jestem zwykłą młodą damą. Nie chcę wyjść za mąż.

- Czy w istocie?

- Tak. - Potwierdziła skinieniem głowy. - Małżeństwo jest instytucją stworzoną dla mężczyzn, osobiście nie widzę, by kobieta czerpała wiele korzyści z małżeństwa.

- Słucham?

- Taka jest prawda. Mężczyźni po ślubie mogą dalej robić, co im się podoba, są panami swoich domów, za to kobiety muszą słuchać mężów, wychowywać dziedziców i utrzymywać porządek w domu. Niestety, nic więcej. Nie mają ani praw, ani swobód.

Sedgewick uśmiechnął się wątle.

- Oj, oj, panno Ferrand. Chyba pani trochę przesadza.

- Czyżby? - Wyprostowała się i spojrzała na niego spod przymrużonych powiek. - Z dniem ślubu własność kobiety sta-

je się własnością jej męża. Kobieta też jest w gruncie rzeczy uważana za jego własność. Mężczyźnie wolno narzucać jej dyscyplinę, ograniczać wolność, nawet bić ją, jeśli ma takie życzenie. Kobieta nie ma prawa głosować.

- Głosować? Na Boga, pani chciałaby głosować?

- Nie rozumiem, co w tym dziwnego. Ale to jest bez znaczenia. Rzecz w tym, że nie mogę tego robić, choćbym nawet chciała. Jestem wykształcona, nikt chyba nie zaprzeczy, że wiele wiem. Mimo to najgłupszy mężczyzna może głosować tylko dlatego, że jest mężczyzną i ma swoją własność ziemską, a ja nie.

- Boże, miej nas w swej opiece - jęknął Benedykt. - Sawantka!

Camilla przesłała mu spojrzenie, które niechybnie unicestwiłoby mniej gruboskórną jednostkę.

- Nie rozumiem, co nagannego jest w wykształconej, inteligentnej kobiecie. Pan bez wątplenia należy do ludzi, którzy uważają, że kobiety powinny robić na drutach, nie odzywać się bez pozwolenia i nie myśleć o niczym innym oprócz kroju sukni i piękna fryzury.

- Nie, panno Ferrand. Wręcz przeciwnie, mam dość nierozumnych kobiet. - Lekko skłonił się przed nią, a uśmiezek, jaki zagrał mu na wargach, niewątpliwie oznaczał, że i ona znajduje się w tej liczbie.

Sedgewick przezornie skierował rozmowę na wcześniejszy temat.

- Czy dlatego nie wyszła pani za mąż, panno Ferrand?

- Tak. Nie widzę powodu, dla którego miałabym oddać mężczyźnie władzę nad mną albo nad moją własnością. Jestem osobą samodzielną i pozostanę nią dopóty, dopóki nie zdecy-

duję się na ślub. Dlatego jestem dwudziestopięcioletnią starą panną i chociaż mnie ten stan całkowicie zadowala, dziadek od dawna się o mnie martwi. A odkąd zachorował, zadrecza się tym jeszcze bardziej. Nie chce umrzeć i zostawić mnie bez opieki, sam mi to powiedział. Tłumaczyłam mu, jak umiem, że nic mi się nie stanie, że mam nieruchomość po rodzicach, więc mogę prowadzić niezależne życie, ale to go nie uspokoiło. Uważa, że postępuję wbrew naturze, mimo że mam przyzwoitkę, więc nikt nic mi nie może zarzucić. Ale dziadek chce, żebym miała dzieci i męskiego opiekuna, inaczej mówiąc - wszystko, co uważa za naturalne i konieczne dla kobiety. - Westchnęła, a po chwili wyznała: - Dlatego właśnie powiedziałam mu, że jestem zaręczona.

Benedykt głośno się roześmiał.

- To przepyszne. Obrończyni praw kobiet udaje, że upolowała męża.

- Chciałam, żeby dziadek się nie martwił! - burknęła Camilla. - Pan oczywiście nigdy nie pomyślałby o tym, że można chcieć oszczędzić komuś bólu i strapień.

- Bez względu na uzasadnienia kłamstwo pozostaje kłamstwem - zwrócił jej uwagę.

- Złodziejowi łatwo prawić morały! - odpaliła Camilla. - Zresztą nie wiem, może przemytnikowi, czy kim tam pan jest. Nie waha się pan uprowadzić dylizansu i dopuścić się porwania, pobić do nieprzytomności człowieka ani wciągnąć niewinnych ludzi do swoich porachunków, za to potępia pan w czambuł niewinne kłamstwo, które miało ulżyć umierającemu człowiekowi!

- Benedykcie... - Sedgewick przesłał mu karcące spojrzenie. - Proszę nie zwracać na niego uwagi, panno Ferrand. Be-



nedykt nie bardzo pojmuje przyziemne problemy. Osobiście doskonale rozumiem pani postępowanie.

- Dziękuję. - Camilla uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i upiła kolejny łyk ponczu.

Nie miała już wrażeń, że do żołądka stacza jej się ognista kula, za to ogarniało ją miłe ciepło, nastrój też nieco jej się poprawił. Uznała, że zwierzenia są prawdziwym balsamem dla duszy.

- Jest pan bardzo wyrozumiały - powiedziała przyjaźnie do Sedgewicka. - Cieszę się, że panu wszystko opowiedziałam. Pan rozumie, że nie okłamałabym dziadka, gdyby nie wydało mi się, że małym kosztem mogę go uszczęśliwić. Był taki chory, że nawet się nie dopytywał, jak się poznaliśmy, ja i ten mój wymyślony kawaler. - Uśmiechnęła się wątle. - I nawet nie zwrócił mi uwagi na niestosowność zaręczania się z mężczyzną, który wcześniej nie przyszedł do niego poprosić o moją rękę. Bardzo go uszczęśliwiłam i uspokoiłam. Od tej pory zaczęło mu się polepszać, najpierw odrobinę, a potem coraz bardziej. Ani się obejrzeliśmy, jak przeklinał służbę, chciał chodzić po schodach i ciosał doktorowi kołki na głowie, słysząc, że mu nie wolno tego czy tamtego. Im lepiej się czuł, tym częściej pytał o mojego narzeczonego. Sytuacja stawała się coraz bardziej niezręczna. Pożałowałam wymyślenia tych zaręczyn, bo bałam się, że jeśli dziadek dowie się prawdy, może dostać drugiego ataku. Wreszcie nie mogłam tego dłużej znieść i uciekłam do Bath. Ale tam dostawałam od niego listy z pytaniami o narzeczonego. Dziadek koniecznie chciał wiedzieć, kiedy przywiozę lubego do Chevington Park. Zaczęłam więc rozmyślać, jak się z tego wyplątać.

- Niech mu pani po prostu powie, że ukochany dał dyla

- zaproponował bezdusznie Benedykt. - To skończy sprawę raz na zawsze. I jest całkiem prawdopodobne. Jeśli można wnioskować z pani dzisiejszej eskapady, pani narzeczonemu nietrudno byłoby znaleźć powód do zerwania.

Camilla raptownie zwróciła się twarzą do niego.

- Ma pan czelność winić mnie za to, co stało się dzisiejszego wieczoru?! Tak czy owak, mój narzeczony nie należy do ludzi, którzy, jak pan to wulgarnie ujął, dają dyla.

Znowu wybuchnął szczekliwym śmiechem.

- Przepyszne. Skoro narzeczony istnieje wyłącznie w pani wyobraźni, to przypuszczam, że może robić wszystko, co tylko pani przyjdzie do głowy.

- Chciałam powiedzieć, że taki człowiek, o jakim opowiadałam dziadkowi, nigdy nie dopuściłby się postępu niegodnego dżentelmena. Dla pana jest to z pewnością nie do pojęcia, ale większość dżentelmenów uznaje istnienie kodeksu honorowego.

- A juści, panienko, trudno to wyrozumować - odparł z prostackim akcentem. - Ja tam nie znam się na elegancji.

- Zamknij buzię, Benedykcie - powiedział łagodnie Sedgewick. - Rzecz jasna, pani nie mogła powiedzieć dziadkowi, że któreś z nich zerwało zaręczyny, bo dziadek ma się nie denerwować.

- Właśnie - przyznała Camilla, zadowolona że znalazła zrozumienie. - Dziadek wciąż jest w nie najlepszym zdrowiu i doktor nie pozwala mu na okazywanie gwałtownych uczuć. Jego zdaniem pacjent tylko cudem nie zszedł jeszcze z tego świata. Dlatego od dłuższego czasu gram na zwłokę i na różne sposoby odwlekam chwilę mojego przyjazdu z panem Lassiterem do Chevington Park.

- Z panem Lassiterem? - zainteresował się Benedykt.  
- No... Z moim narzeczonym.  
- Ach, tak, rozumiem.  
- Czy pozwolisz jej wreszcie opowiedzieć tę historię, Benedyckie? - spytał Sedgewick. - Wciąż jeszcze nie wiem niczego o ciotce Beryl. Na to czekam.

- Ach, ona! - powiedziała Camilla z wyraźną niechęcią.  
- Ciotka Beryl uznała, że dziadkowi potrzeba opieki, więc przeprowadziła się do Chevington Park z dziewczętami i całym inwentarzem. Ciotka Lidia twierdzi, że wykorzystała chorobę dziadka, bo inaczej dziadek przepędziłby ją na cztery wiatry. Naturalnie nie może tego zrobić, gdy ciotka zjawiała się tam jako siostra miłosierdzia. Ale jestem pewna, że ona bardzo go złości. I gospodynię też, bo to wygląda tak, jakby gospodyni nie umiała prowadzić domu, jeśli nikt z rodziny nie patrzy jej na ręce. To wszystko jest jednak nieważne. Rzecz w tym, że dziadek powiedział ciotce Beryl o moich zaręczynach. W najgorszych snach nie przyszłoby mi do głowy, że to robi. Naturalnie kiedy skłamałam mu, że jestem zaręczona, sądziłam, że pożyje najwyżej kilka dni.

- Rozumiem. I wnoszę, że skoro ciotka Beryl wie o zaręczynach, sprawa jawi się w zupełnie nowym świetle.

- Owszem. - Camilla smutno pokręciła głową i wypięła jeszcze łyk ponczu. Wbrew ponurej sytuacji, w jakiej się znalazła, zaczynała czuć się całkiem miło. - Ciotka Beryl jest moją najokropniejszą krewną. Nieustannie próbuje wydać za mąż swoje dwie rozkapryszone córki i czerpie głęboką satysfakcję z tego, że nie znalazłam sobie męża wcześniej niż one. Wciąż jednak obawia się, że zdążę kogoś poślubić, zanim uda jej się związać jedną albo drugą córkę z jakimś Bogu ducha winnym nieszczęśnikiem.

- Czyżby nie wyłożyła pani dotąd ciotce swoich filozoficznych poglądów na małżeństwo? - spytał Benedykt, zabawnie wydymając wargi, co bardzo zirytowało Camillę.

- Wyłożyłam, ale ona mi nie uwierzyła. Uważa, że po prostu szukam wymówek dla swojego staropanieństwa i że z pocałowaniem ręki wyszłabym za mąż przy pierwszej nadarzącej się okazji, podobnie jak jej córky.

- Takie nieporozumienie raczej nie dziwi zważywszy na fakt, że pani udaje osobę zaręczoną.

Camilla odniosła się do wtrętu Benedykta bardzo chłodno. Wszystkie swoje słowa kierowała wyłącznie do Sedgewicka.

- Tak czy inaczej ciotka Beryl nie uwierzyła w moje zaręczyny. Zdaje się, że nawet pokłóciła się o to z dziadkiem. Ciotka Lidia dowiedziała się o tej kłótni, gdy przyjechała do Chevington Park. Doktor był na ciotkę Beryl taki zły, że zabronił jej w ogóle poruszać ten temat przy dziadku. Ale Lidia pisze mi, że od tamtej pory oboje ciągle to sobie wypominają. Ciotka Beryl robi kwaśne uwagi na temat mojej opieślności w przedstawieniu rodzinie narzeczonego. A dziadek podobno mnie broni. - Do oczu napłynęły jej łzy. - Och, czuję się tak podle! Okłamałam dziadka i wolę się nie zastanawiać, co o mnie pomyśli, gdy dowie się prawdy. W końcu musi się przecież dowiedzieć. Lidia zażądała, żebym przyjechała, bo dziadek ciągle o mnie pyta. I Lidia ma rację. Muszę tam jechać, muszę być z dziadkiem. Obawiam się, że on już niedługo...

Łzy nie pozwoliły jej mówić dalej. Sedgewick wyciągnął rękę i poklepał ją po dłoni.

- Spokojnie, moja miła.

Camilla uśmiechnęła się do niego przez łzy.

- Pan jest bardzo uprzejmy. To przecież nie są pana kłopoty, a mimo to poświęca pan czas, żeby mnie wysłuchać.

- I co teraz pani zamierza zrobić?

- Muszę powiedzieć im całą prawdę. - Westchnęła. - Lidia uważa, że jakoś sobie poradzimy z ciotką Beryl, ale ja nie widzę sposobu. Jestem pewna, że ona będzie zadawać różne pytania, na które nie będę miała odpowiedzi, chociaż powinnam mieć. Będzie chciała wiedzieć, z jakiej rodziny pochodzi mój narzeczony i jak jest spokrewniony z tym czy tamtym. Prędzej czy później muszę wpaść we własne sidła, a to będzie jeszcze gorsze, niż przyznać się od razu, że nie jestem zaręczona. Zresztą czym mogłabym wytłumaczyć to, że narzeczony ze mną nie przyjechał? Rodzina jest w trudnej sytuacji, więc dżentelmen za nic nie powinien mnie puścić bez opieki. Ale z drugiej strony wydaje mi się też, że nie mogę się przyznać, bo wyobrażam sobie to wyniosłe, pełne politowania spojrzenie, jakim obdarzyłaby mnie ciotka Beryl. Tego bym nie zniosła. A dziadek... Co będzie, jeśli tak się zdenerwuje, że umrze? Aż strach o tym pomyśleć.

Raptownie wstała, z brzękiem odstawiła filiżankę na stół i zaczęła nerwowo przechadzać się po saloniku.

- Gdybym tylko znalazła jakieś wyjście. Głowią się nad tym od wielu dni. Przez całą drogę z Londynu nie myślałam o niczym innym. Ale na próżno. Nie wymyśliłam nic!

Przez dłuższą chwilę trwało milczenie, wreszcie Sedgewick powiedział cicho:

- A gdybym ja znalazł wyjście?

Camilla i Benedykt jednocześnie zwrócili się ku niemu ze zdziwionymi minami.

- Co, u diabła... - zaczął Benedykt.

- Jakie? - spytała Camilla, czując przypływ nadziei. Podeszła do Sedgewicka. - Czy pan mówi poważnie? Naprawdę znalazł pan wyjście z tej opresji?

Skinał głową.

- To możliwe, ale pod warunkiem, że zechce pani podjąć pewne ryzyko.

- Zrobiłabym wszystko! - zawołała. - Niech mi pan tylko powie, co.

- Musi pani przyjechać dziś wieczorem do Chevington Park razem z narzeczonym.

- Jak to? - Camilla zmarszczyła czoło, całkiem zdezorientowana. Czyżby ten człowiek nie zrozumiał nic z tego, co mu mówiła? - Kto...?

Sedgewick uśmiechnął się i skinął głową ku swemu przyjacielowi.

- Benedykt będzie pani narzeczonym.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Camilla wytrzeszczyła oczy na Sedgewicka.

Benedykt, stojący w drugim końcu saloniku, wyraził jej obawy znacznie bardziej dobitnie.

- Na miłość boską, Jermyn, czyś ty rozum postradał?

- Skądże. Jeśli tylko się zastanowisz, dojdiesz do wniosku, że to jest doskonałe rozwiązanie. Dla wszystkich.

- Ja tam widzę, że to jest obłądne rozwiązanie - odpalił Benedykt. - Jeśli sądzisz, że zaręcę się z tą... tą...

Camilla obróciła się do niego. Jej oczy groźnie zabłyśły.

- Z jaką „tą”, panie Benedyckie?

- Rusz głową, przyjacielu. Zwykle nie myślisz tak opie-szale - odrzekł nie zrażony Sedgewick. - Naturalnie nie mam na myśli prawdziwych zaręczyn. Mówię o stworzeniu pozorów. Dziś wieczorem pojedziesz do Chevington Park razem z panną Ferrand. Rano poznasz jej krewnych, porozmawiasz z dziadkiem i tak dalej. Złożysz kilkudniową wizytę, potem powiesz, że musisz wrócić do Londynu i wyjedziesz. Earl się uspokoi i będzie szczęśliwy, ciotka potworzyca poniesie druzgocącą klęskę, a ty... ty spędzisz parę dni w eleganckiej wiejskiej rezydencji.

Benedykt zmrużył oczy i chciał coś powiedzieć, ale po namyśle zamknął usta. Odwrócił się i dopiero wtedy burknął:

- Jesteś tak samo głupi, jak ona. To niemożliwe.

- Dlaczego? Chyba potrafisz zagrać rolę dżentelmena, prawda? - Szare oczy Sedgewicka przybrały figlarny wyraz. - Możesz wydać się trochę ordynarny, ale lordowie tacy bywają. Benedykt zwrócił się do Camilli.

- Niech mi pani tylko nie mówi, że rozważa pani udział w tak niedorzecznej intrydze!

Jeszcze chwilę wcześniej Camilla nie miała najmniejszego zamiaru wyrazić zgody na plan pana Sedgewicka. Jednakże słysząc kpiący ton Benedykta, uznała, że warto przynajmniej się zastanowić. Dumnie uniosła głowę i wyzywająco odwzajemniła jego spojrzenie.

- Dlaczego nie? Moim celom to odpowiada. A chociaż maniery ma pan opłakane, potrafi pan się wystawiać jak dżentelmen. Może przez kilka dni nikt nas nie zdemaskuje, jeżeli postara się pan jak najmniej rozmawiać z ludźmi. Czy to nie lepszy sposób zdobycia pieniędzy niż kradzież? A ja pozbędę się kłopotu. Uszczęśliwię dziadka, a potem zawsze będę mogła dojść do wniosku, że jednak do siebie nie pasujemy. Albo jeszcze lepiej... - Twarz jej się rozpromieniła. - Powiem, że pan umarł! To będzie najlepsze rozwiązanie.

- Może dla pani.

- Och, naturalnie myślałam tylko o wrażeniu, jakie ta wiadomość ma wyrzucić na mojej rodzinie.

- Czy nie sądzi pani, że mogłoby dojść do dosyć niezręcznej sytuacji, gdyby ktoś z pani rodziny spotkał mnie za kilka miesięcy?

- Niech pan nie żartuje. Dlaczego ktoś miałby pana spotkać?

- Mógłbym przypadkiem spotkać kogoś na ulicy w Lon-



dynie. Mimo mojego karygodnego braku ogłady spacerować po Londynie mi wolno.

- Trudno. W takim razie będę chyba musiała poprzestać na tym, że zerwaliśmy zaręczyny. - Westchnęła - Szkoda. Śmierć byłaby o wiele bardziej dramatyczna.

- Ma pani rację - przyznał Sedgewick z zawiedzioną miną, chociaż oczy mu się śmiały. - Podejrzewam, że musimy się zadowolić bardziej prozaiczną historią.

- Dosyć! Może z łaski swojej porzucą państwo roztrząsanie tej niedorzeczności! - wybuchnął Benedykt. - Nie zamierzam udawać pani narzeczonego. Trudno mi uwierzyć, że pani w ogóle nad czymś takim się zastanawia. Podchmieliła się pani i tyle.

- Wcale nie! - Była to prawda. Camilla przyznawała w duchu, że jest jej ciepło i radośnie i że odrobinę szumi jej w głowie, ale przypisała to uspokajającym własnościom ponczu. Mimo lekkiego oszołomienia myślała wciąż jasno. - Po prostu nie mam uprzedzeń i dlatego rozumiem, że pomysł pana Sedgewicka ma swoją wartość. Oboje moglibyśmy na nim skorzystać. Ale pan jest po prostu za bardzo zapatrzony w siebie, żeby przyjąć pomysł kogo innego.

- Cieszę się, że ktoś docenia moje starania - powiedział pogodnym tonem Sedgewick, wprawnie otwierając tabakierkę. - Chcesz zażyć szczyptę, mój drogi Benedykcie?

W odpowiedzi usłyszał tylko głuchy jęk przyjaciela.

- Widzę, że jestem tutaj jedynym człowiekiem, którego nie opuścił rozsądek. - Benedykt podszedł do drzwi i otworzył je na oścież, potem zaś zwrócił się z powrotem do Camilli i Sedgewicka. - Nic mnie nie obchodzi, co wy dwoje, ludzie do tknięci obłędem, wymyślacie. Ja w każdym razie nie zamie-

rzam wam ulec! - Z tymi słowami wyszedł z saloniku, trzaskając drzwiami.

Sedgewick i Camilla stali przez chwilę, wpatrując się w drzwi, potem wymienili spojrzenia, a Sedgewick spytał cicho:

- Chce pani spróbować?

Camilla zrobiła zdumiona minę. Czyżby chciała? Przeciętą kobietą, taką jak jej ciotka, ten plan wstrząsnąłby do głębi. Ale Camilla zawsze chlubiła się tym, że nie jest przeciętna. Była niezależna i nie bała się żadnej trudnej sytuacji. Naturalnie było dość dziwne, że pan Sedgewick, bądź co bądź obcy człowiek, chce jej pomóc wybrnąć z kłopotu, ale to jeszcze nie oznaczało, że należy z góry odrzucić jego pomoc. Najgorsze, że plan Sedgewicka skazałby ją na kilka dni towarzystwa ordynarnego, nieznośnego mężczyzny. Jako rozsądna kobieta była jednak pewna, że poradzi sobie i z tą sytuacją. Los podsunął jej okazję, więc głupio by zrobiła, gdyby z niej nie skorzystała.

- Tak - stwierdziła zdecydowanie. - Chcę.

Sedgewick uśmiechnął się do niej.

- Wobec tego pójdę porozmawiać z Benedyktem. Tymczasem może pani pobyć tu, w salonie, i... hm... nieco się odświeżyć.

Camillaomal nie zachichotała, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo nie pasuje to oględne sformułowanie do zadania, które ją czekało. Była oblepiona błotem i prawdę mówiąc, nie umiała sobie wyobrazić, jak oczyści włosy i ciało, nie biorąc kąpieli.

- Powiem służącej, żeby przyniosła dzbanek i miskę. Jestem pewien, że w dyliżansie ma pani ubranie na zmianę. -

Gdy Camilla skinęła głową, dokończył: - Każę więc mojemu służącemu przynieść pani bagaże, żeby mogła się pani przebrać.

Camilla skinęła głową.

- Dziękuję.

- To nie kłopot. - Ruszył do drzwi, ale się zawahał. - Jeśli pani chce, może pani pokrzepić się jeszcze jedną filiżanką ponczu.

Benedykt nie odszedł daleko. Usiadł na ławce przed gospodą i wyjął cygaro. Nie miał wątpliwości, że za chwilę przyjdzie do niego Sedgewick. Jermyn miał wprawdzie ujmujące maniery, ale gdy coś wbił sobie do głowy, był jak pies pilnujący kości. Benedykt był pewien, że jego przyjaciel nie zrezygnuje łatwo ze swego pomysłu.

Ledwie zdążył zapalić cygaro, gdy Jermyn wyszedł przed gospodę i podszedł do jego ławki. Stał tak przez chwilę, mierząc go wzrokiem, podczas gdy Benedykt otaczał się chmurą tytoniowego dymu, ostentacyjnie ignorując jego obecność.

- No? - odezwał się w końcu Jermyn. - Czy chcesz mi wyjaśnić, dlaczego nie chcesz skorzystać z takiej wspaniałej okazji?

Benedykt przekrzywił głowę i spojrzał na niego.

- Wspaniałej okazji? Do czego? Do skomplikowania wszystkiego jeszcze bardziej? Do zmarnotrawienia naszego cennego czasu? Boże, Jermyn, ty naprawdę oszalałeś.

- Ale przynajmniej nie oślepiłem. A może sprawa jest beznadziejna? Podałeś się?

To pytanie poderwało Benedykta na równe nogi.

- Nie, człowieku, nawet tobie nie wolno oskarżać mnie o to, że się poddaję.

- Daj spokój, Rawdon - odparł przyjaciel. - Wiem lepiej niż ktokolwiek inny, że nie poddajesz się nigdy. Kiedy wszyscy już myśleli, tam, w Hiszpanii, że słuch o tobie zaginał na zawsze, ja jeden byłem pewien, że dojdiesz z powrotem do naszych pozycji i jeszcze przyprowadzisz swoich ludzi, nawet jeśli trafili cię dwa razy w nogę. Bądź co bądź, to ja musiałem cierpieć skutki twoich szaleńczych eskapad w dzieciństwie. Między nami mówiąc, nie bardzo rozumiem, dlaczego tym razem jesteś taki oporny.

Benedykt przewrócił oczami.

- Naprawdę coś ci się pomieszało, Jer. Każdy by zrozumiał, dlaczego to niemożliwe. Udawać, że jestem zaręczony z tą... z tym diabłem wcielonym? To nie potrwa nawet jednego dnia. Po półgodzinie będziemy sobie skakać do gardeł. Nikt nie uwierzy, że chcemy się pobrać.

- Dlaczego nie? Ona jest bardzo pociągającą kobietą... naturalnie gdy zmyje z siebie to błoto.

- Skąd wiesz? Zresztą nie chodzi mi o to, czy jest pociągająca. Przyznaję, że ma miłą twarz.

Sedgewick jęknął.

- Miłą? Nie widziałeś tych oczu? Są błękitne i roziskrzone...

- I znośną figurę.

- No, widzę, że się nie zmieniasz. Mimo tego, co ci zrobiła Annabeth, nadal umiesz docenić kobiece kształty.

- Niech ci będzie. Ona rzeczywiście ma piękne ciało. - Jego głos nabrał chrapliwego przydźwięku, Benedykt bowiem przypomniał sobie, jak dotykał tego ciała dłońmi; przypomniał sobie ulotną chwilę, gdy przesunął palcami po pełnych piersiach. - A skorupa błota niewątpliwie kryje skórę anielskiej

gładkości. Ale nie w tym problem. To nie jej wygląd mnie odstręcza, lecz charakter. Od pierwszej chwili wojujemy jak pies z kotem.

- Myślisz, że nie ma małżonków, którym tak się układa życie? Chyba wojsko zrobiło z ciebie odludka.

- Kłócające się pary widziałem nie raz. Ale z pewnością nie wkrótce po zaręczynach.

- Mówisz od rzeczy. Są ludzie, którzy po prostu uwielbiają walkę. Pamiętasz Capstona? Nie mogli z baronową wytrzymać dnia bez kłótni, a mimo to Capstan był obłąkany na jej punkcie.

- Capstan i tak był obłąkany.

Sedgewick wzruszył ramionami.

- I co z tego? Ci ludzie cię nie znają. Skąd mają wiedzieć, że i ty nie jesteś obłąkany? Zresztą oprócz zgodności charakterów są jeszcze inne powody, dla których ludzie zawierają małżeństwa. Więzy krwi, bogactwo, tytuły... - Urwał raptownie i spojrzał na Benedykta z poczuciem winy. - Przepraszam. Nie...

- Tak - odrzekł tępo Benedykt. - Dobrze wiem, że są ludzie, którzy zawierają małżeństwo dla zdobycia tytułu albo majątku. Wiele razy to widziałem i właśnie dlatego nie chcę mieć z tym nic wspólnego. Czy myślisz, że mogę oddać swoje bezpieczeństwo i bezpieczeństwo wszystkich naszych agentów w ręce kobiety.

Sedgewick westchnął.

- Nie wszystkie kobiety są podobne do Annabeth. Nie wszystkie sprzedałyby duszę i ciało za tytuł.

- Och, Annabeth nie zerwała zaręczyn tylko dlatego, że straciłem tytuł. Była również kwestia majątku. - Uśmiechnął się ponuro. - Wiem też, że nie wszystkie kobiety są do niej

podobne. Bez wątpienia wiele sprzedałoby się znacznie taniej, a kilka zapewne oczekiwałoby wyższej ceny. Tak czy owak, drugi raz kobiecie nie zaufam. A już na pewno nie takiemu diabelskiemu nasieniu, jak ta.

- Nie ma potrzeby, człowieku! Na tym polega uroda sytuacji. Ona nie musi nic wiedzieć o nas ani o naszym skromnym przedsięwzięciu. Jej potrzeba narzeczonego. Jest za bardzo zajęta swoimi kłopotami, żeby zastanawiać się, co ty tu robisz albo dlaczego to robisz.

Benedykt parsknął.

- Owszem. Nawet nie przyjdzie jej do głowy zastanawiać się, co mnie do tego skłoniło. Jest przekonana, że dla pieniędzy zrobiłbym wszystko.

- Nie starałeś się szczególnie zrobić na niej dobrego wrażenia - zwrócił mu uwagę Sedgewick. - Ale dla nas to dobrze. Jeśli będzie uważać cię za łajdaka, twoje wejście w rolę wynajętego narzeczonego nie wzbudzi jej podejrzeń. Nawet nie pomyśli, że wpuściła szpiega do rodzinnego domu. Nie musisz jej w nic wtajemniczać. Zwiedzisz ją tak samo, jak innych.

Benedykt spjrzał na swego wypróbowanego przyjaciela. Jego nieskazitelny wygląd i wykwintne maniery zawsze odwracały uwagę od twórczego i przenikliwego umysłu. Zwykle to właśnie Jermyn był autorem ich chłopięcych wybryków, aczkolwiek wina zawsze spadała na śniadego, samowolnego Benedykta, podczas gdy jasnowłosemu aniołkowi Jermynowi wybaczano pójście za psotnym przyjacielem. Benedyktowi często się zdawało, że gdyby wojna z Napoleonem nie dała Jermynowi okazji do zaangażowania talentów w wielkie dzieło pokonania wroga, Sedgewick skończyłby marnie w więzieniu

Newgate i ponad wszelką wątpliwość ściągnąby tam również jego.

- Nie widzisz nic złego w oszukiwaniu niewinnej, młodej kobiety? We wprowadzaniu szpiega do jej rodzinnego domu i mieszanju jej w grę, której regułami są zdrada i morderstwo?

Jermyn aktorskim gestem przyłożył dłoń do serca.

- Benedykcie, czy myślisz, że mógłbym skrzywdzić tę młodą kobietę? Dziwi mnie, że w ogóle chcesz się zwać moim przyjacielem.

- Nie zawsze chcę - odburknął Benedykt. - I nie udawaj przy mnie niewiniątka. Jestem przekonany, że zrobiłbyś wszystko, byle tylko odkryć, co stało się z naszymi agentami i uratować „nasze skromne przedsięwzięcie”.

- A ty nie? - Jermyn uniósł brew. - Mój drogi przyjacielu, ciężko pracowałem, żeby umieścić tych ludzi we Francji, a ich służba ma nieocenioną wartość dla naszego rządu. Informacje są bezcenne, to dzięki nim wygrywa się wojny. Chwilowo jednak dopływ informacji się urwał.

Minione cztery lata Benedykt spędził w Hiszpanii, gdzie brał bezpośredni udział w walkach z wojskami Napoleona. W tym samym czasie Jermyn pracował dla Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i gnębił Francuzów na tajnym froncie. Zorganizowawszy siatkę szpiegowską pod kryptonimem „Gideon”, przerzucał do Francji zarówno rodowitych Anglików, jak i emigrantów. Ludzie ci dostarczali mu informacji o wrogu - przesyłali plotki, skradzione dokumenty, meldunki o nastrojach, o sytuacji politycznej i ekonomicznej, o ruchach wojsk i morale armii, o zaopatrzeniu i kłopotach. Wszystkie te przesyłki trafiały na biurko Jermyna. Przed kilkoma miesiącami Bene-

dykt, zmuszony wystąpić z wojska wskutek ran odniesionych w bitwie, zaczął współpracować z przyjacielem.

Benedykt znał wartość tej pracy i choć irytowało go, że jest teraz skazany na wysiadywanie w siedzibie ministerstwa, tak samo jak poprzednio dawał z siebie wszystko. Podobnie jak Jermyn wiedział też, że nad ich tworem i w konsekwencji nad całą Anglią zawisło wielkie niebezpieczeństwo. Zniszczenie siatki „Gideon” we Francji poważnie osłabiłoby potencjał Anglii. Zarówno armia, jak i ministerstwo znów zostałyby bez informacji, których pilnie potrzebowały. Co gorsza, było też możliwe, że Francuzi zaczną wysyłać szpiegów do Anglii tymi samymi kanałami, które Jermyn stworzył wraz z „Gideonem”.

- Masz rację - powiedział stanowczo Jermyn. - Zrobiłbym prawie wszystko, żeby utrzymać siatkę we Francji i uratować agentów przed zdemaskowaniem i śmiercią. To są moi ludzie, Benedykcie, więc na mnie spoczywa odpowiedzialność za ich bezpieczeństwo, tak samo jak na tobie spoczywała odpowiedzialność za doprowadzenie oddziału do naszych linii. Ciebie nie powstrzymały rany, mnie nie powstrzyma nawet to, że jedna kobieta może znaleźć się w niebezpieczeństwie, które zresztą jest znikome.

Urwał i westchnął. Dopiero po chwili podjął przemowę, tym razem spokojniej i łagodniej:

- Wiem, że to zabrzmiało bezdusznie. Ale co zrobiłbyś na moim miejscu? Zmarnował szansę? Benedykcie, to jest wielka okazja. Masz wejście do Chevington Park. Zostaniesz tam przyjęty jak członek rodziny. Ludzie będą z tobą rozmawiać.

- Tak, ale wydaje się mało prawdopodobne, by ktoś z rodziny earla był zamieszany w przemyt.



Gdy Jermyn organizował siatkę, nawiązanie kontaktu z przemytnikami wydawało się jedynym logicznym sposobem na przesyłanie wiadomości oraz ludzi do Francji i z powrotem. Handel z Francją był oficjalnie zakazany, toteż należało korzystać z dróg używanych przez ludzi nielegalnie sprowadzających francuską brandy i amerykański tytoń. Przemycnicy z powodzeniem działali w tym rejonie od stuleci, więc wystarczyło tylko im zapłacić, by zgodzili się wziąć na łódź również kilka listów lub dodatkowego człowieka.

Pośrednikiem w kontaktach z przemytnikami w okolicach Edgecombe był niejaki Richard Winslow, jeden z przyjaciół i współpracowników Jermyna. Ponieważ jednak konieczne było zabezpieczenie przed przeciekami z często zawodnego ministerstwa, jeden Winslow wiedział, kto spośród przemytników pomaga władzom.

Słaby punkt tego systemu ujawnił się przed paroma tygodniami, gdy Winslow zszedł z tego świata, prawdopodobnie śmiercią samobójczą, i zabrał sekret przemytników do grobu. I Jermyn, i Benedykt byli zdumieni, że oddany sprawie, zawsze poważny Winslow odebrał sobie życie, narażając w ten sposób całą siatkę, ale podejrzeń nabrali dopiero w tydzień później, gdy oczekiwany kurier z Francji nie przybył na czas. Ponieważ jednak nie wiedzieli, z kim w Edgecombe należy się skontaktować, mogli tylko przybyć na miejsce i cierpliwie czekać.

Nabrawszy podejrzeń, zaczęli dokładniej badać sprawę śmierci Winslowa. Okazało się, że list pożegnalny nie jest napisany jego ręką, choć stanowi bardzo dobre fałszerstwo. Drobne niezgodności faktów związanych ze śmiercią Winslowa nabrały w tym świetle olbrzymiego znaczenia i wkrótce Jermyn

z Benedyktem nabrali przekonania, że Winslow stał się raczej ofiarą morderstwa niż własnej melancholii.

Informacje z Francji nadal nie docierały, należało więc podejrzewać, że kurierów ktoś zabija, podobnie jak zabito Winslowa. Krótko mówiąc - w siatce musiał znajdować się zdrajca.

Obawy Jermyna i Benedykta jeszcze się nasiliły po tym, jak dostali wiadomość, że przejęto meldunek znanego francuskiego szpiega, wysłany z Anglii. W liście znajdowało się też krótkie zdanie, które brzmiało: „Mamy swojego człowieka w Edgecombe, więc po kolei ich wyłapiemy”. Teraz było już oczywiste, że siatce „Gideon” zagroziło wielkie niebezpieczeństwo.

Niestety, Jermyn i Benedykt wciąż nie mieli pojęcia, kto jest francuskim agentem w Edgecombe. Francuz, który wysłał przejęty list, uciekł, zanim zdążono go aresztować, a jego kontakty były nieznane. Oni zaś nie wiedzieli nawet, jak dotrzeć do swojego sprzymierzeńca wśród przemytników, by ostrzec go przed groźącym niebezpieczeństwem. To wiedział tylko Winslow.

Z tej właśnie przyczyny tydzień temu obaj przyjechali do Edgecombe. Chcieli zebrać informacje o przemytnikach, liczyli też nie tylko na znalezienie właściwego człowieka, lecz również na poznanie losu niefortunnego kuriera i odkrycie zdrajcy. Niestety, do tej pory nie dowiedzieli się prawie niczego. Jermyn próbował zaprzyjaźnić się z wieśniakami, ale ci nie chcieli rozmawiać z nim o przemytnikach. Jeśli nawet szanowali prawo, to przemytnicy byli tu swoi, a swoich się chroni.

W tym samym czasie Benedykt starał się nikomu nie rzucać w oczy. Wędrował po wrzosowiskach i po brzegu morza, szukając śladu przemytników albo szmuglowanych przez nich to-

warów. Badał jaskinie, a co wieczór zasadzał się na nich w miejscach, które wydawały mu się najbardziej prawdopodobne. Dowiedział się jednak nie więcej niż Jermyn.

- To prawda, że nikt z rodziny Chevingtona raczej nie jest przemytnikiem - przyznał Sedgewick. - Jak jednak wiesz, rozważaliśmy możliwość, że Winslowa zabił ktoś z kręgu jego znajomych, być może inny dżentelmen.

Doszli do tego wniosku, ponieważ morderstwa dokonano późnym wieczorem w gabinecie. Drzwi i okna w domu były zamknięte i nie nosiły śladów włamania, nic też nie wskazywało na walkę. Służący nie słyszeli niczego z wyjątkiem strzału i nikogo nie wpuszczali do domu. Zresztą lord Winslow wrócił dopiero późnym wieczorem i nikt dokładnie nie wiedział kiedy, gdyż zapowiedział służbie, żeby na niego nie czekać.

Sedgewick i Benedykt założyli, że morderca wszedł do domu razem z Winslowem albo został przez niego wpuszczony potem. Dlatego wydawało się prawdopodobne, że był to ktoś znajomy, a przynajmniej ktoś wyglądający na dżentelmena w dostatecznym stopniu, by Winslow pozwolił mu wejść, niczego nie podejrzewając.

- Wiem - westchnął Benedykt. Rzeczywiście, rozmawiali o tym nieraz. - Ale earl Chevington?

- Niekoniecznie od razu on sam. To mógł być jednak ktoś związany z rodziną albo mający z nią wspólne sprawy. Życie społeczne Edgcombe z pewnością obraca się wokół dworu earla. Ktokolwiek aspiruje tu do elity, musi składać mu wizyty. Zresztą jeśli jesteś zaręczony z wnuczką earla, będziesz miał dostęp do wszystkich, nie tylko do rodziny i okolicznych ziemian. Będą z tobą chcieli rozmawiać i służący, i wieśniacy. Na pewno dowiesz się czegoś o przemytnikach.

- Nie ma co do tego pewności - westchnął Benedykt. - To jest najbardziej zamknięta grupa ludzi, z jaką zdarzyło mi się mieć do czynienia.

- Odniesiesz zupełnie inne wrażenie, gdy będziesz uważany za swojaka - zwrócił mu uwagę Sedgewick. - Tutejsi ludzie szanują i kochają earla. Są niesłychanie lojalni wobec Chevingtonów. Założę się, że ta młoda kobieta, którą poznałeś, mogłaby bez trudu znaleźć odpowiedzi na kilka dobrze postawionych pytań, dręczących nas od ponad tygodnia. - Benedykt odniósł się do tego stwierdzenia sceptycznie, więc Sedgewick uspokajająco skinął dłonią. - Nie, nie obawiaj się. Nie proponuję, żebyś wciągnął ją do pomocy. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli dla ludzi będziesz jej narzeczonym, to również tobie będą odpowiadać na pytania. Może nie tak samo chętnie jak wnuczce earla, ale na pewno bardziej gorliwie niż mnie do tej pory.

- Mała z tego pociecha, skoro jak dotąd nie dowiedzieliśmy się praktycznie niczego. Inaczej nie znalazłbym się dziś wieczorem na tym przeklętym wrzosowisku. Poza tym omal ich dziś nie podszedłem -. wybuchnął. - Do licha! Podszedłbym ich, gdyby nie ta przeklęta dziewczyna! Byli niedaleko. Strzelali do mnie.

- Zaufaj mi. Jeśli spokojnie to przemyślisz, też uznasz, że pannę Ferrand zesłały nam niebiosy.

Przyjaciół pogardliwie parsknął.

- To są duby smalone, Sedgewick. Tym razem twój plan jest do niczego.

- Dlaczego? Chwilowo jedyną przeszkodą w jego urzeczywistnieniu jesteś ty.

- Po pierwsze, co będzie, jeśli ktoś z tych ludzi mnie po-

zna? Mogłem widzieć kogoś z nich na przyjęciu. Co zrobię, jeśli ktoś na mój widok powie: „Witaj, Rawdon”, chociaż mam się nazywać Emerson czy jakoś podobnie?

- Zdaje się, że Lassiter - podpowiedział mu Sedgewick.  
- Ale, wracając do sprawy, jest mało prawdopodobne, że ktoś cię pozna. Przez cztery lata nie było cię w Anglii, a wyjeżdżałeś nie jako lord Rawdon, lecz jako zwykły pan Benedykt Wincross. Wróciłeś zaledwie kilka miesięcy temu, obaj zaś wiemy, że na przyjęcia nigdy nie chadzasz. Zresztą ci ludzie, których tu spotkasz, od dłuższego czasu siedzą na wsi. Tak powiedziała panna Ferrand. Nie byli w Londynie i nie mieli okazji cię nigdzie widzieć. A nawet gdyby ktoś cię poznał, zawsze możesz wymyślić bajeczkę o potajemnych zaręczynach. To jest bardzo poręczny wykręt.

- Zwłaszcza dla tych, którzy nie muszą się nim posługiwać - odparł kwaśno Benedykt. - Ale ponieważ nie obawiasz się, że ktoś mnie pozna, to może powiesz mi co innego: jak możemy zaufać dzierlatce, o której nic nie wiemy? Musimy się liczyć z tym, że ona prędzej czy później odkryje karty.

- Ma poważny powód, by tego nie robić. Chce tak samo, jak my, a może nawet bardziej, żeby rodzina widziała w tobie jej narzeczonego. Zrobi więc wszystko, by podtrzymać to złudzenie.

Benedykt się skrzywił.

- Nawet mimo woli może zachować się nieostrożnie.

- Wydaje mi się dość rozumną dziewczyną. I nie brak jej temperamentu. Nie wyobrażam sobie, że mogłaby popełnić nieostrożność ze strachu albo przez bojaźliwość.

- Co do tego zgoda. - Nawet Benedykt nie mógł się nie

uśmiechnąć. - To jest mało prawdopodobne. Nie sądzę jednak, żeby była przyzwyczajona do takiej maskarady.

- Co? - Przyjaciel spozryzał na niego z udaną zgrozą. -I to mówi Benedykt Wincross? Mężczyzna, który cztery lata temu zapewniał mnie, że wszystkie kobiety mają zdradziecką naturę?

Benedykt miał przynajmniej dość wstydu, by się zarumienić.

- Słusznie, przyjacielu. Są uczone oszukiwania od kołyski i sam dobrze o tym wiesz. Zapewniam cię, że nawet Bettina, najwspanialsza kobieta na świecie, od czasu do czasu wyprowadza cię w pole.

Sedgewick zachichotał, w ogóle nie zaniepokojony wzmianką o swojej żonie.

- To prawda. Ale bawię się tym nie gorzej niż ona, kiedy odpłacam jej pięknym za nadobne.

- Przed wszystkim wątpię jednak, czy ta dziewczyna jest w stanie udźwignąć oszustwo na wielką skalę. Fałszywe uśmiechy i kilka kłamstewek to jedno, a taka mistyfikacja, odgrywanie komedii przed rodziną przez parę dni bez przerwy, to coś zgoła innego. Zwłaszcza że ona wydaje mi się nad wyraz... jak by to nazwać? Prostuduszna?

- Możliwe. Ale mimo wszystko uważam, że jest bystra, a uniknięcie szponów groźnej ciotki stanowi nie byle jaki cel.

- Dobrze. Załóżmy nawet, że ona jest zdolna odegrać swoją rolę w tej maskaradzie. Ale jak ja mam udawać mężczyznę oczarowanego przez kobietę, która każdym słowem wyprowadza mnie z równowagi? Kiedy jesteśmy razem, po dwóch minutach czuję, że mam ochotę skrócić jej kark.

- Po prostu popatrz na nią tak, jak patrzyłeś na Annabeth - odparł twardo Jermyn. - Na miłość boską, Benedyckie, ta

mistyfikacja może zdecydować o istnieniu naszej siatki. Nie pozwolisz chyba, żeby twoja niechęć do jakiejś kobiety zniweczyła nasze wysiłki i spowodowała śmierć wielu ludzi?

- Do diabła, to nie jest tylko mój kaprys! Ta historyjka jest szyta zbyt grubymi nićmi, nic z niej nie będzie.

- A jeśli nawet nie, to co z tego? I tak nic nie wiemy, a naszej siatce grozi całkowite zniszczenie. Poza tym mamy wśród nas zręcznego wroga, który naszymi kanałami sprowadzi następnych. Czy gorzej byłoby, gdyby ktoś przejrzał twoją grę? Czy możemy wiedzieć mniej? Czy nasza siatka może przetrwać jeszcze wiele zniszczeń? I ile zagrożeń może jeszcze znieść nasz kraj?

Benedykt przyglądał mu się długą chwilę, poruszony tą argumentacją. Wreszcie powiedział ugodowo:

- Nie chcę tracić czasu, który mógłbym poświęcić na szukanie przemytników.

- Obaj wiemy, że ten sposób szukania będzie szybszy i łatwiejszy. - Sedgewick zamilkł na chwilę i uniósł brew. - A może się mylę. Może tak się bronisz nie dlatego, że ta kobieta cię odstręcza, lecz przeciwnie... dlatego że za bardzo ci się podoba. Czy dlatego unikasz jej za wszelką cenę? Bo przy niej budzi się w tobie coś, w czego istnienie od dawna już nie wierzysz?

- Nie bądź głupi - burknął Benedykt, rzucając resztkę cygara na podjazd i z pasją wgniatając je w ziemię. - Do pioruna, niech będzie! Zrobię tak, jak sobie życzysz. Ale lepiej byłoby, Jermyn, żebyś miał rację. Inaczej koniec z naszą siatką.

Odwrócił się i wszedł z powrotem do gospody.

Wciąż jeszcze podniesiona na duchu rozgrzewającym ponczem i współczuciem pana Sedgewicka, Camilla wzięła się do niemal herkulesowej pracy, postanowiła bowiem doprowadzić do porządku swój wygląd. Mogła sobie tylko wyobrażać, co powiedziałoby obie jej ciotki, gdyby zobaczyły ją w takim stanie.

Gdy służąca przyniosła dzbanek wody i miskę, szmaty oraz ręcznik, Camilla zdjęła brudne ubranie i zaczęła zeskrobywać z siebie błoto zwilżoną szmatą. Pozbywszy się tej skorupy niemal w całości, włożyła czystą bieliznę, którą miała w kufrze. Ale plotki służby w gospodzie i tak były nie do uniknięcia. Należało przypuszczać, że do następnego dnia cała wieś usłyszy o lady Camilli, która ostatniego wieczoru wyglądała jak nieboskie stworzenie, przyjechała oklejona błotem, a w dodatku towarzyszył jej podobnie wyglądający mężczyzna.

Uświadomiła sobie, że naprawdę byłoby lepiej, gdyby ten okropny Benedykt zgodził się na jakiś czas zostać jej narzeczonym. Przynajmniej mogłaby wytłumaczyć jego obecność w dylizansie. Gdyby bowiem wyznała rodzinie prawdę, ciotka Lidia dostałaby spazmów, wyobrażając sobie niebezpieczeństwa tej podróży, a ciotka Beryl miałaby znakomitą okazję do wygłoszenia wykładu na temat niefrasobliwego, trzpiotowatego zachowania oraz szkód, jakie mogą z niego wyniknąć. Dlatego Camilla łudziła się nadzieją, że pan Sedgewick zdoła przekonać Benedykta do swego pomysłu.

Naturalnie nie uśmiechało jej się udawanie, że jest w Benedykcie zakochana i chce go poślubić, i nawet o jego obecności w Chevington Park myślała z niechęcią. Szczerze wątpiła, czy uda im się uniknąć nieustannych kłótni. Cały ten Benedykt miał bowiem wyjątkową umiejętność wyprowadzania jej z równowagi.



Na szczęście nikt nie wymaga od narzeczonych, żeby gruchali jak gołąbki, w każdym razie nie w kręgu ludzi jej pozycji społecznej. Narzeczeni zwykle chodzą z przyzwoitką, w stosownej odległości od siebie. Nie ma publicznego trzymania się za rękę ani takich pocałunków, jakie Camilla widziała, gdy pokojówka Lizzie spotykała się z synem rzeźnika, który był z nią zaręczony. Nie, jeśli dochodzi do pocałunku albo uścisku, to zazwyczaj w najgłębszym sekrecie.

Za to niewątpliwie musiałyby spędzić wiele czasu w towarzystwie Benedykta i prawdopodobnie dziwiono by się, gdyby nie poszła z nim na kilka długich spacerów. Przypomniała sobie ciepłe spojrzenia, jakie wymieniali jej przyjaciółka Henrietta z narzeczonym Malcolmem. Gdy Malcolm patrzył na swą przyszłą żonę, miał w oczach coś takiego, że Camilla jeszcze teraz na myśl o tym lekko się rumieniła. Nie był nieprzyzwoity, lecz każdy kto na niego spojrzał, mógł mu wyczytać z oczu, jakim uczuciem darzy Henriettę. Nawet Camilla, zdeklarowana przeciwniczka instytucji małżeństwa, widząc ich, kilka razy westchnęła z rozmarzeniem.

To były takie ulotne oznaki... szeptali z pochylonymi ku sobie głowami, wzdychali, spoglądali tęsknie na siebie w pokoju pełnym ludzi. Krótko mówiąc, zachowywali się tak, że każdy natychmiast rozpoznawał w nich zakochaną parę. A narzeczeni, którzy nigdy nie pozwalają sobie na coś podobnego, mogą wydać się dość dziwni.

Z drugiej strony, póki oboje z Benedyktem będą utrzymywać, że są zaręczeni, nic im nie grozi. Kto śmiałby zakwestionować prawdziwość zaręczyn? Może będzie się o nich mówić, że są chłodni, a bardziej podejrzliwe osoby, takie jak ciotka Beryl, znajdą temat do rozmyślań, ale gra będzie

tak brawurowa, że przekona nawet największych niedowiarków.

Tak. Ten pomysł miał sens... mimo swej dziwaczności. Jeśli Sedgewick pokona upór znajomego, na pewno również Benedykt dostrzeże korzyść z wzięcia pieniędzy za nic, bo jak inaczej nazwać kilka dni mieszkania we dworze i udawania, że nie czuje do niej niechęci. Ona również jakoś zniesie jego obecność. Przecież w ten sposób uspokoi dziadka... by nie wspomnieć o utarciu nosa ciotce Beryl.

Z tą przyjemną myślą Camilla wezwała służącą i we dwie wzięły się do wymywania błota z jej włosów. Nie było łatwo robić to w salonie, mając do dyspozycji jedynie dzbanek i miskę. Camilla pochylała się nad miską, a służąca wolno i ostrożnie polewała jej głowę. Potrzeba było czterech dzbanków i mnóstwa biegania z miską pełną brudów, żeby wreszcie woda spływająca z głowy Camilli stała się przezroczysta.

Camilla nawet nie próbowała namydlić włosów. Postanowiła wziąć uczciwą kąpiel natychmiast po powrocie do domu. Tymczasem zadowolona się powierzchownym wrażeniem czystości. Przynajmniej znów było widać, że ma ciemne włosy. Po ostatnim płukaniu wycisnęła z nich wodę i uklękła przed kominkiem, żeby je wyszczotkować, a służąca poszła wylać wodę z miski.

Gdy wkrótce drzwi się otworzyły, Camilla nawet nie podniosła głowy, uznała bowiem, że wraca służąca, która pomagała jej się obmyć. Ale gdy usłyszała stukot ciężkich butów na drewnianej podłodze, obróciła się i wydała cichy okrzyk.

Do pokoju wszedł Benedykt. Słyszając hałas, zwrócił się w jej stronę. Oboje na chwilę zastygli, wpatrzeni w siebie z dużym zdziwieniem. Camilla była tylko w koszulce i halkach. Sukni

jeszcze nie włożyła, była bowiem zajęta doprowadzaniem włosów do porządku. Wilgotne włosy puszyły jej się teraz na ramionach jak ciemna chmura i opadały na plecy, a szeroko rozwarte oczy przypominały dwa głębokie stawy. Skórę miała zabarwioną odbłaskiem ognia, igrającego w kominku. Nad krańdzią koszulki widać było zaokrąglenia piersi, które nikły pod koronkowym wykończeniem białej, bawełnianej tkaniny.

Był to czarujący obraz: Camilla klęcząca przy kominku, jej kobiece kształty spowite w dziewiczą biel, włosy rozpuszczone jak u dziecka, gęste i lśniące, zachęcające, by ich dotknąć. Taka kobieta rozbudza namiętność, wydaje się jednocześnie niewinna i zmysłowa.

Widząc ogień w oczach Benedykta, Camilla spłonęła rumieńcem i skrzyżowała ramiona, zasłaniając nimi piersi.

- To pan!

Cofnął się gwałtownie, jakby nagle wyrwano go z transu.

- Tysiącrotnie przepraszam, panno Ferrand. - Wykonał dworski ukłon i dodał z ironią: - Jakie szczęście, że jesteśmy zaręczeni, inaczej pani reputacja byłaby bezpowrotnie splamiona.

- Czy to znaczy, że pan się zgadza?

- Na plan Sedgewicka? Tak, lecz niech Bóg ma mnie w swej opiece. - Odwrócił się i podszedł do drzwi. Stojąc przy nich, jeszcze raz zerknął w jej stronę. - Idę na górę, do pokoju Sedgewicka. Mój przyjaciel ma nadzieję, że upodobni mnie do dżentelmena. A pani niech lepiej zamknie drzwi na klucz, żeby zapobiec wizytom następnych niespodziewanych gości.

Po jego wyjściu Camilla natychmiast podbiegła do drzwi i przekręciła ciężki klucz w zamku. Obróciła się z powrotem w stronę kominka i przycisnęła dłonie do twarzy, żeby ochłodzić rozpalone policzki. Przypomniawszy jej się wyraz ciemnych

oczu Benedykta, spojrzenie, jakim ją zmierzył, i to wspomnienie przejęło ją dreszczem. Znow poczuła się bardzo dziwnie. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie zerwać umowy. Było w tym mężczyźnie coś, co wydawało jej się groźne.

Zaraz jednak wyprostowała ramiona i podeszła do krzesła, przez które była przewieszona jej suknia. Włożyła ją i zapięła rząd guziczków z przodu. Postanowiła, że nie pozwoli się zastraszyć temu szubrawcowi. Zagra jego narzeczoną i zrobi to tak doskonale, że nikomu nawet nie przyjdzie do głowy, by o cokolwiek ich podejrzewać.

Związała i upięła szpilkami włosy, potem włożyła rękawiczki i zawiązała pod brodą troczek słomkowego kapelusika. Nakryciem głowy chciała osłonić włosy, żeby nie było widać, że są mokre, a suknię, nieco pogniecioną po leżeniu w kufrze, przykryła pelerynką. Miała się prezentować tylko w świetle świec, więc uznała, że takie zabezpieczenie wystarczy. Zresztą ciotka Beryl prawdopodobnie i tak nie doczeka jej przyjazdu o tak późnej porze i wcześniej położy się spać.

Otworzyła drzwi. Sala obok była teraz pusta, jeśli nie liczyć pana Sedgewicka, który obrócił się do niej z uśmiechem.

- Och, wspaniale pani wygląda, panno Ferrand. - Podeszedł do niej i ucałował jej dłoń. - Jest pani jeszcze bardziej urocza, niż mi się zdawało. Dla każdego z wyjątkiem tej strasznej ciotki powinno być jasne, że jeśli pozostaje pani niezamężna, to wyłącznie z wyboru.

- Jaki miły komplement. - Podziękowała wdzięcznym dygnięciem.

- To nie komplement, tylko prawda. - Przeniósł wzrok na schody, wznoszące się za jej plecami. - A oto pani narzeczoną. Muszę powiedzieć, że teraz bardziej pasuje do swej roli.

Camilla obróciła się w tamtą stronę i omal nie otworzyła ust ze zdumienia. Po brudnym, oberwanym prostaku nie zostało ani śladu. Ujrzała przed sobą wzór dżentelmena. Benedykt wykaptał się i ogolił. Ciemne kędziory, wciąż jeszcze wilgotne, miał idealnie zaczesane, policzki gładko wygolone, halsztuk śnieżnobiały i sztywny od krochmalu, z prostym, lecz eleganckim węzłem. Chociaż spodnie i frak były zupełnie zwyczajne, czarne, a kamizelka tradycyjna, ciemna, nie ulegało wątpliwości, że są kosztowne i dobrze skrojone. Buty Benedykta lśniły zaś tak, że można się było w nich przejrzeć.

- Panie Sedgewick - powiedziała zaskoczona. - Co pan zrobił? Chyba nie chce pan pozbyć się swojego ubrania?

Sedgewick zerknął na Benedykta z błyskiem w oku, po czym powiedział:

- Proszę się nie przejmować, droga pani. Dałem mu je z przyjemnością.

- Nie dziwię się - wtrącił ponuro Benedykt, kładąc kres wątej nadziei Camilli, że może jednak przebrał się w swoje ubranie. - Zważywszy na to, że...

- Wiem, wiem - przerwał mu Sedgewick. - Należało ci się. Już to słyszałem. - Znowu zwrócił się do Camilli. - Czy pani lubi może tak wyglądać, panno Ferrand?

- Naturalnie. Aczkolwiek nie wspominałam w listach, że mój narzeczony ma w sobie coś z niedźwiedzia.

- Och, to zupełnie naturalne, że takie sprawy się ukrywa.

- Jedźmy już - burknął Benedykt. - Służący właśnie znosi mój sakwojaż. Powinienem właściwie powiedzieć, że twój sakwojaż, Sedgewick. - Wyciągnął przed siebie rękę i zwrócił się do Camilli. - Pieniądze.

- Słucham?

- Zdaje mi się, że zawarliśmy umowę.
  - Och! Wie pan... - Zerknęła bezradnie ku Sedgewickowi.
  - Ile powinnam mu zapłacić?
  - Nie wiem. - Ten spojrzął na Benedykta, marszcząc czoło. - Ile zwykle bierzesz za taką usługę?
  - Robię to pierwszy raz. - Benedykt się zamyślił. - Powiedzmy, że setkę.
  - Sto funtów! - wykrzyknęła Camilla.
  - Benedyckie!
- Benedykt figlarnie uniósł brew.
- Człowiek musi z czegoś żyć, chyba pani rozumie?
  - Ale to jest więcej, niż służący zarobiłby przez... przez lata! - sprzeciwiła się Camilla.
  - Owszem. Ale służącego nie mogłaby pani poprosić, żeby udawał przed rodziną narzeczonego, prawda?
  - To potrwa zaledwie kilka dni.
  - Nie chodzi o czas. Chodzi o to, żebym dotrzymał naszej tajemnicy. Wezmę pięćdziesiąt funtów i ani pensa mniej.
  - Niech będzie. Pieniądze mam w torebce, w dyliżansie. Ale nie aż tyle. Resztę trzymam w kufrze... - Zawiesiła głos, bo przyszło jej do głowy, że będzie jechać z tym mężczyzną dyliżansem zupełnie sama późnym wieczorem. Kto lub co powstrzyma go przed uderzeniem jej w głowę i zrabowaniem całego dobytku? Na pewno nie woźnica, którego Benedykt już raz pozbawił przytomności.
- Wyrazem twarzy musiała zdradzić swoje myśli, bo Benedykt uśmiechnął się złowieszczo. Pan Sedgewick natomiast odezwał się szybko, żeby ją uspokoić:
- Proszę się nie obawiać. Benedykt nie odważyłby się zabrać pani pieniędzy i uciec. Proszę pamiętać, że widziałem,

jak wyjeżdżaliście stąd we dwoje, więc gdyby cokolwiek się pani stało, od razu zaczęto by go szukać.

- Naturalnie. Dziękuję. - Camilla uśmiechnęła się do Sedgewicka, który odwzajemnił się nie mniej uroczym uśmiechem, a potem groźnie spojrział na Benedykta.

Wkrótce potem Sedgewick odprowadził ich przed gospodę, a oberżysta również wyszedł ich pożegnać.

- Po kłopotcie, milady. Dałem pani innego woźnicę zamiast tego głupka. Posyłam też z wami chłopaka z latarnią, żeby oświetlał drogę. Nie musicie się niczego obawiać. - Pochylił się ku niej z uśmiechem i dodał: - Dziadek będzie szczęśliwy, że milady wychodzi za mąż, nie ma dwóch zdań. Bardzo przystojny dżentelmen, jeśli wolno mi to powiedzieć. A już zachodziliśmy w głowę, po co on i ten drugi się tu kręcą. No i proszę, on po prostu czekał na pani przyjazd.

- Tak... Dziękuję, Saltings. - Camilla poczuła się tak, jakby czymś przewiniła. Nie znosiła oszukiwać ludzi, a uświadomiła sobie właśnie, że jest to tylko następne ogniwo w łańcuchu, który zaczął się od okłamania dziadka.

Tymczasem Sedgewick pomógł jej wsiąść do dyliżansu, Benedykt również wdrapał się do środka i usiadł naprzeciwko niej. Sedgewick zatrzasnął za nimi drzwi, potem zaś rozległ się głośny okrzyk woźnicy, pląsnięcie wodzy i pojazd potoczył się naprzód.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Camilla wzięła do ręki torebkę i wydobyła z niej zwitek banknotów. Starannie odliczyła dwadzieścia pięć funtów, po czym podała je Benedyktowi.

- Śliczne dzięki, szanowna pani - powiedział, znowu z akcentem prostaka, i skubnął kosmyk włosów na czole jak wieśniak.

- To tylko połowa - powiedziała oschle, postanowiwszy, że nie pozwoli się zirytować. - Resztę dostanie pan po odegraniu swojej roli.

- Boi się pani, że ucieknę, jak tylko dojedziemy na miejsce? - spytał, tym razem z normalnym akcentem i typowym dla siebie kpiącym uśmiechem. - Podejrzewam, że to byłoby dla pani dość kłopotliwe.

Camilla zignorowała tę sugestię.

- Kim pan jest? - zainteresowała się. - Aktorem? Szulerem?

- Zaskakuje mnie pani. Wnuczka earla interesuje się szulerami?

- Dużo słyszałam o szulerach, naganiaczach i o spelunkach, do których ściąga się naiwnych. O ile wiem, zajmuje się tym zawsze elokwentny džentelmen, który wybiera młodych, niedoświadczonych ludzi.



- Też tak słyszałem.
- Nie jest pan naganiaczem?

Pokręcił głową.

- O ile wiem, ustaliliśmy, że jestem najzwyczajszym złodziejem.

- Mam wrażenie, że niczego, co się tyczy pana, nie ustaliliśmy - odparła zimno - Wiem tylko, że panu nie ufam.

- Bez wątplenia jest pani mądrą kobietą. - Znów w jego ciemnych oczach zabłyśły iskierki rozbawienia. - Z drugiej strony, mężczyzna godny zaufania nie nadawałby się do pani celów, nieprawdaż?

Camilla spojrzała na niego. Dosłownie odebrało jej mowę. Benedykt miał rację. Uczciwy człowiek nigdy nie przystałby na udział w takiej awanturze. Poczwała się nieswojo, uświadomiła sobie bowiem, że jadą na jednym wózku, a co gorsza zamierzają oszukać jej rodzinę.

Odwróciła głowę. Pierwszy raz do jej serca zakradło się zwątpienie. Ciepło ponczu stopniowo się ulotniło, zostawiając po sobie dokuczliwe pulsowanie u podstawy czaszki, zapowiedź migreny. Czyżby naprawdę się upiła, tak jak wcześniej twierdził ten człowiek? Czyżby pod wpływem alkoholu podjęła nierozsądną decyzję, której nazajutrz będzie żałować?

Kątem oka zerknęła na Benedykta. Nie mogła zrozumieć, dlaczego postanowiła wprowadzić złodzieja do rodzinnego domu. Czyżby po prostu miała słaby charakter i dlatego oszukiwała dziadka? Czyżby chciała zadośćuczynić swojej dumie? Wątpliwości dręczyły ją coraz bardziej.

- I co? - spytał przesłodzonym głosem. - Milady ma skrupuły? Zastanawia się pani, czy przypadkiem taki postępek nie

plami jej honoru? A może zaczęła się pani wahać, czy wolno dać złodziejowi swobodny dostęp do skarbów Chevington Park? Trzeba było pomyśleć o tym wcześniej, zanim zdecydowała się pani wykarmić żmiję na swoim łonie.

- Niech pan nie plecie byle czego - odparła Camilla, powstrzymując drżenie głosu. - Nawet pan nie byłby taki głupi, żeby coś ukraść, skoro od razu byłoby wiadomo, czyja to sprawa. Mogłabym na pana donieść.

- Na mnie? To znaczy na kogo? Czy na niejakiego pana Lassitera?

Spojrzała mu w oczy, bardzo zaskoczona.

- No, tak - ciągnął. - Przecież pani nawet nie wie, jak się nazywam, prawda?

- Czy nie Benedykt?

- Owszem, ale to jest imię.

- Czyżby pan Sedgewick nie wymienił pańskiego nazwiska? Jak wobec tego ono brzmi?

- Jak to? Lassiter, rzecz jasna. A jak miałoby brzmieć?

Spojrzała na niego szeroko rozwartymi oczami, znowu bowiem zabrakło jej słów.

Nagle przeżyła jeszcze większe zaskoczenie. Mężczyzna błyskawicznym ruchem rzucił ją sobie na kolana. Potem objął ją w talii, a drugim ramieniem otoczył jej plecy tak, że w ogóle nie mogła ruszyć ręką.

- Co pan...! Proszę przestać! Niech pan mnie natychmiast puści!

- Tak się pani śpieszyło do oszukania swojej rodziny, że zapomniała pani o jednym drobiazgu. Narzeczony ma swoje oczekiwania, pani rozumie...

Pochylił się i wymusił na niej pocałunek. Wargi miał twar-

de, napierały na jej miękkie usta zaborczo, prawie boleśnie. Camilla zachłysnęła się powietrzem z wrażenia, a on wykorzystał tę chwilę, by wsunąć jej język do ust, wprawiając ją w jeszcze głębsze zakłopotanie.

Camillę całowano do tej pory tylko raz czy dwa, gdy jakiś elegant z towarzystwa pozwolił się na chwilę unieść namiętności. Nigdy jednak nie doświadczyła niczego podobnego jak w tej chwili. Benedykt wydawał się sycić smakiem jej ust, pocałunek był nieopanowany, chciwy, zmuszał do uległości.

A skończył się tak samo nagle, jak się zaczął. Benedykt uniósł głowę i jeszcze przez długą chwilę przyglądał się Camilli. Twarz miał zaczerwienioną, tors mu falował, ciemne oczy lśniły. Ona zaś wpatrywała się w te oczy jak zahipnotyzowana i nie była w stanie powiedzieć ani słowa. Przez ułamek sekundy zdawało jej się, że Benedykt pocałuje ją znowu, on jednak bardzo niedelikatnie posadził ją z powrotem na ławie naprzeciwko siebie i powiedział:

- Niech pani to sobie zapamięta na przyszłość, gdyby znowu chciała pani znaleźć fałszywego kandydata na męża.

Camillę ogarnął taki gniew, że zapomniała o lęku.

- Jak pan śmie!

- Śmiem i już - odparł obojętnie. - Niewiele mnie obchodzi, że pani podobno jest damą albo że pani rodzina cieszy się powszechnym szacunkiem. Nie wie pani nic o mnie, a tym bardziej o moim charakterze. Głupio pani zrobiła, zgadzając się na tę grę.

- Wobec tego może powinnam od razu ją skończyć! - Policzki Camilli zapłonęły czerwienią. - Zatrzymajmy się. Wyśiądzie pan i wróci piechotą do gospody.

- O, nie, milady. Zawarliśmy umowę i ja zamierzam jej dotrzymać, co do słowa. A może chce pani zmienić jej treść?

Camilla wyprostowała się dumnie.

- Nigdy nie cofam raz danego słowa. Ale niech pan nie sądzi, że w związku z tym może się pan domagać jakichkolwiek praw narzeczonego. Dobrze płacę, a jeśli to panu nie wystarczy, proponuję, żeby pan jednak wysiadł. Bo na nic więcej proszę nie liczyć!

Od spojrzenia, jakie mu przesłała, stopniałoby żelazo. Na nim jednak nie zrobiło to wrażenia. Nieznacznie się uśmiechnął i mruknął:

- Nie jest łatwo panią przestraszyć, prawda?

- Czy tego właśnie pan próbuje? - Spojrzała na niego zmieszana. - W jakim celu?

- Lepiej nie pchać się w żadną sytuację na ślepo.

- I dlatego pan mnie sprawdza? - Bardzo ją tym zirytował.

- Zapewniam, panie Jakmutam, że jeśli nasz plan ma jakieś słabe ogniwo, to nie ja nim jestem. - Przez chwilę toczyli pojedynkę na spojrzenia. Wreszcie Camilla wyprostowała się i przybrała wzorcową pozę guwernantki. - Moim zdaniem najlepiej byłoby, gdybyśmy nie bawili się w głupie doświadczenia, tylko wspólnie wymyślili naszą historię. Pana nazwisko brzmi teraz Lassiter, zgodnie z tym, co pan powiedział. Myślę też, że możemy pozostawić prawdziwe imię. W ten sposób unikniemy niezręcznych sytuacji, gdybym niechcący nazwała pana Benedyktem. W listach do domu zawsze pisałam tylko o panu Lassiterze, więc imienia moja rodzina nie zna.

Skinął głową na znak zgody.

- Proszę mi powiedzieć, gdzie mieszkam i co robię?

- Mieszka pan w Bath. Pańscy rodzice posiadają niewielki

majątek na wzgórzach Cotswold. Jest pan dżentelmenem, ma dużo wolnego czasu i zajmuje się pisaniem.

- Czym??? - Jego twarz przybrała cierpiętniczy wyraz. - Chyba nie ma pani na myśli poezji?

- Och, nie. Jest pan bardzo wykształconym człowiekiem. Interesuje się pan historią starożytną, szczególnie Rzymianami. Napisał pan kilka artykułów, a teraz pracuje nad książką.

- Boże wielki, czy chce pani powiedzieć, że będę musiał prowadzić rozmowy na ten temat?

- Ależ nie - zapewniła go beztrąsko. - Dziadek nie ma upodobania do rozmów na tematy naukowe. Po prostu takie zainteresowania wydały mi się wspaniałe.

Benedykt skrzywił się.

- No, dobrze. Co jeszcze powinienem wiedzieć o tym wzorze wszelkich cnót?

- Jest pan niezwykle uprzejmym i dobrze wychowanym człowiekiem. I tu musi pan popracować nad swoją rolą. Panu Lassiterowi nigdy nie przysłoby do głowy, żeby okładać pięściami woźnicę albo przygniatać do ziemi biedną, bezbronną kobietę.

- Boże... On mi wygląda na strasznego nudziarza.

- Wcale nie! Jest dżentelmenem w każdym calu.

- Po pani opisie bardzo poważnie się zastanawiam, czemu jakakolwiek kobieta miałaby go chcieć za męża.

- Widocznie w ogóle nie rozumie pan kobiet.

- Tak mi mówiono.

- Pan Lassiter ma dla wszystkich kobiet głęboki szacunek.

Uważa, że damy są równie inteligentne i bystre, jak mężczyźni.

Benedykt przesłał jej ironiczne spojrzenie.

- Chyba trochę pani przedobrzyła. Czy ten pani twór nie

jest trochę za bardzo zbliżony do ideału, żeby miał być prawdziwy? Inteligentny, z manierami dżentelmena i upodobaniem do sawantek?

- Nie. Inaczej nie zgodziłabym się go poślubić. Dopóki pan będzie się stosownie zachowywał, istnienie pana Lassitera nikomu nie wyda się podejrzane.

- Nie wiem, czy nie stawia pani wygórowanych wymagań moim aktorskim talentom.

- A pan stawia wygórowane wymagania mojej cierpliwości. Może łaskawie skupi się pan na tym, jaki powinien pan być.

- Będę się starał ulegle i pokornie - odparł z gryzącą ironią. - Proszę mówić dalej. Niech mi pani opowie o moich największych zaletach.

Resztę podróży spędzili na rozmowie o wymyślanym panu Lassiterze. Camilla usiłowała przypomnieć sobie jak najwięcej szczegółów z listów, które napisała do domu.

Wreszcie, gdy przejeżdżali już bramy Chevington Park, Benedykt przytomnie spytał:

- Jeszcze jedno... Czy przypominam go z wyglądu?

Przez twarz Camilli przemknął dziwny grymas.

- Słucham?

- Czy przypominam tego człowieka fizycznie? Na pewno go pani opisywała.

- Hm... Z pewnością nie wyobrażałam sobie, że będzie taki jak pan - przyznała Camilla. - Nie powinien być taki wielki i taki... przytłaczający. - Zmarszczyła czoło. - Nie przypominam też sobie, czy pisałam dziadkowi cokolwiek o jego posturze. Jeśli tak, to pewnie tylko tyle, że jest średniego wzrostu.

Popatrzyła na Benedykta z powątpiewaniem. Metr osiemdziesiąt trudno było nazwać średnim wzrostem. Przynajmniej jednak nie napisała nic, co wykluczałoby szerokie ramiona albo długie nogi w spodniach za kolana, imponujące muskulaturą.

Próbowała sobie przypomnieć, jak właściwie wyobrażała sobie narzeczonego, ale przyszło jej to z dużą trudnością. W zasadzie nie zastanawiała się nad jego wyglądem, tylko nad charakterem, a poza tym mężczyzna z krwi i kości, który siedział naprzeciwko, odwracał jej uwagę od tego, co w swoim czasie wymyśliła. Zaczynała już rozumieć, że Benedykt ma irytujący zwyczaj grania głównej roli w każdej sytuacji, w jakiej się znajdzie.

- Napisałam, że ma ciemne włosy. - Camilla zerknęła na krótkie kosmyki, opadające na czoło Benedykta. - To powinno całkiem nieźle pasować. - Urwała. - Napisałam też, że oczy ma szare. - Lśniących, prawie czarnych oczu tego człowieka nikt nie wzięłby za szare. - Ale dziadek pewnie nie będzie pamiętał...

- Miejmy nadzieję.

W tej samej chwili dylizans zatrzymał się przed wejściem do okazałego budynku. Camilla otworzyła drzwi i wysiadła, zanim chłopak z latarnią zdążył jej pomóc. Benedykt również opuścił pojazd. Pałac był stary, majestatyczny, miał wszakże swój urok. Był zbudowany na planie litery E, a biel kamienia, z którego stawiano ściany, sprawiała, że promieniował ciepłem, tym bardziej że otaczał go krąg światła bijącego od latarni przy wejściu i z jasnych okien.

- Ojej - Camilla z pewnym opóźnieniem zwróciła uwagę na tę iluminację. Wcześniej miała nadzieję, że rodzina zrezyg-

nuje z oczekiwania i pójdzie spać, więc nie będą musieli z Benedyktem od pierwszej chwili stawiać czoła wyzwaniu. Najwidoczniej jednak stało się inaczej.

Jakby dla podkreślenia tego faktu, frontowe drzwi były otwarte, a po bokach stali dwaj lokaje w liberiach. Kragły człowieczek ubrany w czerń prawie zbiegł do nich po szerokich, kamiennych schodach. Na twarzy miał szeroki uśmiech.

- Panna Camilla! - zawołał. - Jak miło panienkę widzieć.

- Purdle! - Camilla pobiegła mu na spotkanie i mocno go uściskała. - Nie trzeba było na mnie czekać.

- Nie mógłbym udać się na spoczynek, nie wiedząc, gdzie panienka jest. Miałbym zostawić lokajom honor powitania? - Rozradowany człowieczek wydał się zgorzony takim pomysłem.

- Nie - zgodziła się Camilla. - Rozumiem, że nie mogłeś tego zrobić. - Zwróciła się do Benedykta. - Kochanie? Chodź tu i poznaj Purdle'a. Jest u nas od wielu lat kamerdynerem. Purdle, to jest pan Lassiter. On i ja...

- Tak, wiem! - Kamerdyner uśmiechnął się szeroko do towarzysza Camilli. - Pani wicehrabina nam wszystko opowiedziała. Serdecznie panu winszuję. Wszystkiego najlepszego, panienko. To wspaniała nowina. Muszę powiedzieć, że jego lordowska mość jest bardzo szczęśliwy. Ta wiadomość dosłownie postawiła go na nogi. On również niecierpliwie panienki wygląda, chociaż jestem pewien, że o tym akurat panienka dobrze wie. Chciał nawet doczekać waszego przyjazdu, ale po kolacji doktor dał mu środek na sen, bo powiedział, że to byłoby zbyt silne przeżycie dla jego lordowskiej mości. Naturalnie jutro rano earl będzie zły jak osa, kiedy zbudzi się i przekona, że przespał przyjazd panienki.



Benedykt zafascynowany przyglądał się Purdle'owi, który wprowadził ich po schodach do domu, nieprzerwanie coś mówiąc. Nigdy w życiu nie widział takiego kamerdynera, promiennie uśmiechniętego i rozgadanego jak sroka. Zaraz jednak przypomniał sobie, że nic, co ma związek z tą dziewczyną, nie może być normalne.

- Wygląda na to, że wszyscy są jeszcze na nogach - powiedziała Camilla, gdy Purdle prowadził ich przez obszerną sień.

- O, tak. Cała rodzina - przyznał kamerdyner, nie zwróciwszy uwagi, że Camilla nagle zmieniła się na twarzy. - Naturalnie z wyjątkiem młodego panicza.

- Mówisz o Anthony? - Był to osiemnastoletni dziedzic tytułu earla, najbliższy Camilli członek rodziny. Po śmierci jej rodziców matka Anthony'ego, Lidia, wzięła ją na wychowanie, więc oboje dorastali jak brat i siostra.

- Tak. Wcześniej udał się dziś na spoczynek.

- Anthony? - powtórzyła Camilla z niedowierzaniem. Jej kuzyn miał mnóstwo wigoru i wciąż trzymały się go figle. W przekonaniu Camilli był ostatnią osobą, która położyłaby się spać z kurami, tym bardziej że oczekiwano jej przyjazdu.

- Czy jest chory?

- Nie, panienko. Ma się bardzo dobrze, tylko w ostatnich miesiącach wcześniej udaje się na spoczynek. Od czasu, gdy, hm, przyjechała w odwiedziny pani Elliot.

- Ach, tak. - Teraz wszystko stało się dla niej jasne. Anthony nie znosił ciotki Beryl chyba jeszcze bardziej niż ona. Ciotka nie traciła żadnej okazji do wygłaszania przed nim pouczeń na temat tego, jakie to obowiązki spoczywają na przyszłym earlu. Nigdy też nie zapominała wtrącić, że jej mąż był

młodszy synem earla, zatem Anthony odziedziczył tytuł kosztem jej synów, którzy, jak należało się domyślać, są o wiele bardziej godni tytułu i zaszczytów niż Anthony.

- Tak. Bez wątplenia wkrótce go panienska zobaczy.

- To prawda, Purdle. - Anthony na pewno nie spał. To zaś znaczyło, że przyjdzie ją odwiedzić, gdy tylko wszyscy położą się spać.

- Proszę bardzo. - Purdle zatrzymał się przed szeroko otwartymi podwójnymi drzwiami, prowadzącymi do Błękitnego Salonu, dużego, reprezentacyjnego pokoju, używanego przez dziadka bardzo rzadko. Błękitny Salon przygotowano najprawdopodobniej na życzenie lady Elliot. Wprawdzie Lidia, jako wdowa po wicehrabi i matka przyszłego dziedzica, miała wyższą rangę, Camilla była jednak przekonana, że to ciotka Beryl przejęła ster domostwa. Lidia bała się jadowitych uwag starszej krewnej, a poza tym po prostu nie przepadała za organizowaniem czegokolwiek. Natomiast ciotka Beryl była urodzonym dowódcą.

Purdle wkroczył do salonu i zwrócił się do ciotki Lidii:

- Milady, przyjechała panienska Camilla.

Odsunął się na bok, by ich przepuścić. Camilla zaczerpnęła tchu i spojrzała w twarz Benedyktowi. Uśmiechnął się do niej, a gdy surowe rysy jego twarzy złagodniały, zrobiły się całkiem miłe. Zaskoczył ją tak, że na chwilę znieruchomiała. Zaraz jednak uświadomiła sobie, że Benedykt wciela się po prostu w rolę ukochanego. Spróbowała odwzajemnić mu się podobnym spojrzeniem i wzięła go pod ramię.

Przestąpiwszy próg salonu, stanęli jak wryci. Dookoła było pełno ludzi i wszyscy patrzyli prosto na nich. Przez chwilę twarze obecnych zlewały się Camilli w jedną wielką plamę.

Potem z tej plamy zaczęły się wyłaniać znajome rysy. Dwie młode panny, Amanda i Kitty, były córkami ciotki Beryl. Obie miały jasne loczki na głowach i oczy w trudnym do nazwania kolorze, co nieco wytrzeszczone. Kitty była pulchna, a Amanda chuda jak tyka, obie zaś zgodnie uwielbiały plotkować i chichotać. Zazwyczaj w ich towarzystwie Camilla zaczynała ziewać z nudów po pięciu minutach. Ciotka Beryl miała wyłupiaste oczy i podobnie jak jej córki jasne włosy, które jednak zaczynały już siwieć. Siedziała w jednym ze skrzydłowych foteli przy kominku, owinięta szalem dla ochrony przed chłodem, na który narażał ją głęboki dekolci sukni.

Drugą starszą kobietą w salonie była ciotka Lidia, aczkolwiek dopiero po chwili zauważało się, że nie należy ona do tego samego pokolenia co córki ciotki Beryl. Lidia zwracała uwagę piękną cerą, której pielęgnacji poświęcała wiele wysiłku i jeszcze więcej najrozmaitszych maści. Figurę zaś miała taką, jakby nigdy nie urodziła dziecka. Z tycjanowskimi rudymi włosami i błękitnymi oczami wciąż należała do najbardziej podziwianych londyńskich piękności, toteż nikt, kto by jej wcześniej nie znał, nie zgadłby, że syn Lidii może mieć już osiemnaście lat. Lidia wpatrywała się w Camillę i Benedykta tak, jakby nigdy przedtem Camilli nie widziała.

Obecności tych czterech kobiet w Chevington Park Camilla się spodziewała, choć liczyła na to, że w godzinę jej przyjazdu ciotka Beryl i jej córki będą już w łóżku. Nie spodziewała się za to trzech mężczyzn: swojego kuzyna Bertrama, najstarszego syna ciotki Beryl, a zarazem jednego z największych dandyś w Londynie, oraz dwóch innych młodzieńców, których nigdy dotąd nie widziała na oczy.

- Ciocia Lidia. - Camilla uśmiechnęła się i ruszyła do ciotki z wyciągniętymi ramionami.

- Moja droga dziewczyna - powiedziała cicho Lidia, po czym wstała i objęła swą wyciłowanicę, przez cały czas wpatrując się w Benedykta z bardzo szczególnym wyrazem twarzy.

- Witaj, Camillo. - Ciotka Beryl wstała z wysiłkiem, ale nie rozłożyła ramion do uścisku.

Camilla grzecznie przed nią dygnęła, później zaś wymieniła powitania z ciotką i kuzynami. Raz po raz zerkała z zaciekawieniem na dwóch obcych, ale przede wszystkim chciała dopełnić swoich obowiązków, żeby najgorsze mieć za sobą. Zwróciła się do Benedykta i wyciągnęła do niego rękę. Ulżyło jej, gdy szybko do niej podszedł. Ze zdziwieniem stwierdziła, że istotnie wygląda na dżentelmena, w dodatku całkiem przystojnego. Amanda i Kitty gapiły się na niego z nie ukrywanym uwielbieniem.

Zaczerpnęła tchu i chciała przedstawić Benedykta, ale zanim zdążyła się odezwać, ciotka Lidia uśmiechnęła się do niego czarująco i wyminęła Camillę.

- Nic nam nie musisz mówić, Camillo - oznajmiła z entuzjazmem. - Wszyscy wiemy, że to z pewnością jest twój mąż.

Po tych słowach zapadła kompletna cisza. Camilla wytrzeszczyła oczy na Lidie. Przenikliwe oczka ciotki Beryl zatrzymywały się to na zdumionej twarzy Camilli, to na postaci Benedykta.

- Witam, panie Lassiter - ciągnęła tymczasem Lidia, zupełnie jakby nie powiedziała nic niezwykłego. - Jestem wicehrabiną Marbridge i ciotką Camilli.

Benedykt szybko się opanował, przesłał uśmiech wicehrabinie i wzorowo się przed nią skłonił.

- Witam, milady. Jest mi bardzo miło panią poznać - oświadczył, po czym zwrócił się do Camilli z taką miną, jakby chciał zamienić ją w kamień. Był przekonany, że zrobiła z niego głupca i z nieznanego mu powodu podstępem postawiła go w głupiej sytuacji.

Również Lidia spojrzała na Camillę.

- Ojej - powiedziała, z wdziękiem przybierając zawstydzoną minę. - Mam nadzieję, że nie zepsułam niespodzianki.

- Och nie, skądże - odrzekła słabo Camilla.

Lidia zaczęła się do nich zbliżać z drugiego końca pokoju. Benedykt, uśmiechając się ciepło do Camilli, zacisnął dłoń na jej nadgarstku zupełnie nie tak, jak zrobiłby to ukochany. Pochylił się do jej ucha i szepnął:

- Co pani sobie, u diabła, wyobraża? Jaki mąż? W cokolwiek chce mnie pani wciągnąć, zapewniam, że się to nie uda.

Camilla nie umiała zapanować nad irytacją.

- Nie mam pojęcia, co tu się dzieje - odszepnęła, siląc się na uśmiech. - Nic o tym nie wiem.

Oczy Benedykta zdradzały, że chętnie porozmawiałby jeszcze na ten temat, tymczasem jednak ciotka Lidia znalazła się już przy nich, ujęła w dłonie ręce Camilli i znacząco je ucisnęła.

- Wiem, że miałam zachować tę nowinę w sekrecie, ale byłam tak podniecona, kiedy dostałam twój list, że nie mogłam się oprzeć pokusie i musiałam wszystkim ją powtórzyć. Powiedz, proszę, że się na mnie nie gniewasz.

- Tak, naturalnie. - Camilla oprzytomniała na tyle, by zro-

zumieć, że nie ma innej możliwości, jak tylko brać za dobrą monetę zdumiewające słowa ciotki.

- Co za niespodziewana decyzja - włączyła się do rozmowy ciotka Beryl, a Camilla poczuła na sobie jej świdrujący wzrok.

Odwzajemniła spojrzenie ciotki z nadzieją, że jest wzorem spokoju i opanowania.

- To prawda

- Na pewno jesteście zmęczeni po podróży - podjęła Lidia. Kątem oka zerknęła na Camillę, przysunęła się bliżej do niej i szepnęła: - Mój Boże, czyżbyś miała błoto na szyi?

Camilla sięgnęła ręką w podejrzone miejsce.

- Rzeczywiście, jestem dosyć zmęczona - przyznała, chcąc skorzystać z okazji, by zostać z Lidią sam na sam. - Mój... to znaczy nasz woźnica zgubił drogę.

- To straszne. Musicie natychmiast iść na górę do pokoju i odpocząć. - Lidia ujęła ją za ramię i ruszyła do drzwi, ale ciotka Beryl ją powstrzymała.

- Poczekaj, Lidio - odezwała się jowialnie. - Nie pozwolimy tak łatwo porwać Camilli. Prawda, dziewczęta? Umieramy z ciekawości, żeby wysłuchać ze szczegółami relacji ze ślubu. Nieczęsto zdarza się coś tak nieoczekiwanego. Poza tym Camilla musi poznać panów Oglesby'ego i Thorne'a.

- Co? Kogo? - spytała nieprzytomnie Lidia, po czym odwróciła się do dwóch młodzieńców, którzy Camilli wydali się nieznamymi. - Ach, naturalnie. - Poprowadziła Camillę i Benedykta w stronę kominka, gdzie dwóm młodzieńcom towarzyszył kuzyn Bertram.

Camilla szła za nią z dużym ociąganiem. Nie miała najmniejszej ochoty na uprzejmą rozmowę o niczym. Chciała jak

najszybciej znaleźć się ze swą nierozumną ciotką na osobności i dowiedzieć, skąd przyszło jej do głowy tak nieprawdopodobne łągarstwo.

Ale ciotka Lidia dopełniła rytualnego obowiązku, mówiąc:

- Camillo, panie Lassiter, to jest Edmund Thorne, mój, hm, przyjaciel z Londynu. Był tak uprzejmy, że nas tu odwiedził, i od kilku tygodni przebywa u nas w gościnie.

Pan Thorne był chudym, młodym człowiekiem z halsztykiem wykrochmalonym tak sztywno, że w każdej chwili mógł spowodować uduszenie. Ciemne włosy miał ułożone w niedbale wyglądające loki, choć Camilla podejrzewała, że osiągnięcie tego stanu zajęło mu wiele godzin.

Skłonił się głęboko nad jej dłonią i powiedział:

- Witaj, piękna Diano. Bo Afrodytą nie może być nikt inny jak milady.

- Słucham?

- Lecz nie. - Dramatycznym gestem wyciągnął przed siebie ramię, jakby chciał coś zatrzymać. Drugą rękę przyłożył do czoła. - Tak, już wiem. Piękna Persefona! Czuję głos muzy! A lady Marbridge jest wcieleniem Demeter, uradowanej że w końcu znów widzi córkę... choć naturalnie nikt nie uwierzyłby, że milady ma dość lat, by być twą matką, pani. Raczej siostrą.

Benedykt, stojący obok niej, wydał dziwny, podobny do kaszlu odgłos. Kuzyn Bertram uniósł monokl i badawczo przyjrzał się panu Thorne'owi.

- Coś mi się tu nie zgadza, panie Thorne - powiedział oschle. - Wtedy nie mogłyby być Demeter i Persefona, czyż nie?

- Mimo wszystko jest to bardzo ładny koncept, panie Thor-

ne - zapewniła go uprzejmie Lidia. Zwracając się zaś do Camilli i Benedykta, dodała: - Pan Thome jest poetą, rozumiecie.

- No, tak - Benedykt skinął głową. - To wszystko wyjaśnia.

- Pozwólcie, że przedstawię wam pana Terence'a Oglesby'ego - zaczął kuzyn Bertram, wyraźnie zamierzając uciąć nużące zainteresowanie panem Thorne'em.

W kuzynie Bertramie poznawało się dandysa na pierwszy rzut oka. Od czubka głowy, gdzie miał włosy ułożone na sposób zwany rozwichrzonym, aż po czubki wysokich butów z chwastkami, które podobno polerował, używając specjalnej mieszanki szampana i czarnego mazidła, był człowiekiem modnym. Wprawdzie nie ulegał najbardziej wymyślnym kaprysom mody, takim jak olbrzymia butonierka w klapie albo ramiona fraka wypchane, a pas tak wąski, że sylwetka kojarzyła się bardziej z osą niż mężczyzną, niemniej jednak wyraźnie traktował strój jak rodzaj sztuki.

Rano ubierał się prawie dwie godziny, często bowiem przy mierzał więcej niż dziesięć świeżych halsztuków, zanim zdecydował się na jeden. Fraki zaś miał tak dopasowane do ciała, że musieli go w nie wbijać wspólnymi siłami pokojowiec i kamerdyner. O jednym z fraków mawiano nawet, że pokojowiec rozcina go każdorazowo przed zdjęciem, zostawia rozpruty, a po włożeniu znów zaszywa.

Jego towarzysz był ubrany z podobną finezją, aczkolwiek Terence Oglesby nie potrzebował pięknych szat, by zwrócić uwagę otoczenia. Był, krótko mówiąc, najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego Camilli zdarzyło się widzieć. Wszystko miał złociste: skórę, włosy, nawet blask oczu w odcieniu brązu



przypominającym sherry. Barczystej, wąskiej w pasie sylwetki wcale nie trzeba było podkreślać strojem. Pan Oglesby uśmiechnął się i skłonił nad dłonią Camilli, pewnej że ten mężczyzna ma wstęp do najwykwintniejszych salonów Londynu.

- Czy długo pan tu bawi? - spytała uprzejmie.

Oglesby znów tylko się uśmiechnął i zwrócił do kuzyna Bertrama, który odpowiedział za niego:

- Kilka tygodni. Londyn stał się strasznie nudny, wszędzie jest mnóstwo mamus z ambicjami, które chcą wydać za mąż swoje córki. Terence i ja postanowiliśmy więc trochę odpocząć na wsi.

Ponieważ Bertram żył po to, by go oglądano, i uwielbiał londyńskie towarzystwo, Camilla odniosła się do tego wyjaśnienia z dużym sceptycyzmem. Prawda była zapewne taka, że ojciec odciął mu dopływ pieniędzy po tym, jak Bertram przegrał za dużo w karty albo narobił sobie wielkich długów u lichwiarzy.

Kuzyn Bertram zauważył powątpiewanie w oczach Camilli, bo mrugnął do niej porozumiewawczo, jakby chciał potwierdzić jej podejrzenia.

- Nie zabieraj kuzynki tylko dla siebie, Bertie - żartem zrugła go ciotka Beryl, wykrzywiając usta w grymasie, który miał ujść za uśmiech. - Chodź do nas, Camillo. I przyprowadź tu nam pana Lassitera. Chcemy, żebyście dokładnie opowiedzieli o waszym ślubie. Prawda, dziewczęta?

Camilla zawahała się, serce jej zamarło. W oczach ciotki Beryl dostrzegła błysk, który wskazywał, że ciotka nie wierzy w to małżeństwo. Camilla dobrze rozumiała dlaczego. Musiała mieć bardzo niemądrą minę, gdy Lidia nazwała Benedykta jej mężem. O co Lidii chodziło? Teraz ciotka Beryl zacznie ich

wypytywać o najdrobniejsze szczegóły ślubu, a Camilla nie potrafiła sobie wyobrazić, by mogła przejść ten egzamin bez potknięcia.

Jednak ku jej zaskoczeniu, a zarazem wielkiej uldze, Benedykt nie pozwolił jej zrobić więcej niż jeden krok. Zaborczym gestem ujął ją za ramię i powiedział:

- Nie, kochanie. Obawiam się, że muszę skorzystać z prawa męża i zabronić ci ploteczek z rodziną dziś wieczorem. Jesteś stanowczo za bardzo zmęczona.

Camilla wytrzeszczyła na niego oczy. Powiedział to tonem osoby przyzwyczajonej do komenderowania, a minę miał przy tym władczą, jakby nie dopuszczał myśli o sprzeciwie. Zdawało się, że to on, a nie Camilla, pochodzi z rodziny chlubiącej się tytułem od wielu pokoleń. Spojrzał na ciotkę Beryl z wyższością i szczyptą protekcjonalizmu, właśnie tak jak należało, by zrobić na niej wrażenie i ją poskromić, mimo że ciotka kipiała z oburzenia.

- Pani Elliot, z przyjemnością porozmawiam z panią jutro rano. Tymczasem jednak naprawdę musimy udać się na spoczynek. Biedna Camilla miała bardzo męczący dzień. Pani rozumie, trudy podróży. Obawiam się, że Camilla jest o wiele delikatniejszej konstytucji, niżby sobie życzyła. Gdyby pozostawić jej wolną rękę, z pewnością usiadłaby tu i opowiadała do upadłego. Na szczęście ma teraz męża, który sprawuje nad nią opiekę. Dlatego muszę nalegać, by jednak udała się teraz do sypialni.

Uśmiechnął się czule do Camilli, która odwzajemniła ten uśmiech morderczym spojrzeniem. Ale Benedykt bynajmniej nie padł martwy, co więcej - w oczach zabłyśły mu figlarne ogniki. Camilla najchętniej powiedziałałaby mu, co może zrobić

ze swoimi „prawami męża” i andronami o słabej konstytucji, ale w tej chwili chciała jak najszybciej znaleźć się daleko od ciotki Beryl.

Pokazała mu więc przesłodzony uśmiezek i zatrzepotała rzęsami.-

Jak uważasz, kochanie - powiedziała zalotnie.

Nagrodził ją osłupiały wyraz twarzy ciotki i mimowolny grymas Benedykta, który najwyraźniej był bliski parsknięcia śmiechem. Pomyślała, że Benedykt ma ładne wargi, duże i kształtne, budzące zmysłowy dreszczyk. Zatrzymała na nich wzrok chwilę dłużej, niż to było konieczne, i ocknęła się dopiero wtedy, gdy zauważyła pytające spojrzenie Benedykta.

- Naturalnie - powiedziała z niechęcią ciotka Beryl. - To jest zrozumiałe. Umieściłam was razem w twoim dawnym pokoju, droga Camillo. Jestem przekonana, że jeszcze pamiętasz drogę.

Camilla zmartwiała.

- W jednym pokoju? - Urwała, bo natychmiast uświadomiła sobie, jak idiotycznie musiało to zabrzmieć. Wszak mąż i żona mieszkają razem. Zerknęła na Lidię, licząc na jej wsparcie, ale ciotka milczała. W oczach miała trwogę.

- Sądziłam... sądziłam, że będziemy mieli dwa pokoje. Dwa sąsiednie. - Rumieniec wypłynął jej na twarz.

- Nowożeńcy? - zdziwiła się ciotka Beryl i zachichotała. Natychmiast jednak zasłoniła usta dłonią. - To byłoby, hm, dziwne, moja droga, nie sądzisz?

Camilla zaczerwieniła się jeszcze mocniej.

- Nie, skądże, nie ma w tym nic dziwnego... Są... - Zabrakło jej słów, więc przesłała rozpaczliwe spojrzenie Benedyktowi.

Benedykt gładko włączył się do wyjaśnień.

- Moja żona chciała powiedzieć, że są szczególne okoliczności i dlatego lepiej byłoby, gdybyśmy mieli osobne pokoje. - Nastąpiła dłuższa przerwa, po czym Benedykt dodał:  
- Krótko mówiąc, Camilla chrapie, więc jest mi bardzo trudno zasnąć.

Camilla wydała bardzo dziwny, zduszony odgłos, a Benedykt zwrócił się do niej:

- Prawda, kochanie?

Rozległ się stłumiony śmiech z miejsc zajmowanych przez Kitty i Amandę, a kuzyn Bertram dostał nagle ataku kaszlu. Camilla pomyślała, że wytarga Benedykta za uszy. Była całkiem bezradna. Chciała, żeby Benedykt wyratował ją z kłopotliwej sytuacji, więc teraz nie mogła mu zaprzeczyć.

- Ach, tak... - Ciotka Beryl przeniosła wzrok z Benedykta na Camillę i Camilla dostrzegła w jej oczach błysk triumfu.  
- Niestety, moja droga, mamy dużo gości, więc jest za mało wolnego miejsca, żeby dać wam łączone albo nawet przyległe pokoje. Musielibyśmy otworzyć zachodnie skrzydło, a sama wiesz, jak dziadek tego nie lubi. Zresztą chyba nie dałoby się tego zrobić dziś wieczorem. Cała służba już śpi.

Camilla zacisnęła zęby. Po takiej odpowiedzi trudno jej było nalegać. Ciotka najwyraźniej nie uwierzyła w opowieść o małżeństwie - i nic dziwnego. Była to zwykła piramida kłamstw, jedno bardziej bezczelne od drugiego. Camilla chciała już się poddać i powiedzieć prawdę. Wydało jej się to łatwiejsze, niż ciągnięcie gry. Przypomniała sobie jednak, jaki szczęśliwy był dziadek, gdy powiedziała mu o zaręczynach, i odstąpiła od tego zamiaru.

Strach pomyśleć, jak mógłby zareagować, gdyby odkrył, że został okłamany. Co gorsza, złość i rozczarowanie mogłyby spowodować u niego następny atak.

W ostatniej chwili ugryzła się więc w język i z wymuszonym uśmiechem powiedziała:

- Naturalnie. To nie jest aż takie ważne. Benedykt czasem trochę przesadza. Prawda, kochany?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

- Co tu się, do pioruna, dzieje? - spytał groźnie Benedykt, gdy tylko znaleźli się z poza zasięgiem słuchu osób zgromadzonych w salonie.

- Nie wiem -jęknęła Camilla. - Ciotka Lidia powiedziała im, że poślubiłam pana Lassitera, ale naprawdę nie mam pojęcia dlaczego. Boże... Co ja teraz zrobię?

- Chwilowo nic, musi pani zachowywać się całkiem normalnie. Ciotka Beryl i tak już nabrała podejrzeń. Domaganiem się dwóch pokoi na pewno ich pani nie osłabiła.

- Jak pan to sobie wyobraża? - rozzłościła się Camilla.  
- Nie możemy spać w tym samym pokoju!

- Nie? A co innego możemy zrobić? Mam wrócić do salonu i powiedzieć lady Elliot, że pani wszystko od początku do końca wymyśliła? Że nie jestem pani mężem? Że nigdy nie miała pani narzeczonego? Że okłamała pani dziadka i ją też? Że druga pani ciotka również wszystkich okłamała? Chce pani, żeby ciotka Beryl chyżo pobiegła do dziadka i mu to wszystko jednym tchem wyrecytowała?

- Ależ narobiłam zamieszania.

- Musi pani robić dobrą minę do złej gry - stwierdził, bynajmniej nie współczująco. - A chwilowo oznacza to chyba, że została pani moją kochaną żonką. Co z tym wszystkim zro-

bić, zastanowimy się później - Pewnie ujął ją za ramię i popchnął ku schodom. - Gdzie jest pani sypialnia? Na górze?

Camilla skinęła głową, zirytowana jego wyniosłym zachowaniem.

- Chwileczkę. Co pan wyrabia? To nie pan tutaj rządzi.

- Z tego co widzę, pani również nie - odparł niewzruszenie, prowadząc ją po schodach. - A jeśli chodzi o ostatnie pytanie, to prowadzę nas do pokoju, gdzie będziemy mogli zamknąć za sobą drzwi i zastanowić się nad sytuacją, nie przejmując się, że usłyszy nas służba albo ktoś z domowników.

Camilla skrzywiła się. W zasadzie nie mogła podważyć tego rozumowania, ale władcze zachowanie Benedykta bardzo ją rozgoryczyło.

- Camillo, pst!

Oboje odwrócili się i zobaczyli u podnóża schodów Lidię. Zamachała na Camillę, żeby poczekała, i pośpieszyła za nimi.

- Och, moja droga - wykrzyknęła cicho i wyciągnęła ręce do podopiecznej. - Kochana moja, czy kiedykolwiek mi wybaczysz? Bardzo, bardzo cię przepraszam.

Jej błękitne oczy zasły łzami, a zaczerwieniona twarz zdradzała wzburzenie. Camilla ujęła ciotkę za ręce i uściśnęła je delikatnie.

- Nie martw się, Lidio. Dobrze wiesz, że wybaczyłabym ci wszystko.

Inni, na przykład ciotka Beryl, nazywali Lidię bałamutką. Camilla także często wyrzekała na chwiejność i nieobliczalność Lidii, ale że nie znała nikogo z gorętszym sercem, kochała ją z całej duszy.

- Dziękuję. Nawet nie wiesz, jak wielki kamień spadł mi z serca. Bałam się, że mnie znienawidzisz.

- Nie mogłabym cię znienawidzić. - Camilla ujęła ją za ramię i poprowadziła korytarzem do swej sypialni. Benedykt ruszył za nimi. - Ale nie rozumiem, co się stało. Dlaczego powiedziałaś, że Benedykt jest moim mężem?

Weszli do pokoju. Na kominku trzaskał niewielki ogień, paliła się też lampa oliwna, zalewająca wnętrze ciepłym, złotawym blaskiem.

- Wiem. To było okropne z mojej strony. - Lidia przygryzła wargę. Wydawała się zażenowana i dziwnie młoda. Miała zresztą dopiero trzydzieści siedem lat i mimo upływu czasu zachowała młodzieńczy wygląd. - Gdybym chwilę pomyślała, zrozumiałabym, jakie kłopoty mogą z tego wynikać. Ale nie mogłam już tego znieść. Wiesz, jaka jest Beryl.

- Ja nie wiem - wtrącił bezceremonialnie Benedykt. - O czym ty mówisz, pocziwa kobieto?

- Jak to? Powiedziałam, że jest pan mężem Camilli, z powodu Beryl. Od dłuższego czasu strasznie mnie złościła swoimi kąśliwymi uwagami i aluzjami. Zawsze była przekonana, że cały ten pan Lassiter to jedynie czysty wymysł, chociaż nie mam pojęcia, skąd o tym wiedziała. Twoje listy były niezwykle przekonujące, czasem nawet mnie się zdawało, że naprawdę się zaręczyłaś. Ale Beryl wciąż robiła mi uwagi tym swoim dwuznacznym tonem... sama wiesz. To strasznie irytuje. Twój wuj Varian mawiał, że gdy Beryl zaczyna mówić tym tonem, ma ochotę przyszczypnąć jej usta klamerką, żeby zamilkła.

- Tak, ciociu - powiedziała Camilla, starając się skierować rozmowę z powrotem na temat. - Ale co się stało tym razem?

- Bez przerwy pytała, dlaczego tak mgliście piszesz o swoich małżeńskich planach. Powiedziała, że dla niej to jest nie-naturalne, jeśli panna, która wkrótce ma wyjść za mąż, nie



rozpisuje się o swojej wyprawie i sukniach. To prawda, ale ja rozumiem, dlaczego nie było nic o tym w twoich listach. Po prostu, kochana, nie interesuje cię małżeństwo. Powinnam była domyślić się wcześniej... Bo rzeczywiście - kiedy zaręczyliśmy się z Varianem, nie rozmawialiśmy o niczym innym, tylko o mojej sukni, kwiatkach i...

- Pani Elliot... - przypomniał jej beznamyślnie Benedykt.

- A, tak. Więc któregoś dnia głupio zażartowała, tak że to wcale nie był żart... ona to potrafi, wiecie, o co chodzi... no, więc powiedziała w obecności earla, na pewno celowo, że jej zdaniem, moja kochana, ty wcale nie chcesz wyjść za mąż, bo nie ustaliłaś daty ślubu. Nie posunęła się tak daleko, by powiedzieć, że wszystko wymyśliłaś, chociaż jestem pewna, że to właśnie chciała zrobić. Ale ona wie, że earl nie pozwoli jej złego słowa o tobie powiedzieć. Dlatego zawsze mówi wszystko tym swoim niby żartem. Tym razem też obłudnie zachichotała i powiedziała, że na pewno dostajesz gęziej skórki ze strachu, bo zawsze byłaś przeciwniczką małżeństwa. „To takie nienaturalne u panny w jej wieku” - Lidia doskonale sparodiowała sposób mówienia Beryl, uwzględnivszy nawet dumnie uniesiony podbródek i głaskanie się po szyi.

Camilla nie mogła powstrzymać śmiechu.

- I oczywiście ty postanowiłaś jej powiedzieć, że już wyszłam za mąż.

- Nie chciałam. Naprawdę. Ale ona patrzyła na mnie... wiesz jak... więc gdy otworzyłam usta, samo mi tak jakoś wyszło. Powiedziałam, że dostałam od ciebie list, w którym napisałaś, że pobraliście się z panem Lassiterem przed dwoma tygodniami.

Camilla jęknęła cicho.

- Przepraszam, Camillo, stało się. Co mogłam potem zrobić? Nie spodziewałam się, że może wyniknąć z tego kłopot. Wydawało mi się, że równie dobrze możesz udawać mężatkę, jak narzeczoną. A taką miałam przyjemność, widząc, jak Beryl siedzi na tym swoim fotelu i na zmianę otwiera i zamyka usta ze zdumienia. - Zamilkła, a po chwili dodała z odrobiną gorczy: - Nie przyszło mi do głowy, że kiedykolwiek przywiesz tu mężczyznę. Myślałam, że przyjedziesz sama z wymówką tłumaczącą, dlaczego pan Lassiter nie mógł ci towarzyszyć. Gdybyśmy tylko o nim rozmawiali, nie byłoby różnicy, czy jest twoim narzeczonym, czy mężem.

- Naturalnie - przyznał Benedykt. - To drobnostka.

Lidia uśmiechnęła się do niego, uradowana zrozumieniem, jakie wykazał dla jej argumentów.

- Cieszę się, że pan to powiedział. - Zwróciła się do Camilli. - Gdzie ty go znalazłaś? Nie pojmuję, skąd go wzięłaś.

- Zapłaciłam mu - odparła Camilla bez ogródek.

Lidia wytrzeszczyła oczy.

- Chcesz powiedzieć, że można kupić męża?

- Kupiła tylko narzeczonego - wtrącił Benedykt. - Teraz, ponieważ zostałem mężem, powinienem chyba podwyższyć stawkę. Jak sądzisz, Camillo?

- Sądzę, że to nie czas na żarty. - Znowu zwróciła się do ciotki. - Nie chciałam przez to powiedzieć, że kupiłam męża, ciciu, tylko że płacę mu za udawanie mojego narzeczonego.

- Dziwne - powiedziała Lidia w zamyśleniu.

- Mniejsza o to. Ważne, że ciotka Beryl uważa nas za małżeństwo i dała nam jeden pokój!

Lidia jęknęła.

- To straszne. Będziesz miała zszarganą reputację. I co my teraz zrobimy? Ech, do licha z tym moim nieposkromionym językiem!

- Nic się nie stało, Lidio. Nie martw się. Coś wymyślimy. Lidia nadal wyglądała na głęboko nieszczęśliwą.

- Ależ Camillo, z tego nic nie będzie. Nie możesz... Chcę powiedzieć, że gdyby ktoś się dowiedział...

- Proszę się nie przejmować, milady - powiedział nagle Benedykt, podchodząc do Lidii, by wziąć ją za rękę. - Naprawdę, Camillo, posuwasz ten żart za daleko. - Uśmiechnął się, patrząc Lidii prosto w oczy. Takiego czaru Camilla jeszcze u niego nie widziała. - Lady Marbridge, musi pani wybaczyć mojej małżonce. Zażartowała sobie z pani, bo jest zła, że zepsuła jej pani niespodziankę.

Lidia zmarszczyła czoło. Wydawała się całkiem zdezorientowana.

- O czym ty mówisz? - burknęła Camilla. - Jaką niespodziankę?

- Właśnie niespodziankę. Camilla chciała panią zaskoczyć, milady. Uznała, że po wymyśleniu narzeczonego przyjazd z prawdziwym mężem będzie doskonałym żartem. Widocznie ma pani szósty zmysł, że pani to przewidziała. W istocie rzeczy - Camilla i ja naprawdę jesteśmy małżeństwem.

Camilla wpatrywała się w niego bez słowa, bo całkiem odebrało jej mowę. Natomiast twarz Lidii wnet się rozpromieniła.

- Och, jak wspaniale! Moja droga - zwróciła się do Camilli - to cudowne! Wszystko jest więc w najlepszym porządku. Nie będę już musiała się niczym martwić. Co za ulga! A twoja reputacja jest uratowana. W życiu nie słyszałam takiej dobrej nowiny.

Wobec zachwyty Lidii Camilla nie mogła zrobić nic innego, jak tylko kwaśno się uśmiechnąć.

- Prawda?

- Czy pan myśli, że naprawdę to przeczulałam? Nie pamiętam, żeby wcześniej coś takiego mi się zdarzyło, chociaż zaraz... Kiedyś Anthony się przeziębził, a ja byłam w Londynie. I też nagle poczułam, że coś mu się stało. A potem dostałam list od pani Blakely, która pisała, że Anthony chorował, prawie dokładnie w tym samym czasie, gdy miałam to przeczucie. Pamiętasz, Camillo?

- Owszem, pamiętam, ale nie sądzę...

- Ale jak... - ciągnęła Lidia, znów pochłonięta małżeństwem wychowawcy. - Kiedy to się stało i dlaczego nic mi o tym nie napisałaś?

- Och, ciociu - powiedział natychmiast Benedykt. - Mam nadzieję, że mogę już tak mówić, bo czuję się tak, jakbym panią dobrze znał. Camilla często o pani opowiada i zawsze bardzo ciepło... Ale czy nie moglibyśmy odłożyć tych pytań do rana? Jutro Camilla z przyjemnością usiadzie i opowie całą historię.

- Na pewno niesłychanie romantyczną - domyśliła się Lidia.

- To prawda. Ale w tej chwili moja żonka jest bardzo zmęczona. Mieliliśmy długą i wyczerpującą podróż.

- Och, naturalnie. Nie powiem już ani słowa więcej. - Lidia uśmiechnęła się figlarnie do podopiecznej. - Na pewno nie zmrużę dzisiaj oka, tak bardzo chcę wszystko wiedzieć, ty szelmo. - Żywiołowo uściskała Camillę i cmoknęła ją w policzek. - Do jutra, kochanie. Dobranoc, panie... - Lidia zmarszczyła czoło. - Och, z pewnością nie nazywa się pan przecież Lassiter.

- Nie, ale tymczasem bez wątpienia wygodniej będzie udawać, że tak właśnie brzmi moje nazwisko.

- Oczywiście. - Wciąż promieniejąc, Lidia skinęła im dłonią na pożegnanie i wyszła z pokoju.

Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, Camilla obróciła się raptownie do Benedykta.

- Co pan znowu sobie wyobraża? Oszalał pan?

- Nie. Wręcz przeciwnie. Usiłuję wnieść trochę porządku do tej obłąkanej sytuacji. Będzie pani musiała wymyślić jakąś historyjkę na użytek ciotki. Jestem pewien, że uda się stworzyć coś wystarczająco romantycznego. I zapewne będzie jednak pani musiała mnie później uśmiercić. Z małżeństwa nie można się wywinąć zwykłą ucieczką.

- Pan usiłuje! Pan jest pewien! Jak pan śmie dyktować mi, co mam robić?! Albo zmieniać moje plany i moją historię? Panie... panie Benedykcie! - Nazwanie go po imieniu pozbawiło tę tyradę władczej nuty, ale Camilla czuła, że nie może użyć nazwiska, które sama wymyśliła. - Zdaje się pan zapominać, kto tu kogo wynajął.

- Jak mógłbym o tym zapomnieć? - odparł oschle. - Nieustannie mi pani o tym przypomina.

- Za to pan nie zachowuje się tak, jakby pan był tego świadom. Tylko ja będę decydować o tym, co robimy, nie pan. Bądź co bądź, pomysł jest mój.

- Prawdę mówiąc, wpadł na niego Sedgewick. O ile dobrze sobie przypominam, pani i ja tylko siedzieliśmy, popijając poncz.

Camilla zaczerwieniła się i zaczęła sobie przypominać, ile filiżanek ponczu wypić tego popołudnia. Trzy? Cztery? Wypicie nawet jednej byłoby zachowaniem niegodnym damy.

Im dłużej o tym myślała, tym bardziej była skłonna wierzyć, że przystała na ten pomysł pod wpływem alkoholu. Diabelski trunek.

- Pomysł był naturalnie pana Sedgewicka - powiedziała zasadniczym tonem. - Ale historyjka była moja i to ja pana najęłam. Z tego wynika, że ma pan słuchać moich poleceń, a nie mówić mi, co mam robić.

- Jeśli sądzi pani, że pozwolę rządzić swoim życiem takiej niegrzecznej dziewczynce, to popełnia pani smutną omyłkę - odparł Benedykt, już całkiem poważnie. Ujął ją pod brodę i patrząc jej prosto w oczy, powiedział: - Może pani mi płacić i możemy tu odgrywać pani idiotyczną historyjkę. Ale ponieważ, chcąc nie chcąc, w tym uczestniczę, zamierzam dopilnować, żeby wszystko poszło gładko i bez kłopotów. Pani do spółki z ciotką nakłamały już tyle, że połapali się w tym wszyscy dookoła, z lady Elliot włącznie. Niewątpliwie jedyną osobą przekonaną o prawdziwości tej historii jest pani biedny, chory dziadek, a i to tylko dlatego, że chce w nią wierzyć

Camilla głośno nabrała tchu, ale Benedykt zasłonił jej usta dłonią.

- Nie. Proszę posłuchać mnie do końca. Ciotka Lidia jest niewątpliwie całkowicie pozbawiona rozsądku, ale jeśli pani ma go choć odrobinę, to zauważyła pani dziś wieczorem, że lady Elliot nie uwierzyła w tę historię. Jej dziewczęta wyglądają na baranie głowy, więc może dały się nabrać. Co do tego fircyka i dwóch pozostałych panów, nie jestem pewien, chociaż nie sądzę, żeby którykolwiek z nich był taki głupi, jak wydaje się ten poeta. Najważniejsze jednak, że nie wierzy pani ciotka Beryl. I o ile się nie mylę, nic nie sprawiłoby jej większej radości, niż dowieść earlowi, że pani kłamie. Przede

wszystkim musimy się więc postarać, żeby nie miała do tego okazji.

- Naturalnie. Właśnie w tym celu pana najęłam. Ale to nie ma nic wspólnego z pana władczyimi zapędami.

Benedykt puścił ją i westchnął, wyraźnie poirytowany.

- Nie zamierzam się kompromitować. Jeśli mamy rozegrać tę grę razem, rozegramy ją dobrze.

- Chce pan powiedzieć, że ja nie umiem tego dobrze zrobić? - spytała lodowato Camilla.

Zignorował jej ton.

- Nie mówię, że pani nie umie - stwierdził rzeczowo. - Ale na razie nie robi pani tego dobrze.

Wściekłość odebrała Camilli głos. Benedykt ciągnął jednak swą przemowę jakby nigdy nic:

- Nie możemy dalej polegać na tym, że pani albo pani ciotka rozgłaszacie każde kłamstwo, jakie wam przyjdzie do głowy. Musimy wymyślić całą historię i ściśle się jej trzymać. To po pierwsze. - Wyciągnął rękę i pokazał pierwszy palec.

- Zgadzam się. Ale to nie znaczy, że pan ma być autorem tej historii. Poza tym dlaczego nałgał pan ciotce Lidii, że jesteśmy małżeństwem? Jej nie musimy oszukiwać. Ona zna prawdę. Niepotrzebne nam jeszcze jedno kłamstwo do pamiętania.

- Przeciwnie. Będzie mniej okazji do nie zamierzonego potknięcia. Gdyby ciotka Lidia znała prawdę, prawdopodobnie prędzej czy później powiedziałyby w obecności lady Elliot coś, co dowodziłoby, że nie jest pani mężatką. Jeśli jednak będzie sądzić, że naprawdę się pobraliśmy, nie grozi nam z jej strony żaden lapsus. To całkiem proste. I proszę jej powiedzieć, żeby pod żadnym pozorem nie wymyślała nowych kłamstw na własną rękę. Można ją ostrzec, że gdyby czegoś takiego próbowała,

stanowczo jej pani zaprzeczy i wtedy ciotka znajdzie się w głupiej sytuacji.

- Nie mogę jej tego powiedzieć! Ona jest dla mnie jak matka. Pomogła mi wychować po śmierci moich rodziców, chociaż sama była dopiero co po ślubie i musiała się zajmować niemowlęciem.

- Nie wątpię, że ciotka Lidia jest wspaniałą kobietą - odparł znużonym tonem. - Ale ma pstro w głowie.

- Nawet jej pan nie zna!

- Nie trzeba jej znać. To jest zupełnie oczywiste. Tylko ktoś wyjątkowo nierozumny powiedziałby lady Elliot, że jest pani mężatką, wiedząc, że nawet nie jest pani zaręczona.

- Mimo wszystko Lidia zachowała się dość sprytnie, uprzedzając nas o tym, gdy weszliśmy do salonu.

- Byłoby sprytniej, gdyby wyszła nam na spotkanie i powiedziała wszystko, zanim dotarliśmy do salonu. Wtedy nie zrobiłaby pani miny śniętego pstraga, gdy ciotka nazwała mnie pani mężem.

- Jeszcze nie spotkałam nikogo, kto tak lubiłby obrażać innych ludzi.

- Nie wątpię. Ale to nie ma nic do rzeczy.

- Właśnie, że ma. Nie chcę, żeby ciotka Lidia pomyślała, że wyszłam za mąż za grubianina.

- Niech pani jej powie, że mam mnóstwo pieniędzy. To zawsze rekompensuje braki w wychowaniu. Poza tym niech pani pomyśli, jaką przyjemność sprawi później wszystkim wiadomość, że zszedłem z tego świata.

- Może wypadek zdarzy się już jutro - powiedziała z nadzieją Camilla.

Ku jej zaskoczeniu po twarzy przemknął mu uśmiech.



- Przynajmniej ma pani poczucie humoru. To nam się przyda. - Urwał. - I co? Jest pani gotowa zabronić Lidii zmyślania i utrzymać przed nią w tajemnicy naszą grę?

- Ale co mam jej powiedzieć? Ona na pewno zapyta, dlaczego nie wspomniałam jej o panu wcześniej i po co urządziłam tę całą maskaradę z zaręczynami, skoro zamierzałam wkrótce pana poślubić.

- Nie wiem. To pani ma mnóstwo inwencji. Może wszystko stało się zbyt nagle. Albo musiała pani z jakiegoś powodu zachować naszą miłość w sekrecie. Myśleliśmy, że nie ma dla nas nadziei, albo coś w tym rodzaju. O, niech pani powie, że byłem zaręczony z kim innym.

- I dlatego nie zdradziłam się z moim uczuciem nawet przed ciotką Lidią? Hm, to chyba powinno ją przekonać. Mogłabym powiedzieć, że właśnie z pana powodu postanowiłam nigdy nie wychodzić za mąż. Chciałam tylko pana, a jak nie, to nikogo innego. Ale potem pana narzeczona umarła, więc pan odzyskał wolność.

- Skąd u pani ta ponura fascynacja mordowaniem ludzi? Niech pani powie po prostu, że biedna dziewczyna przejrzała na oczy i zrozumiała, jakim jestem gburem.

Camilla skrzywiła się.

- Powiedziałam panu, że nie mogę mieć gbura za męża. Musi pan udawać uprzejmego, eleganckiego człowieka. Zresztą mam dużo lepszy pomysł: powiem, że stracił pan majątek i wtedy narzeczona odrzuciła pana, bo został pan bez złamanego pensa. - Urwała. - Dlaczego pan tak na mnie patrzy?

- Jak?

- Nie wiem. Tak... dziwnie.

- Zdumiała mnie pani umiejętność dramatyzowania każdej historii.

- Tak jest ciekawiej. Gdyby ona po prostu uznała, że pan jej nie odpowiada, byłoby to zbyt pospolite.

- W pospolitość najłatwiej uwierzyć - zwrócił jej uwagę.

- Nie wspomnę nawet, że najłatwiej ją wymyślić. Dlaczego nie szuka pani zwyczajnych rozwiązań? Można powiedzieć Lidii, że kochaliśmy się, ale ja byłem związany z kim innym. Mogliśmy się pobrać dopiero wtedy, gdy moja fikcyjna narzeczona ze mną zerwała. Ślub postanowiliśmy wziąć natychmiast ze względu na dziadka. Wiedzieliśmy, jaką przyjemność mu tym sprawimy.

- Zgoda. - Camilla westchnęła i odwróciła się. Pierwszy raz odkąd weszli do pokoju, zdała sobie sprawę z intymności nastroju. Światło było przytłumione, w umeblowaniu dominowało wielkie łożo. Przełknęła ślinę. Miała spędzić noc w tym pokoju sam na sam z dziwnym mężczyzną. Nie dość tego, wszyscy w domu, nawet ciotka Lidia, uważają go za jej męża.

Obrzuciła Benedykta nerwowym spojrzeniem.

- Niech się pani nie obawia - powiedział, zauważywszy jej zakłopotanie. - Pani reputacja nie ucierpi dopóty, dopóki jesteśmy dla wszystkich małżeństwem. Nie ma nic złego w śpianiu z mężem, a po uśmierceniu mnie zostanie pani wdową i nikt nigdy nie pozna prawdy.

- Z wyjątkiem mnie. I pana.

Przyjrzał jej się uważnie.

- Czy chce pani powiedzieć, że mógłbym wykorzystać tę sytuację?

- Owszem, przyszło mi to do głowy.

- Proszę się nie obawiać. Jeszcze nigdy nie wziąłem kobiety wbrew jej woli i nie zamierzam zaczynać od dzisiaj. A już na pewno nie od pani.

Camilla spiorunowała go wzrokiem, oburzona tą obelgą. W odpowiedzi zachichotał i pytajaco uniósł brwi.

- Co? Czyżby wolała pani, żebym pożył jej śnieżnobiałego ciała przez cały czas, gdy jesteśmy razem? Przykro mi, że muszę panią rozczarować, ale nic z tego. Wstydlive dziewice są nie dla mnie.

- Rozumiem - powiedziała kwaśno Camilla. - Woli pan kobiety, które się sprzedają.

- Wszystkie kobiety się sprzedają. Tylko cena się zmienia. Osobiście wolę uczciwą ladacnicę niż cnotkę, która kokietuje, ściskając kolana, póki mężczyzna nie włoży jej na palec obrączki i nie napcha sakiewki pieniędzmi.

Camilla spojrzała na niego osłupiała.

- Przykro mi słyszeć, że tak widzi pan kobiety.

Ponuro się zaśmiał.

- Kwestia doświadczeń.

Camilla podeszła do okna, odsunęła zasłony i spojrzała na ogród skąpany w księżycowej poświacie.

- Jak pan może? - spytała dobitnie. - Jak pan może udawać czyjegoś męża, skoro tak pan myśli o kobietach?

Przez chwilę milczał, potem powiedział.

- Dla pieniędzy. Już pani zapomniała?

- Nie pytałam, dlaczego pan się zgodził, tylko jak pan może grać rolę żonatego mężczyzny, mając takie odczucia.

Spojrzał jej w oczy i zapadła długa cisza.

- Po prostu pamiętam - powiedział w końcu. - Pamiętam, jakim głupcem kiedyś byłem.

Coś w jego głosie wzbudziło żywe współczucie Camilli.

- Musiał ją pan bardzo kochać.

- Nie było kogo kochać. - Z jego twarzy i głosu bił lodowaty chłód. - Zdaje się, że odchodzimy od tematu. Mamy przekonać ciotkę Beryl, że jesteśmy małżeństwem. W tym celu musimy spać w jednym pokoju. Ciotka nie uwierzy, że gdybyśmy nie mieli ślubu, zaryzykowałyby pani tak olbrzymi skandal. Daję słowo, że nie uwiodę pani ani nie zgwałcę.

Camilla spłonęła rumieńcem.

- Ale co pan... chcę spytać, gdzie pan będzie spał.

Rozejrzał się po pokoju i wskazał drzwi.

- Co tam jest?

- Garderoba. - Twarz Camilli pojaśniała. - Tam jest dużo miejsca! Pamiętam, że kiedy byłam chora, opiekunka spała w garderobie na pryczy, żeby słyszeć, gdybym ją wołała.

- Czy prycza stoi tam nadal? - Otworzył drzwi i omiół wzrokiem pomieszczenie.

- Nie. Wtedy lokaj musiał przynieść pryczę z góry. Nie wiem, gdzie teraz ją przeniesiono. Pewnie na strych. Mogłabym polecić komuś ze służby, żeby ją tutaj wstawił.

- Nie. To zwróciłoby powszechną uwagę. Nie wolno nam pogłębiać wątpliwości ciotki Beryl. Niedługo pewnie będziemy mogli pozwolić sobie na kłótnię młodożeńców, wtedy każe mi pani spać na pryczy. - Wrócił do sypialni i podszedł do wyblakłej kanapki, stojącej pod przeciwległą ścianą. - Tymczasem myślę, że to miejsce będzie dla mnie najlepsze.

Camilla spojrzała powątpiewająco na kanapkę.

- Za krótka. Będzie panu niewygodnie.

Spojrzał na nią kpiąco.

- Może pani woli tu spać. Nie? Tak myślałem. Proszę tylko

dać mi koc i poduszkę, to sobie poradzę. Nieraz spałem w znacznie gorszych warunkach.

- Zgoda. - Camilla chciała iść po poduszkę, ale gdy się odwracała, Benedykt chwycił ją za nadgarstek.

- Chwileczkę. To nie wszystko.

- Jak to?

- Jeszcze nie skończyliśmy naszej rozmowy.

- Dlaczego nie?

- Spanie w tym samym pokoju nie wystarczy, żeby przekonać kogokolwiek, że jesteśmy małżeństwem. Gdy pani przed chwilą do mnie mówiła, nie patrzyła mi pani w oczy. Nie uśmiechała się pani do mnie. Traktowała mnie pani jak obcego, a nie jak żona męża.

Zrobiła zdumioną minę.

- Nie miałam pojęcia...

- Wiem. To właśnie jest pułapka, w którą pani może się złapać. Bez względu na to, co pani do mnie czuje, jak bardzo mnie nie lubi i jak źle o mnie myśli, musi pani patrzeć na mnie tak, jakbym był ukochanym mężczyzną.

- Nie bardzo wiem, jak to jest... - Camilla poczuła, że zalewa się rumieńcem.

- Mam uwierzyć, że nigdy pani nie była zakochana? I nawet nie wydawało się pani nic takiego?

- Z tego, co pan mówił wcześniej, wnioskowałabym raczej, że pana zdaniem kobieta jest niezdolna do takich uczuć - przypomniała mu zgryźliwie.

- Często się nad tym zastanawiam. - Pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech. - Chyba jednak trochę się zagalopowałem. Wiem, że są kobiety, które szczerze kochają. - Pomyślał o Bettinie i sposobie, w jaki ta patrzy na Jermyna. - Mam sio-

strę. Gdy mąż wchodzi do pokoju, twarz rozpromienia jej się tak, jakby słońce wyszło zza chmur. - Powiedział to bardzo cicho, z widocznym rozmarzeniem. - Uśmiecha się do niego z takim wyrazem oczu, jakby... - Wzruszył ramionami. - Nie wiem... Jakby byli w pokoju tylko we dwoje. Na przyjęciu wciąż się schodzą, jakby nie mogli znieść nawet chwili rozstania.

Jego słowa poruszyły Camillę. Próbowwała sobie wyobrazić, jak można tak kochać mężczyznę, żeby czuć pociąg do mego każdą cząstką ciała i duszy.

- Jak on na nią patrzy?

- Tak, jakby mógł sprawić, żeby myślała tylko o nim.

- Czy tak właśnie mam patrzeć na pana? - Camilla spojrzała mu w oczy. Rysy mu nieco złagodniały, twarz miał pochmurną, ale bardzo pociągającą. Zaczęła się zastanawiać, jak patrzyłaby na niego, gdyby go kochała i chciała, by odwzajemnił jej spojrzenie. Na samą myśl o tym zabrakło jej tchu.

Benedykt przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Słowa Camilli obudziły w nim dziwną tęsknotę. Jej wielkie, błękitne oczy w przyćmionym świetle wydawały się ciemne. Przypomniał sobie dotyk jej miękkiego ciała, gdy przygniótł ją do ziemi. Potem przyszło mu do głowy, że tego wieczoru będzie spał kilka metrów od niej.

Przełknął ślinę i cofnął się trochę.

- Tak - powiedział ochryple. - Na tyle, na ile pani potrafi. Proszę pamiętać, że jesteśmy w bardzo intymnych stosunkach. Powinniśmy żywić do siebie głębokie uczucia. Gdybyśmy zbyt rzadko spoglądali sobie w oczy albo w ogóle odwracali się od siebie, traciłoby to fałszem.

- Naturalnie, to rozumiem. Postaram się patrzeć na pana...

w taki sposób. - Zawiesiła głos, zakłopotana. Wędrowała wzrokiem po ścianach, byle tylko nie zatrzymać go na jego twarzy.

Ale Benedykt tego nie zauważył, bo zaczął przechadzać się po pokoju, jakby głęboko się zamyślił.

- Musimy też spędzać dużo czasu razem - podjął wątek.  
- Młodożeńcy nie lubią się rozstawać

Gdy wyrażał zgodę na tę maskaradę, w ogóle nie wziął tego pod uwagę. Mimo woli ograniczył sobie swobodę ruchów. Był pewien, że znajdzie sposób, żeby mu to nie przeszkadzało. Najpierw jednak musiał uprawdopodobnić ich małżeństwo. Jeśli wszyscy uznają je za mydlenie oczu, zaczną mu się podejrzliwie przyglądać, a jemu będzie trudno cegokolwiek się dowiedzieć.

- Zgoda. - Camilli nie spodobał się pomysł nieustannego przebywania w towarzystwie Benedykta, ale nie mogła odmówić jego słowom słuszności. Rzeczywiście, skandalu nie będzie, dopóki wszyscy dookoła traktują ich jak małżeństwo. Dlatego nie wolno im było dawać jakichkolwiek powodów do podejrzeń, że nie wzięli ślubu.

- Możemy chodzić na spacer. Pokaże mi pani brzeg morza.  
- Możemy też jeździć konno na przejażdżki po majątku  
- dodała.

Przystanął i postukał się palcem po wargach, pogrążony w zadumie.

- Co jeszcze? - Raptownie poderwał głowę. - Och, właśnie. Obrączka!

- Obrączka? - Camilla poruszyła się niespokojnie, dotarło do niej bowiem, o czym mówi Benedykt. Spojrzała na palec lewej ręki, zdradliwie goły. - O Boże, nie pomyślałam o tym.

- Ja już się zastanawiałem nad brakiem pierścionka zaręczynowego, ale miałem nadzieję, że jakoś z tego wybrniemy. Co innego obrączka. Obrączkę musi pani mieć.

- Naturalnie. - Zamyśliła się. - Mam pierścionki, ale ciotka Beryl wszystkie widziała, poza tym żaden nie nadaje się na ślubną obrączkę.

Benedykt westchnął i sięgnął do kieszonki kamizelki. Przez chwilę manipulował przy dewizce zegarka, w końcu zdjął coś z łańcuszka i podszedł do niej, trzymając przedmiot na otwartej dłoni.

- Proszę. Może pani to włożyć.

Camilla wytrzeszczyła oczy. Był to pięknie grawerowany złoty pierścionek z krwistoczerwonym rubinem pośrodku. Wzięła go w palce i przysunęła do oczu, żeby lepiej mu się przyjrzeć.

- Jest piękny!

Benedykt spojrzał kpiąco na Camillę.

- Mam nadzieję, że nie uważa mnie pani za złodzieja pozabawionego gustu.

- Och... - Zachwyt Camilli nad pierścionkiem znacznie osłabł. - Ukradł go pan?

- Może pani wymyślić jakąś romantyczną legendę na jego temat. Na przykład, że należał do mojej ukochanej babki i dlatego dałem go pani jako obrączkę.

Camilla skinęła głową i z błyszczącymi oczami wsunęła sobie pierścionek na palec. Benedykt jęknął.

- Tylko, na miłość boską, niech pani nie wymyśla zbyt zawiłej historii. I - dodał, groźnie marszcząc czoło - niech pani nie waży się go zgubić.

- Nie zgubię. Obiecuję. - Wyciągnęła dłoń do góry, po-



dziwając jubilerskie rzemiosło. Pierścioneł naprawdę był piękny. Bez trudu można było wymyślić o nim coś romantycznego. Camilla żałowała, że nie stanowi on własności Benedykta. Wołałaby tego nie wiedzieć.

Rozległo się pukanie do drzwi, które zaskoczyło ich oboje. Camilla zerknęła na Benedykta i zawołała „Proszę!”, wówczas zaś w drzwiach ukazała się młoda dziewczyna w prostej, szarej sukience, osłoniętej wykrochmalonym białym fartuszkim.

- Nazywam się Millie, panienko. Chciałam powiedzieć: psze pani. Jestem tu na służbie.

- Wiem, Millie. Jesteś jedną z siostr Rosie, prawda?

Dziewczyna zarumieniła się, zadowolona, że została rozpoznana. Pani Elliot nigdy nie pamiętała jej imienia, mimo że mieszkała w Chevington Park już kilka miesięcy.

- Tak, pa... psze pani. Pani Blakely powiedziała, że mam być pani pokojową.

- To bardzo miło z jej strony - powiedziała cicho Camilla, chociaż poczuła zimny dreszcz na plecach. Millie przysłała pomóc jej w rozbieraniu się i wkładaniu nocnej koszuli. Camilla była przyzwyczajona do pomocy, bo jej suknie zwykle miały na plecach długi rząd guziczków. Dla Millie było normalne, że ma rozebrać panią w obecności jej męża, ale Camilla nie mogła się przebrać w nocną koszulę przy mężczyźnie! Nie mogła pozwolić, żeby zobaczył jej bieliznę.

Zerknęła na Benedykta. Miał w oczach wesołe błyski, bez wątpienia więc zdawał sobie sprawę z tej kłopotliwej sytuacji. Nie było sensu liczyć na jego pomoc. Najwidoczniej bawiło go jej upokorzenie.

- Ja... mhm...

Camilla rozejrzała się dookoła, próbując wynaleźć jakiś pre-

tekst. Chciała wymyślić powód, dla którego musiałyby się przebrać w garderobie, ale wiedziała, że to wyglądałoby dziwnie. Nie dalej jak przed chwilą ustalili, że mają przekonująco udawać małżeństwo, więc jej ociąganie przy rozbieraniu bardzo zaszkodziłoby temu obrazowi.

- Pomożesz mi najpierw rozpuścić włosy? - zaproponowała wreszcie pokojówce i sztywno podeszła do toaletki. Usiadła przed lustrem, a Millie posłusznie stanęła za nią i zaczęła wyciągać szpilki z jej włosów.

Benedykt wciąż siedział leniwie rozparty na kanapce, na której zamierzał spać, i z upodobaniem przyglądał się początkom wieczornego rytuału. Camilla splotła dłonie na podołku, Może gdyby wysłała pokojówkę do kuchni po kubek gorącego mleka, zdążyłaby tymczasem przekonać Benedykta do wyjścia z pokoju, żeby mogła się spokojnie rozebrać.

Raz po raz ukradkiem na niego zerkała. Przyglądał się, jak Millie szczotkuje jej włosy, a w oczach miał tyle ciepła, że Camillę aż coś ścisnęło w środku. Dlaczego tak na nią patrzy? Co to znaczy? Tym spojrzeniem wprawiał ją w zakłopotanie: figlarne ogniki znikły bez śladu. Naturalnie powiedział wcześniej, że muszą patrzeć na siebie inaczej niż do tej pory, że muszą udawać zakochanych. Widocznie to właśnie teraz robił. Ale mimo wszystko krępowało ją to i chciała, żeby Benedykt przestał.

Tymczasem Millie skończyła szczotkować jej włosy i dłonie pokojowej sięgnęły najwyższego guziczka sukni. Camilla chciała powiedzieć coś, żeby powstrzymać dziewczynę, ale głos uwiązł jej w gardle.

- Wybacz mi kochanie - powiedział za to Benedykt, który w tej samej chwili wstał z kanapki i podszedł do niej z uśmie-

chem - ale chyba wyjdę jeszcze na dwór wypalić cygaro przed snem. Wiem, jak bardzo nie lubisz tego zapachu.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Dziękuję ci.

Ujął jej dłoń i pocałował. Od miejsca, którego dotknęły jego wargi, po ciele Camilli przebiegł dreszczyk.

- Kochanie, dla ciebie wszystko, przecież wiesz.

Wyszedł, a Camillę nagle opuściły siły, tak jej ulżyło. Zaraz jednak zerknęła zaniepokojona, czy pokojowa nie zauważyła tej reakcji.

Ale Millie nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Stała i rozmarzonym wzrokiem patrzyła na drzwi, za którymi zniknął Benedykt. Po chwili przeciągle westchnęła.

- Och, proszę pani, jaki on jest przystojny. A jaki uprzejmy...

- To prawda, Millie.

- Cała służba cieszy się z pani szczęścia. Odkąd lady Marbridge powiedziała o tym pani Elliot, o niczym innym u nas się nie mówi. A niech pani sobie wyobrazi, jaki był szum dziś wieczorem, po państwa przyjeździe. Taki elegancki dżentelmen...

Camilli zrobiło się nieswojo. Wołałaby, żeby wszyscy dookoła byli mniej przejęci jej rzekomym małżeństwem. Czowała się z tym okropnie. Pierwszy raz wyobraziła sobie, jakie morze współczucia ją otoczy, gdy rzekomy małżonek „umrze”. To jeszcze pogorszyło jej samopoczucie.

Rozebrała się w rekordowym tempie, obawiając się powrotu Benedykta w krytycznej chwili, lecz mimo to zdecydowała się wziąć szybką kąpiel, żeby zmyć z siebie resztki błota. Potem praktycznie wyrzuciła z pokoju Millie, która jeszcze miała

ochotę na pogawędkę. Pokojówka uśmiechnęła się znacząco, a Camilla spłonęła rumieńcem, pojęła bowiem, że Millie przypisała jej zachowanie niecierpliwemu oczekiwaniu na powrót Benedykta.

Zamknęła drzwi za pokojówką i przykręciła prawie do końca knot lampy oliwnej na stoliku. Potem wskoczyła do wielkiego łoża. Chciała przynajmniej udawać, że śpi, gdy wróci Benedykt.

Okazało się, że musiała czekać dość długo. Przewracała się z boku na bok, otwierała oczy i znów zaciskała powieki, ale zamiast zasnąć, walczyła z nudą i próbowała zgadnąć, gdzie jest i co robi jej rzekomy małżonek. Już zaczynała się zastanawiać, czy nie stchórzył w ostatniej chwili i nie dał susa przez mur Chevington Park, gdy usłyszała skrzyp ciężkich butów na korytarzu i drzwi cicho się otworzyły. Benedykt wślizgnął się do sypialni, po czym równie cicho zamknął za sobą drzwi.

Zerknął na nią, potem przeszedł przez pokój na palcach, prawie jak złodziej. Camilli przyszło do głowy, że specjalnie czekał na jej zaśnięcie. Nie była jednak pewna, czy zrobił to z poczucia taktu, czy po prostu dlatego, że nie miał ochoty więcej z nią rozmawiać. Ten drugi powód wydawał jej się bardziej prawdopodobny.

Benedykt odstawił świecę na stół przy wyblakłej kanapce, zdjął surdut i starannie powiesił go na wysokim oparciu krzesła. Camillę ogarnął niepokój, zorientowała się bowiem, że za chwilę będzie się rozbierał.

Zacisnęła powieki najmocniej, jak umiała. Nie mogła jednak oprzeć się pokusie i po chwili odrobinę je rozchyliła. Przemknęło jej przez głowę, że narusza prywatność Benedykta,

choć on uszanował jej prywatność, szybko jednak przegnała tę myśl. Powiedziała sobie, że przecież mężczyzna na pewno nie zdejmie z siebie wszystkiego. Na pewno nie położy się do łóżka nagi. Nie mogła też wyobrazić go sobie w koszuli nocnej podobnej do tej, jaką nosił jej dziadek.

Benedykt wyjął spinki z mankietów i odłożył je na stolik. Gdy zakasał rękawy, oczom Camilli ukazały się opalone, muskularne ramiona. Usiadł na krawędzi kanapy i zaczął ściągać buty. Był to tak męski, a zarazem tak intymny gest, że Camilla poczuła coś dziwnego w środku. Wonie Benedykt miał duże, z długimi palcami, ruchy sprężyste. Przypomniało jej się, jakie są silne, jak ślizgały się po jej ciele, gdy walczyli w błocie, jak dotykały - czy przypadkiem? - miejsc, których żaden mężczyzna jeszcze przed nim nie dotykał.

Camilli zrobiło się sucho w ustach. Buty stały już na podłodze, gdy Benedykt ściągnął pończochy, z zadowoloną miną poruszył palcami u nogi i westchnąwszy, rozparł się na kanapie. Zaczął manipulować dłonią przy halsztuku, po chwili odwinął z szyi długi pasek białego materiału, by upuścić go na podłogę. Kamizelkę zdjął z większym pietyzmem i powiesił na oparciu krzesła, tak samo jak surdut. Potem zaczął na stojąco rozpinać koszulę.

Camilla wiedziała, że nie powinna dalej podglądać, ale nie była w stanie zamknąć oczu. Skupiła wzrok na torsie, który ukazywał się w miarę rozpinania kolejnych guzików. Wreszcie koszula znalazła się na krześle i Camilla mogła obejrzeć krępką pierś Benedykta w całej okazałości. Nigdy jeszcze nie widziała mężczyzny rozebranego do połowy, więc ciekawość wciąż nie pozwalała jej zamknąć oczu.

Gdy Benedykt odwrócił się i podszedł do kominka, mogła

się przyjrzeć również jego plecocom. Mięśnie były widoczne i tutaj, podkreślały wklęsłą linię kręgosłupa. Ogarnęła ją niezwykła chęć, by dotykiem zbadać różnicę między twardą kością i sprężystymi muskularni.

On tymczasem kucnął przy kominku, odwrócony do niej profilem, i poruszył w palenisku pogrzebaczem. Sypnęły iskry, rozżarzyły się węgle. Refleksy ognia igrały Benedyktowi na twarzy i torsie, nadawały jego skórze złotawy połysk.

Gdy ogień w kominku był już podsycony, Benedykt wstał i ruszył w stronę łóża. Camilla, która omal nie zdradziła się głośnym wdechem, że nie śpi, z całej siły zacisnęła powieki. Leżała zdrętwiała, nasłuchując cichego odgłosu coraz bliższych kroków. Już był przy samym łóżu, wyczuwała jego obecność, ale nie odważyła się otworzyć oczu. Stał obok bardzo długo, a jej serce biło jak szalone. Co Benedykt robi? Jakie ma zamiary? Pochylił się i musiała okazać dość siły woli, by nie skulić się i nie odsunąć.

Nagle położył się na niej. Poczowała ciepło płynące od jego ciała i twardość mięśni. W gardle jej zaschło, ledwie mogła odetchnąć.

On jednak tylko zabrał poduszkę z drugiej strony łóżka i szybko się wyprostował. Wcisnął sobie zdobycz pod pachę, potem wziął jeszcze koc i poszedł w stronę kanapki. Napięte mięśnie Camilli w jednej chwili zwiotczały.

Benedykt odwrócił się do niej i kpiącym szeptem spytał:

- I co, panno Camillo? Czy dość się pani napatrzyła?

A więc przez cały czas wiedział, że nie śpi, tylko mu się przygląda!

W jednej chwili szeroko rozwarła oczy. Stał pół metra od niej, w oczach znów błyskały mu wesołe ogniki, a na wargach

igrał uśmiech. Policzki zalał jej żar, była bardzo zadowolona, że w sypialni panuje półmrok. W tej chwili czuła do Benedykta najczystsza nienawiść. Chwyciła pierwszy przedmiot, który nawinął jej się pod rękę, czyli poduszkę, i rzuciła w niego z dziwkim okrzykiem. Benedykt uchylił się ze śmiechem i szybkim ruchem ramienia wyhamował impet pocisku. Potem zdmuchnął lampkę oliwną, odwrócił się i poszedł na kanapę, wciąż chichocząc pod nosem.

Camilla leżała nieruchomo, rozpamiętując straszliwe upokorzenie, jakiego doznała, i w myślach życzyła Benedyktowi wszystkiego najgorszego. Kilka minut później poczuła się jeszcze gorzej, usłyszała bowiem rytmiczny, powolny oddech, świadczący o tym, że Benedykt zasnął, a ona nie może, bo wciąż przeżywa swoją kompromitację.

Przewracała się z boku na bok, szukając wygodnej pozycji do snu, ale zadanie wydawało się beznadziejne. Miała już za sobą dużo czasu spędzonego na rozmyślaniach, gdy drzwi ukradkiem się otworzyły i do pokoju wślizgnął się inny mężczyzna.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na chwilę Camille sparaliżował strach. Potem mężczyzna zwrócił się w stronę łóżka, w blasku świecy ukazała się jego twarz i Camilla go poznała. Otworzyła usta, by coś powiedzieć, lecz w tej samej chwili Benedykt zerwał się ze swego zaimprovizowanego posłania z pistoletem w dłoni.

- Nie ruszaj się! - warknął do przybysza.

Tamten aż podskoczył ze zdumienia.

- O, do licha! - zaklął, po czym dodał jeszcze parę bardziej soczystych przekleństw. - Przestraszyłeś mnie, człowieku. Przez ciebie sparzyłem się świecą. - Zerknął z drugiego końca pokoju na Benedykta. - Kim pan jest, do diabła, i co pan tu robi?

- Mógłbym panu zadać to samo pytanie - odparł Benedykt. - Kim pan jest i co pan robi w sypialni mojej żony?

- Pańskiej żony! - wykrzyknął tamten i wlepił wzrok w Benedykta.

- Cicho tam! - zawołała Camilla, wyskoczyła z łóżka i podbiegła do młodszego mężczyzny. - Anthony!

- Milla! - Z szerokim uśmiechem otworzył przed nią ramiona, a Camilla padła prosto w jego objęcia. Uniósł ją z ziemi i mocno uściskał.

Benedykt przyglądał im się z kwaśną miną, ale opuścił pistolet i czekał, co będzie dalej.



Młody człowiek jeszcze raz uściśnął Camillę i wreszcie odstawił ją na podłogę.

- Ostrożnie, bo ci się zapalą włosy. Boże miłosierny, coś ty znowu wymyśliła?

Camilla zachichotała.

- Zamknij drzwi, to się dowiesz. - Przybysz posłusznie; zawrócił do drzwi, Camilla zaś powiedziała: - Benedykcie, odłóż ten pistolet. To nie jest złodziej, tylko mój kuzyn, Anthony,

Benedykt usłuchał, ale nadal patrzył na Anthony'ego podejrzliwie i wrogo.

- Dlaczego on odwiedza cię o tej porze w twojej sypialni?

- Kim jest ten człowiek? - zawtórował mu oburzony Anthony. - I co on, na miłość boską, robi w twojej sypialni, Camillo?

- Hm... - Camilla uśmiechnęła się figlarnie. - On naprawdę jest moim mężem.

- Co takiego?

Camilla roześmiała się, widząc jego oburzoną minę.

- Opowiem ci o tym, słowo daję. Ale najpierw chodź tu, niech ci się przyjrzę. Przysięgłabym, że urosłeś przynajmniej pięć centymetrów, odkąd ostatnio cię widziałam.

Zapaliła lampę oliwną i wciągnęła Anthony'ego w krąg światła. Oboje z Benedyktem ujrzeli młodego, chuderlawego człowieka, który osiągnął już wzrost dorosłego mężczyzny, ale nosił jeszcze ślady dorastania. Twarz miał przyjemną, z kwadratowym podbródkiem, oczy jasnoniebieskie, jasne włosy układały mu się w burzę loków. Wyglądałby jak aniołek, gdyby nie szelmowskie błyski w oczach i zaczątki muskulatury ramion.

- Byłam bardzo zawiedziona, gdy po naszym przyjeździe

Purdle oznajmił mi, że udałeś się na spoczynek - powiedziała Camilla z uśmiechem. - Byłam pewna, że jesteś chory.

Anthony jęknął.

- Nie mogę znieść towarzystwa ciotki Beryl, która po obiedzie prowadzi miłą konwersację i słucha, jak Amanda do spółki z Kitty mordują Mozarta. Teraz, kiedy mama przywlokła tu tego Thorne'a, jest zresztą jeszcze gorzej. On bez przerwy wypływa z siebie poezje o jej oczach i innych częściach ciała. Wyobraź sobie, że któregoś dnia napisał odę. do jej czoła. Do czoła! Cóż takiego ciekawego można powiedzieć o czole? W dodatku jest też kuzyn Bertram, który bez przerwy przybiera różne pozy; no i ten jego znajomy milczek. Słowo ci daję, że to wszystko może doprowadzić człowieka do nieustającej migreny. Ale dość tego, nie odwiedzisz mnie od tematu. Rozmawialiśmy o nim. - Spojrzał marsowo na Benedykta.

- Camilla już panu powiedziała. Jestem jej mężem.

- Niemożliwe.

- Dlaczego?

- Nigdy nie wspomniała o panu ani słowem.

- Czyżby lady Marbridge nie powiedziała panu, że Camilla wyszła za męża?

- Och, to tylko jej paplanina - sprzeciwił się Anthony. - Na pewno nie ma nic wspólnego z prawdą.

- Przestań się z nim drażnić - powiedziała Camilla do Benedykta, potem zaś zwróciła się do kuzyna: - Masz rację. Benedykt tylko udaje mojego męża.

Anthony wytrzeszczył na nią oczy, jakby raził go grom. Benedykt natomiast westchnął ze zniecierpliwieniem.

- Camillo, umówiliśmy się...

- Że nie powiemy ciotce Lidii, pamiętam. Ale z Anthonym

jest zupełnie inna sprawa. Ręczę za niego. Na pewno można mu powierzyć nasz sekret. Przez lata dotrzymywał setek moich tajemnic. No i umie łąać jak z nut.

- Wspaniała rekomendacja - skomentował Benedykt.

- Istotnie. Anthony potrafi pleść największe androny ze śmiertelnie poważną miną.

- Owszem - przyznał młody dżentelmen. - Zawsze kompromitowaliśmy się przez ciebie.

- Nieprawda! - zaperzyła się Camilla.

Anthony spojrzał na nią z rozbawieniem.

- Nie? A co było wtedy, jak wprowadziliśmy świnię na piętro i...

- No, wiesz! - obruszyła się Camilla, wspierając się pod biodra. - Jak śmiesz mi to wypominać?! To był twój pomysł. Potem nie mogliśmy sprowadzić świniaka na dół.

- Skąd miałem wiedzieć, że się zaprze?

Benedykt przerwał im ten spór.

- Dzieci, nie kłóćcie się, proszę. Czy moglibyśmy wrócić do tematu? Chciałbym się dowiedzieć, czy pan... pan..

- Och, przepraszam bardzo. Anthony, to jest pan...hm, pan Lassiter. Benedyckie, to jest mój kuzyn, wicehrabia Marbridge, syn ciotki Lidii.

- Rozumiem. - Benedykt lekko skłonił się w stronę młodego człowieka. - Miło mi pana poznać, lordzie Marbridge.

Anthony odwzajemnił ukłon, choć minę wciąż miał podejrzliwą.

- Wszystko dobrze, ale wiem, że pan na pewno nie nazywa się Lassiter. Lassiter to wymysł Camilli.

- Owszem, ale ja jestem ucieleśnieniem jej wizji

- On udaje mojego męża - wyjaśniła Camilla.

- I śpi tutaj? - Głos Anthony'ego zatrzęsł się z oburzenia.  
- Mężczyzna, który nie jest twoim mężem, śpi w twojej sypialni? Boże jedyny, Camillo, co ty wyrabiasz? Zszargasz sobie reputację.

- Powiedziałem ci - stwierdził Benedykt znużonym tonem. - Skompromitujesz nas oboje, jeśli z uporem będziesz wszystkim o nas opowiadać.

Zachowanie kuzyna zdziwiło Camillę. Anthony miał awanturniczą naturę, zawsze były mu w głowie najrozmaitsze wybryki i mało dbał o konwenanse.

- Nie spodziewałam się, Anthony, że akurat ty będziesz taki zgorzony moim pomysłem. Jeśli wziąć pod uwagę, co zdarzało ci się robić...

- To było zupełnie co innego.

- Rzeczywiście, tym razem ja pozwoliłam sobie na przygodę, a nie ty, prawda? - Camilla skrzyżowała ramiona na piersiach i wzywająco wysunęła podbródek do przodu.

- Dobrze wiesz, że nie o to chodzi! - zaprotestował Anthony. - Poza tym nigdy nie sprowadziłem do swojego pokoju kobiety.

- W tym, co robimy, nie ma nic złego. Nikt się nie dowie, że on nie jest moim mężem, jeśli tego nie rozgadasz.

- Dobrze wiesz, że nigdy bym na ciebie nie doniósł. - Anthony wydawał się oburzony insynuacją, godzącą w jego honor. - Ale... - Zerknął na Benedykta, który z zainteresowaniem przyglądał się tej wymianie zdań. - Och, do diabła! Camillo, miałaś bardzo osobliwy pomysł, a ja nie mogę pozbyć się przekonania, że narobisz sobie jeszcze kłopotów.

- Obawiam się, że panna Ferrand już ma kłopoty - zwrócił mu uwagę Benedykt. - I to od dłuższego czasu, a mianowicie

odkąd zaczęła płatać się w tych wszystkich kłamstwach. Wszyscy w domu wiedzą, że weszliśmy do tego pokoju jako mąż i żona. Proszę o tym pamiętać, lordzie Marbridge. Camilla już nie może się cofnąć. Jej reputacja byłaby w strzępach. Dla niej jedyną drogą ratunku jest przekonać wszystkich o prawdziwości tego małżeństwa.

- Powiedziałem, że jej nie zdradzę, więc nie zdradzę. Słowo. Tylko że... Ech, wolałbym Millo, żebyś najpierw była ze mną o tym porozmawiała. To wszystko.

- Prawdopodobnie tak bym zrobiła, gdybym miała dość czasu. Ale nie miałam.

- A skoro mowa o reputacji panny Ferrand - włączył się Benedykt. - Czy ma pan w zwyczaju odwiedzać ją nocami w jej sypialni?

Anthony wlepił w niego wzrok.

- Pan nie... To chyba nie jest sugestia, że ja... Wielki Boże, człowieku, to nic nie znaczy. Camilla i ja znamy się od małego. Nikt nie pomyślałby, że jest w tym coś złego.

- Podejrzewam, że znalazłoby się w towarzystwie kilka dam, które mają tam dużo do powiedzenia, a nie sądziłyby, że długotrwała znajomość tłumaczy tak poufale zachowanie.

Anthony spurpurowiał ze złości. Postąpił krok ku Benedyktowi, zaciskając dłonie w pięści. Camilla złapała go za ramię i przesłała Benedyktowi wymowne spojrzenie.

- Czy naprawdę musisz wdawać się w konflikty absolutnie ze wszystkimi?

Odwróciła się do drzwi, ciągnąc kuzyna za ramię.

- Chodź, Anthony. Pójdziemy gdzie indziej.

- Chcecie plotkować w korytarzu? To powinno wiele wyjaśnić waszej rodzinie.

- Wszyscy oprócz nas o tej porze już śpią - zapewniła go Camilla. - Zresztą nie będziemy rozmawiać w korytarzu. Pójdziemy do pokoi dziecięcych. Zawsze wszystko knuliśmy właśnie tam.

Anthony nie odpowiedział, ale poszedł za nią bez sprzeciwu, chociaż przy drzwiach przystanął jeszcze, żeby groźnie spojrzeć na Benedykta. Na jego nieszczęście Benedykt był odwrócony do niego tyłem i spokojnie poprawiał swoje poślanie na kanapce.

Pokoje dziecięce były na drugim piętrze. Największy służył do nauki i zabawy, a dookoła było kilka sypialni. Piętro wyżej miała jeszcze swoje pokoje większość służby, za to domownicy mieszkali w sporym oddaleniu.

Anthony zdecydował, że woli zostać w swej dziecięcej sypialni, zamiast przenieść się piętro niżej, do pokoju bardziej odpowiadającego jego wiekowi i pozycji. Wszyscy wiedzieli, że ciotka Beryl nie znosi wspinać się po schodach, a kuzynom rzadko przychodziło do głowy, by wybrać się do dziecięcego królestwa. Nawet dziadek, gdy jeszcze był zdrowy, i ciotka Lidia woleli spotykać się z Anthonym w swoich pokojach albo w jednym z salonów na dole.

Pokój Anthony'ego był urządzone bardzo surowo, niemal ascetycznie, on jednak nie zwracał uwagi na niedostatek luksusów i uważał, że dla słusznej sprawy warto się poświęcić.

Camilla weszła z kuzynem na górę schodami dla służby. Znalazłszy się w dużym pokoju do nauki, z sentymentem rozejrzała się po znajomym wnętrzu, podczas gdy Anthony zapalił od świecy lampę oliwną. Od razu zrobiło się jaśniej. Camilla dorastała w tym domu, więc w pokojach dziecięcych było wiele przedmiotów budzących jej wspomnienia. Pozostały

tam jeszcze kufér z zabawkami i jej półki, i ulubione książki Anthony'ego, i oddział cynowych żołnierzyków gotowych do bitwy, a ponieważ ostatnio Anthony używał tego pokoju do nauki, były w nim również dodatki do umeblowania, pochodzące z nowszych czasów: stół i krzesła normalnych rozmiarów. Tam właśnie oboje usiedli.

- Jak się miewa dziadek? - spytała Camilla, wiedząc że tylko od Anthony'ego może się spodziewać szczerzej i niczym nie upiększonej odpowiedzi.

Wzruszył ramionami.

- Zdaje mi się, że lepiej. Wczoraj przez cały dzień był bardzo podniecony twoim przyjazdem.

- Przykro mi, że dojechałam tak późno. Woźnica zgubił drogę. Musieliśmy cofnąć się do gospody, nająć nowego woźnicę i przewodnika.

- Dziadek był przekonany, że przyjedziesz z mężem. Skąd to wiedział?

Camilla pokręciła głową.

- Pewnie taka jest siła nadziei. Nie zapowiadałam listownie przyjazdu z Benedyktem. Sama dopiero dziś wieczór dowiedziałam się, że z nim przyjadę. Byłam przygotowana na wyznanie swojego głupiego kłamstwa. Nawet nie miałam pojęcia, że ciotka Lidia wydała mnie już za męża.

Anthony skrzywił się na te słowa.

- Powiedziałem mamie, że niepotrzebnie to wymyśliła, ale i trudno, stało się. - Zmarszczył czoło. - Mnie się ten pomysł nie podobał od samego początku. Coś takiego musi się wydać. Byłem przekonany, że prędzej czy później osiadasz na mieliźnie.

Camilla pokazała mu figę.

- Jak dotąd żegluję bezpiecznie.

Anthony spojrzął na nią jeszcze bardziej ponuro.

- Zakopałaś się po uszy. W jaki sposób ten typ z twojej sypialni wmieszał się do tego wszystkiego? Kto to jest? Tylko nie mów mi, że nazywa się Lassiter.

- Rzecz jasna, że nie. Nazywa się Benedykt. - Nie mogła się przyznać, że nie zna nazwiska tego człowieka. - Poznałam go dziś wieczorem.

- Dziś wieczorem!

Skinęła głową.

- Tak, gdy zgubiłam drogę.

Anthony jęknął.

- Camillo! I ty twierdzisz, że robię różne rzeczy bez zastanowienia! Co ci wpadło do głowy, żeby namówić go do udawania twojego męża?

- Miał udawać tylko narzeczonego. Dopiero gdy tutaj przyjechałam, przekonałam się, że ciotka Lidia awansowała go na męża. Nie zaryzykowałabym tej maskarady, gdybym o tym wiedziała. Ale co miałam zrobić, gdy stanęliśmy razem w salonie i Lidia nazwała go moim mężem? Nie mogłam jej skompromitować przed ciotką Beryl, kuzynem Bertramem i całą resztą.

- To prawda. - Anthony w lot pojął rozumowanie Camilli. Nieraz musiał radzić sobie ze swą niefrasobliwą, lekkomyślną matką. - Ale jak poznałaś tego człowieka? Dlaczego postanowiłaś go nająć, żeby udawał twojego narzeczonego? W życiu nie słyszałem o czymś takim.

- Szczerze mówiąc, to nie był mój pomysł, tylko pana Sedgewicka.

- Czyj?



- Drugiego mężczyzny, który był w gospodzie. - Zaczęła opowiadać Anthony'emu całą historię spotkania z Benedyktem i Sedgewickiem. Na wszelki wypadek opuściła kilka szczegółów, niewątpliwie trudnych do przyjęcia dla Anthony'ego, w którym najwyraźniej obudził się instynkt opiekuńczy. Mimo to jej opowieść wzbudziła niejednego okrzyk zdumienia i zgrozy.

Gdy skończyła, Anthony z jękiem złapał się za głowę.

- Camillo, jak mogłaś w ogóle zastanawiać się nad takim pomysłem, a tym bardziej na niego przystać! To jest najbardziej nieprzemyślana awantura, o jakiej kiedykolwiek słyszałem. Jak zamierzasz ją ciągnąć?

- Dziś wieczorem nam się udało. Jutro będziemy lepiej przygotowani. Już to dokładnie omówiliśmy. Możemy odbywać długie konne przejażdżki po majątku. To nas ochroni przed ciotką Beryl, a zarazem będzie stanowić dowód, że chcemy być sami. Gdzie się podziała twoja żyłka awanturnicza? Na pewno nam się uda... jeśli nam pomożesz.

- Naturalnie, że pomogę, tylko widzisz, Millo... nie ufam temu człowiekowi. Nie wiesz o nim dosłownie nic. Skąd pochodzi, z czego żyje. Nic. To mi wygląda bardzo podejrzanie.

- Dlaczego?

- Pomyśl sama. Dwaj mężczyźni, jeden czai się we mgle, drugi czeka na niego w gospodzie. Skąd wiesz, że to nie było ukartowane?

- Ukartowane?! Jak można było przewidzieć, że zabłądzę i wpadnę na niego, albo że opowiem im o wymyślonym przeze mnie kłamstwie?

- No, może nie ukartowane - zgodził się. - Ale chciałbym wiedzieć, kim są ci dwaj. Jaki powód może mieć džentelmen, żeby wysiadywać w gospodzie w Edgecombe? Dlaczego trzy-

ma spółkę z tym drugim? I czy ten Sedgewick odnosi jakąś korzyść z tego, że Benedykt udaje twojego męża?

- On to zrobił z uprzejmości, a nie dla korzyści.

- Tak, ale na ogół nie jeździ się po kraju po to, by wypatrywać zabłąkanych ludzi, z którymi można się zaprzyjaźnić.

- Raczej nie.

- Gdybym spotkał pannę, która opowiedziałaby mi taką historię jak twoja, niewątpliwie bym jej współczuł, ale nie ofiarowałbym się, że odegram rolę jej narzeczonego. - Westchnął i spojrzał w zadumie na przeciwległą ścianę. - Prawdę .. mówiąc, nie rozumiem też, dlaczego się na to zgodziłaś. Musiałaś być pijana. Specjalnie dali ci ponczu, żebyś nie myślała trzeźwo i przystała na ich pomysł.

- Nie byłam pijana! - burknęła Camilla, świadomie wyrzucając z pamięci swoje wcześniejsze wątpliwości. - I naprawdę nie mogę uwierzyć, że to właśnie ty, człowiek, który nieustannie wpada w tarapaty przez różne szalone pomysły, wyrzuca mi, że zrobiłam coś bez zastanowienia.

Anthony przesłał jej uroczy uśmiech.

- Nie wiesz, że się ustatkowałem? Teraz liczą się dla mnie tylko książki i nauka.

Camilla natychmiast zrobiła się nieufna.

- Co ty znowu knujesz, przewrotny chłopaku?

Spojrzał na nią tak, jakby go uraziła.

- Nic! Dlaczego mnie o coś podejrzewasz?

- Bo cię dobrze znam - odparła Camilla.

Anthony'ego irytowały ograniczenia, jakie musiał znosić, mieszkając w Chevington Park pod czujnym okiem gubernera i licznych niemłodych już mieszkańców. Dziadek nie pozwolił mu chodzić do szkoły, twierdził bowiem, że gubernier o wiele

więcej go nauczy, ale Camilli i Anthony'emu dobrze był znany prawdziwy powód tego postanowienia: earl jeszcze nie mógł się pogodzić z odejściem wnuka z domu.

Ponieważ Anthony kochał dziadka, a starszy pan od kilku lat podupadał na zdrowiu, ten pierwszy przyjął wyrok drugiego z największym spokojem, na jaki było go stać. Camilla wiedziała jednak, jak bardzo rozpieszczają go mieszkańcy Chevington Park i jak często Anthony zbacza przez to z prostej drogi i rzuca się w jakąś awanturę. Ponieważ zaś Lidia od dłuższego czasu nie utyskiwała na żaden wybryk syna, Camilla podejrzewała, że Anthony szykuje coś nowego, a może nawet już wyszykował.

- O mnie nie musisz się martwić - powiedział jej Anthony.  
- Zresztą próbujesz odwrócić moją uwagę od tematu. Rozmawialiśmy o twoich wyskokach, nie o moich.

- Nie mam na sumieniu żadnych wyskoków.

- Ha! A jak nazwałabyś wprowadzenie do domu tego mężczyzny i mydlenie oczu całej rodzinie? Wiesz, co o tym sądzę? Moim zdaniem on jest złodziejem. Jego współnik też. Dlatego tak bardzo chcieli, żebyś zgodziła się na tę mistyfikację. Ten człowiek postanowił się dostać do Chevington Park, żeby poszukać kosztowności.

- Och, Anthony! Pleciesz bzdury. Gdybyś poznał pana Sedgewicka, zrozumiałbyś to natychmiast. On jest dżentelmenem w każdym calu.

Anthony parsknął.

- W każdym razie na pewno zdołał cię do tego przekonać. Sama powiedziałaś, że początkowa wzięłaś Benedykta za zbójcę. Co on robił tam, przy drodze, jeśli nie czatował na przejeżdżające powozy?

- Nie wiem. Ale mnie nie próbował niczego odebrać.

- Nie nosisz biżuterii. Poza tym od razu widać, że jesteś niedoświadczoną panną w podróży od jednego krewnego do drugiego i nie wiesz z sobą dużej gotówki.

Camilla dumnie się wyprostowała, dość zde gustowana tym opisem swojej osoby.

- Miałam pieniądze w torebce.

- Z twojego wyglądu nie sposób było się tego domyślić. Skąd on miał wiedzieć, że jesteś kobietą niezależnie myślącą i posiadającą własny majątek?

Anthony uśmiechnął się od ucha do ucha, zadowolony z tego przytyku, a Camilla przewróciła oczami.

- Jego interesowali inni ludzie. Obserwował ich.

Anthony natychmiast przestał się uśmiechać.

- Inni ludzie? Kto?

- Nie wiem, ale ci ludzie strzelali do nas. Benedykt był na mnie bardzo zły, bo miałam z sobą latarnię. Tamci chyba przez to dowiedzieli się o jego obecności. Widocznie wcześniej obserwował ich z kryjówki w mroku.

Jej kuzyn przez chwilę milczał, a potem powiedział:

- Po co ktoś miałby się czaić w ciemnościach, jeśli nie ma złych zamiarów?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, co robili Benedykt i jego przyjaciel, chociaż przyszło mi do głowy, że przynajmniej jeden z nich może się trudnić przemytem. Dlatego Benedykt tam czatował.

Anthony skinął głową.

- Masz rację. Tylko po co przemytnik miałby obserwować innych przemytników? Może chciał ich okraść? Ale na tym nie zyskałby pieniędzy, najwyżej brandy. - Wyprostował się

i rozpromienił, jakby nagle go oświeciło. - A może on jest z urzędu celnego?

- Co? Myślisz, że próbuje złapać przemytników na gorącym uczynku?

- Czemu nie? Celnicy zawsze psują krew przemytnikom.

- Ale gdyby Benedykt był kimś takim, to po co miałyby przyjeżdżać do Chevington Park jako mój narzeczony? Tylko zmarnowałyby czas.

- Niekoniecznie.

- Przecież tu nie ma przemytników!

- Naturalnie. Ale mieszkamy niedaleko morza. Benedykt miałby miejsce, w którym może się zatrzymać, a co ważniejsze dobre wytłumaczenie swojej tutaj obecności. Byłoby mu wygodniej rozglądać się po okolicy.

- Nie wiem. Może masz rację. - Camilli dużo łatwiej byłoby uwierzyć w to, że Benedykt jest złodziejem niż celnikiem. Urzędnicy celni byli biurokratami, gryzipiórkami dodającymi wielkie kolumny liczb, a nie krzepkimi chłopami, którzy potrafią powozić czwórką koni albo jednym uderzeniem pięści pozbawić człowieka przytomności. Nie wydawało jej się też, by Benedykt miał w sobie tyle pokory, ile potrzeba do pracy w rządowej instytucji. Wiedziała, że nie należy się po nim spodziewać posłusznego wykonywania poleceń.

- Musisz przyznać, że ten jego skok z pistoletem robił wrażenie. Kiedy wszedłem do pokoju, on spał, a ja przecież nie narobiłem hałasu. Mimo to zerwał się w okamgnieniu, od razu z bronią w ręce. To nie było zachowanie zwyczajnego człowieka.

Camilla skinęła głową. Zdumiało ją nawet to, że Benedykt w ogóle ma pistolet, a co dopiero, że jest gotów się nim posłużyć.

- Masz rację. Benedykt nie jest zwyczajny. - Westchnęła.  
- Ale nawet jeśli budzi to twój głęboki sprzeciw, jadę z nim teraz na jednym wózku. I za żadne skarby nie mogę wyznać prawdy ciotce Beryl.

- Pewnie, że nie! - Anthony wydawał się wstrząśnięty taką perspektywą. -. Ciotka pobiegłaby prosto do earla i wszystko mu powiedziała, nie zważając na jego chorobę. Jej nic nie obchodzi, czy nie dostałby z tego powodu następnego ataku apopleksji. Ona uważa, że jeśli narazisz się na gniew dziadka, to dziadek zostawi wszystko jej dzieciom, a nie tobie.

- Czy dlatego ciotka nie wierzy w moje zaręczyny... to znaczy w małżeństwo?

- Tak. Jej zdaniem wymyśliłaś to sobie, żeby dziadek zostawił ci więcej pieniędzy. - Pokręcił głową z niechętną miną.

- Głupio myśli. To jest wyzute z wszelkiej logiki. Gdyby dziadek uwierzył, że wzięłaś ślub i jesteś zabezpieczona na całe życie, to na pewno byłby wtedy skłonny zostawić ci mniej pieniędzy, niż gdyby sądził, że jesteś samotna i nie masz się na kim oprzeć.

- On i tak zostawi prawie wszystko tobie. To powszechnie wiadomo.

- Nie myśl, że ciotka Beryl się z tym spokojnie godzi. Ale nawet ona rozumie, że nie uszczknie nic z rodzowego dziedzictwa. Za to bardzo chciałaby zagarnąć resztę pieniędzy.

- To prawda, ale wiele razy słyszałam dziadka, jak powtarza, że większą część pieniędzy przypisze do rodowej ziemi, bo będziesz musiał z czegoś utrzymywać majątek.

Anthony skinął głową.

- Innym dziadek też na pewno co nieco zostawi, ale wie-  
---ość pieniędzy rzeczywiście zwiąże z ziemią. Tylko że gdy

ciotka Beryl coś sobie wbije do głowy, to nijak jej tego nie wybijesz. A już na pewno nie logicznymi argumentami. Wynika z tego, że po części masz rację. Nie możemy pozwolić, żeby ciotka Beryl dowiedziała się prawdy o Benedykcie. Ale i tak nie podoba mi się, że z nim tu przyjechałaś, a zwłaszcza że mieszkacie w tym samym pokoju. - Zmarszczył czoło. - To szaleństwo! Co go powstrzyma przed wykorzystaniem cię, gdy przyjdzie mu na to ochota?

- Już o tym rozmawialiśmy. Zapewnił mnie, że nie jestem kobietą w jego typie.

- Co takiego?! Ten człowiek doprawdy przekracza wszelkie granice zuchwalstwa! Chętnie spuściłbym mu tęgie lanie.

Camilla zerknęła z powątpiewaniem na smukłą, młodzieńczą sylwetkę Anthony'ego. Wykazała jednak dość taktu, by nie wysuwać zastrzeżeń wprost.

- Nie sądzę, żeby to było dla nas korzystne, Anthony. Benedykt ma rację: jeśli chcemy przekonać ciotkę Beryl, że nasze małżeństwo jest prawdziwe, musimy mieszkać w tym samym pokoju. Nie ma innego sposobu. Nie wolno nam budzić niepotrzebnych podejrzeń, a dotyczy to również twoich zamiarów, żeby bić się z Benedyktem czy też zrobić cokolwiek innego, czego nie zrobiłbyś, gdyby istotnie był moim mężem. Ciotkę Beryl musimy przekonać za wszelką cenę. Inaczej nie tylko dziadek dowie się prawdy, ale w dodatku nic nie uratuje mojej reputacji.

- Wiem - przyznał z ociąganiem Anthony. - Ale będę miał oko na tego człowieka. Jeśli zrobi cokolwiek niestosownego...

- Nie robi.

Na szczęście Anthony zawsze traktował Camillę jak auto-

rytet, gdyż była od niego kilka lat starsza, toteż zrezygnował z dalszych sprzeciwów. Zaczęli rozmawiać o zdrowiu dziadka i ostatnich wydarzeniach w Chevington Park. Zdaniem Anthony'ego przez ostatnie miesiące nie zaszło absolutnie nic i mimo wielu pytań Camilla nie zdołała wykryć żadnego wydarzenia godnego uwagi oprócz śmiertelnie nudnego obiadu na plebanii u ich kuzyna Harolda.

Powściągliwość Anthony'ego bardzo ją zaniepokoiła. Anthony nie umiał znosić nudy bez narzekań. Albo więc kuzyn nie powiedział jej całej prawdy, albo naprawdę od dłuższego czasu cierpliwie znosił śmiertelną nudę, co musiało wkrótce skończyć się wybuchem. Camilla nieraz powtarzała dziadkowi, że gotuje nieszczęście, zatrzymując Anthony'ego w domu, gdzie jedynym zajęciem chłopaka jest nauka. Guwerner nie jest odpowiednim towarzyszem dla żywiołowego osiemnastolatka.

Wreszcie przestała wyciskać z niego informacje i powiedziała mu dobranoc. Wróciwszy zaś do sypialni, znalazła Benedykta pogrążonego w głębokim śnie. Tym razem nie zerwał się z łóżka z bronią w ręku. Camilla wsunęła się pod kołdrę, spodziewając się długiej walki z bezsennością, ku swemu zdziwieniu usnęła jednak prawie natychmiast.

Zbudziła się dopiero nazajutrz rano, gdy Benedykt wskoczył do jej łóżka.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Benedykt zręcznie przefrunął nad uśpioną Camilla i ułożył się na łóżku obok niej. Prawie jej nie dotknął, mimo to gwałtowny wstrząs natychmiast ją zbudził.

- Co... - zaczęła wściekle, ale od razu ją uciszył, zamykając w mocnym uścisku.

- Pst - szepnął jej do ucha. - Pokojówka.

W tej samej chwili Camilla usłyszała ciche pukanie, a zaraz potem drzwi wolno się uchyliły. Gdy Millie weszła na palcach do pokoju i stawiała tacę na stoliku przy łóżku, Camilla leżała nieruchomo w ramionach Benedykta, mając mocno zacisnięte powieki. Starła się oddychać równo i nie za głęboko, jakby spała, chociaż była bardzo daleka od zaśnięcia - jej uwagę zaprzętał tors Benedykta, który miała tuż przy policzku.

Ostatniego wieczoru pierwszy raz w życiu ujrzała nagi męski tors, lecz naturalnie jeszcze nigdy nie miała okazji go dotykać. Teraz Benedykt trzymał ją w ramionach jak w imadle, żeby nie ważyła się poruszyć i ich zdradzić. Nozdrza wypełniał jej zapach mężczyzny, a od ciała Benedykta sączyło się niepokojące ciepło.

- Panienko. Ehm... Pani Lassiter - odezwała się Millie

scenicznym szeptem. Camilla nie zareagowała, więc pokojówka pochyliła się nad łóżkiem. - Proszę się zbudzić.

Benedykt otworzył oczy i rozluźnił uścisk, w którym trzymał Camilę, ona zaś uznała to za sygnał, że wolno jej się poruszyć i „ocknąć”.

- Czego chcesz, do diabła? - spytał szorstko Benedykt.

- Bardzo pana przepraszam. - Millie wydawała się pełna skruchy. - Naprawdę przepraszam. Ale earl się obudził i chce pana poznać. Bardzo niecierpliwie dopytywał się o pana i panniekę... to znaczy panią Camillę.

- Och. - Camilla pojęła, skąd u pokojówki tyle śmiałości. Earl nie znosił sprzeciwów i żądał, by jego polecenia wykonywać bez dyskusji. - To dziadek kazał ci nas zbudzić i przyprowadzić do swojego pokoju, prawda?

- Tak, proszpani. - Dziewczynie ulżyło, gdy dostrzegła oznaki zrozumienia. - Właśnie tak było. Póki co przyniosłam państwu herbatę i grzanki.

Camilla skinęła głową.

- Dziękujemy, Millie. Nie mamy do ciebie pretensji.

- Nie mamy? - spytał kwaśno Benedykt.

Camilla chciała mu się zrewanżować nie mniej kwaśnym spojrzeniem, zamiast tego jednak uroczo się do niego uśmiechnęła i powiedziała:

- Mówiłam ci, najdroższy, jaki jest mój dziadek. Millie w niczym nie zawiniła. On na pewno kazał jej nas zbudzić,

Benedykt, o dziwo, odpowiedział na te słowa ujmującym uśmiechem i spojrzał na nią bardzo czule. Mało tego, pochylił się i delikatnie pocałował ją w usta.

- Naturalnie, kochanie. Kiedy widzę twój uśmiech, nie mogę się złościć. Wybacz mi, proszę.

- Och, kochanie... - Próbowała się zachować tak, jakby była przyzwyczajona do tego czułego spojrzenia i do ciepła jego warg. Dla uspokojenia głęboko odetchnęła.

- Czy wyprasować pani suknię? - spytała Millie, wchodząc do garderoby. - Rozwiesiłam wszystkie dopiero wczoraj wieczorem, więc jeszcze nie są takie jak trzeba.

- Tak. Weź tę muślinową w rzucik.

Millie dygnęła i znikła w obszernej garderobie. Wyłoniła się chwilę później z wybraną suknią i opuściła pokój, obiecując, że wróci „ani się pani obejrzy”.

Gdy pokojówka zamknęła za sobą drzwi, Camilla odetchnęła z ulgą.

- Wielkie nieba! Skąd pan wiedział, że ona wejdzie?

- Mam czujny sen. Usłyszałem, jak odstawia tacę, żeby zapukać, więc zorientowałem się, co zaraz nastąpi. Przepraszam, jeśli panią zaskoczyłem.

Usiadł na łóżku i odrzucił na bok koc. Camilla stwierdziła, że Benedykt leży na jej pościeli. Zdażył zabrać ze swojej kanapy koc i szybko przykryć nim ich oboje. Co więcej, chwycił również poduszkę. Bardzo skuteczny człowiek, nawet gdy czas nagli, pomyślała.

- Czy pani dziadek jest tak straszny, że wszyscy są natychmiast na jego rozkazy? - spytał, rozglądając się za komodą, do której pokojówka włożyła wczoraj jego ubrania. - Do tego stopnia, że są nawet gotowi budzić nas i siłą wyciągać z łóżka?

Bywa czasem despotyczny. Przyzwyczał się, że zawsze stawia na swoim, pan rozumie. Został earlem, gdy miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, czyli prawie sześćdziesiąt lat temu krótko mówiąc, dziadek rządzi prawie całe życie. Poza tym

pochodzi z innej, bardziej autokratycznej epoki i jest dość staroświecki.

- Rozumiem. Czyli lepiej, żebyśmy nie trzymali starszego pana w oczekiwaniu, prawda?

Włożył czystą białą koszulę i zapiął ją pod szyję. Potem zaczął rozpinąć spodnie, a Camilla zrozumiała, że zamierza je zmienić w jej obecności. Zachnęła się i pobiegła szukać azyłu w garderobie. Tam zdjęła nocną koszulę, włożyła koszulkę i jedyną halkę, którą mogła zmieścić pod modną, wysmuklającą spódnicą.

Wróciwszy z suknią, Millie zastała panią w garderobie. Wydało jej się dziwne, że Camilla tak traci czas, ale za bardzo się śpieszyła, by cokolwiek o tym powiedzieć.

Po powrocie do sypialni Camilla przekonała się, że Benedykt zdążył się już ubrać i nawet halsztuk ma nienagannie zawiązany. Czekał na nią rozparty na kanapce w pozie, która wyrażała zarówno znużenie, jak i szlachectwo. Tak bardzo pasował do wizerunku światowego, obdarzonego pewną dozą wyniosłej pogardy dżentelmena, który dla wielu modnych młokosów stanowił nieosiągalny ideał, że omal się nie uśmiechnęła.

Na jej widok wstał i skłonił się przed nią.

- Pięknie wyglądasz, kochanie, jak zawsze.

Wiedziała, że ten komplement jest częścią roli, a mimo to aż pokraśniała z zadowolenia. Zawsze miło jest usłyszeć pochwałę, wytłumaczyła sobie. I nie ma to nic wspólnego z tym, że chwali mnie Benedykt.

Usiadła przed toaletką. Millie szybko wyszczotkowała jej włosy i związała je w węzeł Greczynki, zostawiając kilka kosmyków, by wiły się swobodnie wokół twarzy. Gdy fryzura była

gotowa, Camilla z Benedyktem zeszli na dół i szerokim korytarzem dotarli do sypialni earla.

Z każdym krokiem nerwy coraz bardziej odmawiały jej posłuszeństwa. Myśl o okłamywaniu dziadka była dla niej wyjątkowo przykra, nawet gdy miało to służyć wyłącznie jego dobru.

- Zdenerwowana? - spytał ją Benedykt, gdy przystanęli przed drzwiami sypialni.

Skinęła głową. Zdziwiła się, gdy Benedykt przykrył jej dłoń swoją. Nie spodziewała się po nim takiego krzepiącego gestu.

- Spokojnie - powiedział cicho. - Będę przy tobie, w razie potrzeby ci pomogę. I pamiętaj, nie opowiadaj zbyt szczegółowo. Prawdziwe życie jest pełne sprzeczności i omyłek. Tylko kłamstwom nie można niczego zarzucić.

Jeszcze raz skinęła głową i wątle się do niego uśmiechnęła. Benedykt lekko zapukał do drzwi.

W chwilę później ukazał się na progu przygarbiony człowiek, sprawiający wrażenie starszego od Matuzalema. Był łysy, jeśli nie liczyć siwej aureolki włosów, obiegającej głowę na wysokości uszu, a skórę pokrywała mu siatka zmarszczek. Ale oczy miał bardzo bystre. Na widok Camilli uśmiechnął się szeroko i zawołał:

- Panna Camilla! Chociaż nie, powinienem powiedzieć: pani Lassiter. Proszę wejść, proszę - dodał i przytrzymując skrzydło drzwi, odsunął się na bok. - Jego lordowska mość długo pani wyczekiwał. Będzie bardzo szczęśliwy.

- Dzień dobry, Jenkins. - Camilla przesłała pokojowcowi promienny uśmiech. - Miło mi cię widzieć. Dobrze wywiadasz.

- Dziękuję. To miło, że pani tak mówi. Ostatnio trochę bardziej niż zwykle dokucza mi artretyzm, ale nie jest tak źle, nie będę się skarżył. - Przez całą drogę do wielkiego łoża przy oknie nie przestał jednak narzekać ani na chwilę. Ponieważ szedł wolno, szurając nogami, a pokój był bardzo duży, mogli tymczasem wysłuchać całkiem dokładnego opisu dolegliwości wszystkich stawów Jenkinsa z osobna.

W wielkim łożu siedział siwowłosy staruszek, kolana przykrywała mu narzuta z ciemnozielonego aksamitu. Mimo tej pozycji był ubrany w śnieżnobiałą koszulę z idealnie wykrochmalonym halsztukiem i ciężki szlafrok z ciemnozielonego atłasu, ozdobiony chińskimi smokami. Wyraźnie różnił się od pokojowca, włosy bowiem układały mu się w gęstą, srebrną grzywę, dłuższą niż nakazywała moda, a z tyłu tworzyły staromodny harcap. Był świeżo ogolony, zwracał uwagę czerstwą cerą. Oczy miał niebieskie, jaśniejsze niż wnuczka, a chociaż z wiekiem nieco się zamgliły, ich spojrzenie wciąż było uważne i bystre. Jeden kącik ust starego dżentelmena znajdował się wyraźnie niżej niż drugi, a gdy earl odzywał się albo uśmiechał, ta część twarzy pozostawała prawie nieruchoma. Benedykt uznał to za skutek ataku apopleksji.

- Milordzie - oznajmił Jenkins donośnie. - Przyszła panna Camilla.

- Widzę, ty stary głupcze - burknął earl. - Przestań krzyczeć. Ja nie jestem głuchy.

- Dobrze, milordzie. - Pokojowiec zdawał się nie przejmować tą uwagą. Benedykt nie był pewien, czy staruszek w ogóle ją usłyszał.

Earl tymczasem oddalił pokojowca niecierpliwym gestem i Jenkins poszurał nogami ku krzesłu w przeciwnym kącie

pokoju. Do łóżka szybko podeszła Camilla, na powitanie której dziadek wyciągnął rękę. Ucałowała jego dłoń i pochyliła się, żeby cmoknąć go w policzek.

- Jak się czujesz, dziadku? Widzę, że ciągle na wszystkich fukasz.

Wydał z siebie mrukliwy odgłos, ale nie puścił jej dłoni. Pokazał, by usiadła na krześle obok łóżka.

- Czuję się lepiej, niż sądzi każdy z tych głupców po kolei, to pewne. A fukam na nich, bo inaczej wszyscy byliby przekonani, że jestem jedną nogą w grobie.

- Ty? Nigdy!

Staremu earlowi zabłyśły oczy. Uszczypnął Camillę w policzek.

- Od dziecka masz ikrę. Podoba mi się to. Zawsze, źle znośłem potulne, delikatne stworzenia. Twoja matka była taka. Ledwie mogłem uwierzyć, że to moja córka. Na szczęście Ferrand jakoś ją znalazł. Taką mysz! Nie przypuszczałem, że ktokolwiek ją zechce.

- Dziadku! Mówisz o mojej matce!

Wzruszył ramionami.

- Wiem. Twoja matka była moją córką. Ale to nie znaczy, że nie mogę mówić o niej prawdy. Na szczęście przynajmniej się uśmiechała, czego nie mogę powiedzieć na przykład o tej okropnej Beryl. Nie wiem, co ona tu robi, u diabła. Nigdy nie mogłem ścierpieć jej obecności.

- Przyjechała tutaj, bo jesteś chory - wyjaśniła mu Camilla.

- Ech, to jest właśnie najlepszy powód, żeby nie przyjeżdżała. Jeśli kogoś nie lubisz, gdy czujesz się dobrze, to pytam cię, jak możesz go wytrzymać w chorobie. Coś okropne-

go. Ona ani chybi wymyśliła sobie, że będę za bardzo chory, żeby ją stąd wykopać. - Zrobił groźną minę. - A może chce przyspieszyć moje zejście z tego świata? Przecież mnie głodzi.

- Głodzi cię?!

Skinał głową.

- To przez nią kucharka karmi mnie kleikiem. Powiedziała, że nie powinienem jeść tyle krwistego mięsa. Praktycznie żyję teraz o chlebie i wodzie. Zabroniła też Purdle'owi i Jenkinsovi podawać mi alkohol oprócz lekkiego wina do obiadu. Pytam cię, co to jest, jak nie próba wysłania mnie na tamten świat. Przeklęta kobieta.

- Nie rozumiem, dlaczego służba jej słucha, a twoje polecenia ignoruje. - Camilla dobrze wiedziała, jak gospodyni nie cierpi wtrącania się ciotki Beryl do wszystkiego, i wiedziała też, że służba jest niesłychanie lojalna wobec dziadka.

- Przekonała ich wszystkich, że jeśli pozwolą mi jeść to, co chcę, albo wypijać kieliszek brandy po obiedzie, to pomogą mnie zabić. - Twarz poczerwieniała mu od gniewu. - Przekłętą doktor kazał im słuchać Beryl. Powiedziałem temu szarlatanowi, co o tym myślę. Kazałem mu się wynosić raz na zawsze, ale on i tak wciąż tu wraca. Diabelska pijawka.

Camilla zachichotała dość nienaturalnie.

- W Edgcombe jest tylko ten jeden doktor. Musisz się zgodzić na jego wizyty.

- Tak też mi wszyscy powtarzają. Ale mówię ci, że to przez niego jeszcze jestem chory. On nie pozwala mi nawet wstać z łóżka i zejść na dół, jeżeli lokaje mnie nie zniosą i nie posadzą na krześle. - Starszy pan przestał wyrzekać na doktora, obrócił głowę i zmierzył Benedykta spojrzeniem spode łba.



- Czy to on? - mruknął. - Chodź bliżej, chłopcze, żebym mógł cię zobaczyć.

Skinał ku tej stronie łóżka, po której siedziała Camilla, a przez okno wlewało się ciepłe, słoneczne światło poranka. Benedykt posłusznie się zbliżył i uprzejmie skłonił przed starym dżentelmenem. Nie był to elegancki ukłon godny pana Sedgewicka lub kuzyna Bertrama, Camilla wiedziała jednak, że człowiek, który tak by się skłonił, zostałby uznany przez dziadka za utracjusza, dworaka i mamisynka, jak zwykł mawiać lord Chevington.

- Dziadku, to jest właśnie pan Benedykt Lassiter. Benedyckie, to jest mój dziadek, earl Chevington.

- Dzień dobry, sir - powiedział Benedykt. - Cieszę się, że zastałem pana w dobrym zdrowiu.

- Co masz na swoje usprawiedliwienie, młody człowieku? - spytał szorstko earl. - Co sobie wyobrażałeś, porywając moje dziewczę, nawet nie poprosiwszy mnie o jej rękę?

- Och, dziadku... - jęknęła Camilla. - Wiesz dobrze, że nie uznaję takich przestarzałych obyczajów.

Ani earl, ani Benedykt nie zwrócili na nią uwagi. Benedykt spojrzawszy starszemu panu prosto w oczy i powiedział:

- Postąpiłem niewłaściwie, sir, i błagam o wybaczenie. - Uśmiechnął się i wtedy rysy jego twarzy nagle złagodniały.

- Muszę jednak dodać, że nie mogłem czekać, na pewno nie na taką kobietę jak Camilla. Byłem pewien, że pan to zrozumie, i ufałem, że mimo niecierpliwości, jaką zgrzeszyłem, nie zostaną osądzeni zbyt surowo i będę mógł okazać panu szacunek już po ślubie.

- Hmm... Bardzo pięknie mówisz, muszę przyznać.

Camilla spojrzała zdumiona na Benedykta, również ujęta

jego słowami. Przemowa była prosta, bezpośrednia, lecz zarazem przepełniona szacunkiem dla osoby earla. Dyskretnie wyrażała też siłę uczucia Benedykta dla żony. Mimo że dziadek pozornie odniósł się do tej przemowy lekceważąco, Benedykt wywarł nią odpowiednie wrażenie, tego Camilla była pewna. Zastanawiała się, skąd jej rzekomy mąż wiedział, że tak właśnie należy podejść do staruszka. Może po prostu obaj są podobni, pomyślała.

Ta myśl tak zaskoczyła Camillę, że natychmiast poszukała dla niej przeciwwagi. Och, nie, oczywiście, że earl w niczym nie przypominał Benedykta. Był człowiekiem niezłomnych zasad, który nigdy nie uchylał się od obowiązku, szlachcicem w każdym znaczeniu tego słowa. Owszem, był też staroświecki i despotyczny, ale Camilla wiedziała, że i tak nie ma na świecie człowieka, do którego wolałaby się zwrócić, znalazłszy się w kłopotach. W każdym razie tak było, zanim dziadek zachorował. Jak mogła porównać z nim tego prostaka, który prawdopodobnie był złodziejem, a na pewno człowiekiem gotowym zrezygnować z własnego nazwiska dla drobnej sumy. To była czysta niedorzeczność!

Cóż, widocznie zmyliły ją ich podobne miny i gesty. Benedykt był wysoki, miał władczy charakter, podobnie jak dziadek, i zwykł spoglądać na innych dość arogancko, jakby oczekiwał, że wszystko, co powie, zostanie wykonane. U dziadka był to wynik wielu lat wychowania i życia w szacunku należnym earlowi Chevington. Camillę zastanowiło jednak, gdzie wyrobił sobie takie cechy Benedykt. Czyżby był aż tak dobrym aktorem? A jeśli jednak nie pochodził z klas niższych, jak początkowo sądziła? Mógł być synem z nieprawego łoża albo nawet synem z dobrej rodziny, która popadła w niełaszkę, lub

synem zbiedniałych, choć szlachetnie urodzonych ludzi. W każdym razie coraz częściej odnosiła wrażenie, że musiał dorastać w otoczeniu arystokratów, bo inaczej nie mógłby tak łatwo naśladować typowych póz i zachowań.

Przypomniała sobie domniemania Anthony'ego. Biedny syn szlachetnie urodzonych rodziców naturalnie mógł zostać urzędnikiem celnym. Albo mógł wstąpić do wojska. Przecież to właśnie wojsko zawsze wyłapywało przemytników. Czyżby Anthony się nie mylił i zgoda Benedykta na udawanie jej męża miała również inne, ukryte przyczyny?

- Ale czy myślisz, młodzieńcze, że za kilka pięknych słówek dostaniesz moje błogosławieństwo? - ciągnął wojowniczo earl.

- Nie zastanawiałem się nad tym - odparł Benedykt. - Szczerze mówiąc, sir, nie dbam o to, czy pobłogosławi pan nasze małżeństwo. Naturalnie ze względu na Camillę mam nadzieję, że tak właśnie się stanie. Camilla byłaby wtedy o niebo szczęśliwsza.

- Nie udawaj, dziadku - wtrąciła Camilla. - Oboje wiemy, że cieszysz się z mojego zamążpojscia. Nie próbuj zastraszyć Benedykta, bo ci się nie uda.

- Hmm... - Earl przyglądał mu się przez chwilę bez mrugnięcia okiem, a potem powiedział nieco zrzędliwie. - Chyba muszę uznać pana za nowego członka rodziny.

- Dziękuję, sir.

- Czy gra pan w szachy? - spytał earl z nadzieją w głosie.

- Och, dziadku... nie. Chyba nie chcesz zmusić Benedykta do gry w szachy?

- Dla mnie to nie kłopot - powiedział szybko Benedykt.

- Z przyjemnością rozegram partyjkę, sir, jeśli ma pan ochotę.

Chevington radośnie się roześmiał.

- Jenkins, przynieś nam szachy! Panie Lassiter, proszę wziąć sobie krzesło. - Usiadł prościej i zatarł ręce. - Wspólnie. Nikt tutaj nie chce ze mną grać. No, może z wyjątkiem Anthony'ego, ale on jest zbyt nerwowy. Złości mnie, bo bez przerwy podskakuje na krzesło i przechadza się po pokoju, kiedy próbuję pomyśleć. A inni uważają, że od gry w szachy dostanę następnego ataku apopleksji, zresztą i tak żadni z nich partnerzy. Z Lidią gra się gorzej niż z dzieckiem, a Beryl bez przerwy monologuje.

Camilla z niepokojem wędrowała wzrokiem od dziadka do Benedykta i z powrotem.

- Dziadku, czy jesteś pewien, że powinieneś grać? - Nie obawiała się bynajmniej, że gra w szachy wzburzy earla na tyle, by miał dostać ataku apopleksji, ale nie podobało jej się, że dziadek spędzi tyle czasu z Benedyktem. Groziło to nie zamierzonym lapsusem.

- Na miły Bóg, dziewczyno, nie zrzedź mi tak jak reszta! Nie pęknie mi przecież żyłka w głowie od partii szachów. Może pójdziesz tymczasem odwiedzić ciotkę? Lidia bardzo niecierpliwie na ciebie czeka.

- Hm, może raczej posiedzę tu i przyjrzę się, jak gracie. - Ewentualne sam na sam Benedykta z earlem podobało się Camilli jeszcze mniej. Mimo wieku i obecnej niedyspozycji dziadek był bystry. Nieraz widziała, jak niweczył plany ludzi, którzy liczyli na to, że w chorobie stracił jasność myślenia.

- Nie rób tyle zamieszania - skarcił ją earl. - Obiecuję, że nie będę przesłuchiwał tego młodzieńca. W każdym razie nie za długo. - Puścił oko do Benedykta.

Jenkins wniósł szachownicę i ustawił ją na łóżku, a Bene-

dykt zaczął rozstawiać figury. Camilla stała za nim, usiłując wymyślić powód, dla którego powinna zostać w pokoju. Benedykt podniósł głowę i uśmiechnął się do niej uspokajająco.

- Nie troskaj się, Camillo. Nic mi się nie stanie, najdroższa. Tylko byś się znudziła, gdybyś przyglądała się grze. Za to na pewno macie sobie mnóstwo do powiedzenia z wicehrabiną.

Camilli przypomniało się, że obiecała ciotce Lidii szczegółowy opis ślubu z Benedyktem, i jeszcze bardziej straciła ochotę na opuszczenie pokoju dziadka. Ale skoro zarówno dziadek, jak Benedykt wyraźnie dali jej do zrozumienia, że powinna wyjść, nie mogła dłużej się upierać. Z westchnieniem pochyliła się nad dziadkiem, cmoknęła go w policzek i obiecała przyjść do niego z wizytą po południu.

Gdy wyszła z pokoju, Benedykt zwrócił się do earla.

- Przypuszczam, sir, że nadszedł czas, żebym opowiedział o stanie moich finansów oraz pensji, którą wyznaczam Camilli.

Earl tylko machnął ręką i tym samym zbagatelizował temat.

- Czy jest pan w stanie się nią zaopiekować?

- Tak.

- Czy będzie pan marnotrawić jej pieniądze?

- Jej pieniądze pozostaną jej pieniędzmi, będzie mogła nimi dysponować według własnej woli - odrzekł zgodnie z prawdą Benedykt. - Szczerze mówiąc, nawet nie wiem, ile Camilla ich ma.

Staruszek spojrzał na niego zdziwiony, ale tylko pokręcił głową.

- Ech, te nowe czasy i to nowe myślenie... Powiem panu tylko, że Camilla jest samowystarczalna i zawsze taka była. Naturalnie stary Marlin dobrze się nią zaopiekuje. Jest od lat moim agentem, przedtem był nim jego ojciec. - Urwał i przy-

rzał się Benedyktowi. - Czy pan uprawia hazard? Czy pan pije? Czy ugania się pan za kobietami?

- Nie. Nie uprawiam gier hazardowych i nie piję w nadmiarze, nie jestem też rozpustnikiem. - Benedykt próbował pohamować swe oburzenie tymi pytaniami. Bądź co bądź, earl miał święte prawo wtrącać się do jego prywatnych spraw, skoro uważał go za zięcia.

Stary człowiek gdakliwie się zaśmiał.

- Nie lubisz wypytywania, prawda? Ech, gdybym był w twoich butach, też bym nie lubił. Ale nie jestem i troszcę się tylko o dobro mojej wnuczki. Nie będę pytał, czy ją kochasz. Głupie pojęcie. Za moich czasów ludzie nie pletli byle czego o miłości, w każdym razie nie w związku z małżeństwem. Ślub brało się, żeby założyć rodzinę i zapewnić sobie dobra, a jeśli miało się trochę szczęścia, to naturalnie współmałżonka można było nawet polubić. - Wzruszył ramionami. - To nie ma znaczenia, czy ją kochasz. O ile znam moje dziewczę, szybko się w niej zakochasz.

Benedykt nie mógł wymyślić żadnej trafnej odpowiedzi.

- Ech, weźmy się do pracy - zniecierpliwił się earl, jakby to Benedykt odwlekał rozpoczęcie partii. Skinął w stronę szachownic i zaczęli grać.

Wkrótce Benedykt stwierdził, że sprawia mu to dużo większą przyjemność, niż oczekiwał. Starszy pan dość szybko go przechytrył i wygrał pierwszą partię, ale już w drugiej Benedykt mu się zrewanżował.

- No, no... Musimy jeszcze kiedyś zagrać - powiedział earl, z uśmiechem sadowiąc się wygodniej wśród poduch i poduszek. - Jesteś, młodzieńcze, jedynym człowiekiem, który tu porządnie gra.

Benedykt skłonił głowę, uznając tym wartość pochwały, i zaczął się podnosić, jednak Chevington pokazał mu, żeby poczekał.

- Nie. Siadaj. Mam ci jeszcze coś do powiedzenia. - Rozejrzył się po pokoju. - Jenkins?

- Jestem, milordzie. - Benedykt zapomniał o starym słudze, ten jednak wnet podszedł po komplet szachów.

- Zabierz to i poszukaj sobie czegoś do zrobienia.

Jenkins zmarszczył czoło.

- Milordzie... - Zerknął na Benedykta, potem z powrotem na earla. - Czy chce pan spać? Mam odprowadzić pana Lassitera?

- Nie, do diabła! Nie chcę spać. Ciagle to robię. A pan Lassiter na pewno umie sam trafić do drzwi. Chcę z nim porozmawiać. Na osobności.

- Naturalnie, milordzie - powiedział chłodno Jenkins i wyprostował się niczym żołnierz. Powłócząc nogami, odszedł z kompletem szachów. Na progu jeszcze raz się obejrzał, po czym wreszcie zamknął za sobą drzwi

Earl głośno westchnął.

- Och, będzie mi to wypominał przez cały tydzień. Jest gorszy od żony. - Pokiwał głową. - Trudno. - Zwrócił się do Benedykta i przez chwilę bacznie mu się przyglądał. - Muszę z tobą poważnie porozmawiać, młodzieńcze.

- Słucham pana. - Benedykt wyprostował się, zaniepokojony nagłą zmianą tonu.

- Najpierw - stary dżentelmen wyciągnął ku niemu długi, kościsty palec i przeszył go wzrokiem - powiedz mi, czy umiesz dotrzymać tajemnicy.

- Naturalnie.

- Nawet przed Camilla?
- Jeśli trzeba.
- To dobrze. Wobec tego otwórz to okno.

Benedykt chętnie spełnił życzenie starszego pana. W pokoju było duszno i za ciepło, więc od dłuższego czasu nie mógł odetchnąć pełną piersią. Podciągnął okno i wpuścił orzeźwiający, wiosenny podmuch. Potem odwrócił się z powrotem twarzą do łoża, a wówczas earl Chevington wskazał mu stary, mahoniowy kredens, stojący przy oknie.

- Idź tam i otwórz drugą szufladę od góry - polecił. - I sięgnij na spód, pod ubrania.

Wykonawszy tę instrukcję, Benedykt natrafił dłonią na niewielkie pudełko. Wyjął je i wrócił z nim do earla. Chevington z uśmiechem je otworzył i oczom Benedykta ukazało się kilka równo ułożonych cygar. Earl wydał przeciągłe, zadowolone westchnienie i wziął jedno z nich. Podstawił je sobie pod nos i przesunął w palcach, wdychając jego aromat.

- Och, nie ma jak dobre cygaro. Nic tak nie pobudza zdolności myślenia ani nie służy gładkości wymowy. - Wyciągnął rękę z pudełkiem w stronę Benedykta. - Poczęstujesz się?

- Dziękuję. - Benedykt wziął cygaro, earl zaś dobył niewielkiego obcinacza z szufladki stolika przy łóżku.

- Nie zamierzasz mnie złajać? - spytał, gdy dopełniali rytuału obcinania końców i zapalania cygar.

- Nie, sir. Moim zdaniem decyzja należy do pana.

- Cieszę się. Tu wszyscy mnie rugają, jak tylko choćby wspomnę o tytoniu albo o kieliszku brandy. A ja uważam, że nie ma pożytku z życia, jeśli trzeba żyć, odmawiając sobie wszystkiego.

- Ma pan rację. - Benedykt przypomniał sobie, jak spędzał



dzień za dniem w ciasnym pokoiku, nie mogąc urozmaicić sobie czasu nawet najbardziej niewinnym nałogiem. Aż zadrżał na to wspomnienie.

Przez dłuższą chwilę siedzieli w przyjaznym milczeniu i palili cygara. Wreszcie Chevington powiedział obojętnym tonem:

- Służysz w wojsku, prawda?

Benedykt zerknął na niego, dość zaskoczony.

- Rzeczywiście, służyłem. W lekkiej kawalerii. Jeszcze kilka miesięcy temu byłem w Hiszpanii.

Starszy pan skinął głową.

- Masz postawę wojskowego. Dlaczego wystąpiłeś z armii?

- Dostałem postrzał w udo. - O dwóch innych, drobniejszych ranach nie wspomniał. - Najgorsze, że doszło do zakażenia, gdy nie mogłem szybko wrócić do swoich. Potem spędziłem przez to wiele tygodni w łóżku. No, i musiałem wystąpić z wojska. Poza tym... Poza tym miałem też powody natury osobistej.

- Rozumiem, że tak poznałeś Camillę. Kurowałeś się w Bath?

Benedykt skinął głową. Opowiadał swoje prawdziwe dzieje, ale okazało się, że całkiem dobrze pasują do wymyślonej opowieści Camilli.

- Trudno chorować, kiedy Camilla jest w pobliżu.

Chevington w zamyśleniu wypuścił chmurę dymu. Wreszcie powiedział:

- Zdaje się, że jesteś człowiekiem, jakiego potrzebuję.

- Czy tak, sir? - Benedykt bardzo był ciekaw, do czego zmierza ta rozmowa.

- Tak. Naturalnie w normalnych okolicznościach zająłbym się tym sam. Ale tak mnie przykuli do tego łoża, że nie jestem w stanie. Sytuacja wymyka mi się spod kontroli.

- Mówi pan o majątku? O tym powinien pan chyba porozmawiać z dziedzicem.

- Nie. Nie chodzi o majątek. Dzierżawca gruntów jest solidnym człowiekiem i wszystko mi mówi. Marlin też. Nie martwię się o inwestycje ani o finanse. Widzisz, Anthony jest jeszcze bardzo młody. W tym nie mogę na niego liczyć. Zresztą obawiam się, że... Mniejsza o to, sam do tego musisz dojść. Bo rozumiesz, na tym polega problem. Za mało wiem. Praktycznie nie wiem nic.

- O czym?

- O tym, co się tu dzieje. - Zmarszczył czoło w poczuciu bezsilności. - Nie wiem dlaczego, ale dzieje się tu coś złego. Coś piekielnie podejrzanego. Bardzo się boję, co będzie dalej.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Benedyktowi przyśpieszył puls, chociaż bardzo starał się nie okazać podniecenia.

- Nie bardzo rozumiem, o czym mowa, sir. Dlaczego uważa pan, że źle się dzieje?

- Przeczucie. Wprawdzie nie mogę wyjść z domu, żeby się rozejrzeć, ale mam dookoła dużo przyjaciół, którzy mnie odwiedzają. Poza tym Jenkins i Purdle dokładnie mi opowiadają, co słycać w majątku.

- A co słycać?

Starszy pan wydał wargi, zastanawiając się nad odpowiednim słowem.

- Tak jakby coś zawisło nad tym miejscem. Coś się zmieniło. Zresztą po śmierci Nata Crowdera nie może być inaczej.

- Nata Crowdera? - powtórzył zdeorientowany Benedykt.

- A któż to taki?

- Miejscowy. Porządny chłop, uczciwy dostawca. Z takim człowiekiem można handlować. Był stolarzem, robił meble, zresztą marne. Ale był też piekielnie zręcznym przemytnikiem. Niedawno odszedł z tego świata i od tej pory... po prostu jest dziwnie. - Earl spojrzał na Benedykta. - Pewnie nie rozumiesz, jak to jest z przemysłem. Nietutejsi często tego nie ro-

rozumieją. Myślą, że wszyscy przemytnicy są zwykłymi przestępcami. - Wzruszył ramionami. - Ech, może rzeczywiście, ale to nie są źli ludzie. Na pewno nie wszyscy. W każdym razie tu patrzy się na to inaczej. Ludzie trudnią się przemytem od lat, od pokoleń. Na przykład Crowderowie. Przemytnikiem był już pradziadek Nata. Miejscowi uważają to za całkiem uczciwe zajęcie. Komu szkodzą przemytnicy? Kto przewoziłby kontrabandę, gdyby te przekłete cła nie były za wysokie?

Argument był stary jak świat i powszechnie znany. W przeszłości cła na tytoń i herbatę były tak wysokie, że przeciętnego człowieka stać było na kupno tych towarów tylko z przemytu. Benedykt wiedział, że przydomek Sam Przemytnik jest traktowany w tej okolicy równie normalnie, jak Sam Piekarz albo Sam Krawiec. Nawet proboszcz jego parafii kupował przemycaną herbatę i nie widział w tym nic złego. A koloniści w Stanach podnieśli bunt z powodu wysokich ceł na ten szlachetny towar.

- Chyba jednak sprawa ma się inaczej, gdy mowa o sprowadzaniu alkoholu z Francji w czasie wojny z Francją, nie sądzi pan? - sprzeciwił się Benedykt. - To jest zdrada ojczyzny. - Poczul się strasznym hipokrytą. Bądź co bądź, wraz z Jermynem korzystali z usług tych samych przemytników, organizując siatkę „Gideon” we Francji.

Starszy pan parsknął, wyraźnie zadowolony, że znalazł oponenta w dyskusji.

- Twierdzisz, że człowiek ma zrezygnować z brandy tylko dlatego, że jest wojna? Zresztą przemyt działa w dwie strony, Do Francji wywozimy angielską bawełnę, mimo że cesarz wydał surowy zakaz sprowadzania angielskich towarów. I proszę

- Francuzi kupują ją w każdej ilości. To chyba nie szkodzi, jeśli ucieramy nosa Bonapartemu i utrudniamy mu walkę z angielskim handlem, prawda?

Benedykt uśmiechnął się.

- Ten argument trudno podważyć.

- Naturalnie. Było nie było, chcę tylko powiedzieć, że tutaj uważamy przemysł za zupełnie normalne zajęcie. Nikt nie lubi, jak rząd się mądrzy i dyktuje nam, co mamy robić. Kto jest obcy, nie powinien się wtrącać.

- Ja też jestem obcy - zwrócił mu uwagę Benedykt. - A pan prosi, żebym się wtrącił.

Chevington zaprzeczył ruchem głowy.

- Jesteś teraz członkiem mojej rodziny, więc na pewno nie kimś obcym. Zwłaszcza gdy rozejdzie się po okolicy, że uznałem cię za zięcia i że dostałeś ode mnie pełnomocnictwo, jeśli tak można powiedzieć.

- Widzę, że ma pan swoje wpływy.

Starzec wzruszył ramionami.

- Jestem Chevingtonem z Chevington Park - powiedział po prostu. - Ludzie nas poważają. Mnie poważają.

- Wciąż jednak nie bardzo wiem, czego pan ode mnie oczekuje.

- Oczekuję, że dowiesz się, co jest nie tak. Musisz porozmawiać z ludźmi. Pogadać z Purdle'em. Popytać we wsi.

Benedykt skinął głową.

- Ten Nat Crowder... - starał się, by ton jego głosu brzmiał obojętnie. Jak dotąd nic o tym zdarzeniu nie słyszał. A przecież śmierć przemysłownika mogła mieć wielkie znaczenie.

- Jak on umarł?

- Nikt tego nie wie. Któregoś ranka znaleziono go na plaży

pod klifami ze złamanym karkiem. Dziwne, bo Nat znał te klify jak własną kieszeń.

- Hm. Rzeczywiście wygląda to podejrzanie. Myśli pan, że ktoś go zabił?

Earl wzruszył ramionami.

- Klify są zdradliwe. Każdy może z nich spaść. Nie wiadomo, co naprawdę się stało. Ale mnie to niepokoi. Podobno po śmierci Nata przemytnicy zostali bez przywódcy. Mimo to nadal działają. Moim zdaniem znaleźli nowego.

- Kogo?

- Tego nie wiem. Nie słyszałem żadnych nazwisk. Nie mam o tym informacji. Myślę, że ten człowiek żyje teraz w strachu. I że bardzo niewiele osób wie, kto to jest.

- Czy to jest normalne?

- Nie. Jak ci mówiłem, przemyt jest u nas w gruncie rzeczy prawie instytucją. Przemytnicy pochodzą stąd i wcale się nie kryją. Wszyscy o nich gadają. Zwykle dobrze wiadomo, kto się tym zajmuje, a nawet kto tym rządzi. Tak było za Nata Crowdera.

Benedykt skinął głową w zadumie.

- Dlaczego pan chce to wszystko wiedzieć? Jak zamierza pan wykorzystać informacje, które mam dostarczyć?

- Powiedziałem ci. Chevingtonowie zawsze sprawowali pieczę nad Edgcombe. Traktuję to jak swój obowiązek.

Benedykt zamyślił się nad tymi słowami. Nie wątpił, że earl czuje się odpowiedzialny przed miejscowymi, których uważa za „swoich ludzi”. Takie samo poczucie miał Benedykt w majątku Rawdon w Lincolnshire. A jego stryj i dziadek mieli je w jeszcze większym stopniu. Mimo to nie mógł pozbyć się wrażenia, że za niepokojem Chevingtona kryje się coś wię-

cej. Stary earl przejmował się ponad miarę. Jakie naprawdę znaczenie miała dla niego walka o władzę wśród przemysłowców i zmiana przywódcy?

Miał nadzieję, że może i tego za chwilę się dowie, ale Chevington już zamilkł i tylko na niego patrzył. Wreszcie Benedykt powiedział:

- Zgoda. Sprawdzę, czego będę mógł się dla pana dowiedzieć.

Dokończyli palić cygara, Benedykt zgasił oba, a niedopałki i popiół wyrzucił przez okno w krzaki. Potem odłożył pudełko z cygarami do skrytki i starannie zatrzęsł okiennicę.

- Odwiedź mnie jeszcze - zażądał earl z błyskiem w oku.

- Zagramy w szachy.

- Odwiedzę.

Benedykt wyszedł na korytarz, a ponieważ zastał tam tylko urażonego Jenkinsa, który siedział w oczekiwaniu na koniec rozmowy, udał się na dół. Camillę znalazł w pokoju dziennym, mniejszym i wygodniejszym od salonu, w którym witali się z rodziną poprzedniego wieczoru. Spojrzała na niego i uśmiechnęła się promiennie. Znów przemknęło mu przez myśl, że jest urocza. Wcale nie było mu trudno udawać młodego żonkosia. Na widok Camilli ogarnęło go najprawdziwsze pożądanie.

-O jesteś kochanie-powiedział ,tłumiąc w sobie wybuch namiętności. Z szacunkiem pochylił się nad jej dłonią, by po chwili zwrócić się do towarzyszki Camilli: - Dzień dobry, wicehrabino.

- Dzień dobry, panie Lassiter - odparła słodko Lidia. - Camilla właśnie opowiedziała mi o waszym ślubie. Co za wzruszająca historia.

Benedykt nie wątpił w to ani trochę. Zastanawiał się tylko, jaka jest treść owej historii. Zerknął na Camillę z nadzieją na odsiecz, ale ona zagadkowo się uśmiechnęła.

- O, tak - powiedział w końcu, licząc na to, że ten nic nie mówiący wręt pasuje do każdej sytuacji.

- I bardzo smutna. Biedna pańska matka.

- Tak... - Usiadł na kanapce obok Camilli i przesłał Lidii uśmiech, który miał być zarówno ciepły, jak i smutny. Do licha, w jaką to znów tragedię uwikłała go Camilla?

- Ale muszę powiedzieć, że mam dla pana wiele podziwu. Jednak wytrzymał pan u jej boku.

- Cóż, to był mój obowiązek.

- To prawda. - Lidia promieniała. - Powiedziałam Camilli, że powinna była zwierzyć mi się już dawno. Naturalnie dobrze znam was, młodych. A mając tak strasznego stryja, mógł pan stracić zaufanie do każdej rodziny.

- Mhm - mruknął, całkiem zmylony. Poruszył się na kanapie. - Milady, jeśli pani nam wybaczy, chciałem poprosić Camillę, żeby oprowadziła mnie po ogrodzie.

- Naturalnie. Jeszcze nie wszystko kwitnie, ale jestem pewna, że z Camilla będzie się panu wszędzie podobać.

- O, tak.

Wstał i podał ramię Camilli, która zgrabnie uniosła się z kanapki. Błyski w jej oczach wskazywały, że cieszy ją zmieszanie Benedykta. Może jest urocza, ale również bardzo irytująca, pomyślał.

Właśnie zbliżali się do drzwi, gdy do pokoju leniwie wsunął się fircykowaty kuzyn Camilli.

- O, moja droga kuzynka. I pan Lassiter. Zdaje się, że wszyscy zeszli tu przede mną. Takie własności ma podobno



wiejskie powietrze - odświeża i dodaje sił. Muszę jednak powiedzieć, że co do mnie, raczej rzadko dobrze sypiam na wsi. Przeszkadzają mi hałasy, te pohukiwania sów, wrzaski kogutów... Dokoła są straszne ilości ptactwa.

- To musi być bardzo wyczerpujące, kuzynie Bertramie - powiedziała współczująco Camilla. - Koniecznie opowiedz o tym cioci Lidii. Benedykt i ja idziemy na spacer po ogrodzie.

- O, właśnie. Wysięk fizyczny. To jeszcze jedna uciążliwość życia na wsi. Ludzie bez przerwy gdzieś chodzą na piechotę. Mniejsza o to, nie będę dłużej zakłócał waszej sielanki.

- Usunął się z przejścia i zrobił kilka kroków w stronę Lidii, po chwili jednak przystanął z palcem przy ustach. - Panie Lasiter, mam bardzo dziwne wrażenie, że skądś pana znam. Czyżbyśmy już się kiedyś spotkali?

- Wątpię - wtrąciła pospiesznie Camilla. - Benedykt mieszka w Bath.

- Przez całe życie? - Twarz Bertrama wyrażała niedowierzanie, że ktoś mógłby mieszkać w Bath tak długo.

- Tak - powiedziała Camilla.

- Nie - odparł jednocześnie Benedykt.

Przykrył wolną ręką dłoń Camilli, spoczywającą na jego ramieniu, i uzupełnił:

- Przesadzasz, kochanie. Zanim sprowadziłem się do Bath, mieszkałem w... hm, rodzinnym majątku.

- Naturalnie, kochana - dodała Lidia. - Przecież miał tego okropnego stryja.

- To prawda. Głupio mi się powiedziało.

- Pamiętaj, że moje życie nie zaczęło się od spotkania z tobą w Bath - ciągnął Benedykt z uroczym uśmiechem.

Za plecami usłyszał ciche, drżące westchnienie Lidii. Na-

tomiast kuzyn Bertram wyglądał tak, jakby coś mu dolegało. Benedykt pożegnał go uprzejmym skinieniem głowy i porwał Camillę z pokoju, zanim Bertramowi zaświtało w głowie, gdzie mógł być spotkać Benedykta.

- Znasz go? - spytała szeptem Camilla, gdy przeprowadziła go przez cały parter do ogrodowych drzwi.

Benedykt pokręcił głową.

- Ja go nie poznałem. Ale on mógł mnie kiedyś widzieć. To niewykluczone.

- Kuzyn Bertram zachowuje się jak głupek, ale jest całkiem bystry. Jeśli cię zna, to prędzej czy później z tym wyskoczy. Mam nadzieję, że nigdy dla niego nie pracowałeś.

Benedykt pokręcił głową.

- Ani niczego mu nie ukradłeś?

- Dlaczego trwasz w przekonaniu, że jestem złodziejem?  
- spytał zirytowany Benedykt.

- Nie wiem. Może dlatego, że ukradłeś mi dylizans.

- Nie ukradłem, tylko nim powoziłem.

- Bez mojego pozwolenia.

Zbył ten nieistotny szczegół wzruszeniem ramion.

- Może spotkałem go, gdy byłem młodszy. Nie pamiętam. Przez ostatnie kilka lat nie było mnie w kraju, więc...

Camilla zrobiła wielkie oczy.

- Chcesz powiedzieć, że byłeś zmuszony wyjechać? Wygnano cię?

Zmarszczył czoło.

- Jak zwykle masz o mnie bardzo dobre zdanie. Nie, nie jestem banitą. Byłem w wojsku, tak jak powiedziałem twojemu dziadkowi. Lepiej więc wpleć ten fakt do swojej „wzruszającej historii”.

- Ojej, sprawa się komplikuje. Trudno, jeśli sprzeczność wyjdzie na jaw, powiem Lidii, że wstąpiłeś do wojska, gdy doszedłeś do wniosku, że już cię nie Kocham. Ale... Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Jak?

- Jakbyś miał ochotę zacisnąć mi ręce na gardle.

- Nie żartuj. Zastanawiałem się tylko, co cię opętało, żeby opowiedzieć taką historię.

- Musiałam jakoś wyjaśnić cioci Lidii, dlaczego wzięliśmy taki nagły ślub i dlaczego nigdy przedtem o tobie nie słyssała.

Westchnął i otworzył drzwi. Znaleźli się w ogrodzie.

- Niech ci będzie. Powiedz mi wobec tego, jaką mam przeszłość. Nie wątpię, że wyznaczyłaś mi rolę głupca.

- Nie, chociaż oczywiście zostałeś oszukany.

- Oczywiście.

- Ale ja też. - Ruszyli zwirową ścieżką, prowadzącą między starannie wymierzonymi rabatami. - Powiedziałam cioci Lidii, że poznaliśmy się w Bath wiele lat temu, kiedy byłam tam z Barringtonami. To są kuzyni mojego ojca. Lidia nigdy się z nimi nie widuje, bo uważa ich za nudziarzy, dlatego znakomicie mi pasowali do tej historii. Ciocia nigdy tego nie sprawdzi, a ja miałam wtedy siedemnaście lat, idealny wiek, żeby zakochać się głęboko i beznadziejnie, nie sądzisz?

- Idealny - przyznał oschle.

- W każdym razie spotkaliśmy się tam i pokochaliśmy. Niestety, nie mogłeś poprosić o moją rękę, bo musiałeś opiekować się matką, chorą na gruźlicę.

- Boże wielki...

- Zresztą i tak byłam jeszcze za młoda. Postanowiliśmy

więc zaczekać. Oboje traktowaliśmy naszą znajomość tak, jak byśmy byli zaręczeni. I wtedy twój stryj...

- Ach, ten okropny stryj.

- Tak. Stryj nie chciał, żebyśmy się pobrali, więc przejmował nasze listy i ukrywał je. A ponieważ nie mieliśmy od siebie wiadomości, oboje doszliśmy do wniosku, że miłość się skończyła. To mi złamało serce. Potem nie chciałam wyjść za mąż, bo w moich oczach żaden mężczyzna ci nie dorównywał.

Benedykt zachichotał.

- Jak mógłby?

Camilla skwitowała ten żarcik kwaśnym grymasem.

- Chociaż o tym nie wiedziałam, ty też, podobnie jak ja, nie poślubiłeś nikogo, bo wciąż żywiłeś do mnie głębokie uczucie.

- I byłem takim niezdara, że przez cały ten czas ani razu nie przyszło mi do głowy, żeby jechać do Londynu i sprawdzić, jak się miewasz? Zapytać, dlaczego przestałaś pisać i czy nadal mnie kochasz?

- Nie mogłeś tego zrobić, bo to zepsułoby całą historię.

- Czy to znaczy, że jestem nie tylko chorobliwie sentymentalny, ale do tego głupi?

- Nie! Jesteś bardzo szlachetny. Wiedziałaś, że nie masz wielkiego majątku ani tytułu, więc czułeś się niegodny mojej osoby, chociaż dla mnie, rzecz jasna, nie miało to znaczenia.

- Coraz lepiej. Głupkowaty, trzymający się fartuszka matki, a do tego bez pensa przy duszy i nisko urodzony.

- Wcale nie nisko urodzony. Tego nie powiedziałam. I nie bez pensa przy duszy. Ciocia Lidia nie pochwalałaby tego małżeństwa, gdybyśmy aż tak bardzo różnili się pochodzeniem. Jest romantyczna, ale nie całkiem pozbawiona praktycyzmu.

- Co za ulga. Powiedz mi wobec tego, jak doszło do naszego małżeństwa, skoro tak długo była między nami martwa cisza, nie wymienialiśmy listów i nie spotykaliśmy się?

- W zeszłym roku przeprowadziłam się do Bath. Bo widzisz, gdy skończyłam dwadzieścia cztery lata, doszłam do wniosku, że w tym wieku mogę już być uważana za starą pannę. A ponieważ miałam stały dochód ze spadku, postanowiłam zamieszkać samodzielnie, naturalnie z damą do towarzystwa. Zgodziłam więc damę, powinowatą siostry mojego ojca.

- Nie kogoś z tych nudnych Barringtonów?

- Och, nie. Z nimi, niestety, łączą nas więzy krwi. Drucilla jest o niebo milsza i spowinowacona ze mną tylko przez męża ciotki. Wynajęliśmy uroczy, mały domek w Bath.

- Rozumiem, że ta część historii jest prawdziwa,

- Tak.

- Zaskakuje mnie, że dziadek pozwolił ci na coś takiego.

- Zapewniam cię, że mu się to nie podobało. Ale jestem dorosła, a stosowności tego pomysłu nic nie można zarzucić. Ponieważ zaś mieszkalam wówczas z ciotką Lidia w Londynie, dziadek właściwie nie miał sposobu, żeby mnie powstrzymać. Naturalnie pisał do mnie listy, groził, że przyjedzie do Bath i siłą mnie stamtąd zabierze, ale ciotka Lidia i ja odpowiadałyśmy mu w ugodowym tonie i w końcu zdołałyśmy odwieść go od tego zamiaru. Mimo to dalej zasypywał mnie korespondencją i oskarżał, że wywieram fatalny wpływ na Anthony'ego, który nagle zapragnął przyjechać do Bath, zamieszkać ze mną i zapewnić mi męską opiekę. Zupełnie jakby wypadało mi mieszkać pod jednym dachem z młodym kuzynem, gdy w domu nie ma nikogo starszego! Nawiasem mówiąc, gdyby nie to, sama błagałabym dziadka, żeby pozwolił

na to Anthony'emu, bo on tutaj okropnie się nudzi. Martwię się o niego.

- A ja się martwię o ciebie. Nie wydaje mi się, żebym znał drugą taką kobietę.

- Pewnie nie znasz - stwierdziła rzeczowo Camilla.

- Podejrzewam, że ty i prawda nie spotykacie się zbyt często. Odkąd się znamy, poczęstowałaś mnie tyloma kłamstwami, że nie mam pojęcia, jak je wszystkie pogodzisz.

- Jest mi coraz trudniej - przyznała Camilla. - Ale to ty namówiłeś mnie do następnego kłamstwa i przekonania Lidii, że jednak jesteśmy małżeństwem. Ja chciałam powiedzieć jej prawdę.

- To jeszcze nie wszystko. Wyjechałaś i zamieszkałaś sama, jakbyś była wdową. Moja miła, dwadzieścia pięć lat to nie jest wiek zdeklarowanej starej panny, a nawet gdyby był, to nie powinnaś mieszkać tylko z damą do towarzystwa. Można by pomyśleć, że nie masz bliskich. Tymczasem prawda jest taka, że masz dużo kochających krewnych.

- Kochający krewni bywają najgorsi. Człowiek czuje się przy nich tak, jakby odbierali mu powietrze, znasz to.

- Obawiam się, że nie znam. Po prostu z krewnych mam tylko okropnego stryja.

Zachichotała.

- Naprawdę masz stryja?

- Miałem. Już nie żyje, ale kiedy żył, był bardzo poczciwy. Na pewno nie wtrącałby się do moich miłosnych kłopotów.

Benedykt urwał i niespodziewanie zatrzymał Camillę. Położywszy jej ręce na ramionach, obrócił ją ku sobie i uśmiechnął się do niej tak, jakby prowadzili rozmowę o czymś nieistotnym. Nie, niezupełnie tak. Tak, jakby był... wygłodzony.

- Nie odsuwaj się - powiedział cicho, przez cały czas patrząc

na nią w ten sam onieśmielający sposób. - Ciotka Beryl przygląda nam się z okna. Nie! Nie patrz tam. Patrz tylko na mnie.

- Dlaczego?

- Uśmiechaj się do mnie tak, jakbym powiedział ci, że jesteś piękna.

Nie mogła nie uśmiechnąć się na te słowa.

- Dobrze. O to chodziło. A teraz uwaga... urządzimy dla twojej ciotki małe przedstawienie.

- Żeby przekonać ją, że jesteśmy małżeństwem?

- Bystra dziewczyna. Właśnie. Proszę więc, nie uciekaj ani, broń Boże, mnie nie spoliczkuj.

Pochylił się ku niej. Camilla wiedziała, co się stanie, lecz mimo to spytała:

- Dlaczego?

- Bo zamierzam cię pocałować. - Dotyk jego warg był tak delikatny, jak muśnięcie skrzydeł kolibra. - Pocałować cię tak, jakbyś już była moja.

Głośno nabrała tchu, a zaraz potem Benedykt przywarł do jej ust. Był mniej gwałtowny niż poprzedniego wieczoru w dyliżansie, lecz mimo to bardzo zdecydowany. Rozchylił jej wargi i zaczął pieścić je językiem, wnikającym po trochu coraz głębiej. Na szczęście mocno ją objął, bardzo przewidująco, bo Camilla poczuła, że uginają się pod nią kolana. Przyłgnęła do niego, oszołomiona siłą doznań.

Wreszcie Benedykt uniósł głowę i spojrzał na nią namiętnie. Camilla miała nadzieję, że jej teraz nie puści, bo prawdopodobnie by upadła.

- Czy to wystarczy, żeby ją przekonać? - spytała bez tchu.

- Nie sądzę - odparł ochryple. - Powinniśmy jej pokazać przynajmniej jeszcze jeden.

Tym razem Camilla wspięła się na palce, by przyspieszyć chwilę spotkania. Widząc taki entuzjazm, Benedykt cicho jęknął i chciwie przylgnął do jej warg. Całował ją zaborczo, głęboko, jakby chciał ją pochłonąć, w Camilli jednak ta gwałtowność wcale nie wzbudziła lęku. Przyjmowała pocałunki i leniwie ocierała się o Benedykta. Całe jej ciało jakby nagle ożyło, wszystkie nerwy dały o sobie znać. Nigdy jeszcze nie doznała czegoś podobnego, nie podejrzewała nawet istnienia takich doznań. Teraz objęła Benedykta za szyję i zaczęła odwzajemniać pocałunki. Ich języki splotły się w szalonym tańcu.

Benedykt przesunął dłońmi po plecach Camilli, zatrzymał je na biodrach i przyciągnął ją do siebie. Omal nie poderwał jej przy tym z ziemi. Camilla poczuła pulsujące gorąco w dole brzucha i zdumiona pomyślała, że chciałaby tam poczuć Benedykta. Mimo zawstydzenia bardzo go pragnęła. Zastanowiło ją, czy Benedykt wie o jej doznaniach, czy zna jej myśli. To byłoby dla niej upokarzające, gdyby mógł odgadnąć, jak wielką ma nad nią władzę. Ale to oddziaływanie było wzajemne. Gdy trzymał ją w objęciach, gdy drżały mu ręce, Camilla pojęła, że również ona ma nad nim potężną władzę, nie mniejszą niż on nad nią.

Benedykt przerwał pocałunek, natychmiast jednak zaczął znaczyć wargami gorący ślad na jej szyi. Przyprawił ją tym o rozkoszne dreszczyki, odchyliła więc głowę, by ułatwić mu pieszczotę. Westchnął i pogłaskał ją po boku, przesunął dłoń wyżej i ukrył w niej pierś. To intymne dotknięcie miało porażającą moc. Camilla wydała ciche westchnienie i przywarła do niego, całkiem bezsilna. Wypełniał ją coraz większy żar, myśli jej się plątały. Zdawało jej się, że zsuwa się powoli w gorący, obezwładniający wir. Nie miała pojęcia, czym to się skończy.



## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- Camillo, gdzie jesteś? - zagrzemiał męski głos na dziedzińcu, brutalnie przywracając państwa młodych do rzeczywistości. Camilla zdrętwiała. Benedykt podniósł głowę, oczy mu lśniły, wzrok miał nieprzytomny.

- Zabiję go - wycodził przez zęby. - Kto to jest, do diabła?

- Kuzyn Harold - odrzekła z jękiem Camilla, odsuwając się, by wygładzić suknię.

- Niech to piorun strzeli! Ilu ty masz kuzynów?

- Stanowczo za dużo. Oprócz tych jest jeszcze jeden, ale on służy w wojsku, więc mam nadzieję, że go nie spotkamy.

- Przy naszym szczęściu jego pułk stanie tu jutro w okolicy. - Benedykt odwrócił się od niej i zniecierpliwiony przecesał dłonią włosy.

- Heeeej! - zagrzemiał znowu głos i po chwili zza żywopłotu ukazał się wysoki mężczyzna, ubrany w czerń. Na głowie miał kapelusz z płaskim rondem, a wokół szyi koloratkę.

- Boże! Twój kuzyn jest duchownym?

Camilla skinęła głową.

- Dziadek ofiarował mu probostwo w Edgecombe. - Uniosła rękę i pomachała kuzynowi, ozdobiwszy twarz wymuszonym uśmiechem.

Benedykt głęboko zaczerpnął tchu i wolno wypuścił po-

wietrze z płuc. Wygładził klapy fraka. Potem zwrócił się do Camilli i zmierzył ją baczny spojrzeniem. Z miną posiadacza podszedł do niej i zawiązał jej kokardkę przy dekolcie, która rozluźniła się podczas namiętnego pocałunku. Przez chwilę miał w oczach ten sam błysk, co chwilę wcześniej. Powiódł wzrokiem po jej falującym jeszcze biuście, a gdy oderwał rękę od kokardki, jakby przypadkiem musnął wierzchem dłoni pierś, rysując się wyraźnie pod suknią.

Camilla drgnęła. Benedykt spojrział na jej usta, różowe, wciąż lekko nabrzmiałe, i poczuł następną falę pożądania.

- Nie da się ukryć, że cię uczciwie wycałowano.
- Benedykcie!

Nie było czasu na dłuższą wymianę zdań, bo tymczasem znalazł się przy nich proboszcz z Edgcombe. Zdjął kapelusz z głowy i wykonał znośny, choć nieco sztywny ukłon.

- Witaj, droga kuzynko!

Podszedł do niej i ignorując obecność Benedykta, ujął dłoń Camilli.

- Dzień dobry, kuzynie Haroldzie - Camilla bezskutecznie próbowała uwolnić dłoń - miło mi cię widzieć. Czy mogę przedstawić ci mojego męża, pana Benedykta Lassitera?

Harold doznał wstrząsu i ku radości Camilli puścił jej dłoń, jakby go parzyły.

- Kogo? - Zwrócił się ku Benedyktowi.
- Męża - uczynnie odpowiedział Benedykt. - Miło mi pana poznać.
- Ale... myślałem...
- Czyżby mama ci nie powiedziała? - spytała Camilla.
- Owszem, mówiła, ale szczerze mówiąc, myślałem, że jest to jedna z wielu bajeczek ciotki Lidii.

- A jednak nie. Benedykt jest całkiem realny - zapewniła go Camilla.

- To jest... duża niespodzianka. - Spojrzał na Camillę i powiedział szczerze: - Wiesz, kuzynko, że zawsze żywiłem nadzieję...

- Ech, kuzynie Haroldzie - przerwała mu Camilla. - Tylko mi nie mów, że wierzysz w te pochlebstwa, którymi zawsze mnie karmisz. Wszyscy wiedzą, że to zwykła galanteria z twojej strony. Nie pasujemy do siebie. Jestem stanowczo za bardzo niefrasobliwa.

- Tylko dlatego że jeszcze jesteś młoda. Z czasem na pewno byś się ustatkowała i... - Spojrzał na jej pełne piersi, zaraz jednak odwrócił wzrok. Chrząknął. - ..została przykładną żoną oraz kochającą matką.

- Jestem pewien, że tak właśnie będzie - stwierdził Benedykt, zaborczo kładąc sobie na ramieniu dłoń Camilli. Przeszył wzrokiem kuzyna Harolda. - Może wrócimy do domu, tam są lepsze warunki do przyjmowania gości.

- To dobry pomysł - skwapliwie poparła go Camilla, więc poszli razem w stronę dworu. Zaskoczyła ją trochę niechęć Benedykta do Harolda. - Wszyscy bez wątpienia chcą się nacieszyć twoim widokiem, kuzynie. Prawdę mówiąc, dziwi mnie, że ciotka Beryl tak szybko wypuściła cię ze swoich objęć.

- Jeszcze nie wie o mojej wizycie. Purdle powiedział mi, że jesteś w ogrodzie, więc niezwłocznie przyszedłem cię zobaczyć. - Zamyślił się. - Zaiste szacunek nakazywałby, żebym najpierw poszedł odwiedzić matkę. Ale ponieważ matka jest tu już kilka miesięcy, a widzujemy się kilka razy w tygodniu, ufam, że nie dopuściłem się poważnego zaniedbania, zaczynając od ciebie.

- Masz rację - potwierdziła Camilla, gdyż kuzyn, który i tak miał posępną twarz, przybrał jeszcze bardziej grobową minę. - Twoja matka z pewnością nazwałaby cię najbardziej troskliwym ze swych synów.

- Niestety, Graeme zawsze jest gdzieś ze swym pułkiem, a Bertram myśli wyłącznie o sobie, więc nie mogę tego uznać . z a wielką pochwałą

Wrócili do pokoju dziennego, gdzie wciąż siedzieli kuzyn Bertram z Lidia, do których przyłączył się od niedawna Anthony.

- Patrzcie, kogo spotkaliśmy w ogrodzie! - powiedziała wesoło Camilla.

Nie umiałyby powiedzieć, w kim z osób obecnych w pokoju wzbudzili najgłębsze przerażenie. Anthony szybko rozejrzał się dookoła, jakby szukał drogi ucieczki, a Lidia obróciła się i spojrzała na nich z głębokim wyrzutem. Kuzyn Bertram natomiast tylko wydał zrezygnowane westchnienie.

- Witaj, drogi bracie - powiedział sennie i wstał, by wykonać elegancki ukłon. - Widzę, że znowu możemy cieszyć się twoim towarzystwem. Nie miałem pojęcia, że zbliża się pora lunchu.

Camilla musiała mocno zacisnąć usta, żeby się nie roześmiać. Harold był znany z przychodzenia w czasie posiłku, chociaż nikt nie wiedział na pewno, czy należy to przypisać jego skapstwu, czy kulinarnym zdolnościom jego gospodyni.

Na uwagę brata Harold zareagował zmrużeniem powiek, ale powiedział obojętnie:

- Już jest tak późno? Straciłem poczucie czasu. Przez całe przedpołudnie odwiedzałem chorych parafian.

- Naturalnie, naturalnie.

Anthony'ego Harold zdołał natychmiast zirytować soczystym klepnięciem w ramię i zwróceniem się do niego per „synu”. Wielebny był bowiem zdania, że to on powinien przejąć rolę mentora po śmierci ojca Anthony'ego. Udzielał więc młodemu człowiekowi licznych rad, a jeszcze częściej pouczał go o zgubności wybranej przezeń drogi.

- Jak nauka? - spytał Harold.

- Dobrze.

- Muszę potem zadać ci parę pytań, żeby to sprawdzić. - Żartobliwie pogroził Anthony'emu palcem, po czym zwrócił się do Lidii: - Wiesz, zastanawiam się, czy pan Forbes jest odpowiednim gubernierem. Ostatnio, gdy rozmawiałem z Anthonyem, odniosłem wrażenie, że jego greka ma poważne braki.

- Czego jej brakuje? - słodko spytała Lidia.

- Pan Forbes jest wybornym gubernierem - oświadczył wojowniczym tonem Anthony, mimo że zazwyczaj nazywał wspomnianego Forbesa „starym nudziarzem” albo „wyłysiałą peruką”.

Harold poklepał Lidię po dłoni gestem jowialnego wujaszka, mimo że był od niej wiele młodszy.

- Moja droga wicehrabino, wiem, że taki przedmiot rozmowy, jak edukacja Anthony'ego wydaje ci się krepujący, ale musisz zrozumieć, że jest on najwyższej wagi dla przyszłości chłopca. Jak Anthony może rościć sobie prawo do miejsca wśród parów, mając za sobą jedynie edukację w domu? Nieraz już myślałem, że powinien zdobywać wiedzę w Eton, tak samo, jak my wszyscy.

Anthony zamknął usta. Tym razem wyjątkowo zgadzał się z Haroldem, nie mógł więc się z nim sprzeczać, chociaż bardzo cierpiał z tego powodu.

- Może powinienem wyłuszczyć tę sprawę earlowi...  
- Nie! - Lidia i Camilla zaprotestowały prawie jednocześnie.

- Kuzynie Haroldzie, jeśli zaczniesz toczyć spór z earlem, doprowadzisz go do następnego ataku apopleksji - dodała bez ogródek Camilla. - Wiesz dobrze, że on nie znosi, kiedy mówisz mu, co ma robić.

- Źle mnie zrozumiałaś, Camillo. Nigdy nie przysłoby mi do głowy, żeby starszemu i tak szanowanemu człowiekowi, jak twój dziadek dyktować, co ma robić. Byłaby to impertynencja.

- W tym masz rację - wtrącił Anthony.

- Jestem jednak pewien, że nie odniósłby się z niechęcią do tej sprawy i z uwagą wysłuchałby rzeczowego przedstawienia kwestii wychowania przyszłego earla czyli swego dziedzica.

- Mówisz, jakbyś nie znał dziadka.  
Harold pobłażliwie uśmiechnął się do Camilli.

- Droga Camillo, w tej sprawie muszę niestety wyrazić odmienny pogląd. Zapominasz, że jestem proboszczem tej parafii już kilka lat i często odwiedzam naszego dziadka. Znam go naprawdę bardzo dobrze. Ośmielam się nawet twierdzić, że earl bardzo życzliwie odnosi się do moich porad w sprawie Anthony'ego.

Z poczerwieniałej twarzy Anthony'ego Camilla wyczytała, że kuzynowi jest coraz trudniej utrzymać język na wodzy. Rozpaczliwie szukała w myślach tematu, który odwróciłby bieg rozmowy.

Ku jej zaskoczeniu i wielkiej uldze, odezwał się Benedykt.

- Jestem przekonany, że earl wysoko sobie ceni pańskie rady. Sprawił na mnie wrażenie bardzo rozważnego człowieka.

- Naturalnie - przyznał Harold, natychmiast dodając zastrzeżenie: - Aczkolwiek w przedmiocie niektórych cnót wykazuje czasem pewną niefrasobliwość.

- Czyżby? Istotnie, muszę przyznać, że gdy rozmawialiśmy wcześniej, odniósł się z nadmierną pobłażliwością do praktyki przemytu.

- Przemytu! - wykrzyknął Anthony. - Co, u dia... Zresztą mniejsza o to. Chciałem spytać, dlaczego rozmawialiście o przemyście.

Benedykt wzruszył ramionami.

- Po prostu tak potoczyła się rozmowa. Nie przypominam sobie dlaczego. Naturalnie obaj ubolewaliśmy nad tym zjawiskiem.

- Dziadek na pewno nigdy nie powiedziała by czegoś tak małodusznego! - żarliwie sprzeciwił się Anthony.

Benedyktowi nie udzieliło się jego podniecenie.

- Nie można zaprzeczyć, że przemyt jest nielegalny.

- Naturalnie. - Kuzyn Harold wydał wargi i przesłał karzące spojrzenie Anthony'emu. - Ale stanowczo zbyt wielu ludzi, nie wyłączając tych, którzy powinni świecić przykładem dla niższego stanu, przemyka oko na ten proceder, ba, można by nawet powiedzieć, że w pewnym sensie wspiera takie czyny.

- Czy chce pan powiedzieć, że tutejsi mieszkańcy wspierają przemysłników?

Harold wymownie wzruszył ramionami.

- Powszechnie wiadomo, że na niektórych progach w tej okolicy nieraz stoi o świcie skrzynka brandy.

- Doprawdy, Haroldzie - włączył się do rozmowy kuzyn Bertram, unosząc do oka monokl, wiszący mu przy kamizelce.

- Nie zanudzaj nas pustostłowiem. Rozmawiamy o alkoholu, nie o zbrodni.

- Właśnie taką postawę miałem na myśli - odrzekł drętwo Harold. - Młody Anthony jest pod tym względem jeszcze gorszy. Tak, Lidio, chłopcu należy się więcej uwagi.

- Na pewno nie z twojej strony! - Anthony zerwał się na równe nogi, ale zaraz niezgrabnie usiadł, przywołany do porządku groźnym spojrzeniem Camilli.

- Powiadam wam, że śmiercią Nata Crowdera wszyscy powinni byli uświadomić sobie, że zapłata za grzech jest śmierć - ciągnął Harold. - Obawiam się jednak, że nikt nie skłoniło to do żalu za grzechy ani nawet do zastanowienia.

- Kto to jest Nat Crowder? - zainteresował się Benedykt.

- Tutejszy wieśniak, kilka tygodni temu znaleziono go martwego. Podobno był jednym z przemytników, niektórzy uważają nawet, że ich przywódcą. Koniec zaiste odpowiedni dla człowieka tej miary.

- Jakiej miary? - Anthony kipiał gniewem. - Nat był dobrym człowiekiem. Przynajmniej nie faryzeuszem, który tylko publicznie bije się w piersi.

- Nat Crowder był przestępcą - odparł Harold chłodno.

- Czy tego człowieka zamordowano? - dopytywał się Benedykt. - Dlatego że był przemytnikiem?

- Znaleziono go u podnóża klifów ze złamanym karkiem - wyjaśnił Anthony. - Co nie znaczy, że go zamordowano.

- Ale wydaje się to prawdopodobne - włączył się do rozmowy kuzyn Bertram. - Nikt nie znał tych klifów lepiej niż on.

- Znał go pan? - spytał Benedykt.



- O, tak. Z dzieciństwa. Byliśmy mniej więcej w tym samym wieku. Często bawiliśmy się razem, gdy przyjeżdżałem tu w odwiedziny, Nie pamiętasz już, Haroldzie?

- Pamiętam. Ale jeśli nawet bawiliśmy się razem w ciuciubabkę, to nie znaczy, że muszę przyklaskiwać temu, co potem Nat zrobił ze swoim życiem.

- Bardzo mnie poruszyło, że tak zginął - powiedział zadumany tonem Bertram. - Zastanawiające, nie sądzicie?

- Powinno cię to skłonić do zastanowienia, co ty robisz ze swoim życiem. - napomniął go Harold.

Bertram uniósł brwi, udając zdziwienie.

- Można by pomyśleć, bracie, że tego nie pochwalasz.

Harold parsknął tylko w odpowiedzi.

- Ale co z Natem Crowderem? - spytała Camilla, usiłując zażegnać powstający konflikt. Kuzyn Harold miał zadziwiającą umiejętność irytowania dosłownie wszystkich. - Dlaczego go zamordowano? I co to ma wspólnego z przemytem?

- Nic - mruknął kwaśno Anthony. - Powód był prawdopodobnie zupełnie inny.

- Może walka o władzę - podsunął Benedykt.

- Kto inny próbuje objąć władzę w grupie przemytników? - Camilla skinęła głową. - Czemu nie? Takie wyjaśnienie wydaje się logiczne.

- Kto wobec tego jest ich nowym przywódcą? - spytał Bertram. - Jeśli macie rację, odpowiedź na to pytanie powinna wskazać mordercę.

- Nikt nie wie, kto to jest - powiedział Harold, wzruszając ramionami.

- To dziwne, skoro wcześniej wszyscy wiedzieli, że przemytnikom przewodzi Crowder - zwrócił uwagę Benedykt.

- Tak. Ale nie słyszałem żadnych pogłosek o tym, kto zajął jego miejsce.

- Nic dziwnego. Kto mówiłby takie rzeczy wiejskiemu proboszczowi? - spytał pogardliwie Bertram.

- Zdziwiłbyś się, gdybyś wiedział, ile plotek dociera do progu kościoła. Moje owieczki często zwierzają mi się ze swych kłopotów.

Bertram przewrócił oczami.

- Haroldzie, mój najdroższy! - Do pokoju wpłynęła ciotka Beryl z rękami wyciągniętymi ku swemu najmłodszemu synowi. Camilla od dawna już uważała, że Harold jest ulubionym dzieckiem ciotki. Oboje byli wszak bardzo podobni, świętoszkowaci i apodyktyczni. - Właśnie się dowiedziałam, że nas odwiedziłeś. Dlaczego nie przysłałeś mi wcześniej liściku?

- Droga matko, liczę, że wybaczysz mi, jeśli ci powiem, że na wiadomość o przybyciu mojej pięknej kuzynki zapomniałem o wszystkim innym. Natychmiast pośpieszyłem ją powitać.

- Niegrzeczny chłopiec - skarciła Harolda, mierzając figlarnym spojrzeniem najpierw jego, a potem Camillę. - Tak to jest z wami, młodymi. Zawsze bardziej interesujecie się sobą niż biedną, starą matką. - Uśmiechnęła się kwaśno i znów żartobliwie pogroziła palcem, tym razem Camilli, jakby złapała ją na jakichś młodzieńczych wybrykach.

Chociaż Beryl zawsze odnosiła się do Camilli z niechęcią, zawsze w duchu żywiła nadzieję, że Harold zdoła przekonać kuzynkę do małżeństwa. Bądź co bądź, należało liczyć się ze skromnym, lecz dającym realne dochody spadkiem Camilli. Teraz jednak ciotka zadziwiła Camillę. Czyżby nadal próbowała zbliżyć ją do Harolda? Czyżby mimo sceny w ogrodzie,

którą przecież widziała z okna, nie uwierzyła w jej małżeństwo z Benedyktem?

- Tak? A co konkretnie miała pani na myśli? - spytał Benedykt.

Camilla zwróciła się ku niemu. Ton jego głosu był lodowaty, a twarz mogłaby stanowić wzór dla arystokratów ćwiczących się w wyrażaniu pogardy. Nawet ciotka Beryl wydała się lekko zmieszana.

Przyglądała mu się przez chwilę, a potem podjęła znacznie ostrożniej:

- Och, chciałam tylko dla żartu trochę dokuczyć Haroldowi. Od dzieciństwa mają się ku sobie z Camilla.

Camilla uniosła brwi. Kuzyn Bertram westchnął i zaczął bawić się monoklem, zerkając na Benedykta.

- Czyżby? - wycedził Benedykt. - To dziwne, że Camilla mi o nim nie wspomniała.

Zarówno ciotka Beryl, jak i Harold wydali się urażeni tym stwierdzeniem, więc Camilla chciała trochę załagodzić sytuację.

- Opowiadałam ci o wszystkich moich krewnych, Benedyckie.

- Tak? - powiedział bardzo znudzonym tonem. - W takim razie musiałem zapomnieć o jednym z nich.

Ciotka Beryl zrobiła oburzoną minę. Zdawała się z każdą chwilą darzyć Benedykta coraz większą niechęcią. Camilla liczyła jednak na to, że krewna zachowa milczenie, bo Benedykt wydawał się mocno rozdrażniony i mógł dać jej ostrą odprawę.

Na szczęście w tej właśnie chwili do pokoju wszedł pan Thorne i rozładował napięcie. Ręce miał splecione za plecami,

a czoło zmarszczone. Anthony, który z zainteresowaniem przyglądał się starciu Benedykta z ciotką Beryl, żałośnie jęknął, Thorne zaś poderwał głowę i nieprzytomnie rozejrzał się dookoła, jakby nie bardzo wiedział, gdzie się znajduje. Dopiero gdy zatrzymał wzrok na Lidii, uśmiechnął się promiennie.

- Och, piękna Diano - zawołał, podszedł do niej i nisko skłonił się nad jej dłonią. - Dziś rano układałem poemat. Jesteś moją inspiracją. Jakie to szczęście, że cię odnalazłem.

- Odnalazł pan? - odrzekła rozmarzona Lidia. - Ach, czy to nie jest romantyczne?

Anthony raptownie wstał. Wyglądał jak człowiek, którego wytrzymałość osiągnęła kres.

- Idę do pokoju się pouczyć - oznajmił.

Lidia spojrzała na niego zdumiona. Harold natomiast skinął głową, promieniejąc.

- Porządny z ciebie chłopak. Cieszę się, że wzięłeś sobie do serca moje słowa.

Camilla z najwyższym wysiłkiem powstrzymała wybuch śmiechu na widok zawiedzionej twarzy Anthony'ego. Wiedziała, że kuzyn jest bliski pozostania w pokoju, byle tylko Harold nie utwierdził się w przekonaniu, że jego słowa odnoszą jakikolwiek skutek.

- Obiecałem mojemu guwernerowi, że zaraz wrócę - wytłumaczył się niezręcznie. Nagle zwrócił się do Camilli i powiedział: - Millo, może pójdziesz ze mną? Pan Forbes chciałby cię poznać.

Camilla nie okazała zdziwienia, że pan Forbes w ogóle o niej wspomniał. Szybko wstała, zadowolona z pretekstu do uwolnienia się od ciotki Beryl i jej syna.

- Benedykcie, kochany... - Zignorowała Anthony'ego,

który pokazał reszcie obecnych plecy i mrugał do niej jak szalony. - Czy chciałbyś poznać gubernera Anthony'ego?

Wskazała mu drogę ucieczki od ogłupiającej konwersacji z kuzynem Haroldem oraz kłopotliwych pytań ciotki Beryl, spodziewała się więc, że Benedykt skwapliwie skorzysta z okazji. On jednak uśmiechnął się do niej i powiedział:

- Dziękuję, Camillo, ale może pójdziesz sama. Chętnie jeszcze porozmawiam z kuzynem Haroldem.

- Naturalnie. - Starła się nie okazać, jak bardzo ją zdumiał swą decyzją.

Opuszczając pokój w towarzystwie Anthony'ego, słyszała jeszcze, jak kuzyn Bertram mówi do brata:

- Czy pan Lassiter nie wydaje ci się znajomy, Harry? Przez cały rano rozmyślałem nad tym, czy już się kiedyś nie spotkaliśmy. Gdzie pan chodził do szkoły, panie Lassiter?

Camilla uśmiechnęła się pod nosem, zadowolona, że Benedykt ma to, na co sobie zasłużył.

- Nie mogę uwierzyć, że postanowiłaś go wziąć z nami! - syknął Anthony, gdy nikt w pokoju dziennym nie mógł ich już usłyszeć. - Nie widziałaś moich znaków?

- Nie mogłam nie widzieć. Wyglądałaś bardzo głupio.

- Mniejsza o to. Nie chciałem, żeby z nami poszedł.

- Wiem, Anthony, że nie lubisz Benedykta, ale zupełnie nie rozumiem dlaczego. Przecież go nawet nie znasz.

- A ty go lubisz?

To pytanie zbiło ją z tropu.

- Skądże. - Pokręciła głową i powtórzyła: - Skądże. Po prostu obawiałam się, że ciotka Beryl złapie go na jakiejś nieostrożności. Tylko z tego powodu zaproponowałam mu pójście z nami. Nie mam pojęcia, dlaczego nie skorzystał z okazji.

- Bo chciał wydobyć od nich więcej informacji. Nie zauważyłaś tego?

- Nie. O czym ty mówisz? Jakie informacje można wydobyć od Beryl albo od Lidii?

- Plotki. Poza tym nie od mojej matki ani od Beryl, lecz przede wszystkim od kuzyna Harolda. Czy słyszałaś, jak Benedykt wypytuje o przemytników?

- Tak.

- No i co, nie zaświtało ci w głowie? To dowodzi, że jest celnikiem, tak jak ci powiedziałem wczoraj wieczorem. Nabrałem pewności natychmiast, jak tylko zaczął mówić o przemytnikach.

- A to on zaczął? - spytała Camilla, gdy stanęli na pierwszym stopniu schodów i ruszyli do góry. - Zdawało mi się, że raczej kuzyn Harold.

- Och, kuzyn Harold naturalnie nie mógł się powstrzymać, żeby nie wygłosić własnej opinii, jak zwykle bezmyślniej. Ale to ten twój pan Lassiter drażył temat. A teraz wydobędzie od nich wszystko, co tylko mu się uda. Dzięki Bogu, że Harold jest takim zarozumiałym osłem. Będzie się zachowywał tak, jakby wiedział wszystko, chociaż w rzeczywistości nie wie nic. Nawet gdyby bardzo się starał, nie mógłby podsunąć Lassiterowi więcej fałszywych informacji.

Camilla spojrzała na kuzyna ze zdziwieniem.

- A jakie to ma znaczenie? Co cię obchodzi, czy on czegoś się dowie? Osobiście zdecydowanie wołałabym, żeby okazał się celnikiem niż złodziejem. Jeśli jest celnikiem, to przynajmniej nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo...

Anthony zerknął na nią ukradkiem, ale nie odezwał się ani słowem.

- Czekaj! - Camilla wyciągnęła nagle ramię przed siebie i zatrzymała kuzyna. - Anthony, czy ty...

Rozejrzała się dookoła, a potem wciągnęła go do swojego pokoju. Dokładnie zamknawszy za sobą drzwi, zwróciła się do niego, wspierając ręce na biodrach. Anthony przestąpił z nogi na nogę. Wędrował wzrokiem po wszystkich ścianach, żeby tylko nie spojrzeć na kuzynkę.

- Anthony Lionelu Fitzwilłiamie Elliocie! - powiedziała surowo, mimo że zniżyła głos do szeptu, jakby ktoś w pokoju mógł ich usłyszeć. - Czyżbyś zadał się z przemytnikami?

Anthony mocno zacisnął usta. Nadal unikał jej wzroku, co wystarczało za odpowiedź.

- Anthony! Coś ty narobił?! Czy pomyślałeś o matce? A o dziadku? Ta wiadomość go zabije, jeśli do niego dotrze!

- Nie jest aż tak źle. Dziadek nie potępia przemytników. Nawet kupuje od nich towary - odparł pośępnie, krzyżując ramiona na piersi.

- Nie mów niedorzeczności. Od kupowania brandy lub nawet okazywania sympatii przemytnikom do udziału w przemyśle jest bardzo daleka droga. A jeśli wpadniesz w ręce wojska? Wtedy nawet dziadek cię z tego nie wyciągnie! Co będzie mógł zrobić, jeśli złapią cię na gorącym uczynku i zamkną w więzieniu? Pomyśl o swojej rodzinie, Anthony. Pomyśl o hańbie, jaką możesz sprowadzić na jej nazwisko. Przyszły earl Chevington złapany na przemyśle!

- Nie dam się złapać. Jestem ostrożny.

- Och, Anthony, nigdy nie dopuszczasz do siebie myśli, że cię złapią.

- Zwykle mi się udaje.

- Ten jeden raz wystarczy i będzie po tobie. Zrujnujesz

nas wszystkich. - Odwróciła się i zaczęła nerwowo chodzić po pokoju. - Dlaczego to zrobiłeś? Chyba nie dla pieniędzy?

- Pewnie, że nie. Którejś nocy zrobiłem to dla zabicia czasu. Jem chodził z przemytnikami i często mi o tym opowiadał.

- Jem Crowder?

Anthony skinął głową. Camilla jęknęła.

- Powinam była od razu wiedzieć. Zawsze jeden drugiego pakował w kłopoty.

- Potrzebowali dodatkowego człowieka do pomocy, więc zgodziłem się i poszedłem. Och, Camillo, to była wspaniała zabawa! - Twarz mu pojaśniała, zdradzając, jak wiele pozostało w nim z małego chłopca. - Dlatego zapytałem, czy będę mógł iść z nimi jeszcze raz. A znasz Nata, porządny był z niego chłop, więc mi pozwolił. No, i od tej pory jestem z nimi.

Camilla zakryła twarz dłońmi.

- Anthony, Anthony...

- Nie martw się, Millo - powiedział ciepło i ujął ją za rękę, żeby móc spojrzeć jej w oczy. - Nie ja jeden jestem tu w trudnym położeniu. Kto udaje, że wziął ślub? Nie ugryzłaś się zawczasu w język i teraz jest z tego wielkie zamieszanie. Jeśli ktokolwiek pozna prawdę, będziesz zhańbiona raz na zawsze. Tak samo jak ja.

Camilla spłonęła rumieńcem. Nie mogła zaprzeczyć tym słowom. Wcale nie była lepsza od Anthony'ego.

- Masz rację - przyznała. - Zaplątałam się po uszy i nie wiem, jak się z tego wypłaczę. Ale mnie nikt nie powiesi, jeśli wszystko się wyda. Natomiast ciebie...

- Mnie też nie. Wiesz, że „dzentelmeni” - posłużył się miejscowym określeniem przemytników - są nieuchwytni.



- Ostatnio. Ale w przeszłości niejeden dostał się w ręce wojska. I wiesz, jaki spotkał ich los. Nie zniosłabym, gdyby tobie coś się stało! Rodzina straciłaby dobre imię. Twoja matka nigdy więcej nie mogłaby pokazać się w towarzystwie. A dziadek...

- Wiem, wiem - powiedział żałośnie i aż się przygarbił.  
- Och, Millo, nie powinienem był tego robić. Ale z tego było tyle uciechy, a w Chevington Park umiera się z nudów!

Camilla ciężko westchnęła.

- Wiem, że jesteś znudzony. Wiele razy mówiłam dziadkowi, żeby przynajmniej wysłał cię do szkoły. Do wojska by cię nie puścił. Jesteś dziedzicem, więc dziadek bardzo się obawia, że i ciebie straci, tak jak twojego ojca. Ale byłoby dla ciebie o wiele lepiej, gdybyś wyjechał do Eton. Tam miałbyś dookoła rówieśników, nie nudziłbyś się i nie spędzał czasu w samotności, a Jem Crowder nie namawiałby cię do nierozważnych postępów.

- Nie wiń Jema. Jest dobrym kolegą.

- Dobrym kolegą, który może skończyć na szubienicy - odparła Camilla. - Anthony, chyba rozumiesz, że musisz z tym zerwać? Nie może tak dalej być.

- Wiem i zerwę. Powiem Jemowi, a jak... jak znajdą kogoś, kto mnie zastąpi, wycofam się.

Camilla westchnęła. Tymczasem chyba musiała zadowolić się tą obietnicą, chociaż wolałaby, żeby kuzyn wrócił na prostą drogę od razu i nie czekał na zastępcę.

- Anthony... - zapytała po chwili. - Czy wiesz coś o śmierci Nata? Czy miała związek z przemytem?

Zmarszczył czoło i pokręcił głową.

- Nie znam nikogo, kto by wiedział, co i dlaczego się stało.

Nawet Jem nie ma o tym pojęcia. Po prostu któregoś ranka znaleziono Nata martwego.

- Czy jest nowy przywódca? Czy sądzisz, że to on zabił Nata?

- Nie wiem. Nigdy go nie widziałem. Wszyscy noszą maski albo chustki na twarzach. W ten sposób nikt nie może zdradzić innych w razie, gdyby nas złapano. Naturalnie niektórych poznają po głosie albo po sylwetce, ale jest wielu, których nie umiem zidentyfikować. I nie zadaję żadnych pytań. To nie byłoby rozsądne. - Na chwilę zamilkł. - Ktoś na pewno wszystko planuje i wydaje rozkazy. Wszystko będzie sprawniej niż za czasów Nata. Ale nigdy nie słyszałem, żeby ktoś mówił, kto co ma robić, albo kiedy i dokąd idziemy. Po prostu dostaję w porę wiadomość od Jema i przypuszczam, że podobnie jest z większością ludzi. Jeden mówi drugiemu, ten następnemu. Rzecz w tym...

- No właśnie, w czym?

- Mówi się ostatnio o składaniu przysięgi krwi. Będziemy mieli swój rytuał, obowiązkowy dla każdego.

- Czy to jest pomysł nowego przywódcy?

Skinął głową.

- Większość uważa, że to dobry pomysł, żeby ślubować lojalność.

- A co by się stało, gdybyś mimo wszystko chciał się wycofać?

Anthony odwrócił oczy.

- Chcesz powiedzieć, że oni by cię zabili?

Niechętnie skinął głową.

- Tak. Ale do tej pory jeszcze niczego nie przysięgliśmy. Poza tym nikt oprócz Jema nie wie, kim jestem, a Jem nigdy nikomu nie powie.

- Och, Anthony, pomyśl trochę! - wykrzyknęła Camilla.  
- Jeśli poznałeś niektórych mężczyzn po głosach albo po sylwetce, to czy myślisz, że oni ciebie w ten sposób nie poznają? Kto z nich ma jeszcze dłonie arystokraty? Założę się, że nie masz ani jednego odcisku.

Chwyciła go za rękę i obróciła je dłońmi do góry.

- Popatrz! A sposób mówienia? Kto z nich jeszcze tak mówi, jak ty?

- Nie jestem głupi, Camillo. Noszę rękawiczki i zmieniam sposób mówienia. Naśladuję Jema. Wiesz, że umiem mówić z takim akcentem. Słyszałaś mnie zresztą. Poza tym pożyczam ubrania od Jema. Naprawdę nikt mnie tam nie zna.

Camilla przyglądała mu się dłuższą chwilę.

- Są jeszcze inne cechy, których nie zmieni żadne przebranie - odezwała się wreszcie. - Na przykład budowa ciała. Poza tym na pewno zawsze trzymasz się razem z Jemem. Wszyscy wiedzą, że przyjaźnicie się od dziecka. Koszule Jema możesz nosić, ale spodnie są o wiele za krótkie. Myślisz, że któryś z tamtych ludzi ma tak skrojone spodnie, jak ty? I z takiego materiału? Jednemu czy dwóm na pewno wystarczy bystrości, żeby złożyć wszystko w całość, choćbyś nie wiem jak się maskował.

Anthony w zamyśleniu potarł podbródek.

- O tym nie pomyślałem. Możesz mieć rację. Ale oni są lojalni wobec naszej rodziny. Nigdy by mnie nie wydali.

- Miejmy nadzieję. W każdym razie sytuacja nie jest pomyslna.

- To prawda. Skończę z tym. Obiecuję. Ale miałem dużą uciechę, Millo - powiedział rozmarzony.

- Nie wątpię. - Uśmiechnęła się do niego. - Porozmawiam

z dziadkiem i spróbuję go przekonać, że powinieneś spędzić trochę czasu z dala od Chevington Park.

- Może w Londynie! - Anthony'emu zabłyśły oczy. - To byłoby niesamowite!

- Na pewno.

Zawahał się i znów spoważniał.

- Ale nie powiesz o tym Lassiterowi, prawda?

- Nie. - Camilla zdała sobie sprawę, że w głębi serca ma wielką ochotę zwierzyć się Benedyktowi. Jeśli jednak Anthony miał rację i jej „mąż” pracował jako celnik, to był ostatnią osobą, której mogłaby opowiedzieć o eskapadach kuzyna. - Masz rację. Musimy być bardzo, bardzo ostrożni, żeby utrzymać to wszystko w sekrecie.

- Co utrzymać w sekrecie? - rozległ się męski głos od progu.

Camilla syknęła zaskoczona i odwróciła się w tamtą stronę. W drzwiach stał Benedykt i patrzył na nich z zainteresowaniem.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Camilla wytrzeszczyła oczy na swego rzekomego męża. Jak długo tam stoi? Ile usłyszał z tej rozmowy?

- Co takiego? - spytała dla zyskania czasu, żeby uporządkować myśli.

- Co macie zamiar utrzymać w sekrecie?

- Ach, o to pytasz. - Camilla zachichotała. - To nic takiego... Anthony nie chce, żeby ciotka Lidia się dowiedziała... że on... chce... chce sobie kupić konia.

- Właśnie - skwapliwie przytaknął młody człowiek. - Mama się o mnie zamartwia, wie pan, jakie są matki. Boi się, że ten koń jest zbyt dziki. Traktuje mnie jak niemowlę - dodał ponuro, jakby rzeczywiście o to chodziło.

- Mama po prostu troszczy się o ciebie, Anthony. Jesteś jej jedynym dzieckiem.

- Bardzo tego żałuję - odrzekł zapalczywie.

Benedykt spoglądał to na jedno, to na drugie. Camilla zastanawiała się, czy im uwierzył. Zdawała sobie sprawę z tego, że zaskoczona jego widokiem, zachowała się bardzo niemądrze. Ale przynajmniej Anthony odegrał swoją rolę przekonująco. Miała nadzieję, że to wystarczy. Gdyby tylko wiedziała, ile z ich rozmowy Benedykt zdążył podsłuchać! Przecież jeśli na-

prawdę był urzędnikiem celnym, jak przypuszczał Anthony, groziła im katastrofa.

- Skąd się tu wzięłeś? - spytała bez troski. - Chciałeś, zdaje się, porozmawiać z kuzynem Haroldem.

Czyżby był to tylko pretekst do pozostania w pokoju i szpiegowania rodziny? Benedykt wydawał jej się coraz bardziej podejrzany.

- Owszem, trochę porozmawialiśmy. Ale przyszedł czas lunchu, więc postanowiłem wam o tym przypomnieć. Proboszcz z panem Thorne'em wdali się w dyskusję o poezji, chyba rozumiesz, co to znaczy. Postanowiłem się oddalić.

Camilla zachichotała, widząc zboląły wyraz jego twarzy.

- Rozumiem.

- Ja też - Anthony zapomniał o swej podejrzliwości, przejęty nagłą falą współczucia dla Benedykta. - Ten Thorne może zanudzić człowieka na śmierć!

- Nie rozumiem, dlaczego ciotka Lidia go tu zaprosiła.

- Nie zaprosiła. Mama bywa lekkomyślna, ale nie jest niepełna rozumu. Powiedziała mi, że pan Thorne zawitał do niej z nienacka, gdy wyjeżdżała do Chevington Park, i uparł się, że będzie jej towarzyszył w drodze. Od tej pory minęły już wieki, a on wciąż się jej trzyma, wyznaje jej wieczną miłość i takie tam dyrdymałki. - Anthony skrzywił się z niesmakiem. - Podobno nie mógł pozwolić, żeby mama wybrała się w tak długą drogę bez opieki. Zupełnie jakby George oraz Batters, który wozi ją wszędzie od piętnastu lat, nie wystarczali, by zapewnić jej bezpieczeństwo. Nie wspomnę już o służącej i woźnicy drugiego powozu, tego z bagażem. Mama próbowała wybić Thorne'owi jego pomysł z głowy, ale on gadał i gadał, więc w końcu mu uległa. A gdy już tu dojechali, naturalnie nie mogła nie

zaprosić go do złożenia wizyty. Skąd miała wiedzieć, że ta pijawka zadomowi się tu na miesiąc?

- Miesiąc?! Tak długo już tu siedzi? - spytała zdumiona Camilla.

- Tak. Mama napomykała mu, że ta wizyta nie musi tyle trwać, ale odpowiedział jej po prostu, że wobec „tragedii rodzinnej” nie może zostawić jej samej.

- Dziwię się, że nie pomogłeś jej go wyrzucić.

- Zrobiłbym to - zapewnił Anthony posępnie. - Ale mama ma za miękkie serce. Wydaje jej się, że Thorne nie ma pieniędzy i że chciał jej towarzyszyć po to, żeby uciec przed wierzycielami. Dlatego nie chce go wyrzucić. Mówi, że zdarzało jej się być w tej samej sytuacji, gdy wyczerpywała jej się pensja. Nie wiem, na co ona liczy. Może sądzi, że Thorne zabierze stąd ciotkę Beryl. Gdyby tak się miało stać, to nawet ja zachęcałbym go, żeby jeszcze trochę pobył.

- Czy pański kuzyn i jego przyjaciel też są tutaj przez cały czas? - spytał Benedykt. - Dom wydaje mi się zapełniony.

- Nawet przepełniony - przyznał Anthony. - Ci dwaj siedzą tu jeszcze dłużej niż pan Thorne, aczkolwiek dzięki Bogu nie są tak uciążliwi, jak on. Kuzyna Bertrama nawet można wytrzymać. Przynajmniej nie wygłasza kazań, tak jak kuzyn Harold i ciotka Beryl. Tylko ten Oglesby jest dziwny.

- Naprawdę? Pod jakim względem?

Anthony, który nie zwykł analizować swoich myśli, odrzekł:

- Nie bardzo wiem. Ale jest w nim coś dziwnego. To znaczy coś jeszcze oprócz stroju. Na różową kamizelkę u mężczyzny nie mogę patrzeć, a wy? Naturalnie kuzynki Kitty

i Amanda uważają, że to jest najprzystojniejszy mężczyzna na świecie i bez przerwy z nim flirtują. - Po twarzy przemknął mu uśmiech. - Ale ich względy wydają się go śmiertelnie nudzić, czyli trochę zdrowego rozsądku musi mieć. - Wzruszył ramionami. - Może przeszkadza mi, że z niego taki milczek. Rzadko słyszy się od niego słowo. Nie wiem, on wydaje mi się tutaj... nie na miejscu.

- Nie na miejscu? - Tym razem pytanie zadała Camilla, zaintrygowana wywoodem Anthony'ego.

- Nie umiem tego wyjaśnić, Millo. Pobądź z nim trochę, to sama zrozumiesz, co mam na myśli.

Benedykt już się nie odezwał, uznał bowiem, że nie może dalej wypytywać Anthony'ego, nie budząc podejrzeń. Wciąż zastanawiało go, o czym ci dwoje rozmawiali przed jego przyjściem. Słaby był ten wykręt Camilli, pomyślał. Zauważył też błysk panicznego lęku w jej oczach, gdy spostrzegła go na progu. Bez wątplenia bała się, że podsłuchiwał więcej z ich rozmowy. Bardzo żałował, że nie otworzył drzwi odrobinę wcześniej.

Nie sądził jednak, by poszukiwanym przez niego człowiekiem był ktoś z tych dwojga. Bądź co bądź, Anthony miał zostać po śmierci dziadka earlem. Nierozważny, szukający przygód młodzieniec mógł nawiązać kontakty z przemytnikami, licząc na mocne przeżycia, ale nie mógłby na zimno zaplanować zniszczenia siatki „Gideon”. Co zaś do Camilli, to wprawdzie zachowywała się dziwnie, ale była jednak damą. Poza tym dopiero co przyjechała do Chevington Park po paru miesiącach nieobecności.

Nie, ich wspólna tajemnica musiała być zupełnie nieszkodliwa.



- Lunch jest już pewnie gotowy. Zejdziemy do jadalni, kochanie? - Podał Camilli ramię.

- Dziękuję. Idziesz z nami, Anthony?

Młodzieniec odpowiedział chmurnym spojrzeniem.

- Do Harolda, Thorne'a i tej całej reszty? Wcale mi się nie śpieszy. Pani Blakely przysła mi do pokoju lokaja z tacą.

Z tymi słowami wyszedł na korytarz i skierował się do kuchennych schodów. Benedykt popatrzył za nim, a potem spytał obojętnym tonem:

- Twój kuzyn nie mieszka na tym piętrze?

Było to dość niespotykane, by przyszedł earl mieszkał na innym piętrze niż rodzina i zrezygnował z rezydowania w najwygodniejszych pokojach.

- Nie. Anthony śpi na górze. - Camilla położyła dłoń na przedramieniu Benedykta i oboje ruszyli do schodów.

- Masz na myśli pokoje dziecięce?

To wydało mu się jeszcze dziwniejsze. Dlaczego osiemnastoletni chłopak chce mieszkać w pokojach przeznaczonych dla kilkuletnich maluchów?

- Tak. Twierdzi, że tam mu jest wygodniej. Ma pod bokiem pokój do nauki, którego używa podczas lekcji z guwernerem. Poza tym lubi swoją starą sypialnię. Osobiście sędzę, że chce w ten sposób odizolować się od dorosłych. Nikt więcej na tym piętrze nie śpi, więc Anthony może robić, co mu się podoba.

Benedykt podejrzewał, że Camilla trafiła tym przypuszczeniem w dziesiątkę. Pokusa niezależności jest wielka dla każdego dorastającego młodzieńca, a szczególnie dla takiego, który często miewa szaleńcze pomysły. Benedykt zaczął się zastanawiać nad widokiem z okien pokoju na drugim piętrze.

Mogłoby to być znakomite miejsce do wypatrywania sygnałów, wskazujących miejsce rozładunku statku.

- Może odwiedzę Anthony'ego w jego pokojach - powiedział ostrożnie. - Gdybyśmy lepiej się poznali, przestałby się mnie obawiać. Moglibyśmy na przykład wybrać się na przejażdżkę konno.

Camilla spojrzała na niego zaskoczona.

- To bardzo miło z twojej strony, że o tym pomyślałeś. Na pewno byłoby dobrze, gdybyś wytłumaczył mi, że nie zamierzasz mnie „wykorzystać”. On jest dla mnie prawie jak brat, więc ma poczucie, że powinien się mną opiekować.

- Ktoś powinien to robić - zgodził się Benedykt.

- Słucham?

Spojrzał prosto w jej rozpalone oczy. To stwierdzenie wymknęło mu się mimowolnie, ale najwyraźniej bardzo zirytowało Camillę.

- Naprawdę tak uważam. Gdybyś była moja, nie pozwoliłbym ci samotnie wędrować w nocy po wrzosowiskach.

- Wobec tego dobrze, że nie jestem „twoja”, wiesz? Właśnie przez takie zakusy ze strony mężczyzn postanowiłam nigdy nie wyjść za mąż. Niektórym się wydaje, że kobieta może stać się czyjaś własnością, niewolnikiem, który ślepo wypełnia wszystkie żądania i nie ma własnej woli ani duszy.

Na wargach zaigrał mu uśmiezek.

- Nie sądzę, by ktoś kiedyś chciał ci zarzucić brak woli i duszy. Ale niezupełnie to miałem na myśli. „Moja”, a więc związana ze mną, szukająca we mnie oparcia. Wiem jednak, że po kobiecie nie należy się spodziewać ani lojalności, ani posłuszeństwa

- To dwie zupełnie różne sprawy, sir - kwaśno zauważyła

Camilla. - Posłuszeństwa oczekuje się od dziecka albo sługi. Lojalność okazuje z własnej woli myślący, dorosły człowiek.

- W każdym razie ani jednej, ani drugiej z tych cnót nie widywałem dotąd u kobiet.

- To znaczy, że źle dobiełaś sobie towarzystwo.

- Widocznie tak było - przyznał.

- Na tym polega kłopot większości mężczyzn. Pozwalają, by kobieta ujęła ich urodą, a nie cechami, które mają znaczenie, takimi jak inteligencja, lojalność czy odwaga.

Benedykt pomyślał o zwodniczej urodzie Annabeth i jądzie ukrytym w jej sercu. Ale nie mógł oprzeć się pokusie podrażnienia Camilli.

- Sądziłbym raczej, że żona powinna być przede wszystkim urodziwa. Jest to jedna z podstawowych zalet, których szuka się u kandydatek.

- No, właśnie. - Camilla wsparła ręce pod biodra, bardzo zirytowana. - Tak rozumuje mężczyzna. A czy urodą prowadzi się konwersację przy obiedzie albo ciekawy dyskurs przy kominku? Nigdy. Czy uroda dodaje otuchy w godzinie złego nastroju albo sprawia, że tępota kobiety mniej nuży?

- Na pewno przyjemniej mieć urodziwą towarzyszkę życia niż szpetną.

- Ha! - Głos Camilli był przesiąknięty pogardą. - Jeśli kobieta jest tylko ładna i nic więcej, to po kilku miesiącach nawet przestaniesz na nią patrzeć. Będiesz spędzał całe dni i wieczory w klubie.

Benedykt nie mógł powstrzymać chichotu, przypomniał mu się bowiem jeden z jego przyjaciół, którego spotkał dokładnie taki los. Zakochał się w kruchej, jasnowłosej piękności, ożenił z nią i dopiero wtedy, gdy znaleźli się sam na sam, bez przy-

zwoitek i rodziny, zauważył, że z nieszczęsną, bo mało rozgarniętą dziewczyną w ogóle nie ma o czym rozmawiać. Wciąż miała ten sam uroczy uśmiech i słodką minkę, którymi go oczarowała, ale gdy próbowali nawiązać konwersację, czar pryskał. I przyjaciel rzeczywiście zaczął spędzać coraz więcej czasu w klubie.

- No, widzisz. Na pewno znasz takie małżeństwa, prawda?

- Owszem.

- Wobec tego musisz też przyznać, że mam rację. Jeśli mężczyzna wybiera bystrą i dowcipną żonę, ma dużo większe szanse znaleźć szczęście w życiu.

- A namiętność się nie liczy?

Camilla odniosła wrażenie, że wkroczyli na grząski grunt. W przeszłości zbyłaby pogardą tak prymitywny pogląd na najważniejsze powody zawierania małżeństwa. Teraz jednak przypomniało jej się, czego doznała rano, gdy Benedykt ją całował, i nie była już taka zdecydowana.

Mimowolnie spojrzała na jego usta, a on odpowiedział jej tak wymownym uśmiechem, że chciała go uderzyć.

- Myślę, że dla oddania się komuś na całe życie jest to bardzo kruchy fundament.

- Kruchy? - Benedykt owinał sobie na palcu jeden z kosmyków, błakających się przy twarzy Camilli. W oczach zabłysł mu groźny ognik. - Powiedziałbym, że namiętność jest bardzo dużą siłą.

Camilla nie mogła znaleźć zręcznej odpowiedzi. Rzeczywiście, niemal zaparło jej dech w piersiach.

- Dzisiaj rano miałem takie wrażenie, jakbym dostał pięścią - dodał spokojnie.

Camilla z trudem zaczerpnęła tchu. Pomyślała, że Benedykt

znowu ją pocałuje. Ku swemu zdziwieniu bardzo tego chciała. Zamiast jednak przysunąć się do niego, raptownie się cofnęła.

- Lepiej chodźmy, bo się spóźnimy. - Obróciła się i znów szybko ruszyła ku schodom.

Benedykt dogonił ją po chwili. Zaśmiał się cicho w taki sposób, że Camilli przebiegł dreszczyk po plecach.

- Jak pani sobie życzy. Do usług.

Camilla przeżyła następne zdziwienie, a wmawiała sobie, że również doznała ulgi, gdy przez następne kilka dni Benedykt nie próbował jej się narzucać. Nie wchodził do pokoju w czasie, gdy myła się lub rozbierała, i w ogóle zjawiał się dopiero wtedy, gdy już leżała uśpiona. Nie spędzał z nią też wiele czasu w ciągu dnia. Pytany, gdzie był, odpowiadał bardzo mgliście.

Anthony szybko wyraził swoje zdanie na ten temat.

- Węszy po okolicy! Oto czym się zajmuje - powiedział ze złością. - Zagląda, gdzie się da, ze wszystkimi rozmawia. Jest go pełno w całym domu. Boże, chyba zajrzał nawet do zachodniego skrzydła. Mówię ci, że on ma jak najgorsze zamiary.

- Nie kracz. Pleciesz jak podejrzliwa matrona. - Camilla musiała jednak przyznać, że i ją bardzo ciekawi, gdzie bywa i co porabia Benedykt.

- Jeśli nie, to dlaczego rozmawiałby ze służbą? - rozsądnie zauważył Anthony. - Wczoraj wieczorem zszedłem pod schody, żeby wydebić od kucharki coś do zjedzenia, a przy okazji usłyszałem, jak ktoś mówi, że pan Lassiter jest u Purdle'a i z nim rozmawia.

- Benedykt rozmawiał z Purdle'em? - Brwi Camilli wy-

gięły się w łuk. - Co ty mówisz, Anthony? Przecież Purdle nic by mu nie powiedział. Poza tym co on może wiedzieć?

- Nic, co miałoby jakiegokolwiek znaczenie. Ale od dłuższego czasu mnie szpieguje. On i Jenkins - powiedział Anthony z goryczą.

- Daj spokój...

- Naprawdę mnie szpiegują. Z polecenia dziadka. Naturalnie nie chcą mi tym zaszkodzić, tyle wiem. Ale czasem bardzo mnie irytują. Muszę cichcem wykradać się z domu, jeśli chcę uniknąć zatrzymania i gruntownego wypytywania.

- Nawet gdyby tak było, Purdle nigdy nie zdradziłyby rodzinnych spraw obcemu.

- Lassitera nie uważają za obcego. Myślą, że jest twoim mężem.

- To nie znaczy, że Purdle powiedziałyby mu coś, co mogłoby ci zaszkodzić.

- Och, oni zawsze mówią, że to jest dla mojego dobra. I że martwią się o mnie. Od tej ich troskliwości chciałoby się zostać sierotą.

- Mam nadzieję, że nie powiedziałaś tego poważnie. Ale rozumiem cię. Od nadmiaru troski człowiek zaczyna się dusić.

- Wiedziałem, że mnie zrozumiesz. - Anthony uśmiechnął się do niej, dalej jednak nerwowo przechadzał się po pokoju.

- Nie możesz nic z nim zrobić?

- Z kim? Z Benedyktem?

- Tak.

- Co chcesz przez to powiedzieć? Mam się go pozbyć?

- Ja bym tak zrobił. Ale wiem, że nie ma na to nadziei. Wystarczy, jak będziesz go obserwować i trzymać na krótszej

smyczy. Podobno jest twoim mężem. Nie możesz go zmusić, żeby cię słuchał?

- Niech ci będzie. Spróbuję.

Następnego rana Camilla ubrała się więc w jeździecki kostium i poszła na dół szukać Benedykta. Znalazła go w pokoju śniadaniowym z panem Oglesbym. Pomyślała z uśmiechem, że jeśli Benedykt próbuje czegoś się dowiedzieć, to ma trudne zadanie. Próbowała porozmawiać z tym człowiekiem poprzedniego wieczoru, ale niewiele słów udało jej się z niego wydobyć.

- Witaj, Camillo! - Benedykt wstał z zadowoloną miną i podszedł cmoknąć ją w policzek. Camilla nie wiedziała, czy jest to przedstawienie na użytek pana Oglesby'ego, który również uprzejmie uniósł się z krzesła na jej widok, choć wolniej niż Benedykt, czy też szczerze ucieszył go jej widok.

Doleciał ją dyskretny aromat wody kolońskiej.

- Dzień dobry, Benedyckie - odpowiedziała lekko drżącym głosem.

Odsunął dla niej krzesło.

- Dzień dobry, panie Oglesby - powitała drugiego mężyczynę.

- Dzień dobry, pani Lassiter - odpowiedział dość sztywno.  
- Jak się pani dziś miewa?

- Nie najgorzej, sir. - Uświadomiła sobie, że powiedziała świętą prawdę. Niby była w bardzo trudnej sytuacji, miałyby reputację zszarganą raz na zawsze, gdyby jej maskarada wyszła na jaw, a mimo to była w wybornym nastroju.

Benedykt podszedł do stołu w kształcie podkowy i szybko nałożył jej pełny talerz jedzenia, ona tymczasem bez powodzenia próbowała zająć rozmową pana Oglesby'ego. Odzy-

wał się, tylko gdy go o coś spytała, a i to zazwyczaj monosylabami. Nie był nieuprzejmy, ale widać było, że rozmowa nie sprawia mu przyjemności. Camilla nie umiałaby zawyrokować, czy jest bardzo wstydlivy, czy też wyjątkowo nieciekawym.

- Wiejskie powietrze bardzo mi służy - powiedział tymczasem Benedykt, wspierając jej wysiłki, by podtrzymać rozmowę. - Dla mieszczucha to miła odmiana. Czy pan mieszka w mieście, panie Oglesby?

- Ja? Tak, tak... - Pan Oglesby niespokojnie poruszył się na krześle.

- W Londynie?

- Tak.

- Naturalnie dla londyńczyka jest tu trochę za spokojnie - ciągnął Benedykt.

- Nie, skądże.

- My mieszkamy w Bath - wtrąciła się Camilla.

- Ale kiedyś mieszkałem w Londynie - powiedział Benedykt. - Może mamy wspólnych znajomych?

- Och... nie, nie sądzę.

- A w której części Londynu pan mieszka?

Oglesby wydawał się coraz bardziej zaniepokojony.

- Eee... niedaleko St. James Place.

- Czyli w pobliżu kuzyna Bertrama. Czy w ten sposób się poznaliście?

Pan Oglesby przyglądał się przez chwilę Camilli, a potem powiedział pośpiesznie:

- Tak, tak. Któregoś dnia poznaliśmy się przypadkiem na ulicy. Właśnie na St. James. - Wstał i drętwło się do nich uśmiechnął. - Bardzo przepraszam, ale muszę już iść.



Camilla zerknęła na jego talerz, na którym została połowa jedzenia. Spojrzał w to samo miejsce i spłonął rumieńcem.

- Och... chyba nie byłem tak głodny, jak mi się zdawało. Proszę mi wybaczyć...

Nieznacznie skłonił głowę i opuścił pokój, Camilla zaś odprowadziła go wzrokiem do drzwi, a potem zwróciła się do Benedykta:

- Dziwne.

- Co jest dziwne, kochanie?

- Pan Oglesby. Czy nie wydał ci się głęboko zmieszany? Jaki mógł mieć powód?

- Nie wiem. Może jesteśmy natarczywi.

Camilla skrzywiła się.

- Nie żartuj. Próbujemy nawiązać rozmowę, nic więcej.

- Może pan Oglesby odnosi wrażenie, że go przesłuchujemy.

- A co innego możemy robić, jak nie zadawać mu pytania?

On tylko zwięźle odpowiada, najczęściej jednym słowem.

- Może czuje się... hm... zagrożony?

- Zagrożony? Dlaczego?

- To, co nie zwraca uwagi wnuczki earla, na niektórych robi wielkie wrażenie.

- Co masz na myśli?

- Ten dom. - Skinieniem głowy wskazał koniec długiego stołu, pośrodku którego stał wielki, srebrny kandelabr, potem mahoniowy kredens ze srebrną zastawą lśniąca za szkłem, potem lokaja w liberii, czekającego w pobliżu, by na każde skinienie dolać herbaty, dopełnić zawartości kieliszka albo podać podgrzewacz. - Nie wszyscy są przyzwyczajeni do mieszkania we dworze na wsi albo do porannej konwersacji z rodziną zamożnego earla.

- Ty jakoś nie masz z tym kłopotów - zgryźliwie zauważyła Camilla.

Uśmiechnął się w odpowiedzi.

- Nie. Ale już dawno poradziłem sobie z nieśmiałością. Szubrawcom jest łatwiej, gdy zachowują się swobodnie w towarzystwie.

Camilla dostrzegła w jego oczach podejrzany błysk, który jeszcze raz zmusił ją do zastanowienia, czy Benedykt na pewno jest nisko urodzony. Przez cały czas pobytu we dworze ani razu nie odezwał się w niewłaściwy sposób i nie popełnił najmniejszej gąfy. Wprawdzie nie miał manier pana Sedgewicka lub kuzyna Bertrama, ale sprawiał wrażenie człowieka, którego zachowaniem rządzi wybór, a nie niewiedza. Nie zdradzał ani odrobiny zakłopotania, rażącego u pana Oglesby'ego.

- Purdle wspomniał, że on jest „nie całkiem dżentelmem” - stwierdziła, na chwilę odsuwając od siebie rozmyślenia o urodzeniu Benedykta.

- Co? Dlaczego?

Camilla wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Powiedział tylko tyle. Purdle czasem robi taką minę, kiedy mówi o pewnych ludziach, którzy nie pasują do jego wyobrażenia o tym, co jest stosowne albo godne dżentelmena. Cóż, jest strasznym snobem. - Uświadomiła sobie, że o Benedyckie Purdle nic takiego nie powiedział. Naturalnie uważał go za jej męża, niemniej jednak kamerdyner miał zwyczaj dyskretnie dawać do zrozumienia, co o kim myśli.

- Z moich doświadczeń wynika, że służba znacznie lepiej zna się na szlachectwie i lepiej odróżnia ziarno od plew niż arystokraci.

- No właśnie. Wydaje mi się więc bardzo dziwne, że kuzyn Bertram przywiózł tu Oglesby'ego. Jemu zresztą również snobizm nie jest obcy. Zawsze otacza się tym, co najlepsze... starannie wybiera stroje, meble, rzeczy...

- Twój kuzyn musi być bogatym człowiekiem.

- Nie sędzę. Wprawdzie dziedziczy po ojcu, ale nie po dziadku. Jedynym dziedzicem earla jest Anthony. Wuj William też jest bogaty, ale raczej nie daje Bertramowi dużo na jego potrzeby. Podejrzewam, że kuzyn Bertram schronił się tu przed wierzycielami, podobnie jak pan Thorne.

- Temu twojemu kuzynowi nie brak oleju w głowie.

- To prawda. Trudno byłoby zgadnąć, że jest bratem Graeme albo Harolda, bo o żadnym z tych dwóch nie można powiedzieć, że ma wielki umysł.

- Graeme Elliot? - spytał Benedykt zaskoczony. - To twój kuzyn?

- Naturalnie. - Camilla spojrzała na niego podejrzliwie.

- Znasz go?

- Nie, skądże. Po prostu zdziwiłem się... zdziwiłem się, że masz jeszcze jednego kuzyna.

- Wczoraj ci o nim opowiadałam. Jest porucznikiem ciężkiej jazdy.

- Ach, rzeczywiście. Wojskowy.

- To są już wszyscy moi kuzyni ze strony matki, czyli Elliotowie. Naturalnie mam jeszcze wielu innych, ze strony ojca. Tych znasz.

- Co? Znam... no, przecież! - Przypomniał sobie o obecności sługi w liberii, stojącego przy kredensie. - Mówisz o tych, z którymi podróżowałaś, gdy się poznaliśmy. - Oczywiście zabłysły mu wesoło, wyciągnął nad stołem rękę i ujął jej dłoń.

- Powiedz mi, kochanie, czy wracasz myślą do tamtych dni z takim samym sentymentem, jak ja?

- Jestem pewna, że wspomnienia o nich sprawiają mi tyle samo radości.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Niezwykle się cieszę, że wzajemnie się poważamy.

Camilla przewróciła oczami i cofnęła rękę.

- Pomyślałam, że moglibyśmy wybrać się dziś na przejażdżkę - powiedziała. - Pokazałabym ci Chevington Park. Czy miałbyś na to ochotę?

- Jak najbardziej - odpowiedział szczerze. Byłaby to dla niego znakomita okazja zwiedzenia okolicy. Poprzedniego dnia dokładnie obejrzał dom i pieszo obszedł przyległe tereny, ale chciał poznać również dalsze otoczenie dworu. - Dziś rano zamierzałem poprosić o to twojego kuzyna Anthony'ego, ale wyjechał gdzieś o świcie i jeszcze nie wrócił.

- Anthony bez wątpienia chętnie będzie ci towarzyszył innym razem, zwłaszcza gdybyś chciał zwiedzić jaskinie w wapiennych skałach na brzegu morza.

- Jaskinie? Czy i one stanowią część posiadłości earla?

Camilla skinęła głową.

- Jest ich tu bardzo dużo, niektóre wielkie, inne małe. Naturalnie Lidia i dziadek surowo mi zabronili do nich wchodzić.

- Co bez wątpienia skłoniło cię do natychmiastowego zainteresowania się ich wnętrzem.

Camilla zachichotała.

- Owszem. Niestety, w żadnej z nich nie ma nic interesującego. Zawsze mieliśmy z Anthonym nadzieję, że znajdziemy jakiś skarb, ale nigdy nam się to nie udało. Anthony twierdzi,

że w głębi jednej z nich są ciekawe nacieki, ale ja tak daleko nie zaszłam.

- To brzmi tak, jakby trzeba było obejrzeć te jaskinie.

Dokończyli posiłku, po czym Benedykt poszedł na górę przebrać się w strój do konnej jazdy. Potem znaleźli się w stajni. Koniuszy, obrzuciwszy Benedykta fachowym spojrzeniem, przyprowadził mu siwego wałacha, ostami nabytek dziadka, którego earl nie zdążył już dosiąść przed chorobą. Camilla omal nie zaprotestowała, nie wiedziała bowiem, jak Benedykt trzyma się w siodle. Gdy jednak zobaczyła go, jak dosiada konia, ugryzła się w język. Był urodzonym jeźdźcem, bez trudu panował nad wierzchowcem muskularnymi udami i prawie niezauważalnymi poruszeniami cugli.

Dojechali na klify, nad brzeg oceanu. Tam powściągnęli konie i zapatrzyli się w dal.

- Co tam jest? - spytał Benedykt i wskazał wzgórek wystający z morza.

Większą część wysepki zajmowały ruiny starego budynku. Mury jeszcze częściowo stały, podobnie jak fragment wieży, ale większość kamieni tworzyła nieregularne stopy.

- To jest wyspa Keep. Widzisz ruiny starego donżonu. Tam przez wiele, wiele lat mieszkali earlowie Chevington. Kiedyś musiała to być solidna twierdza. Chroniła ją naturalnie woda, a oprócz tego grube, wysokie mury z sześcioma wieżami. W środku stał donżon. Ale opuszczono go już bardzo dawno temu. W bliższych nam czasach okazał się niezbyt wygodny i nie sprzyjał prowadzeniu życia towarzyskiego. Prawie całe mury zużyto na budowę Chevington Park. Resztę zniszczył potem pożar. O ile wiem, spowodował go ojciec mojego dziadka, gdy jeszcze był małym chłopcem.

Jak widzisz, zawsze mieliśmy skłonności do popadania w kłopoty.

Uśmiechnął się z tego żartu, zaraz jednak znów zainteresował się ruinami.

- To miejsce wydaje się bardzo bezpieczne, lecz dość niepraktyczne. Jak można było tam się dostać? Przecież ta wyspa jest za mała, żeby zmieściła się na niej wieś, żeby można było cokolwiek uprawiać albo hodować bydło.

- Na tym polega uroda tego miejsca - odrzekła Camilla z uśmiechem. - Jest wyspą tylko podczas przypływu. Podczas odpływu ma połączenie z lądem naturalną groblą. W istocie jest to więc niezwykle ukształtowany półwysep. A gdy nadchodzi przypływ, grobla znika pod wodą.

- To wygodne.

- Owszem. Łodzią można tam dopłynąć zawsze. Często robiliśmy to z Anthonym. Ale przed wrogami płynącymi na łodziach łatwiej było się bronić. Zresztą nawet podczas odpływu grobla jest bardzo wąska. Nikomu nigdy nie udało się zdobyć tego donżonu.

- Kiedy opuścili go mieszkańcy?

- Chevington Park zaczęto budować za panowania królowej Elżbiety, a skończono za Jakuba I. Obronne walory donżonu nie miały już znaczenia, a niewygody ludziom dopiekły. Przypuszczam zresztą, że była tam straszna wilgoć i przeciągi. Za Tudorów Chevingtonowie urosli w siłę. Stać ich było na budowę większej, bardziej luksusowej rezydencji.

- Chętnie zwiedziłbym tę wyspę. - Przyszło mu do głowy, że ruiny mogą być dla przemytników wysmienitą kryjówką.

- Wygląda bardzo interesująco.

- Bo jest interesująca - odrzekła pogodnie Camilla. - Kie-

dyś podczas odpływu możemy pójść groblą na spacer. To jest całkiem niedaleko, a piechotą najłatwiej się dostać na wyspę. Chcesz tymczasem zobaczyć jedną z jaskiń?

- Oczywiście.

- Jesteśmy niedaleko. Anthony byłby lepszym przewodnikiem, ale postaram się zrobić co w mojej mocy.

- Jestem przekonany, że będę zadowolony.

- Pochlebca.

Camilla zeskoczyła z konia.

- Musimy sprowadzić konie na brzeg - powiedziała. - Uważaj, ścieżka jest wąska.

Benedykt również zsiadł z konia i oboje zeszli stromym szlakiem. Na dole przystanęli, mając przed sobą wąski pas piachu, dzielący ich od wzburzonego oceanu. Camilla zerknęła kątem oka na swego towarzysza. Zadumany wzrokiem wpatrywał się w powierzchnię wody.

- Kim była? - spytała Camilla, zaskoczona własną śmiałością.

- Kto? - Benedykt spojrzał na nią nieprzytomnie, gdyż myślami był w tej chwili bardzo daleko od swojej pierwszej, niespełnionej miłości.

- Ta kobieta, która cię zraniła. Ta, przez którą masz jak najgorsze wyobrażenie o kobietach.

- Ach, ona. - Benedykt wzruszył ramionami. - Miała na imię Annabeth. - Nie mógł sobie dokładnie przypomnieć jej twarzy, choć próbował. Ciemne pukle Camilli i jej figlarne, błękitne oczy nakładały się na tamten obraz.

- Co się stało?

Już miał jej dać ostrą odprawę, podobnie jak wielu innym osobom w przeszłości, które odważyły się zadać to samo py-

tanie. Nigdy nikomu nie opowiedział tej historii w całości, nawet Sedgewickowi i swojej siostrze, choć przypuszczał, że tym dwojgu udało się poskładać ją z kawałków. O dziwo jednak, uświadomił sobie, że Camilli może się zwierzyć.

- Mój stryj, ten prawdziwy, był starym człowiekiem. Żonę miał młodszą, ale też już w zaawansowanym wieku, więc uważano, że nie będzie mogła urodzić mu potomka. Byłem dziedzicem stryja. Ale niespodziewanie jego żona poczęła dziecko. Annabeth poznałem krótko po tym, jak usłyszałem o nowinie w domu stryja. Wkrótce zaręczyliśmy się. Annabeth nalegała jednak, żeby nasze zaręczyny utrzymać w tajemnicy. Nie rozumiałem dlaczego, byłem jednak zbyt szczęśliwy i za bardzo naiwny, by się tym przejąć. Ku powszechnemu zdziwieniu ciotka donosiła dziecko i urodziła je zdrowe. A potem Annabeth powiedziała mi, że z naszego ślubu nic nie będzie. Gdy zacząłem dopytywać się o powód, wyjaśniła mi w końcu, że z chwilą narodzin dziecka przestałem być dziedzicem stryja.

Camilla głośno zaczerpnęła tchu.

- Odeszła od ciebie, bo dowiedziała się, że nie odziedziczysz majątku?

Skinął głową.

- Tak. Wtedy zrozumiałem, skąd się wzięło jej życzenie, by utrzymać zaręczyny w tajemnicy. Początkowo Annabeth prawdopodobnie nie wiedziała, że moja ciotka jest przy nadziei. A potem, gdy się o tym dowiedziała, poświęciła już zbyt wiele czasu i energii na utrzymywanie naszej znajomości, więc nie chciała od razu jej zerwać. Postanowiła poczekać, co będzie dalej. Gdyby ciotka poroniła albo urodziła martwe dziecko, Annabeth oficjalnie ogłosiłaby nasze zaręczyny. Ale ponieważ dziecko urodziło się zdrowe, zerwała ze mną, a mogła



to zrobić bez konsekwencji, bo nikt oprócz nas o nich nie wiedział.

Camilla odruchowo uściśnęła jego dłoń i czułym gestem oparła mu głowę na ramieniu.

- Przykro mi.

Benedykt odwrócił się i przez chwilę trzymał ją w ramionach. Wspomnienie Annabeth nie wydawało mu się w tej chwili bolesne. Wcale nie miał ochoty wypuścić Camilli z objęć.

- Chciałam powiedzieć - wyjaśniła Camilla, wreszcie cofnąwszy się o krok - że przykro mi z powodu tego, co przeżyłeś. Ale nie żałuję, że ona zerwała zaręczyny. Miałeś szczęście. Powinieneś być zadowolony.

- Zadowolony? - Zrobił zdziwioną minę.

- Tak. Pomyśl, co by się stało, gdybyś pozostał dziedzicem stryja, a ona ogłosiłaby wasze zaręczyny. Musiałbyś się z nią ożenić i dowiedziałbyś się, jaka jest naprawdę dopiero wtedy, gdy bylibyście związani na zawsze. Czy nie sądzisz, że życie z zimną, fałszywą kobietą byłoby gorsze niż ból rozstania?

Benedykt mimo woli zachichotał. Jeszcze nigdy nie myślał o swej znajomości z Annabeth w taki sposób. Camilla jak zwykle umiała wszystko postawić na głowie.

- Masz rację - przyznał. - Jestem szczęściarzem.

Camilla zobaczyła, że twarz mu się rozjaśnia. Bardzo lubiła jego uśmiech.

- Powinieneś częściej się śmiać.

- Pracuję nad tym.

Przejechali kawałek brzegiem, póki nie dotarli do wylotu jaskini. Tam przywiązali konie do niskiego, poszarpanego wiatrami krzewu i ostrożnie weszli do środka. Przez chwilę Benedykt musiał iść schylony, dalej jednak sklepienie się pod-

nosiło, więc mógł stanąć wyprostowany. Z zewnątrz sączyło się trochę słonecznego światła, ale im głębiej, tym większy mrok panował w jaskini. Jej koniec był zaś w ogóle niewidoczny.

- Nie możemy iść dalej, jest za ciemno - powiedziała Camilla. - Jeśli przyjdiesz tu z Anthonym, musicie wziąć latarnie. Wtedy będziecie mogli dotrzeć dużo głębiej.

Odwróciła się do niego i stwierdziła, że przygląda się jej, a nie jaskini.

- Co się stało? Dlaczego tak na mnie patrzysz?

- Jak? - spytał cichym, schrypniętym głosem. Odkąd przytuliła się do niego na chwilę, myślał tylko o tym, by znów ją objąć. Poczuć miękkość jej ciała i smak ust.

Zbliżył się do niej o krok, a Camilli zaparło dech w piersi. Ten ton głosu, to spojrzenie... nagle poczuła, że uginają się pod nią kolana.

- Nie wiem. Jakbyś... jakbyś był głodny... jakbyś myślał o... o...

- O czym? - Podszedł jeszcze krok, nie spuszczać wzroku z jej twarzy. Teraz był już tak blisko, że czuła żar, promieniujący od jego ciała.

- Nie... nie wiem. - Słowa więzły jej w gardle, myśli się plątały.

- Myślałem o tobie, Camillo. - Wyciągnął rękę i wolno pogłaskał ją wierzchem dłoni po policzku. - O tym, jaka jesteś piękna.

- Och, doprawdy, sir - odparła, siląc się na chichot, nie udało jej się jednak utrafić we wcześniejszy ton rozmowy. - Tu jest stanowczo za ciemno, żeby mógł pan coś zobaczyć.

Uśmiechnął się.

- Nie szkodzi. Widzę, że jesteś piękna, Camillo, i w słońcu, i w mroku. Przez ciebie nie mogę zebrać myśli,

Odpowiedziałyby, że z nią w jego obecności jest podobnie, ale nie miała siły, by cokolwiek powiedzieć. Patrzyła, jak Benedykt wyciąga po nią ramiona i jak obejmuje mocnym uściskiem jej talie, i wiedziała już, że i tym razem mu ulegnie.

Spojrzenie Benedykta zatrzymało się na chwilę na jej ustach, potem powędrowało niżej, ku wzgórkom piersi, skrytych pod jeździeckim kostiumem.

Benedykt przypomniał sobie ich pocałunek w ogrodzie. Wiedział, że zachowuje się jak głupiec. Jaskinia, w której stali, była idealną kryjówką dla przemytników, a on, zamiast szukać śladów, wpatrywał się w Camillę. Co gorsza, myślał również tylko o niej. Tak było już od dłuższego czasu. Gdy rozmawiał ze służącymi i gdy spacerował po ogrodzie, raz po raz widział oczami wyobraźni błękit tych oczu i przypominał sobie, jakie ciepłe są usta Camilli.

Co gorsza, te myśli były zupełnie nie na miejscu. Camilla nie należała do kobiet, które mogłyby mieć, a potem zostawić. Nie była ani ladacznicą, ani niezadowoloną żoną, ani ciepłą wdówką, zainteresowaną przelotnym romanssem, a tylko z takimi kobietami Benedykt zadawał się przez ostatnie lata. Camilla była panną nieposzlakowanej opinii, więc pod żadnym pozorem nie wolno mu było wykorzystać kompromitującej sytuacji, w jakiej się znaleźli. Dla niego równałoby się to podjęciu zobowiązania, a przecież przysiągł sobie, że nigdy więcej nie zachowa się tak nierozważnie.

W tej chwili słabo jednak pamiętał swoje przysięgi. Bez reszty pochłonięły go niepokojące myśli o bieli jej szyi i o zabłąkanym kosmyku włosów, ocierającym się o policzek, i o de-

likatnych dłoniach, które Camilla oparła na jego torsie. Wbrew woli zaczął głaskać ją po ramionach.

Powtarzał sobie, że powinni wyjść z tej jaskini i wrócić do koni. Pozostawanie tutaj granoczyło z szaleństwem, było niebezpieczne.

A jednak mruknął tylko pod nosem i pochylił się nad Camilla.

- Ech, do diabła z tym wszystkim...

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Camilla zrobiła niepewny krok do tyłu, ponieważ jednak oparła plecy o ścianę jaskini, dalej cofnąć się nie mogła. Benedykt podszedł do niej i położył ręce na skale po obu stronach jej głowy. Tylko resztkami zdrowego rozsądku panował jeszcze nad pożądaniem.

- Masz na mnie dziwny wpływ - szepnął, bawiąc się kosmykiem jej włosów. Ich jedwabista miękkość bardzo mu się podobała.

- Naprawdę? - Camilli brakowało tchu. Myślała teraz tylko o tym, jak blisko niej jest Benedykt i jak bardzo chciałaby obwieść palcem zarys jego zmysłowych ust.

Zanim się zorientowała, wskazującym palcem dotykała wargi Benedykta, ciepłej i gładkiej. Wrażenie dotyku było tak niezwykłe, że przeszły ją ciarki. Benedykt tymczasem pochylił głowę i ich twarze znalazły się o centymetry od siebie. W spochmurniałych nagle oczach mężczyzny Camilla wyczytała pragnienie. Obudził się w niej dziwny niepokój.

Benedykt wybrał miejsce, w którym szyi Camilli dotykał zabłąkany loczek. Pocałował je, a potem delikatnie potarł nosem. Camilla znów poczuła dreszczyk. Myślała o bliskości Benedykta i zniewalającym ciepłe płynącym od jego ciała. W miejscu, którego dotknął wargami, czuła przyjemne mrowienie.

Nagle Benedykt zamknął dłoń na jej piersi. Przez tkaninę sukni odnalazł kciukiem sutkę i zaczął ją pieścić. Potem, jakby odgadując najskrytsze pragnienie Camilli, objął także drugą pierś, tęskniącą do pieśczot. Delikatnie ją ucisnął raz i drugi.

Ustami dalej poznawał jej szyję, całował, przyszczypywał skórę wargami, a nawet delikatnie ujmował ją w zęby. Oszołomiona nowymi doznaniem Camilla zachwiała się i osunęła, lecz Benedykt wyczuł to, szybko położył dłonie na jej biodrach, po czym stanowczym ruchem posadził ją okrakiem na swym muskularnym udzie.

Camilla głośno zaczerpnęła tchu, zaskoczona gwałtowną reakcją swego ciała. Benedykt czule ją kołysał, a ona miała wrażenie, jakby w jej wnętrzu strzeliły płomienie. Westchnęła i odruchowo podchwyciła biodrami rytm kołysania, jej partner zaś, zadowolony, że pieśczoty sprawiają jej przyjemność, przycisnął ją do siebie jeszcze mocniej. Uniósł głowę i wycisnął na wargach dziewczyny namiętny pocałunek.

Camillę zalała tak potężna fala rozkoszy, że nie była już w stanie myśleć. Nawet oddychanie przychodziło jej z trudem. Poddała się bez reszty lawinie nowych doznań, raz po raz cicho wdychając i jęcząc. Benedykt uciszył ją następnym pocałunkiem i wdarł się kolanem jeszcze wyżej między jej uda. Tym razem niemal zemdląca, tak słodko zrobiło się nad jej łonem. Kurczowo objęła Benedykta, chciała jeszcze mocniej przyciągnąć go do siebie, choć wydawało się to prawie niemożliwe, lecz mimo to wciąż nie znajdowała zaspokojenia i pragnęła czegoś więcej.

Kiedy Benedykt cofnął usta, Camilla bezsilnie oparła głowę o skalną ścianę. Piersi falowały jej od urywanych oddechów. Popatrzył na nią z łajdackim uśmiechem, a potem rozpiął górne

guziki stanika sukni i zsunął go nieco wraz z koszulką, która była pod spodem. Jego oczom ukazało się białe berło piersi. Zachwycony otoczył je ustami, a ona wyprężyła się i wygięła, przeszłyta kolejnym ciosem potężnej rozkoszy. Rozkosz ta była zaś tak silna, że niemal sprawiała jej ból. Camilli zdawało się, że pragnie jeszcze czegoś, że zbliżają się do tego, na co naprawdę czeka jej rozwibrowane ciało, lecz niestety to coś wciąż było nieuchwytnie.

Nagle u wejścia do jaskini zarżał koń, a zaraz potem rozległ się szmer męskiego głosu. Camilla zdrewniała. Benedykt jęknął i cofnął się o krok, usiłując zapanować nad zmysłami. Po chwili przed jaskinią rozległ się czyjś śmiech i chrzęst ciężkich butów na kamieniach.

Benedykt chwycił Camillę za rękę i pociągnął ją w głąb jaskini. Skręcili za skalny załom i... zobaczyli przed sobą nieprzeniknioną czerń. Musieli przystanąć. Camilla oparła się bezwładnie o kamienną ścianę, porażona siłą niedawnych doznań.

Benedykt spojrział na nią w ciemnościach. Nawet nie poruszyła się, żeby poprawić kostium. Stanik był zsunięty i odsłaniał krągłą, jasną pierś. Mimo mroku Benedykt widział, że sutka wciąż jest nabrzmiała od jego pocałunków. Przełknął ślinę, walcząc z ogarniającym go na nowo pożądaniem. Do piórna, zagalopował się, zapomniał o swojej misji, uległ wdziękom tej diablicy. A niech to!

Obcy głos rozległ się ponownie, a ponieważ odbił się tchem, Benedykt zorientował się, że mężczyzna wszedł do jaskini.

- Ktoś tu musi być - powiedział ze słyszalnym rozczarowaniem nowo przybyły. - Konie na pewno nic są bezpieczeństwa.

Bliżej wejścia rozlał się żółtawy blask, co oznaczało, że mężczyźni mają latarnię.

- Może to Camilla. Stajenny powiedział mi, że rano wyjechała z mężem na przejażdżkę. - Nabrał powietrza do płuc.  
- Camillo, jesteś tu?! - zawołał.

Camilla westchnęła z rezygnacją.

- Kuzyn Bertram - szepnęła. - Musimy do mego wyjść.

Benedykt skinął głową, chociaż najchętniej odesłałby kuzyna Camilli do diabła. Pogodził się jednak z losem i poprawił dziewczynie suknię, czule przesuwając dłonią po piersi, którą z powrotem musiał okryć. To była tortura. Niech piekło pochłonie tego fircyka!

Odwrocił się i głęboko odetchnął, a Camilla zawołała:

- Czy to ty, Bertrami?

Przygładziła dłonią włosy i przycisnęła dłonie do rozpalonych policzków. Miała nadzieję, że nie będzie zbyt wyraźnie widać, co robili z Benedyktem w jaskini. Przykleiła do warg powitalny uśmiech i wysunęła się zza skały. Na widok Bertrama oraz towarzyszącego mu pana Oglesby'ego wydała z siebie wymuszony chichot.

- Ojej, pewnie pomyślicie, że jesteśmy niemądrzy - powiedziała, zbliżając się do kuzyna. Benedykt szedł za nią z ponurym uśmiechem. - Kiedy usłyszeliśmy głosy, pomyśleliśmy, że to przemytnicy albo zbrojcy, i schowaliśmy się głębiej.

Benedykt zgromił ją spojrzeniem, ale się nie odezwał.

- Przemytnicy! - wykrzyknął Bertram i teatralnym gestem przyłożył dłoń do serca. - No, no... A nam to w ogóle nie przyszło do głowy, prawda, Terence?

Milkliwy pan Oglesby tylko pokręcił głową.

- Widzę, że macie latarnię - paplała tymczasem Camilla.



Ze zdenerwowania w ogóle nie mogła przestać. A jeśli kuzyn Bertram domyśli się, co robili? Jeśli półmrok w jaskini nie wystarczy, żeby ukryć jej zaróżowione policzki, potargane włosy i pognieciony kostium? A jeśli jeden z guzików jest rozpięty albo spódnica zadarta?

Nie odważyła się niczego sprawdzić, chociaż palce ją swędziały, by to zrobić. Dalej więc paplała jak najęta, mając nadzieję, że odwróci tym uwagę mężczyzn od swojego wyglądu.

- My z Benedyktem nie byliśmy tacy przezorni. Pomysł, żeby zbadać tę jaskinię, wpadł nam do głowy całkiem nagle. Wy przyszlście lepiej przygotowani.

Bertram spojrział na nią dziwnie, ale powiedział tylko:

- Tak. Pan Oglesby wyraził zainteresowanie tutejszymi jaskiniami, więc podjąłem się roli przewodnika.

- Nawet macie z sobą lunch. - Camilla zerknęła na wiklinowy kosz i koc w rękach Oglesby'ego. - To wspaniale.

Bertram uśmiechnął się nieszczercze, jego towarzysz zaś wydawał się wyjątkowo zainteresowany ścianą jaskini.

- Przypuszczaliśmy, że zwiedzanie jaskini może nam zająć dużo czasu, więc kazaliśmy kucharce zapakować dla nas lunch. Może macie ochotę się przyłączyć? Jedzenia na pewno jest więcej niż trzeba.

- O ile znam kucharkę, to właśnie tak jest - przyznała radośnie Camilla. - Ale ani nam w głowie narzucać komuś nasze towarzystwo. Prawda, Benedykcie? Poza tym, prawdę mówiąc, nie jestem odpowiednio ubrana do chodzenia po jaskiniach,

Benedykt potwierdził jej słowa szybkim skinieniem głowy, po czym pomógł jej wyminąć Bertrama i pana Oglesby'ego

i wyprowadził ją na dwór. Tam Camilla bezsilnie oparła się o klif.

- O, Boże - powiedziała z westchnieniem. - Musieliśmy sprawiać dziwne wrażenie.

Mimo woli zachichotała, więc szybko zakryła dłonią usta. Ale ponieważ coraz bardziej uświadamiała sobie absurdalność sytuacji, w jakiej się znaleźli, nie była w stanie powstrzymać śmiechu.

- Ale musieliśmy wyglądać! - wykrzyknęła cicho i znów zaniosła się śmiechem.

Benedykt chwycił ją za ramię i szybko zaprowadził do koni.

- Pst! Mogą cię usłyszeć

- To jest silniejsze ode mnie - odszepnęła, próbując powstrzymać atak. - Oni zresztą też na pewno się z nas śmieją! Kiedy pomyślę o minach, jakie mieliśmy, wychodząc z tej skały...! Kuzyn Bertram jest za dobrze wychowany, by cokolwiek po sobie pokazać, ale na pewno uznał, że popadliśmy w obłąd.

- Twój kuzyn Bertram powinien być wystarczająco doświadczony, by mieć wyobrażenie o tym, co działo się w tej jaskini - odparł oschle Benedykt.

Camilla znowu spłonęła rumieńcem i natychmiast poderwała ręce do twarzy, jakby chciała zasłonić policzki.

- Nie wiem, jak teraz będę mogła spojrzeć mu w oczy!

- Przecież jesteśmy małżeństwem - zwrócił jej uwagę, dosłownie wrzucając ją na siodło. Sam też dosiadł konia i ruszył wolno przed siebie. - Nie ma nic złego w tym, że młodożeńcy wymienią kilka pocałunków w ustroniu, z dala od domu pełnego ludzi.

- Nic złego, jeśli zapomnieć o tym, że w rzeczywistości nie jesteśmy małżeństwem. Zresztą nawet gdybyśmy byli, i tak myśl o tym, co sobie wyobraził kuzyn Bertram, wprawiłaby mnie w głębokie zakłopotanie. - Jeszcze bardziej kłopotliwe było dla niej gorąco, promieniujące z dołu brzucha. Zapomniała o nim na chwilę, zawstydzona widokiem kuzyna, teraz jednak, w czasie jazdy, kołyszący ruch końskiego grzbietu przypomniawszy jej o nim na nowo. Za wszelką cenę musiała podtrzymać rozmowę, żeby odwrócić swoją uwagę od tego doznania. - A widziałeś minę biednego pana Oglesby'ego? Patrzył wszędzie, tylko nie na nas. Współczułabym mu z całego serca, gdyby nie to, że najbardziej współczułam sobie. Pan Oglesby musiał sobie pomyśleć, że rodzina Bertrama prowadzi skandalizujące życie.

- Pan Oglesby istotnie wyglądał na zakłopotanego, chociaż ta maska na twarzy to jego typowa mina.

Camilla zachichotała.

- Masz rację. Wiem, że nie powinnam być dla niego taka nieżyczliwa, ale w zestawieniu z kuzynem Bertramem wydaje mi się bardzo nieciekawym człowiekiem. Bertram uwielbia towarzystwo, każda pani domu może na niego liczyć, gdy trzeba ożywić przyjęcie. Nie mogę zrozumieć, dlaczego zaprzyjaźnił się z takim ponurakiem.

- Może ma przy nim więcej okazji, by popisać się swą wymową.

Camilla wzruszyła ramionami.

- W każdym razie Oglesby nie jest podobny do ludzi, z którymi Bertram zwykle się przyjaźni. Kilku jego przyjaciół poznałam. Zazwyczaj są to mało roztargnięci próżniacy, zainteresowani wyłącznie krojem własnej kamizelki i nadzwyczaj chętnie popisujący się różnymi niedorzecznościami.

- Ciekawe. - Przez kilka następnych minut Benedykt milczał. - Czy Bertram lubi chodzić po jaskiniach? - spytał w końcu.

- Bertram? - Camilla parsknęła śmiechem. - Nie sądzę. Za bardzo brudziłby sobie ubrania. Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek słyszała, że był w jaskini. Nawet w dzieciństwie nie miał serca do przygód. Nie, jestem pewna, że na ten pomysł wpadł pan Oglesby. W dodatku wzięli koszyk z jedzeniem. Na pewno zamierzają spędzić tam trochę czasu.

- Mhm.

- Dziwne miejsce na piknik, nie sądzisz? - ciągnęła Camilla. - Wilgotne, zimne i trzeba siedzieć na twardej skale.

- Rzeczywiście, nie brzmi to zachęcająco.

- Widzę tylko jeden powód, dla którego ktoś mógłby się tam wybrać...

Benedykt spojrział na nią zainteresowany

- Naprawdę? Jaki?

Camilla uśmiechnęła się figlarnie.

- Naturalnie żeby ukryć się przed ciotką Beryl.

- Jak to się stało, że tego nie zgadłem?

Uśmiechnął się do niej i znów odezwało się w niej pożądanie. Nie rozumiała, jak ten człowiek to robi. Nie zachowywała się w ten sposób przy żadnym innym mężczyźnie. Kiedy całował ją i pieścił w jaskini, przeżyła tak cudowne, zapierające dech w piersiach chwile, jak jeszcze nigdy dotąd. I była pewna, że ta droga prowadzi dalej, a na jej końcu czeka coś olśniewającego. Gdyby tylko mogła po to sięgnąć...

Zaczęła się zastanawiać, czy tego właśnie odmówiła sobie, postanawiając nie wychodzić za mąż. Może inne kobiety doświadczają czegoś podobnego na co dzień. Ciotka Lidia? Ciotka

Beryl? Wzdrygnęła się. Nijak nie umiała wyobrazić sobie swej pruderyjnej ciotki w szponach namiętności.

Kątem oka zerknęła na Benedykta. Może to wszystko tylko przez niego. Może nie jest to coś, co kobieta zawsze przeżywa z mężczyzną, gdyż potrzebny jest do tego ten jeden, jedyny.

Przyjrzała się jego dłoniom, trzymającym wodze. Nie miała pojęcia, co się stało z cienkimi, skórkowymi rękawiczkami Benedykta. Czyżby zostały w jaskini, upuszczone w chwili ich szaleństwa? Podobały jej się jego smukłe, zgrabne palce i wierzch dłoni z niezbyt obfitymi, ciemnymi włosami. Ręce miał smukłe, lecz silne, pewnie panował nimi nad koniem. Przypomniała sobie, jak te same ręce dotykały jej ciała, jak pieściły piersi, namiętnie, lecz zarazem bardzo delikatnie. Od samej myśli o tym poczuła, jak twardnieją jej sutki.

Przeniosła wzrok na jego szerokie ramiona i poprowadziła nim w dół, po prostych plecach. Przez chwilę wpatrywała się w krzepkie, umięśnione uda, ściskające końskie boki, zaraz jednak przełknęła ślinę i odwróciła głowę. Zrugała się w myśli. Za nic nie wolno jej było pokazać Benedyktowi, jak wielkie wrażenie na niej wywiera.

Gdy dojechali do stajni, koniuszy wyszedł im naprzeciw, by zająć się końmi. Benedykt skłonił się przed nią i poprosił o wybaczenie, że się oddali, chciał bowiem przed popołudniową herbatą pospacerować jeszcze po majątku. Camilli bardzo to odpowiadało. Wprawdzie bardzo chciała dalej cieszyć się jego towarzystwem, lecz jednocześnie pragnęła zostać sama i zastanowić się uad swymi uczuciami. Odwróciła się więc, szybko wróciła do domu i wbiegła na piętro.

Zamknawszy za sobą drzwi sypialni, rzuciła się na łóżko, rozpościerając ramiona. W głowie miała zamęt, niedawne do-

znania pozostawiły w jej wnętrzu mnóstwo splątanych śladów. Wciąż czuła pulsowanie między nogami. Odruchowo dotknęła się w tym miejscu i zaczęła wspominać ucisk twardego uda Benedykta, który jednocześnie sprawiał jej ulgę i rozbudzał pragnienie. Jej ręka nie mogła go zastąpić, była tylko marną namiastką.

Camilla jęknęła i przewróciła się na bok. Co się z nią dzieje? Nigdy dotąd nie miała takich zuchwałych myśli. Zeskoczyła z łoża i zadzwoniła na Millie. Musiała czymś się zająć, żeby nie oszaleć.

Gdy pokojówka nadeszła, dostała polecenie, by przygotować gorącą wodę. Camilla wykąpała się i umyła głowę, a włosy wysuszyła przed kominkiem, gratulując sobie w duchu, że zapanowała nad burzliwymi uczuciami. Ubrała się w najbardziej ascetyczną suknię, jaką miała w swoim kutrze, a Millie ułożyła jej włosy w skromny koczek.

Zadowolona, że nie zostało śladu po nieskromnej kobiecie, która wróciła z przejażdżki konno, poszła odwiedzić dziadka.

- Wielki Boże, dziewczyno, coś ty z siebie zrobiła? - powitał ją starszy pan. - Wyglądasz jak zakonnica.

Camilla przewróciła oczami.

- Och, dziadku.

Earl pokazał jej, żeby usiadła na łóżku, i ujął ją za rękę. Przez chwilę przyglądał się jej twarzy, w końcu skinął głową, wyraźnie zadowolony.

- Wydumałaś sobie, że przebierzesz się za zaszuszoną starą pannę, ale na szczęście mam jeszcze oczy i widzę, że wcale się tak nie czujesz.

Camilla spojrzała na niego beznamiętnie.

- Co masz na myśli?

Dziadek zachichotał.

- Przedemną nie musisz być taka wstydliva, panienko. Dobrze widzę, że świecą ci się oczy do tego młodzieńca.

- No wiesz, dziadku! - Camilla poczuła, że się rumieni.

- Każdy widzi, że coś jest między wami. Niewiele par ma takie szczęście. Nic dziwnego, że tak wam spieszno było do ślubu.

Camilla drgnęła niespokojnie. Bardzo chciała, żeby dziadek zmienił temat. Ale earl nie miał takiego zamiaru.

- Podoba mi się twój mąż. Dobrze wybrałaś, Millo.

- Dziękuję, dziadku.

- Odwiedził mnie dziś rano. Powiedział ci o tym?

- Nie. - Camilla trochę się zaniepokoiła.

- Ucieliśmy sobie długą pogawędkę za pierwszym razem i od tej pory Benedykt czasem do mnie zagląda.

- A o czym to rozmawialiście?

- O tym i owym. Nie przejmuj się. Widzę, że twojemu lubemu można zaufać.

- Zaufać? Nie rozumiem, dziadku. - Camilla zmarszczyła czoło. - Dlaczego miałbyś mu zaufać? Powierzyłeś mu jakiś sekret?

- Spokojnie, Millo... - Krzepiącym gestem poklepał ją po dłoni. - Benedykt załatwia dla mnie pewną drobną sprawę. Naprawdę nie masz się czym przejmować. Przecież po to jest mąż.

Camilla była coraz bardziej zirytowana.

- Nie potrzebuję męża po to, żeby zajmował się moimi sprawami. Czy o tym z nim rozmawiałaś? O moich inwestycjach? O moich pieniądzach?

- Nie denerwuj się, dziewczyno. Nie rozmawialiśmy o niczym takim. O twoich pieniądzach powinien z nim porozmawiać Marlin.

- Nikt nie będzie z nim o tym rozmawiać! - odpaliła zacięta Camilla. - To są moje pieniądze i nic... - Urwała, bo nagle uświadomiła sobie, że popełniła grubą błąd. Mąż naturalnie musiał znać stan jej finansów. W dniu ich ślubu pieniądze powinny przejść na jego własność. Była to jedna z zasadniczych wad małżeństwa, o których Camilla myślała z dużą niechęcią. - I nic do nich tobie ani komukolwiek innemu - dokończyła, chcąc jakoś wybrnąć z sytuacji. - Sama powiedziałam Benedyktowi, jaki jest stan moich finansów. Zgodził się, żebym dalej obracała tymi pieniędzmi, naturalnie z pomocą Marlina.

Dziadek otworzył usta ze zdumienia.

- A cóż to za banialuki?

- Benedykt jest nowoczesnym mężem, dziadku. Uważa, że moje pieniądze powinny pozostać moje. W przyszłości... w przyszłości zostawię je młodszemu dziecku. Benedykt i bez moich pieniędzy jest bogaty.

- Ach, rozumiem. To wygląda na rozsądną decyzję. Jednakże nie rozumiem, co dobrego może wynikać z tego, że będziesz zarządzać swoimi pieniędzmi. Twoja babka nigdy nie potrafiła gospodarować nawet pensją, którą dostawała na stroje, a co dopiero mówić o inwestycjach.

- Nie jestem babką. Ona świetnie znała się na ziołach i na leczeniu ludzi, a ja dobrze znam się na inwestycjach. Babka nie musiała obracać swoimi pieniędzmi, ja robię to z pomocą Marlina od kilku lat.

Dziadek zmarszczył czoło. Wiedli na ten temat nieustają-



ce spory od dnia jej dwudziestych pierwszych urodzin. Camilla podejrzewała zresztą, że earl jest dość rozczarowany, bo zarządzając swoimi pieniędzmi, nie tylko nie uszczupliła zasobu, jakim dysponowała, lecz nawet znacznie go powiększyła.

- No, skoro razem tak postanowiliście, to pewnie nic mi do tego - odezwał się wreszcie earl Chevington.

Camilla pomyślała, że słuch ją omylił. Nie spodziewałaby się takiego stwierdzenia po dziadku, który wtrącanie się do jej życia zawsze uważał nie tylko za swoje prawo, lecz również obowiązek. Zmartwił ją tylko powód tej odmiany, dziadek bowiem wcale nie nabrał uznania dla jej trafnych decyzji, lecz po prostu polubił mężczyznę, który udawał jej męża. Ech, gdyby wiedział, kim naprawdę jest ten człowiek!

Właśnie, kim? Uzmysłowała sobie, że wcale nie wie o nim więcej niż jej dziadek. Jaką sprawę powierzył dziadek Benedyktowi? Camilla dobrze wiedziała, że jeśli jej rzekomy mąż zdradzi earla albo nadużyje jego zaufania, to wina spadnie wyłącznie na nią.

Po wyjściu z pokoju dziadka szybko poszła do swojej sypialni, spodziewając się zastać tam Benedykta. Bardzo chciała z nim porozmawiać. Energicznie otworzyła drzwi, wkroczyła do środka i stanęła jak wryta.

Benedykt istotnie był w sypialni. Siedział w kadzi pośrodku pokoju, zanurzony w wodzie do połowy torsu. Camilla popatrzyła na niego zmieszana, pisnęła i szybko obróciła się doń plecami.

- Przepraszam. Nie wiedziałam...

- To jest twój pokój - powiedział spokojnie Benedykt. Usłyszała, jak wstaje. ~ Zresztą już skończyłem.

- Wyjdę na korytarz. - Umysł musiał jej bardzo wolno pracować, skoro nie wyszła za drzwi natychmiast.

- Nie ma potrzeby - odparł swobodnie. - Zaraz się wytrę.  
- Westchnął z lubością, przykładając ciepły ręcznik do nagrzanego ciała, i po chwili powiedział: - Już możesz spojrzeć w tę stronę.

Odwróciła się bardzo powoli, niepewna, co zobaczy po spotkaniu w tak kłopotliwej sytuacji. Zapomniała jednak o swych wahaniach, gdy ujrzała Benedykta - miał na sobie tylko spodnie, a skóra na jego klatce piersiowej i umięśnionych ramionach pięknie lśniła w blasku migających w kominku płomieni.

- Och... - Camilla odchrząknęła, usiłując zebrać myśli.

- Chciałaś mi coś powiedzieć?

Upajał się tą sytuacją, co Camillę bardzo zirytowało.

- O czym rozmawiałeś z moim dziadkiem?

- Kiedy? Rozmawialiśmy kilka razy na różne tematy. Na przykład o tobie. O tym, jak earla złości jego niemoc. O wpływach Elliotów w tej części kraju... - Zawiesił głos, jakby miał nadzieję, że zaspokoił jej ciekawość.

- Mnie chodzi o sprawę, którą powierzył ci dziadek w zaufaniu. - Podeszła bliżej. W nozdrza uderzył ją świeży zapach mydła. Odwróciła głowę, żeby myśli nie podażyły w niewłaściwym kierunku. - Co to była za sprawa?

- Sprawa? Kochanie, myślisz, że mógłbym mieć z twoim dziadkiem jakieś wspólne sprawy? Przecież dopiero wczoraj go poznałem.

- Powiedział mi, że załatwiasz dla niego pewną sprawę. I nie mów do mnie „kochanie”. Teraz nie musisz udawać czułego męża. Nikt cię nie słyszy.

Benedykt spojrział na nią zaskoczony.

- Nie wiedziałem, że udaję. - Na wargach zaigrał mu ironiczny uśmiezek - Widocznie tak się przyzwyczailem do myślenia o tobie jak o ukochanej żonie, że trudno mi wyjść z roli.

Camilla zgromiła go wzrokiem.

- Nie opowiadaj bajek. Chcę wiedzieć, o czym rozmawiałeś z moim dziadkiem. Czy on cię poprosił, żebyś coś dla niego zrobił? Jeśli nadużyjesz jego zaufania, to przysięgam, że...

- Że co?

- Nie wiem, ale dopilnuję, żebyś za to zapłacił. To ci obiecuję.

- Nie nadużyłbym zaufania twojego dziadka. - Głos sumienia natychmiast przypomniał mu, że właśnie to robi, wykorzystując rozmowy ze służbą do własnych celów. - Podoba mi się taki staroświecki dżentelmen. Ostatni przedstawiciel swojej epoki.

- Dziadek uważa cię za mojego męża. Tylko dlatego powierzył ci tę sprawę. Jeśli masz choć trochę przyzwoitości, nie wykorzystasz tej wiedzy przeciwko niemu.

- Nie jestem zainteresowany wykorzystywaniem czegokolwiek przeciwko twojemu dziadkowi. Co twoim zdaniem knują?

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, co dziadek ci powiedział.

- Jeśli earl ci tego nie wyjawiał, to muszę przyjąć, że nie chciał, żebyś o tym wiedziała - niewzruszenie oznajmił Benedykt. - Nie mogę nadużyć jego zaufania, zdradzając ci treść naszej rozmowy.

-- Mówisz, że dziadek darzy większym zaufaniem ciebie, obcego człowieka, niż mnie? - Głos jej zdrzął, trochę ze złości i trochę dlatego że czuła się głęboko urażona.

Benedykt mimo woli podszedł do niej i wyciągnął ku niej rękę, jakby chciał ją uspokoić.

- Nie myśl tak, Camillo. On bardzo cię kocha.
- Nie mówimy o miłości, tylko o zaufaniu.
- Nie chodzi o to, że dziadek nie ma do ciebie zaufania.

Po prostu nie chce cię tą sprawą obciążać. Widocznie jest zdania, że mężczyzna...

- Załatwi to lepiej - dokończyła z goryczą Camilla. - Wiem. Dziadek uważa, że nawet swojego życia nie umiem ułożyć tak, jak ułożyłyby mi je obcy mężczyzna. Dlatego właśnie koniecznie chciał, żebym wyszła za męża. Uważa, że potrzebuję strażnika.

- Ktoś musi się tobą opiekować - sprostował Benedykt.  
- Wcale nie chodzi o to, żebyś miała strażnika.

- Co za różnica?

- Hm... Czy nigdy nie czułaś potrzeby zwrócenia się do kogoś o pomoc? Czyżbyś była aż tak samowystarczalna?

- O pomoc, owszem - odparła oschle Camilla. - Ale nie życzę sobie, żeby ktoś za mnie myślał.

Benedykt wątle się uśmiechnął.

- Sądzę, że tylko bardzo dzielny albo bardzo głupi mężczyzna mógłby tego próbować.

Oczy jej zabłyśły.

- Przynajmniej w tym masz rację. Ale głupich mężczyzn jest mnóstwo. Na przykład Harold zawsze mnie poucza, jak powinnam się zachować albo co powinnam powiedzieć. I w dodatku miał czelność sądzić, że go poślubię!

- Twój kuzyn Harold rzeczywiście jest głupcem. Ale mam nadzieję, że o większości mężczyzn jesteś jednak lepszego zdania.

- Jestem. Ale ilekroć mężczyźni zaczynają się koło mnie kręcić i prawić mi komplementy, porównując mnie do róży...

Benedykt roześmiał się z rozbawieniem.

- Całkiem udatne porównanie. Piękna, ale bardzo kolczasta.

- Ha! Podobieństwo polega raczej na tym, że wszyscy dookoła chcą mnie ściąć i włożyć do swojego wazonu.

- Powinnaś zobaczyć mój dom. Nie mam róż w wazonie. Wszystkie rosną dziko w ogrodzie. Takie mi się najbardziej podobają.

Camilla raptownie podniosła głowę. Poruszyło ją to, co powiedział Benedykt swym dźwięcznym, niskim głosem. A patrzył na nią jeszcze bardziej poruszająco.

- Co... co chcesz przez to powiedzieć?

Położył ręce na jej obnażonych przedramionach i przesunął je do góry. Camilla poczuła, że uginają się pod nią kolana. Wróciło do niej to samo doznanie, które ogarnęło ją w jaskini.

Odsunęła się zdecydowanym ruchem.

- Nie.

Zrobił krok w jej stronę, ale po chwili zrezygnował.

- Masz rację. Przepraszam. Musimy przebrać się do kolacji.

Cóż, nie dostała żadnych odpowiedzi, ale postanowiła nie naciskać. I tak udało jej się, że tym razem łatwo zniechęciła Benedykta. Potrafił być dużo bardziej uparty, niż wcześniej sądziła.

Poszła do garderoby wybrać suknię na wieczór. O dziwo, poczuła się nagle bardzo nieszczęśliwa. Gorzej - była... zawiedziona. Najwyraźniej poufałość, na jaką pozwolili sobie

w jaskini, nie zrobiła na Benedykcie takiego wrażenia jak na niej.

Camilla zerknęła na swoje wieczorowe suknie i jej wzrok zatrzymał się na tej z granatowego atłasu, która pięknie pasowała do koloni jej oczu. Dekolt miała głębszy niż większość sukni wiszących obok, ale ten szczegół akurat pasował do jej nastroju. Postanowiła zrezygnować z koronkowej chusty, którą zwykle nosiła, i zmienić fryzurę. Zadzwoiła więc na pokojówkę i wzięła się do dzieła.

Zanim skończyła przygotowania, Benedykt wyszedł z pokoju. Czekał na nią w korytarzu, oparty o ścianę jak pomnik cierpliwości. Camilla doczekała się natychmiastowej nagrody za swe wysiłki - na jej widok Benedykt wyprostował się bowiem, a oczy dziwnie mu zabłyśły. Powiódł wzrokiem po jej sukni. Zauważyła, że zacisnął dłonie w pięści, i w tym samym momencie poczuła się pomszczona. Ze słodkim uśmiechem położyła mu dłoń na ramieniu.

- Jesteś gotów, najdroższy?

Kolacja tego dnia była wyjątkowo nudna. Camilla z najwyższym trudem śledziła tok rozmowy, zdominowanej przez ciotkę Beryl, tym bardziej że ilekroć spoglądała na Benedykta, patrzył prosto na nią. Po posiłku nastąpiła ogłupiająca godzina w salonie do muzykowania. Mężczyznom udało się uniknąć pierwszych minut koncertu, wyszli bowiem do gabinetu na cygaro i kieliszek brandy. Wkrótce jednak wrócili do pań i Camilla przekonała się wtedy, że istnieje coś gorszego od rozpaczliwego bębnienia w klawikord, którym rwały zebranych córki ciotki Beryl. A było to słuchanie tego bębnienia pod obserwacją Benedykta.

Czuła jego wędrujące spojrzenie na włosach, wargach, pier-

siach, nogach. Zrobiło jej się gorąco, bała się, że wszyscy widzą, jak się czerwieni. Zaczęła wachlować rozpalone policzki, starając się nie myśleć o tym, co będzie potem, w sypialni. Czy Benedykt spróbuje ją uwieść? A jeśli tak, to jak ona zareaguje.

Gdy wreszcie ciotka Beryl zasłoniła usta wachlarzem, by ziewnąć, a potem oznajmiła, że zamierza udać się na spoczynek, Camilla natychmiast powiedziała, że i ona czuje się dość zmęczona. Ciotka Lidia przesłała jej dziwne spojrzenie, zwykle bowiem odejście ciotki Beryl stanowiło sygnał do rozpoczęcia gry w karty lub bardziej interesujących rozmów. Szybko jednak uśmiechnęła się ze zrozumieniem, a policzki lekko jej się zaróżowiły.

Camilla w odpowiedzi spiekła raka. Zerknęła na Benedykta, który także wstał i podał jej ramię. Uśmiechnął się do niej w sposób, który zdradzał nie tylko rozbawienie, lecz również rodzaj zmysłowej satysfakcji, a gdy położyła mu dłoń na ramieniu, musnął ją zalotnie drugą ręką.

Bez słowa poszli po schodach za ciotką Beryl i jej córkami. W sypialni zastali pokojówkę. Camilla rzuciła wachlarz i rękawiczki na toaletkę, po czym znów kątem oka zerknęła na Benedykta. Stał przy łóżku i przyglądał jej się z nieprzeniknioną miną. Millie zaczęła rozpinać jej niezliczone guziczki z tyłu sukni. Dwie części stanika rozchyliły się, odsłaniając gładkie plecy Camilli.

Benedykt wydał zduszony dźwięk. Camilla spojrzała na niego przez ramię. Stał, trzymając jedną ręką za słupek od baldachimu; oczy mu płonęły. Nagle odwrócił się i wielkimi krokami wyszedł na korytarz.

Camilla odwróciła się ku drzwiom, za którymi zniknął. Tłu-

maczyła sobie, że tak jest najlepiej, że Benedykt postąpił słusznie. A jednak nijak nie mogła zapanować nad rozczarowaniem.

Benedykt tymczasem szedł długim korytarzem, szybko oddalając się od sypialni. Bał się, że zaraz oszaleje. Wcześniej powtarzał sobie, że może spędzić ten wieczór z Camillą i zapanować nad pożądaniem, ale w ostatniej chwili po prostu uciekł. Gdy pokojówka zaczęła rozpinąć jej suknię i zobaczył piękne plecy swej niby żony, coś w nim pękło. Wiedział, że musi natychmiast wyjść, bo inaczej rzuci się na Camillę jak drapieżne zwierzę.

Doszedł do schodów i przystanął, oparłszy się o poręcz. Zamierzał zdecydować, co robić dalej. Po chwili jednak złapał się na myśleniu o Camilli. Przypomniał sobie, jak wyglądała po południu, gdy się od niej odsunął - twarz rozpalona namiętnością, wargi miękkie i nabrzmięte, i do tego wysunięta ze stanika sukni kremowa pierś, z grudką sutki jeszcze wilgotnej od pocałunków, która zapraszająco wskazywała w jego stronę. Och, może powinien wrócić?

Nie, to byłoby szaleństwo. Nie mógł pozbawić czci kobiety, będącej pod jego opieką. Naraziłby w ten sposób swoją misję, pogwałcił zasady i popełnił jeszcze sto innych grzechów, których chwilowo nie umiał nazwać, przeszkadzało mu bowiem szaleńcze pulsowanie krwi w skroniach.

Przez całą kolację dręczył się wyuzdanymi fantazjami z Camillą w głównej roli. Wyobrażał sobie, że kładzie ją w obecności wszystkich na stole i pozbawia odzienia, a potem upaja się jej ciałem. Marzył, że bierze ją na wszystkich możliwych meblach w pokoju. Miał przez to bardzo trudny wieczór.



Gdy więc później stał, przyglądając się, jak pokojówka rozpiną jej suknię, czara się przebrała. Benedykt poczuł, że nie znieśie dłużej tej tortury. Musiał znaleźć sobie jakieś zajęcie do czasu, aż Camilla zaśnie.

Wziął kilka głębokich oddechów, a uspokoiwszy się trochę, ruszył w stronę pokoju earla. Nie było późno, udali się z Camillą na spoczynek jednocześnie z ciotką Beryl, Benedykt miał więc nadzieję, że pokojowiec lorda Chevingtona jeszcze nie śpi. Dotąd nie porozmawiał z Jenkinsem. Odkładał ten obowiązek dlatego, że stary sługa darzył go niechęcią, earl bowiem odsyłał Jenkinsa, ilekroć przychodził Benedykt.

Skoro jednak musiał odbyć tę rozmowę, równie dobrze mógł zrobić to właśnie teraz.

Jenkins szybko odpowiedział na ciche pukanie. Wysunął głowę przez uchylone drzwi i wyszeptał:

- Jego lordowska mość śpi, sir, nie można mu przeszkadzać.

- Rozumiem. Ale przyszedłem porozmawiać z tobą.

- Aha. - Jenkins zawahał się i Benedykt wyczuł, że chciałby odmówić. Ale lata służby zrobiły swoje. Staruszek wziął świecę, wyszedł na korytarz i cicho zamknął za sobą drzwi. Zaprowadził Benedykta do następnych drzwi i wprowadził go do pokoju.

Pomieszczenie było małe. Stały w nim jedynie łóżko, krzesło i mała komoda. Benedykt przypuszczał, że kiedyś była to garderoba, a domysł ten potwierdzało istnienie, drugich drzwi, prowadzących do sypialni earla. Nienagannie uprzejmy Jenkins wskazał mu miejsce na krześle, a sam usiadł na krawędzi łóżka. Jego mina nie zdradzała niczego, z postawy można jednak było wnosić, że sługa wolałby być w tej chwili gdzie indziej.

Benedykt uśmiechnął się do niego życzliwie.

- Jego lordowska mość bardzo cię ceni - zaczął.

Jenkins nieznacznie skinął głową.

- Dziękuję, sir.

- Jestem pewien, że właśnie z tego powodu prosił, bym z tobą porozmawiał. Czy wspomniał ci o tym?

- Tak, sir. Earl polecił mi rozmawiać z panem tak samo szczerze, jakbym rozmawiał z nim.

- Earla niepokoją przemytnicy. Próbuję mu pomóc.

Przez chwilę Jenkins walczył z sobą, by utrzymać pozę nieufności, ale troska o chlebodawcę zwyciężyła, więc przygarbił się nieco i przybrał strapioną minę.

- Jego lordowska mość rzeczywiście wydaje się poruszony tą sprawą. Martwi się nieustannie, a doktor uważa, że to dla niego niedobrze. Ale nic, co mu mówię, nie pomaga. On... on ufa panu. Powiedział mi, że panienska Camilla dobrze wybrała. Czy umie pan mu pomóc?

- Zrobię, co będzie w mojej mocy - obiecał Benedykt. - Ale tymczasem błędzę w ciemnościach. Rozmawiałem z kilkoma osobami ze służby, między innymi z Purdle'em. Dowiedziałem się, że przemytnicy prawdopodobnie mają nowego przywódcę, ale nikt nie wie, kto to jest. Czy sądzisz, że to prawda? - Benedykt nie potrafił odgadnąć, czy istotnie nikt tego nie wie, czy też ludzie nie chcą rozmawiać z obcym mimo prośby earla.

- Chyba prawda. Nie słyszałem nawet, żeby ktoś próbował dawać do zrozumienia, że to wie. Jest jeden człowiek czy dwóch, którzy prawdopodobnie mają do niego dostęp. Jeden z nich często wydaje rozkazy. Ale to są na pewno rozkazy kogo innego. On jest za głupi, żeby samodzielnie myśleć.

- Znasz tego człowieka?

Jenkins wzruszył ramionami.

- Tak, ale wątpię, czy widział twarz nowego przywódcy. Tylko głupiec pokazałby swoje oblicze takiemu pomocnikowi. A nowy przywódca nie jest głupcem.

- Mimo wszystko mogę z tym pomocnikiem porozmawiać. Kto to jest?

Pokojowiec wahał się przez chwilę, potem wzruszył ramionami.

- Jeśli earl kazał mi panu zaufać, to muszę ufać. Ten człowiek nazywa się Evans. Taki pijaczyna ze wsi. Żona umarła mu już dawno, mówią, że miała szczęście. Ale myślę, że niewiele się pan od niego dowie.

- Co jeszcze słyszałeś o nowym przywódcy? Podobno mówi tak, jakby pochodził z tej okolicy.

Jenkins skrzywił się.

- Na pewno próbuje naśladować akcent.

- Chcesz powiedzieć, że on nie jest tutejszy?

- Tego nie wiem. Słyszałem jednak od ludzi, że próbuje naśladować w mowie miejscowych. Ale czasem myli się w akcencie albo wtrąca jakieś dziwaczne słowo. Dlatego niektórzy twierdzą, że jest szlachetnego rodu.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Benedykt wyprostował się, serce nagle zabiło mu mocniej. Nieraz rozmawiali z Sedgewickiem o tym, że szukany przez nich mężczyzna pochodzi z klasy wyższej. Takiego kogoś Richard Winslow bez wahania wpuściłby do domu, a nawet do swego sanktuarium, czyli gabinetu.

- Dżentelmen? Czy jesteś tego pewien? - spytał, uważając, żeby nie zdradzić, jakie wrażenie zrobiła na nim ta wiadomość.

- Nie - przyznał Jenkins. - Mówię tylko, że są takie podejrzenia.

- Czy oprócz przejęczyń tego człowieka coś jeszcze na to wskazuje?

- Ktoś podobno widział przez chwilę jego dłoni. Jest biała i bez odcisków, jak u dżentelmena.

Benedykt usiadł wygodniej i wlepił wzrok w starego sługę.

- Skąd tyle wiesz? Nawet Purdle mi tego nie powiedział. Jenkins pewnie wytrzymał to spojrzenie.

- Purdle jest porządnym człowiekiem, panie Lassiter, ale nietutejszym. Zaczął pracować u earla jakieś trzydzieści lat temu. Przyjechał, zdaje się, z Essex. Natomiast moja rodzina mieszka tu tak samo długo, jak Chevingtonowie, może nawet

dłużej. - W jego niebieskich oczach pojawił się błysk. - Znam tu różnych ludzi, których Purdle być może nie zna.

- Rozumiem. - Bycie nietutejszym stanowiło piętno trudne do wymazania. - Może więc potrafisz mi wyjaśnić również i to, dlaczego earl tak bardzo się niepokoi.

Jenkins miał nieprzeniknioną minę.

- Przepraszam pana, ale obawiam się, że nie rozumiem pytania.

- Chyba jednak rozumiesz i nawet umiesz na nie odpowiedzieć. Earl wydaje się niezwykle poruszony tymi wydarzeniami, znacznie bardziej niż powinien, zważywszy na jego pozycję.

- Jego lordowska mość jest bardzo dobrym gospodarzem swojej ziemi, proszę pana. Chce wiedzieć, co się dzieje wśród jego poddanych.

- Wiem. Ale to nie to. Widziałem w jego oczach niepokój zupełnie innego rodzaju. Myślę, że obaj znacie przyczynę, i ty, i Purdle, ale Purdle na pewno mi nie powie. Mam jednak nadzieję, że twoja troska o earla jest większa niż ślepa lojalność wobec chlebobawcy. Jeśli mam earlowi pomóc, muszę wiedzieć wszystko.

Jenkins westchnął i odwrócił głowę. Wadził się z sobą, ale w końcu podjął decyzję. Zwrócił się znów do Benedykta i powiedział:

- Ma pan rację. Earl bardzo się martwi. Chodzi o panicza Anthony'ego. Jego lordowska mość obawia się, że panicz przyłączył się do przemytników.

Benedykt, który przez cały czas siedział pochylony ku starremu człowiekowi, zdecydowany za wszelką cenę wydobyć z niego odpowiedź, wyprostował się nagle i westchnął.

- Tego właśnie się obawiałem.

- Z paniczem nie dzieje się nic złego - zapewnił go Jenkins. - To jest wspaniały chłopak, pełen życia, wesoły. Zawsze był taki. Tylko że czasem zdarza mu się nie pomyśleć. Może jest trochę rozpieszczony, poza tym nudzi się tutaj. Pan rozumie, jego lordowska mość nie może się pogodzić z jego wyjazdem.

- Lepiej mu pozwolić na wyjazd, niż czekać, aż swoimi wybrykami sprowadzi nieszczęście na rodzinę.

Jenkins wzdrynął się, ale powiedział tylko:

- Próbowałem przekonać jego lordowska mość, żeby pozwolił paniczowi na wyjazd do Oksfordu. Panicz jest już przecież po osiemnastych urodzinach. Ale earl nie chce o tym słyszeć. A co do wojska, do którego chce wstąpić panicz Anthony... o tym earl nawet nie chce myśleć.

- Dlaczego myślisz, że Anthony związał się z przemytnikami?

- Purdle i ja widzieliśmy go, jak wykrada się wieczorem z domu. Naturalnie dawniej też to robił, ale ostatnio znacznie częściej niż zwykle. A ile razy nocą go nie ma, rano znajdujemy na progu skrzynkę brandy.

Benedykt westchnął.

- Tutaj podobno wszyscy patrzą na przemyt przez palce. Nic dziwnego, że chłopaka to pociąga.

- Może tak jest, proszę pana, ale żeby Elliot, przyszły earl się do tego mieszał...! Gdyby temu chłopakowi coś się stało, jego lordowskiej mości pękłoby serce. To byłoby jeszcze gorsze niż skandal. A Bóg mi świadkiem, że skandal też byłby tragedią.

- Tak, to prawda. Musimy pilnować, żeby nie doszło do

skandalu. - Benedykt zamilkł na chwilę, potem ostrożnie wrócił do tematu. - Anthony jest bystry i bardzo śmiały. Zawiedzione nadzieje na wstąpienie do wojska mogły go popchnąć w inną stronę. Czy jest możliwe, że to on dowodzi przemytnikami?

- Nie! - Jenkinsowi twarz poczerwieniała od gniewu. - Niemożliwe. Pan nie zna panicza Anthony'ego tak jak ja, inaczej nie powiedziałby pan czegoś takiego. Panicz może im z nudów pomagać, ale na pewno nie zamordowałby człowieka.

- Żołnierze też zabijają. Powiedziałeś, że Anthony chce zostać żołnierzem.

- Zabijają, ale na rozkaz. Dla swojej ojczyzny. Tak, sędzę, że jako żołnierz panicz by zabijał. Zrobiliby to także dla swojej rodziny albo dla ratowania niewinnego człowieka, któremu grozi niebezpieczeństwo. Ale on ma dobre serce. Nie zabiłby nikogo dla zysku. A już na pewno nie Nata Crowdera. Nat był bratem Jema, a Jem Crowder i panicz Anthony przyjaźnią się od małego. To byłoby tak, jakby panicz zabił kogoś z rodziny. Nawet gorzej, jeśli wziąć pod uwagę, że w rodzinie jest też proboszcz, którego panicz nie lubi... - Jenkins urwał z zakłopotaną miną. - Proszę wybaczyć, sir. Nie powinienem był tego powiedzieć.

- Och, rozumiem doskonale. Miałem okazję poznać wielbego Harolda Elliota.

- Tak, proszę pana.

- Dziękuję, Jenkins. - Benedykt wstał z krzesła.

- Zrobiłbym wszystko dla uciszenia niepokoju jego lordowskiej mości, sir. Proszę wybaczyć pytanie, ale czy powiedział pan o tym paniencie Camilli?

- Nie. Ear! zobowiązał mnie do zachowania tajemnicy.

- Rozumiem, sir. To dobrze. - Jenkinsowi wyraźnie ulżyło.  
- Taką miałem nadzieję. Obawiam się, że panienkę Camillę bardzo by wzburzyły eskapady panicza Anthony'ego.

Benedykt podejrzewał, że panienka Camilla nie tylko wie o tych eskapadach, lecz jest w nie dokładnie wtajemniczona, jeśli sądzić po jej konspiratorskich szeptach z Anthonym. Nie wspomniał jednak o tym ani słowem, żeby nie pogłębić rozgoryczenia starego sługi, tylko powiedział „dobranoc” i wrócił do swojego pokoju.

Sypialnia pogrążona była w mroku. Benedykt podszedł do kanapki i zaczął się rozbierać, raz po raz zerkając na Camillę. Leżała na boku, plecami do niego, widział więc tylko chmurę ciemnych włosów na pościeli. Zastanawiał się, czy naprawdę śpi. Myślał o jej błękitnych oczach i o wargach, które tak zachęcająco się dla niego rozchylają.

Jeszcze kilka dni temu pomysł z nieprawdziwym małżeństwem wydawał mu się irytujący, a spanie w jednym pokoju z Camilla było przede wszystkim słodką zemstą za maskaradę, w którą go wciągnęła. Teraz jednak ta słodka zemsta wcale nie wydawała mu się zabawna.

Przeklinając swoją głupotę, położył się na kanapce i owinął kocem. Dobrze ugniół poduszkę i zamknął oczy. Natychmiast jednak zaczął sobie wyobrażać, co by było, gdyby podszedł do łóżka Camilli i odchylił kołdrę, żeby przyrzeć się jej w koszuli nocnej. Marzenia prowadziły go coraz dalej i były coraz śmielsze. Chorobliwe wizje!

Mimo usilnych starań zasnął dopiero tuż przed świtem. Ledwie jednak mu się to udało, wyrwało go ze snu ciche skrzyknięcie drzwi.

Natychmiast obrócił się i sięgnął do wysokiego buta, sto-



jącego przy kanapce, w którym miał ukryty nóż. Wciąż udając uśpionego, przyglądał się spod przymkniętych powiek, jak mężczyzna zmierza na palcach w stronę łóżka Camilli

Przybysz przedelfował tuż przed nim i Benedykt odetchnął z ulgą, poznał bowiem smukłą sylwetkę kuzyna Anthony'ego. Już chciał usiąść i wygłosić cierpką uwagę na temat dziwnych pór wybieranych przez młodego człowieka na odwiedziny, ale jakoś się powstrzymał. Mądrzej było dowiedzieć się, co go sprowadza o tak wczesnej godzinie.

Anthony pochylił się nad łóżkiem i potrząsnął Camillę za ramię. Obudziła się z cichym okrzykiem, więc zasłonił jej usta dłonią.

- Pst, to ja...

Poznała głos kuzyna, zamruwała powiekami i mimo rozespania zobaczyła go w mroku. Ze złością odepchnęła jego dłoń.

- Co ty tu robisz, na Boga?

- Budzę cię - odrzekł konkretnie, nadal zniżając głos do szeptu. - Wstawaj. Jesteś mi potrzebna.

- Po co?

Pokręcił głową i zerknął w stronę kanapki, na której leżał Benedykt. Camilla skinęła głową i cichutko wstała. Włożyła pantofelki i otuliła się grubym szlafrokiem, przez cały czas bacznie przyglądając się „uśpionej” postaci na kanapce. Ukradkiem wyszła z pokoju za Anthonym.

W korytarzu podeszła do podłużnego, wąskiego stolika, na którym kuzyn zostawił świecę. Spojrzała Anthony'emu w twarz.

- No, dobrze - powiedziała. - Co się stało.

- Pst - uciszył ją ponownie. - Wszystkich pobudzisz.

- Tak samo jak ty mnie?

Uśmiechnął się do niej pokornie.

- Przepraszam. Nie powinienem był tego robić, Millo, ale jest nagła potrzeba.

- Taka jak zawsze?

- Nie, to poważna sprawa. Chodzi o ludzkie życie.

- Co? - Camilla wyprostowała się, a głos natychmiast jej spoważniał. Instynktownie zerknęła na drzwi swojej sypialni.

- Nie, nie jego - powiedział ze zniecierpliwieniem Anthony po czym jedną ręką wziął świecę ze stolika, a drugą pociągnął ją za sobą. Ruszyli dalej korytarzem.

- Czyje więc? - spytała Camilla, usiłując dotrzymać mu kroku.

- Nie wiem.

- Anthony, mówisz od rzeczy! Piłeś?

- Nie! - odparł oburzony, zapominając, że przed chwilą kazał jej zachowywać się jak najciszej. - Nie miałem w ustach ani kropli alkoholu od kolacji, kiedy to wypłem kieliszek wina. Nawiasem mówiąc, zachowywaliście się z panem Lassiterem dosyć dziwnie.

- Nie bądź niemądry. - Camilla była bardzo zadowolona, że półmrok skrywa jej rumieniec.

- Nie jestem - odparł. - Patrzyliście na siebie cielęcym wzrokiem przez cały wieczór. I niech ci się nie wydaje, że tylko ja to zauważyłem. Po waszym wyjściu mama nie mogła przestać o tym mówić. Nawet ten głupek Thorne to spostrzegł. Zaczął bając coś o rozkwicie miłości.

- Naprawdę? - Camillaomal nie wybuchnęła śmiechem. Anthony spojrział na nią z urazą.

- Nie wydawałoby ci się to takie śmieszne, gdybyś to ty musiała znosić słuchanie jego poezji.

- Przepraszam, biedaku. Masz rację. Na pewno zanudziłabym się na śmierć.

Skinał głową, trochę ugłaskany. Tymczasem doszli do szczytu schodów i Anthony przystanął, by wziąć stamtąd niewielką, znoszoną torbę. Camilla natychmiast ją poznała. Torba należała niegdyś do jej babki i zawsze były w niej bandaże oraz maści stosowane w różnych nagłych wypadkach.

Teraz zerknęła na tę torbę, tknięta złym przecuciem.

- Po co ci to?

- Powiedziałem przecież, że chodzi o ludzkie życie. Może przestaniesz zadawać pytania i się pośpieszysz?

Przestraszył ją. Szybko zeszła za nim po schodach. Wyślizgnęli się z domu przez werandę i przemierzili ogród. Na wschodzie horyzont zaczynał jaśnieć, a niebo powoli blakło. Było już dość światła, by odnaleźć wąską ścieżkę prowadzącą na brzeg. Zeszli w dół po klifach, a gdy stanęli na piasku, Anthony pociągnął Camillę za sobą w stronę grobli, łączącej stały ląd z wyspą Keep.

- Śpiesz się, idzie wysoka woda - powiedział, gdy znaleźli się na wąskim pasku ziemi, otoczonym z dwu stron przez ocean.

Camilla widziała, że przypływ jest blisko. Pas ziemi miał niewiele ponad pół metra szerokości, a woda zalewała go coraz bardziej. Puścili się biegiem.

- Nie zdążymy wrócić! - zaprotestowała. Musiała bardzo uważać, gdzie stawia kroki, żeby nie poślizgnąć się i nie wpaść do wody. Nie miała najmniejszej ochoty na kąpiel w lodowatym oceanie.

- Nie bój się - odparł Anthony tonem starszego brata. - Wcześniej przepłynąłem tam łodzią i zacumowałem ją na wyspie. Po ciebie przybiegłem, żeby było szybciej.

W bladym świetle coraz wyraźniej rysowały się masywne ruiny donżonu. Pierwsze promienie słońca padły na ich wschodnią ścianę, nadając jej ten sam ciepły odcień, jaki miały mury Chevington Park. Nic jednak nie mogło złagodzić ponurego wyrazu gruzowiska kamieni ani czarnych znamion pozostałych po pożarze.

Za ich plecami woda zaczęła zalewać środkową część grobli. Dotarli na wyspę i wspiąwszy się po kamiennych schodach na płaskowyż, puścili się biegiem ku ruinom. Nie obejrzeni się za siebie. Nie zobaczyli więc postaci, stojącej na klifach po drugiej stronie morskiej kipieli i przyglądającej im się spod daszka, zrobionego z dłoni przyłożonej do czoła.

Benedykt stał na brzegu bardzo rozczerowany. Zanim pobiegł za Camilla i Anthonym, musiał się ubrać, a to kosztowało go wiele cennego czasu. Potem znikli mu z oczu i stracił przez to następne kilka minut. Zanim dotarł na klify, Camilla z Anthonym byli już prawie na końcu grobli.

Dość niefrasobliwie zdecydował się na skrót i zaczął nim schodzić na brzeg. Raz potknął się i omal nie spadł na piach poniżej. Gdy wreszcie dopadł grobli, pokonał nie więcej niż pięć metrów i zrozumiał, że więcej nie da rady.

Przystanął zdyszany, zaklął pod nosem i wrócił na brzeg. Długo stał tam i patrzył na znikający pod wodą skrawek ziemi. Camilla z kuzynem znikli już w ruinach donżonu, a on wciąż zastanawiał się, co zmusiło ich do takiego pośpiechu. Czy zaplanowali wcześniej tę wyprawę, czy też rzeczy-

wiecie był to nagły wypadek? Dręczyło go złe przeczucie, że stary Jenkins ma rację i Anthony rzeczywiście zajmuje się przemytem. Wyglądało zresztą na to, że i Camilla macza w tym palce.

Serce biło mu jak szalone. Wydawało mu się niedorzecznością, by Camilla mogła należeć do bandy przemytników. Niemniej jednak szybko przekonywał się, że ta dziewczyna ma otwarte i gorące serce, więc dla ludzi, których darzy miłością, zrobiłaby prawie wszystko. Niebezpieczeństwa jej nie przerażały. Gdy do czegoś się brała, wkładała w to całą duszę. Jeśli ukochany kuzyn jej potrzebował...

Benedykt skrzywił się ze złości. Ciekawe, jak bardzo Camilla kocha tego kuzyna. Co by dla niego zrobiła? I czy oboje są zamieszani w przemyt, czy w coś znacznie gorszego?

W głowie kłębiły mu się straszne myśli. Obrócił się na pięcie i wielkimi krokami odszedł w stronę domu.

Anthony przeprowadził Camillę przez obszerną salę bez dachu. Kiedyś była to wielka sień donżonu. Wewnętrzne ściany dawno zamieniły się w sterty gruzu, na które teraz musieli się wspinać, i tylko jeden z zewnętrznych murów pozostał nietknięty przez czas. Przez chwilę szli po trawie, potem ominęli następną kupę kamieni. Znaleźli się w dawnych kuchniach, z których zostało niewiele, jeśli nie liczyć olbrzymiego paleniska.

Od wiatru osłaniały ich resztki zewnętrznej ściany. Camilla już zorientowała się, dokąd idą, a jej przypuszczenie potwierdziło się wkrótce, gdy Anthony skierował się ku ruinom ściany w głębi kuchni. Ominęli usypisko kamieni i zaraz za nim skręcili. Rósł tam rozłożysty krzak. Anthony rozsunął jego gałęzie,

przykucnął i zaczął się wciskać pod spód. Camilla przystanąła, wsparta pod biodra.

- Anthony! Nie mam zamiaru włązić do piwnic. Jestem na to za stara. Co tam masz? Dlaczego nie możesz mi po prostu powiedzieć?

- Musisz sama zobaczyć. - Zwrócił się w jej stronę i odsunął gałęzie, żeby ułatwić jej przejście.

Camilla pochyliła się i spojrzała na kwadratową, drewnianą klapę pod krzakiem. Drewno było stare i zniszczone, wciąż jednak grube i nie przegniłe. Z jednej strony z desek wystawał żelazny pierścień. Anthony zacisnął na nim dłoń i mocno szarpnął. Kłapa uniosła się, choć nie bez oporu. Skrzypnęły zardzewiałe zawiasy.

Camilla odkryła tę klapę, bawiąc się w ruinach jako dziecko. Potem pokazała ją Anthony'emu. Nieraz zdarzało im się najeść strachu, gdy z latarniami w dłoniach próbowali badać mroczne podziemie.

Kłapa była osadzona w kamiennej podłodze kuchni. Wprawdzie wiele kamieni wykopano i przewieziono na ład, gdzie posłużyły do wybrukowania drogi dojazdowej do Chevington Park, a znaczną część podłogi zarosła trawa, wejście do piwnic pozostało jednak takie samo, jak dawniej. Chociaż nie - zawiasy kłapy nie były pokryte darnią, jak kiedyś, lecz starannie oczyszczone, a wycięta darń leżała obok.

Camilla spojrzała podejrzliwie na kuzyna.

- Anthony! Czyżbyś używał tego miejsca do przechowywania przemywanej brandy?!

- Nie! Przysięgam, że nie pokazałbym go nikomu spoza rodziny. Nigdy nikomu nie zdradziłem istnienia tych piwnic

ani tego wejścia. Ale wydawało mi się, że to jest znakomite miejsce do ukrycia... Chodź, sama zobaczysz.

Do połowy znikł już pod ziemią, szukając stopami szczebli drabiny. Znalazł je i szybko zszedł na dół.

- Poczekaj - dobiegł ją jego stłumiony głos. - Mam tu światło.

Po chwili w otworze zrobiło się jaśniej. Camilla zajrzała do środka. Anthony stał poniżej, trzymając w ręce latarnię, i patrzył w jej stronę. Obok niego sterczała solidna drabina, bez wątpienia inna niż ta, po której z narażeniem rąk i nóg schodzili w dzieciństwie.

Camilla westchnęła. Wiedziała, że kobieta w jej wieku powinna mieć więcej godności. Nie mogła jednak oprzeć się pokusie poznania mrocznej tajemnicy podziemi. Podciągnęła koszulę nocną i szlafrok, uknęła nad otworem i zaczęła wymacywać stopą pierwszy szczebel.

Droga w dół była krótsza niż we wspomnieniach, które Camilla zachowała z dzieciństwa. Wkrótce stanęła na twardym gruncie obok kuzyna. Anthony uśmiechnął się do niej jak mały urwis i uniósł latarnię, żeby mogła rozejrzeć się po pomieszczeniu. Znajdowali się w ziemiance, w której kucharka kiedyś trzymała żywność. Teraz nic już tu nie zostało oprócz paru przegniłych beczek.

Po chwili Anthony ruszył ku drzwiczkom w przeciwległej ścianie. Camilla poszła za nim, przypominając sobie, jak kiedyś badali to przejście. Miała wtedy nic i znaczyła nią drogę jak Tezeusz w labiryncie. Dalej ciągnęła się bowiem sieć podziemnych pomieszczeń, większych i mniejszych. Anthony zawsze twierdził, że jeśli zajdą dostatecznie daleko, dotrą do lochów, w których trzymano więźniów w średniowieczu. Nigdy tak się

nie stało, ale prawdę mówiąc, nigdy nie starczyło im odwagi na dalszą ekspedycję.

Teraz Camilla zastanawiała się, czy w ostatnich latach Anthony zbadał podziemia dokładniej. To by do niego pasowało.

- Nie mów mi, że w końcu znalazłeś lochy i salę tortur - zażartowała, gdy przemierzali jakieś niskie, podłużne pomieszczenie.

- Nie - przyznał Anthony z uśmiechem. - Ale wciąż próbuję je znaleźć. Obawiam się jednak, że nasi przodkowie byli bardziej zainteresowani przechowywaniem zapasów niż więźniów.

- Nudziarze.

- Owszem.

- Anthony, dokąd idziemy?

- Jeszcze chwilę. Jesteśmy prawie na miejscu. Nie mogłem zająć za daleko.

- Co masz na myśli?

Wszedł do następnego pomieszczenia i skręcił w prawo. W ścianie znalazł kolejne drzwiczki, jeszcze niższe od poprzednich. W odróżnieniu od reszty podziemi, pomieszczenie za nimi było jasne. Płonęło w nim żółtawe światło.

Camilla zamrugała zaskoczona oczami. Dlaczego kuzyn zostawił tam świecę? Przez przypadek? A może specjalnie?

Anthony schylił się, a właściwie prawie zgiął się w pół, i przeszedł dalej, a Camilla podążyła za nim. Omiotła wzrokiem następne pomieszczenie i z przerażenia podniosła nagle dłoń do ust.

- Anthony!

Przed sobą ujrzała mężczyznę. Zajmował mniej więcej połowę izdebki. Leżał na kocu podłożonym pod plecy. Drugi koc



miał stanowić przykrycie, był jednak zepchnięty, więc grzał tylko nogi. Zrolowany płaszcz służył za poduszkę.

Mężczyzna miał ciemne ubranie z grubego, szorstkiego sukna. Był ciemnym blondynem średniego wzrostu, o jasnej karnacji i kręconych włosach. Twarz miał nalaną, na czole i nad górną wargą perliły mu się krople potu. Leżał nieruchomo, z zamkniętymi oczami, klatka piersiowa poruszała mu się w rytm wolnych, płytkich oddechów.

Camilla wlepiła wzrok w nieznanego. Chociaż Anthony uprzedził ją, że chodzi o ludzkie życie, uznała jego słowa za przesadę. W ogóle nie była przygotowana na widok człowieka w podziemiach donżonu, a tym bardziej na widok chorego.

- Anthony, kto to jest? Co on tu robi?

- Nie wiem. Jest tutaj, bo go przyniosłem. Tu wydawało mi się najbezpieczniej. Znalazłem go na plaży, ale nie odważyłem się wziąć go do domu. Pomyślałem o donżonie, bo to jedyne miejsce w pobliżu, gdzie mury chronią przed żywiołami.

Camilla przyklękała obok mężczyzny. Nie była doświadczonym medykiem, ale opatrywanie skaleczeń i drobnych ran, które zdarzały się w Chevington Park, należało przeważnie do niej. Lidia nigdy nie miała ręki do pielęgnowania chorych, a ponieważ służba przez wiele lat zwracała się w takich sytuacjach do starszej pani, panienka Camilla przejęła ten obowiązek po zmarłej babce.

Zacisnęła palce na nadgarstku mężczyzny. Puls miał bardzo przyspieszony, a skórę rozpaloną.

- Ten człowiek ma wysoką gorączkę, Anthony. Trzeba zawieźć go do doktora.

- Nie. A przynajmniej jeszcze nie teraz. Proszę cię, Ca-

millo, czy nie możesz czegoś dla niego zrobić? Babka zawsze mówiła, że masz do tego zdolności.

- Pomagałam przy przeziębieniach i niewielkiej gorączce. A co się stało temu mężczyźnie? Dlaczego ma tu bandaż? - Wskazała na ramię, gdzie spod koszuli wystawał biały pasek.

- Nie jeden - stwierdził ponuro Anthony. Rozpiął mężczyźnie koszulę. Drugi bandaż opasywał mu klatkę piersiową. Anthony podkasał rannemu rękaw i wtedy na ramieniu ukazała się długa rana cięta. Camilla zauważyła, że na dłoniach i ramionach jest jeszcze kilka drobniejszych zadrapań.

- Anthony... co mu się stało?

Pokręcił głową.

- Nie wiem. Nie było mnie przy tym. Tylko nie myśl, że mam z tym coś wspólnego. Znalazłem go przedwczoraj na brzegu. Leżał na piasku i krwawił. Mnie się zdaje, że ktoś go chciał zadźgać. Rana na piersi jest długa i płytka, tak jakby ktoś próbował mu wbić nóż między żebra, ale ostrze ześlizgnęło się po kości.

- Anthony, proszę cię...

Camilla z trudem przełknęła ślinę. Gdy słuchała opisu rany, zrobiło jej się słabo.

- Och, przepraszam. Czasem zapominam, że jesteś kobietą.

- Serdeczne dzięki. - Przesłała mu mroczne spojrzenie.

- Wiesz, o co mi chodzi. Przecież zawsze byłaś gagatkiem.

- Przykucnął z drugiej strony rannego mężczyzny. - Znalazłem go w pobliżu przyładka, w skałach. Wiesz gdzie, prawda?

Camilla skinęła głową.

- Ukrywał się. Trafiłem na niego tylko dlatego, że byłem z Bumperem, który nagle zaczął węszyć. Poszedłem sprawdzić, co go tak zainteresowało. Ten człowiek leżał nieprzytomny,

a przy dłoni miał pistolet. Obwąchałem broń, na pewno z niej strzelał. Było też widać, że ma kilka ran od noża. Spryskałem mu twarz wodą i wtedy się ocknął.

- Czy to znaczy, że przez pewien czas był przytomny?

- Tak. Kiedy go znalazłem, nie miał gorączki. Stracił przytomność od utraty krwi. Wydawał się przestraszony na mój widok, ale zapewniłem, że chcę mu pomóc. Gdy zobaczył, że rzeczywiście nie robię mu krzywdy, powiedział, że go napadnięto. Ktoś ukrył się za skałą i znieacka zaatakował. Ten człowiek podobno zaczął się bronić, wyciągnął pistolet i wtedy napastnik uciekł. Strzelił do napastnika, ale wydaje mu się, że chybił. Rozejrzałem się dookoła i nie znalazłem śladów krwi, więc prawdopodobnie ma rację.

- Anthony! Jak możesz mówić tak lekko o poważnych sprawach?

Anthony wzruszył ramionami i Camilla nagle uświadomiła sobie, że jej kuzyn nie jest już małym chłopcem. Podczas jej nieobecności nagle wyrósł z cielecego wieku. Miał teraz męską sylwetkę i twarz dorosłego człowieka. Dziadek postąpił bardzo nierozważnie, zabraniając mu wyjazdu z Chevington Park.

- Przecież widziałem kilka razy rannego człowieka, a kiedyś kuzyn Jema... Ech, mniejsza o to. W każdym razie musiałem jakoś pomóc temu biedakowi. Początkowo nie mogłem wymyślić, gdzie go przenieść, ale potem przypomniałem sobie donżon i podziemia i pomyślałem, że to będzie wyborna kryjówka.

- Nie rozumiem, dlaczego nie wzięłeś go do lekarza. Albo do domu. Nawet ciotka Beryl nie odmówiłaby pomocy ranemu. Nie mówiąc już o tym, że nasze władze powinny się dowiedzieć o tym napadzie i poszukać niedoszłego mordercy.

Należało iść z tą sprawą do sędziego. Zresztą nadal powinniśmy tak zrobić.

- Do Johna Hammersmitha? - Anthony parsknął śmiechem. - Czy myślisz, że ten niedojda byłby w stanie zorganizować pościg za mordercą, czyhającym gdzieś w okolicy? Dobrze wiesz, że z każdym większym kłopotem przychodził do dziadka. Poza tym nigdy nie miał do czynienia z usiłowaniem morderstwa. Największa sprawa trafiła mu się wtedy, gdy Boly Baker ukradł kurę pani Runford.

Camilla westchnęła. Rzeczywiście, pan Hammersmith był strachliwym i mało zrównoważonym człowiekiem. Za nic nie złożyłaby swego życia w jego ręce.

- Masz rację.

- Napastnik zapewne wiedział, że mu się nie udało. Mógł czaić się w pobliżu, żeby dokończyć dzieła. Uznałem, że lepiej znaleźć temu człowiekowi schronienie, póki nie wydobrzeje.

- A co będzie, jeśli on umrze? - spytała cicho Camilla.

Anthony przez chwilę wpatrywał się w nią bez słowa.

- Nie wiem - powiedział w końcu. - Wtedy chyba będziemy musieli komuś o tym powiedzieć. Może nawet iść do sędziego. Ale on nie umrze, Millo. Nie pozwolisz mu na to.

- Wzruszające jest to zaufanie, jakie we mnie pokładasz - odrzekła oschle. - Dlaczego wobec tego nie przyprowadziłeś mnie do niego zaraz po tym, jak go znalazłeś?

- Przede wszystkim wiedziałem, że narobisz dużo szumu z tego powodu, i jak widać, nie omyliłem się. Poza tym wtedy nie miał gorączki. Nawet przeszedł z moją pomocą spory kawałek. Pomyślałem, że jeśli zabandażuję mu rany i zostawię go, żeby wypoczął, to odzyska siły. Widocznie jednak droga tutaj zanadto go wyczerpała. Lepiej byłoby przewieźć go kon-

no, ale musiałbym iść po konia, a nie chciałem zostawić go samego. Napastnik mógłby tymczasem wrócić i go zabić. Pomogłem mu więc dojść na groblę, ale potem stracił przytomność i musiałem go nieść na plecach. W podziemiach jeszcze na chwilę się ocknął, było jednak widać, że jest z nim niedobrze. A gdy wróciłem do niego następnym razem, już miał gorączkę. Cóż, obawiam się, że rana nie była czysta. Dlatego dziś rano postanowiłem sprowadzić cię na pomoc.

Camilla spojrzała z powątpiewaniem na rannego mężczyznę.

- Spróbuję. Ale nie jestem pewna, czy mogę cokolwiek dla niego zrobić.

Otworzyła torbę i zaczęła przeglądać jej zawartość. Wyjęła fiolkę z brunatną cieczą.

- Masz wodę?

W odpowiedzi Anthony przyniósł z kąta dzbanek i otworzył pudełko, z którego wyjął szklankę. Camilla nalała wody do szklanki, dodała do niej trochę brunatnego płynu, po czym zamieszała roztwór.

- Teraz trzeba go tym napoić. Musisz mi pomóc. - Anthony przyklęknął za mężczyzną, by unieść go do pozycji półsiedzącej, Camilla zaś przysunęła nieznajomemu szklankę do ust i przechyliwszy ją, powiedziała: - Pij.

Mężczyzna upił łyk. Nie wiedziała, czy usłuchał polecenia, czy po prostu odruchowo zareagował na dotknięcie szklanki do warg, w każdym razie skrzywił się i odwrócił głowę, bo mikstura była gorzka.

- Musi wypić to lekarstwo - powiedziała Camilla Anthony'emu. - Ono pomaga na gorączkę.

- Co to jest? - spytał kuzyn - Wygląda dość odrażająco.

- Wyciąg ze złocienia i kilku innych ziół. Babka miała na niego przepis, a ostatnio gdy tu byłam, zrobiłam go dla pani Horton. Podobno działał cuda.

- Dobrze. Będę trzymał go za głowę, a ty wlewaj mu to do ust.

Zadanie nie było łatwe, ale po dłuższych wysiłkach udało im się napoić mężczyznę brunatną miksturą, choć nie mało wylało się przy tym na koszulę. Potem Camilla przygotowała ziołowe okłady. Po odwinięciu bandaży przekonała się, że dwie rany są jaskrawoczerwone i ropieją. Najdelikatniej jak umiała, obłożyła je ziołową papką i znów zabandażowała.

- Czy nic więcej ci nie powiedział? - spytała Anthony'ego w trakcie pracy.

- Bardzo niewiele. Nie mogę siedzieć przy nim bez przerwy, wiesz, że Purdle i Jenkins mnie śledzą. Są pewni, że bez tego wpadnę w tarapaty. A ciotka Beryl jest nie lepsza od nich. Żąda ode mnie wyjaśnień za każdym razem, gdy nie schodzę na obiad. Poza tym bałem się, że ten, kto go napadł, może mnie obserwować, więc nie chciałem spędzać tutaj za dużo czasu. Po zabandażowaniu ran przyniosłem mu wodę w dzbanku i chleb z serem, a potem wróciłem dopiero następnego ranka. Zbudził się, ale widziałem, że cierpi, więc nie chciałem go męczyć. Był bardzo ostrożny, gdy zadawałem mu pytania. Nie ufał mi.

- Mimo że uratowałeś mu życie?

Anthony wzruszył ramionami.

- Ma prawo być podejrzliwy. Było nie było, ktoś go jednak zdradziecko napadł. Skąd może wiedzieć, czy nie uratowałem go dla własnych celów? Kiedy spytałem go, jak się nazywa, odparł, że lepiej, żebyśmy nie wiedzieli.

Camilla pokręciła głową, ostrożnie rozsmarowując na ranie ziołową papkę.

- To jest bardzo tajemnicza historia, Anthony. Dręczy mnie niepokojące przeczucie, że wmieszałeś się w coś, w co za nic nie powinienes być się wmieszać. Szkoda, że nie mamy do kogo zwrócić się o pomoc.

Anthony skinął głową.

- Ja też żałuję. Chciałem powiedzieć o tym dziadkowi, ale jest na to zbyt chory. Temu bałwanowi Haroldowi w ogóle nie warto niczego mówić. A kuzyn Bertram zapewne zawołałby „A to ci dopiero!” i wyraził ubolewanie, że bandaże nie pasują do kroju koszuli.

Camilla uśmiechnęła się, słysząc te słowa. Rzeczywiście, wszyscy krewni, choć przecież starsi od osiemnastolatka Anthony'ego, byli zarazem znacznie mniej dojrzały niż on i zdawali się nie znać życia. Zamyśliła się głęboko.

- A gdyby...

- Nie! Nie zamierzam wspomnieć o tym ani słowem temu twojemu Benedyktowi! - wybuchnął. - Jemu nie można ufać. Nawet nie znamy jego nazwiska.

- Ale jeśli Benedykt naprawdę jest urzędnikiem celnym, tak jak twierdzisz, to może mieć znajomych we władzach. Może nawet znać kogoś, kto byłby pomocny w tej sprawie.

- Bardziej prawdopodobne, że by nas wszystkich wydał. Powiem ci szczerze. Mnie się zdaje, że to właśnie on dźgnął tego człowieka.

- Anthony! Jak możesz coś takiego mówić?! - Camilla obróciła się nagle i spojrzała na niego wstrząśnięta.

- Bardzo łatwo. Niczego o nim nie wiemy. Może po to właśnie czaił się tamtego wieczoru. Czekał na tego człowieka,

żeby go napaść. A ty tylko ułatwiłaś mu zadanie, bo wpuściłaś go do swojego domu.

- Benedykt nie jest mordercą.

- Skąd wiesz?

- Po prostu wiem. Niedorzecznością jest przypuszczać coś takiego. Zresztą dlaczego urzędnik celny miałby napadać z nożem na innych ludzi?

- Nie wiem. Może nie jest urzędnikiem celnym. Może jest jednak przemytnikiem. Może to on dowodzi teraz bandą. Może zabił również Nata Crowdera.

- W życiu nie słyszałam niczego głupszego! - oburzyła się Camilla. - Benedykt nie jest ani przemytnikiem, ani mordercą! Nie pozwolę ci tak o nim mówić.

- Przecież nie jest twoim mężem - zwrócił jej uwagę Anthony. - Ale rzeczywiście lepiej mieć nadzieję, że nie jest ani mordercą, ani przemytnikiem, bo wtedy byłabyś naprawdę w opałach. Tylko co się stanie, jeśli go aresztują za morderstwo, a wszyscy dookoła będą w nim widzieć twojego męża?

- Nie będą, bo nikt go nie aresztuje. Benedykt nie jest mordercą.

- Dobrze. Ale ja nie chcę ryzykować i dlatego nie pisnę mu ani słowa o tym człowieku.

- A jeśli Benedykt jest jednak urzędnikiem celnym...

- Camillo, nie rozumiesz? Ten ranny nieszczęśnik prawdopodobnie jest przemytnikiem.

- Co takiego? - Camilla znów zerknęła na swego pacjenta, potem odwróciła się do Anthony'ego. - Nigdy go wcześniej nie widziałam. Jest nietutejszy.

- Owszem. Ale ja widziałem go dwie noce temu. Pomagał w rozładunku łodzi.



- Co takiego? Skąd wiesz, że to on?
- Ma sygnety.
- Coma?

Anthony podniósł płaszcz mężczyzny i wyciągnął z kieszeni kawałek linki związanej końcami. Wisiał na niej złoty sygnety.

- Ojej! - Camilla wzięła od kuzyna klejnot i dokładnie mu się przyjrzała. Wzór przedstawiał węża, zjadającego własny ogon. Gad miał szmaragdowe oczy. - Ten sygnety wygląda na bardzo drogi.

- A ten człowiek nie wygląda na wieśniaka.
- Czy on to nosił?

- Nie na palcu. Pewnie wiedział, że taki drobiazg zwróciłby uwagę. Ale kiedy pochylił się, żeby podnieść beczkę, sygnety zawieszony na szyi wysunął mu się spod koszuli. Wtedy szybko go schował, ale kiedy znalazłem później ranego z linką na szyi, wiedziałem, że to musi być ten sam człowiek.

- Ciekawe, dlaczego był wśród przemytników. Nie pochodzi z okolicy. I ma taki drogi sygnety...

- To może być ten przemytnik szlachetnego rodu.
  - Dwóch jednocześnie? - spytała kpiącym tonem Camilla.
- Wydaje mi się to nieprawdopodobne.

Anthony się zawahał, ale po chwili znowu zaczął głośno snuć domysły.

Przypłynął łodzią. Prawdopodobnie był na niej ładunek brandy.

Biandy? Chcesz powiedzieć, że on przypłynął z Francji? Anthony skinął głową.

- Wczoraj wieczorem, gdy do niego zajrzałem miał go-

rączkę. Majaczył przez sen. Nie zrozumiałem o czym, ale jedno wiem na pewno - mówił po francusku.

W Camillę jakby strzelił piorun. Usiadła na piętach i wlepiła wzrok w kuzyna.

- Francuz? Boże święty! Czy w takim razie ten człowiek może być szpiegiem?

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

- Nie wiem - odparł żałośnie Anthony. - Sam nie wierzyłem własnym uszom. Kiedy ze mną rozmawiał, w ogóle nie słyszałem obcego akcentu. Ale przez sen na pewno mówił po francusku.

- W takim razie musisz zgłosić to władzom.

- A jeśli nie jest szpiegiem? Jeśli się pomyliłem albo jeśli... jeśli na przykład jest Belgiem? Zresztą na pewno są Anglicy, którzy umieją mówić po francusku.

- Owszem, ja też umiem. Ale nie przez sen. Jeśli mówisz przez sen, to w języku ojczystym.

- Nawet jeśli jest Francuzem, to niekoniecznie szpiegiem - uparł się Anthony.

- A kim innym miałyby być? Toczymy wojnę z Francją.

- Mógłby być na przykład uchodźcą. Sprzeciwił się władzy Bonapartego, założyłmy nawet, że musiał ratować się ucieczką, bo Bonaparte chciał go aresztować. To wyjaśniałoby, dlaczego znalazł się wśród przemytników. Zapłacił im za przewiezienie go do Anglii.

- Jeśli jest szpiegiem, także mógł im za to zapłacić. Nie wiadomo, Anthony, i właśnie to jest straszne. - Znów spojrzała na rannego. - Nie możemy pozwolić, żeby ten człowiek swobodnie poruszał się po Anglii, nawet jeśli mu współczujemy.

- Nie sądzę, żeby w najbliższym czasie mógł się swobodnie poruszać.

Istotnie, ranny wydawał się w tej chwili całkowicie bezradny. Camilla zawahała się. Przekazanie go w tym stanie władzom byłoby nieludzkie. Gdyby tak postąpili, niedoszły morderca mógłby się dowiedzieć, gdzie jest jego ofiara, i spróbować drugi raz. Anthony miał rację także i w tym, że sędzia niewiele im pomoże, a w dodatku nie będzie w stanie zapewnić ochrony nieprzytomnemu mężczyźnie.

Bardzo żałowała, że nie może poprosić o radę Benedykta, chociaż nie rozumiała, dlaczego tak bardzo liczy się ze zdaniem człowieka, którego poznała zaledwie przed kilkoma dniami.

- Nawet nie ma za co go aresztować - zwrócił jej uwagę Anthony. - Wiemy tylko, że go napadnięto. Nie byłoby podstaw do zatrzymania. Prawdopodobnie dalej zajmowalibyśmy się nim w Chevington Park, z tą różnicą, że wszyscy by się o nim dowiedzieli.

Anthony widział, że robi postępy, więc przekonywał dalej:

- Proszę cię, Millo. Zobaczmy, co się z nim stanie, jak będzie się czuł. Tymczasem nie wiemy nawet, czy przeżyje, żeby można go było przekazać władzom. A jeśli gorączka mu minie, to pewnie opowie nam o sobie i wytłumaczy, jak się tu dostał. Niewykluczone, że istnieje całkiem niewinne wyjaśnienie jego znajomości francuskiego.

- Dobrze. - Camilla westchnęła i wstała, skończywszy opatrywać rany nieznanego. - Zrobiłam dla niego wszystko, co mogłam. Te okłady powinny ułatwić gojenie się ran. Lekarstwo na gorączkę trzeba mu podawać kilka razy dziennie. Zajmiesz się tym? Ja nie mogę zniknąć na całe dnie, bo wszyscy zaczną się interesować, gdzie jestem, a zwłaszcza Benedykt.

Anthony skinął głową.

- Dobrze. Przewiozę cię łódką na brzeg, a potem wrócę tutaj i dzisiaj z nim posiedzę. Po prostu zamknę na klucz swoją sypialnię w Chevington Park i udam, że zachorowałem. Przyjdiesz później, w czasie odpływu?

- Tak. Po południu jakoś wykradnę się z domu, żeby sprawdzić, w jakim jest stanie. - Westchnęła i obrzuciła ostatnim spojrzeniem człowieka, spoczywającego na ziemi. - Czy obiecujesz, że będziesz przy nim siedział z bronią?

Kuzyn przewrócił oczami.

- Camillo! Ten człowiek jest taki słaby, że ledwie rusza ręką. Co on mógłby mi zrobić?

- Nie wiem - odparła Camilla. - Wiem tylko, że może być Francuzem i szpiegiem, a nikt oprócz nas go tutaj nie widział. To niebezpieczna sytuacja. Jeśli nie masz dość rozsądku, by zachować ostrożność, będę musiała...

- Już dobrze, dobrze... - Anthony zasłonił jej usta i roześmiał się. - Obiecuję, że zawsze będę uzbrojony po zęby. I będę go bacznie obserwował. Podobnie jak ty, wcale nie życzę sobie, żeby francuscy szpiedzy bezkarnie hasali po naszym kraju. A teraz chodźmy - otoczył ją ramieniem i pociągnął ku drzwiom - powinnaś już wrócić do domu.

W domu Camilla pośpieszyła do sypialni, a Anthony udał się najpierw do kuchni, a potem do swego pokoju, by zgromadzić zapasy i ekwipunek na cały dzień. Camilla przeżyła głęboki zawód, stwierdziwszy, że Benedykt już wstał i gdzieś znikł, miała bowiem nadzieję, że uda jej się niepostrzeżenie wślizgnąć z powrotem do łóżka.

Ponieważ jednak ten plan ją zawiódł, ubrała się i zeszła

na dół do jadalni. O okłamywaniu Benedykta myślała z dużą przykrością, dlatego bardzo chciała jak najszybciej pozbyć się nowego kłopotu. W drzwiach jadalni przystanąła, rozejrzała się i z ulgą stwierdziła, że Benedykt je śniadanie samotnie. Przykleiwszy uśmiech do warg, z wdziękiem wsunęła do środka.

- Dzień dobry, Benedyckie.

Na słowa powitania zerwał się z gniewną miną od stołu.

- Gdzieś ty była, u diabła? Już zacząłem się martwić.

Zaskoczył ją. Spodziewała się raczej zwykłego wypytywania, a nie wybuchu gniewu zatroskanego człowieka.

- Bez powodu - odparła. - Byłam z Anthonym.

Przesłał jej pytające spojrzenie.

- Wyjątkowo mnie tym uspokoiłaś.

- Anthony jest wobec mnie bardzo opiekuńczy.

- Nie wątpię. - Benedykt niezręcznie odsunął dla niej krzesło i gestem zaprosił ją do zajęcia miejsca. - Gdzie byliście?

- Na porannej przechadzce po Chevington Park. Często to robimy. - Nie była w stanie spojrzeć mu w oczy, ucieszyła się więc, gdy służący podał jej talerz z jedzeniem i mogła skupić wzrok na swym śniadaniu.

- Nic mi o tym nie mówiąc? To dość swobodne zachowanie jak na żonę, nie sądzisz? - spytał cicho.

Camilla spojrzała na niego ze zdumieniem, po czym pochyliła się ku niemu i szepnęła.

- Przecież nie jestem twoją żoną.

Zbiła go z pantałyku, wnet jednak odszepnął jej:

- Umówiliśmy się, że to małżeństwo ma wyglądać jak prawdziwe. Inaczej prędzej czy później popełnisz błąd i nas wydasz. „

- Na pewno ja! - rozzłościła się Camilla.

Zerknął na nią z ukosa, z powrotem usiadł na krześle i zaczął się śniadaniem. Na dłuższą chwilę w pokoju zapadło niezręczne milczenie.

Nerwy Camilli już tego nie wytrzymały, gdy Benedykt znów nieznacznie uniósł się z miejsca, pochylił w jej stronę i szepnął:

- Czy nie sądzisz, że szlafrok jest dość niewłaściwym okryciem na spacer po majątku?

Zaskoczona spojrzała na niego i pochwyciła całkiem beznamienne spojrzenie. Policzki zaczęły ją palić.

- Skąd wiesz...

- Wyglądałem przez okno, wypatrywałem, no i zobaczyłem, jak wracasz z Anthonym - wyjaśnił.

Camilla bardzo się starała, by nie było po niej widać, jak bardzo czuje się winna. Spróbowała sobie przypomnieć, co widać z okna jej sypialni. Brzeg oceanu był zasłonięty, Benedykt nie mógł więc ich widzieć, jak wsiadali do łodzi. Całe szczęście.

- Bo widzisz... - zaczęła - był mały wypadek. Dlatego Anthony po mnie przyszedł. Potrzebował pomocy. - Wpadł jej do głowy pewien pomysł. - Pomocy medycznej...

- Mam wrażenie, że doktor byłby bardziej odpowiednią osobą niż ty - powiedział łagodnie.

- Och, nie. Chodziło o starą Nan Gandy, wdowę po jednym z poddanych mojego dziadka. Ona mieszka w chacie za lasem. Zachorowała, a o doktorach nawet nie chce słyszeć, Nie wpuściłaby do siebie żadnego z nich. Jest przekonana, że medyk prędzej ją zabije, niż ,wyleczy... Nigdy nie ufała nikomu innemu tylko mojej babci. Pewnie pan nie wie, ale moja babka

była znana w okolicy jako zielarka. Zawsze pomagała, jeśli zachorował ktoś ze służby albo któryś poddany. Stara Nan wierzy, że odziedzyczyłam te zdolności, chociaż tak naprawdę odziedzyczyłam tylko torbę z lekami i przepisy.

- Rozumiem. To znaczy, że Anthony odwiedził ją o świcie, przekonał się, że jest chora, i zaraz po ciebie przybiegł.

- Och, nie... - Powinna wiedzieć, że Benedykt natychmiast znajdzie słaby punkt tej bajeczki. - Przybiegł po mnie kuzyn starej Nan. Anthony'ego spotkał po drodze, bo Anthony lubi rano spacerować.

- Musisz być bardzo przywiązana do swoich poddanych, skoro wiesz, że można cię wyciągnąć z łóżka o świcie.

- Normalnie nic takiego by się nie stało, ale Nan zachorowała nagle. Dostała wysokiej gorączki i zaczęła majaczyć. Jej bliscy bardzo się przestraszyli.

- Rozumiem. Trzeba było się śpieszyć.

Camilla skinęła głową. Przyszło jej do głowy, że zapędziła się w ślepy zaułek. Gdyby naprawdę ktoś przybiegł po nią bladym świtem z prośbą o pomoc, to naturalnie pojechałaby tam konno, a nie poszła pieszo. Zaczęła się zastanawiać, czy Benedykt i na to wpadnie. Jak dotąd nie powiedział ani słowa, ale jego nieruchome spojrzenie bardzo ją niepokoiło.

- Poszliśmy piechotą, bo to niedaleko. A las jest gęsty - paplała. - Konno wcale nie byłoby szybciej, przecież musielibyśmy zbudzić stajennych i poczekać, aż osiodłają konie...

- Oczywiście.

Zdała sobie sprawę, że pograża się coraz bardziej. Lepiej było nic nie mówić, niż na siłę wyjaśniać coś, czego Benedykt wcale nie poddał w wątpliwość. Do licha, zazwyczaj wymy-



slanie historyjek szło jej lepiej. Ale jakoś nie umiała kłamać, patrząc Benedyktowi prosto w oczy.

Z nieudawanym bólem serca pomyślała, że wołałaby powiedzieć mu prawdę. Czuła się zagubiona, gdyż dobrze wiedziała, że jej młodszy kuzyn wplątał się w przygodę nie na swoją miarę. Podobnie jak Anthony, chciała ulżyć cierpieniu rannego i ukryć go przed czyhającym mordercą, obawiała się jednak, że pomagają wrogowi Anglii.

Poza tym groziło im niebezpieczeństwo ze strony człowieka, który dokonał napaści. A jeśli on szuka swojej niedoszłej ofiary? Jeśli odnajdzie kryjówkę i zaatakuje drugi raz? Oczami duszy zobaczyła Anthony'ego, siedzącego sam na sam z rannym w ruinach donżonu, i serce jej zamarło.

Coś z tych rozterek musiało odbić się na jej twarzy, bo Benedykt zapytał nagle:

- Co się stało?

Tym razem spojrzawszy mu w oczy i ku swemu zdziwieniu przekonała się, że naprawdę są zatroskane. Och, jak bardzo chciała zwierzyć się mu z kłopotów. Już nawet wyobrażała sobie jego krzepiące ramiona i ciepły głos, wypowiadający słowa pocieszenia.

Westchnęła. Nie mogła tego zrobić. Coraz bardziej nabierała przekonania, że Anthony się nie myli, a Benedykt jest urzędnikiem celnym. Na pewno bowiem nie był złodziejem. Jego mowa, maniery, postawa na każdym kroku zdradzały dżentelmena, by nie wspomnieć już opowieści o odtrąceniu przez narzeczoną. Tylko dlaczego dżentelmen miałby brać udział w takiej maskaradzie? Może potrzebował pieniędzy... a może wypełniał jakąś tajną misję, na przykład ścigał przemytników?

Nagle zrozumiała, na czym polega jej błąd. Uwierzyła w historię, którą sama pomogła wymyślić. Czasem zdarzało jej się pomyśleć o Benedykcie jak o najprawdziwszym mężu. I natychmiast zaczynało jej się zdawać, że może mu zaufać, liczyć na jego pomoc. Ale nie, nie mogła złożyć swojego losu, a tym bardziej losu Anthony'ego, w ręce obcego człowieka. Gdyby powiedziała Benedyktowi o rannym mężczyźnie, musiałaby powiedzieć również o przemyście. Do tego zaś nie mogła dopuścić nawet w chwili słabości.

Gdy więc Benedykt spojrział na nią z troską i spytał, co się stało, wyprostowała ramiona i przesłała mu wymuszony uśmiech.

- Nic takiego - powiedziała niefrasobliwie. - Zupełnie nic.

Kłamała. Benedykt spojrział przed siebie ponuro i ścisnął kolanami boki konia. Wierzchowiec natychmiast zareagował na ten sygnał i prawie pofrunął nad drogą.

Wiedziała, że Camilla kłamie, nawet gdyby wcześniej nie widział jej, jak płynie z kuzynem na wyspę. Bała się spojrzeć mu w oczy, a głos miała niepewny, drżący. Śpieszyła z wyjaśnieniami, o które wcale nie prosił.

Ale dlaczego? Dlaczego nie chciała mu zaufać?

Już miał przycisnąć ją do muru, lecz na szczęście obudził się w nim zdrowy rozsądek. Nie mógł nadmiernie interesować się Anthonym ani tym, co dzieje się w Chevington Park. Camilla uważała go za bezstronnego obserwatora, więc nie wolno mu było narażać się na jej podejrzenia.

Bardzo go jednak złościło, że Camilla nie zwróciła się do niego z kłopotem. Nawet gorzej, uznała, że trzeba przed nim

udawać. Benedykt był pewien, że mógłby jej pomóc, musiałyby jednak powiedzieć mu, o co chodzi. Ale ona nie poprosiła go nawet o radę.

Najchętniej od razu wybrałyby się na wyspę Keep i sprawdził, czy potrafi znaleźć to, co ściągnęło tam Anthony'ego i Camillę. Miał jednak spotkać się z Sedgewickiem i nie mógł odwołać spotkania, którego termin ustalili tuż przed jego wyjazdem do Chevington Park.

Gdy dotarł na umówioną polanę, Sedgewick już na niego czekał. Benedykt zeskoczył z konia i przywiązał zwierzę do drzewa, a Sedgewick podszedł do niego z uśmiechem na twarzy.

- Witaj!

W odpowiedzi Benedykt mruknął coś niezrozumiałego.

Sedgewick uniósł brwi, nieco zdziwiony, ale się tym nie przejął.

- Maskarada trwa? - spytał.

- Tak.

Benedykt zastanawiał się, czy przyjaciel usłyszał we wsi o jego rzekomym ślubie z Camilla. Znając szybkość, z jaką rozchodzą się plotki po takich dziurach jak Edgecombe, podejrzewał, że wiadomość ta jest już powszechnie znana. Nie wiedział tylko, czy dotarła do obcego człowieka, jakim był dla miejscowych Sedgewick. Miał nadzieję, że nie.

Szybko się jednak okazało, że to płonna nadzieja.

- Co ja tu słyszę? - ciągnął Sedgewick. - Czy to możliwe, że ta młoda dama z Chevington Park ma męża?

Benedykt uniósł oczy ku niebu.

- Tak. Powstało diabelne zamieszanie. Rzeczona dama ma nierozumną ciotkę, która postanowiła upiększyć historyjkę pan-

ny Ferrand, opowiadając wszem i wobec, że owa panna wyszła za mąż. Co za tym idzie, jestem mężem na niby.

- Nadzwyczajne. Ufam, że mimo to sobie radzicie.

- Na razie tak, ale minęło zaledwie parę dni. - Benedykta zdziwiły jego własne słowa. Zdawało mu się, że mieszka z Camilla od niepamiętnych czasów. - Jeśli jednak któreś z nas wypadnie z roli, panna Ferrand będzie w opałach. - Spojrzał koso na Sedgewicka. - A wszystko przez twój wspianiały plan.

- Nie patrz na mnie z taką zawziętością. Skąd miałem wiedzieć, że jej narzeczony został pasowany na męża?

- Tego nie mogłeś wiedzieć. Ale wiesz za to, że w wariackich planach zawsze coś zawodzi.

- Nie zawsze. Kilka takich planów udało nam się doprowadzić do zwycięskiego końca. Razem.

Benedykt mimo woli nikle się uśmiechnął.

- No, może.

- Wydajesz się zmęczony. - W głosie Sedgewicka zabrzmiała troska. - Czy to wasza maskarada tak cię męczy?

- I ty byłbyś zmęczony, gdybyś nie spał pół nocy, a potem przed świtem gonił...

Urwał, uświadomiwszy sobie z pewnym zdziwieniem, że wcale nie chce opowiedzieć Sedgewickowi o swej porannej pogoni za Camilla i Anthonym. Jermyn najprawdopodobniej pochopnie wyciągnąłby wnioski, nie znał przecież dobrze Camilli, a Anthony'ego wcale. Benedykt zaś był przekonany, że ci dwoje, choć lekkomyślni, nie są zamieszani w nic gorszego niż przemyt. Nie chciał ujawniać ich podejrzanej wyprawy na wyspę Keep, póki nie będzie pewien, że nie zaszkodzi to ich reputacji.

Przemknęło mu przez głowę, że zaczyna myśleć jak mąż,

nie jak obcy. Zaraz jednak wytłumaczył sobie, że tak samo postąpiłby każdy dżentelmen.

Sedgewick spojrział na niego zaintrygowany.

- A cóż to goniłeś przed świtem?  
- Och, nic takiego. Zdawało mi się, że mam poszlakę, ale niestety się pomyliłem. To był zwykły figiel jednego z kuzynów Camilli.

- Dlaczego wobec tego nie spałeś pół nocy? Szukałeś przemytników?

Benedykt stwierdził, że na ten temat ma jeszcze mniejszą ochotę rozmawiać.

- Przeklęta kanapa!  
- Kanapa? Chcesz powiedzieć, że nie dostałeś łóżka?  
- Dali mi jeden pokój z Camilla. Powiedziałem ci, że uchodzimy za małżeństwo. Muszę spać na kanapie w jej sypialni. Ale jeśli komukolwiek piśniesz o tym słówko, to przysięgam...

Sedgewick cofnął się o krok i uniósł dłonie, udając przeżalenie.

- Słowo daję, że nie ważę się nikomu o tym powiedzieć. Skąd ci przyszło do głowy, że mógłbym to zrobić?

- Och, nie wiem. Przeklęty zamęt. Czuje się odpowiedzialny za tę pannę, nawet jeśli była dość nierozsądna, by z własnej woli się w to wplątać.

- Doprawdy, Benedyckie...

- A musisz wiedzieć, że nasze małżeństwo to jeszcze nie koniec zmartwień - ciągnął Benedykt. - Ten dom jest pełen ludzi. Jeszcze nigdy nie dawałem przedstawienia przed tak wielką widownią. Mało tego, jeden z tych ludzi twierdzi, że mnie zna.

- Kto?

- Kuzyn Camilli, Bertram.

- Bertram Elliot? Ten fircyk?

- Pierwszej wody.

- Znam go. Kompletne zero. Nie będziesz miał z nim kłopotów. Od spraw wagi państwowej bardziej zajmuje go krój fraka.

- Może od spraw wagi państwowej, ale na pewno nie od plotek i pozycji społecznej, tego jestem pewien. Co będzie, jeśli sobie przypomni, skąd mnie zna?

- To prawda - przyznał Jermyn. - Jeśli on cokolwiek ma pamiętać, to właśnie twój wygląd. Człowiek może skojarzyć mu się z przyjęciem, na którym obaj byli, albo ze wspólnym krawcem.

- Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek go spotkał, ale jeśli mnie pozna, jestem zgubiony. - Nagle zaczął się zastanawiać, jak zareagowałaby Camilla, gdyby dowiedziała się od kuzyna, że jej rzekomym mężem jest lord Rawdon. Podejrzewał, że scena byłaby wyjątkowo przykra. - Bertram ma przyjaciela, bardzo miłkiwego człowieka. Służba uważa, że ten mruk jest „nie całkiem dżentelmenem”.

- Naprawdę? - Sedgewick nastawił uszu. - Służący zawsze wiedzą takie rzeczy. Są lepszymi sędziami charakterów niż książęta. Dlaczego twoim zdaniem ten „nie całkiem dżentelmen” siedzi z Elliotem na wsi?

Benedykt wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Może lubi jego towarzystwo, a Elliotowi nie przyszło do głowy, że jego kompan nie jest dobrze urodzony. A może ów kompan, bez względu na urodzenie, wydaje się Elliotowi wyjątkowo zajmujący, chociaż ja sobie tego nie

umiem wyobrazić. Oglesby właściwie nigdy się nie odzywa. Za to Bertram gada o wiele za dużo. Wczoraj dopadł mnie w korytarzu i przez dziesięć minut wypytywał, co sędzę o jego kamizelce. Ohydna szmata w paseczki!

- Uff... - Sedgewick wzdygnął się na myśl o tym, że mógłby być na miejscu Benedykta. - Kto jeszcze tam jest?

- Mnóstwo rodziny. Dwie kuzynki, siostry Bertrama. Wicehrabia Marbridge, dziedzic tytułu earla imieniem Anthony. I poeta, który zdaje się trzymać spódnicy wicehrabiny. I owszem, sama wicehrabina też, dość bezrozumna istota, która wymyśliła męża Camilli. Jest też naturalnie matka Bertrama.

- Ta straszna ciotka Beryl?

- We własnej osobie. Do tego lord Chevington, wprawdzie przykuty do łóżka, ale o wiele bardziej żywotny niż wielu zdrowych ludzi. Dalej mamy guwernera wicehrabiego. Jeszcze go nie poznałem, ale nie wątpię, że ma dość swoich kłopotów z zaganiemianiem Anthony'ego do książek, więc nie miałyby czasu spiskować przeciwko naszej siatce. Najgorszy jest duchowny, który stanowczo za często składa wizyty w tym domu. Brat Bertrama, niejaki Harold. Dostał od dziadka w prezencie probostwo w Edgecombe. Niewyobrażalny nudziarz. Na szczęście gdy pierwszy raz go widziałem, zaczął się rozwodzić nad przymnikami. Na nieszczęście jednakże, bardziej interesowała go moralna ocena tej praktyki niż konkretne szczegóły. Muszę powiedzieć, że nikt z ludzi w Chevington Park nie wydaje mi się dobrym kandydatem na szpiega.

- Nie możemy zakładać, że los nam sprzyja i zdrajca na pewno bywa w domu earla. - Sedgewick na chwilę zamilkł. - Jak poza tym? Odkryłeś jeszcze coś ciekawego? - spytał w końcu.

- Za krótko tam jestem - powiedział ostrożnie Benedykt. Znów zdziwiło go, jak krótko. Wydawało mu się, że trwa to znacznie dłużej, zwłaszcza nocami, gdy leżał rozmyślając o Camilli śpiącej tuż obok. Te godziny ciągnęły mu się bez końca.

- Rozumiem. Ale wiesz, że nam się śpieszy. Musimy odkryć, kto ruszczy naszą siatkę, jak najszybciej.

- Tego nie musisz mi przypominać - odburknął Benedykt. - Rozmawiałem z earlem. Powiedział mi, że niepokoi go sytuacja w okolicy. Najbardziej przejmuje się śmiercią Nata Crowdera. - Krótko wyjaśnił, kim był Crowder i jak zginął.

- No proszę... Łatwy sposób wejścia do bandy. Pozbyć się przywódcy i zająć jego miejsce. To wiele wyjaśnia. Lord Winslow bez wątpienia pracował z tym Natem Crowderem.

- Ponieważ zaś obaj nie żyją, nie ma nikogo, kto wiedziałby cokolwiek o siatce „Gideon”. Miejscowi są tylko zwykłymi przemytnikami. - Benedykt urwał na chwilę, po czym dodał:

- Lord Chevington poprosił mnie, żebym zbadał tę sprawę.

Sedgewick szeroko otworzył oczy.

- Chyba nie mówisz poważnie. Earl powierzył ci takie zadanie?

Benedykt skinął głową.

- Tak. Dzięki temu jest mi dużo łatwiej wypytywać służbę. Innych ludzi z okolicy też. Z kilkoma już rozmawiałem.

- Doskonale. Dziękujemy Bogu za zesłanie panny Ferrand. Sam nie wymyśliłbym lepszego planu.

- Dla nas to dobrze, ale co z tymi ludźmi? Wkradając się w łaski earla, czuję się jak skończona kanalia. On mi ufa. Polega na mnie. A ja go wykorzystuję.

Sedgewick zmarszczył czoło.



- Earlowi nic się nie stanie. Nie oszukujesz go po to, żeby wyrządzić mu krzywdę. Po prostu robisz to, o co cię poprosił. Spełniasz jego życzenie.

Benedykt pomyślał o Anthonym i podejrzeniu Jenkinsa, że chłopak zamieszany jest w przemyt. Gdyby Sedgewick wiedział, że śledztwo może sprowadzić hańbę na dom earla, zapewne nie uważałby, że earlowi nie dzieje się krzywda.

- Krążą plotki, że człowiek, którego szukamy, jest dżentelmenem - powiedział nagle Benedykt.

- Co? - Sedgewick wyprostował się, jego jasne oczy zabłyśły. - Mówisz poważnie? To doskonale pasuje do naszego wcześniejszego rozumowania. Dlaczego to ma być dżentelmen?

- Podobno jest wykształcony i mówi jak arystokrata. Naturalnie próbuje udawać miejscowego, ale niektórzy uważają, że tylko ich naśladowe. Słyszałem to od pokojowca.

- Czyli należy skreślić z listy przyjaciela Bertrama Elliota, skoro służba podejrzewa, że jest „nie całkiem dżentelmenem”.

Benedykt wzruszył ramionami.

- Chyba że ten człowiek gra dwie role. Nie jest ani Oglesbym, ani nieokrzesanym przemytnikiem, tylko kimś jeszcze innym. Umie wcielić się w najróżniejsze postacie.

- Mhm. Może aktor. Instruktor tańca, guwerner... ktoś tego rodzaju.

- Albo szuler.

- Tak. Winslow mógł przyprowadzić do siebie kogoś z domu gry. Miał słabość do kart. Może uznał, że towarzyszy mu dżentelmen, którego można bez obaw wpuścić pod swój dach. To jest prawdopodobne, zwłaszcza jeśli trochę wypił.

Benedykt westchnął.

- Na razie możemy tylko snuć przypuszczenia. Nie mam konkretnych.

- Nie zauważyłeś, żeby ktoś się kręcił po brzegu?  
Zaprzączył ruchem głowy.

- Pewnie za mało czasu upłynęło od ostatniej dostawy. Muszę spokojnie poczekać. - Pomyślał o dzieleniu sypialni z Camilla przez kilka następnych dni, może nawet tygodni, i omal nie jęknął. Był pewien, że nie wytrzyma tak długo.

- Do diabła! - Jermyn zaczął nerwowo spacerować po polanie. - Nie możemy tracić tyle czasu. Jestem potrzebny w Londynie. Ale nie stać nas też na rezygnację z siatki. Jeśli pomiędzy przemytników wkradł się szpieg, musimy przekazać tę informację naszym ludziom. Nie wolno nam dopuścić do śmierci następnych kurierów.

- Wiem. Może powinienem skończyć tę maskaradę. Nie ma gwarancji, że jeszcze czegoś się dowiem. Powiedziałbym, że pilne sprawy wzywają mnie do Bath. Dla potrzeb Camilli siedziałem w Chevington Park dostatecznie długo.

Ale nawet mówiąc to, Benedykt wiedział, że nie chce wyjechać. Wprawdzie śpiąc w jednym pokoju z Camilla, okrutnie cierpiał, ale myślał o tym, że nie będzie jej widywał, wydawała się jeszcze bardziej przykra. Poza tym nie mógł zostawić jej na łasce losu w trudnej sytuacji. Najpierw musiał poznać jej tajemnicę i wyciągnąć Anthony'ego z bandy przemytników.

- Poczekajmy jeszcze kilka dni - odezwał się Sedgewick jakby chciał pomóc mu podjąć decyzję.

- Może wobec tego wrócisz do Londynu sam - zaproponował Benedykt. - Jesteś tam potrzebny znacznie bardziej niż ja. Możesz prowadzić śledztwo w sprawie Wiosłowa zza biurka. Poza tym - dodał szybko, widząc, że Sedgewick otwiera usta, by zapro-

stować - zbierzesz informacje o ludziach, którzy mieszkają w Chevington Park. Jeśli jest wśród nich ten, kogo poszukujemy, to przypadkowa plotka może pomóc go zidentyfikować. Powiedzmy, że ktoś z nich pilnie potrzebuje pieniędzy albo ma matkę Francuzkę, albo utrzymuje kochankę, która go szantażuje. Z takich powodów można zaprzedać się wrogom.

- Naturalnie, masz rację. - Sedgewick energicznie skinął głową. - To dobry pomysł. - Przeszukał kieszenie, wreszcie wykopał z nich ogryzek ołówka i złożony kwit, na którym było trochę wolnego miejsca do pisania. - Dobrze. Jak nazywają się ci ludzie? Powiedziałaś: Terence Oglesby?

- Tak. - Benedykt wolno podyktował mu listę wszystkich mieszkańców domu, z ciotką Beryl i jej dwiema chichotliwymi córkami włącznie.

- Doskonale - powiedział w końcu Sedgewick, chowając kartkę do kieszeni na piersi. - Zjrzę jeszcze do gospody i dziś po południu wrócę do Londynu. Boże, taka bezczynność jest zabójcza. - Wyciągnął rękę do Benedykta. - Dam ci znać, jak tylko wrócę. Tymczasem uważaj na siebie. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

- Będę ostrożny - obiecał Benedykt. Nie dodał tylko, że mniej się obawia nie zidentyfikowanego wroga, bardziej zaś tego, że będzie musiał przespać kilka następnych dni w pokoju Camilli. Przespać i nie oszaleć.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Resztę dnia Benedykt spędził we wsi na rozmowach z ludźmi, którym w ocenie Purdle'a i Jenkinsa można było zaufać. Był wśród nich również oberżysta, który na jego powitanie szeroko się uśmiechnął i spytał, dlaczego Benedykt nie powiedział mu od razu, że jest mężem panienki z dworu.

Odkąd earl obdarzył go swym błogosławieństwem, wieśniacy rozmawiali z nim chętnie i szczerze, niewiele mu jednak pomogli. Wszyscy przysięgali, że nie wiedzą, kim jest nowy przywódca przemytników, i powtarzali plotkę, że to ktoś szlachetnie urodzony.

Odwiedził również Evansa, którego Jenkins wskazał jako pomocnika nowego przywódcy. Ten rzeczywiście okazał się tępym opojem. Mimo że było dopiero wczesne popołudnie, śmierział jak gorzelnia. Benedykt ostrożnie zadał mu te same pytania, co innym wieśniakom, Evans jednakże nie rozgadał się jak pozostali, lecz skrzyżował ramiona na piersi i w milczeniu przyglądał mu się świńskimi oczkami. Na nim jednym wzmianka o earlu nie zrobiła najmniejszego wrażenia i on jeden nie odpowiedział konkretnie na żadne pytanie, powtarzał bowiem za każdym razem, że nic nie wie.

Benedykt wrócił do domu z poczuciem klęski. Wyglądało na to, że w poszukiwaniach francuskiego agenta zabrnął w śle-

py zaułek. A na dodatek Camilla wplątała się w jakąś awanturę, z której pewnie będzie musiał ją wyciągać wbrew jej woli, bynajmniej nie licząc na wdzięczność.

Benedykt westchnął i poprawił się w siodle. Zmierzchało. I tak był już spóźniony na obiad w Chevington Park, pomyślał więc, że najpierw weźmie kąpiel, a potem utnie sobie drzemkę w łóżku Camilli. Poprzedniej nocy prawie nie zmrużył oka, poza tym przez niewygodną kanapę nabawił się bólu pleców.

Wszedłszy do sypialni, z zadowoleniem stwierdził, że jest pusta. Najprawdopodobniej Camilla była na dole wśród krewnych. Wykorzystał więc chwilę samotności i kazał sobie przygotować gorącą kąpiel. Wymoczył się solidnie, a potem wyszedł z kadzi, otoczony aureolą pary, i zaczął się wycierać. Później zjadł solidną przekąskę na zimno, przysланą mu do pokoju przez kucharkę, położył się do łóżka i natychmiast zasnął.

Tam właśnie zastała go Camilla. Po popołudniowej herbatce poszła groblą na wyspę, zabrawszy z sobą trochę jedzenia, które podkraǳła w jadalni. Przeżyła przykre zaskoczenie, gdy Bertram spojrział na nią akurat w chwili, gdy wsuwała ciastko do kieszeni. Zrobił bardzo zdziwioną minę, ale na szczęście nie powiedział ani słowa.

Pacjent w donżonie był w takim samym stanie jak poprzednio. Zmieniła mu bandażę i znów dała środek na gorączkę, po czym pośpieszyła do domu w obawie przed pytaniami Benedykta. Spóźniła się na kolację, ale na szczęście Benedykt nie mógł zainteresować się dlaczego. Gdy stanęła na progu sypialni, ujrzała go w swoim łóżku. Serce zabiło jej mocniej.

We śnie wydawał się bezradny, lecz przez to jeszcze bar-

dziej przystojny. Wargi miał lekko rozchylone, a długie, ciemne rzęsy dotykały mu policzków. Wyglądał jak wcielenie łagodności.

Przewędrowała wzrokiem po jego twarzy, szyi, zatrzymała go na chwilę na drgającym jabłku Adama, dotarła do obojczyka i zaczęła podziwiać krzepkie ramiona. Reszta ciała była, niestety, osłonięta prześcieradłem.

Pochyliła się nad nim i zaczęła nasłuchiwać równego oddechu, bacznie przyglądając się, czy na twarzy nie widać zapowiedzi przebudzenia. W końcu uległa niezaspokojonej ciekawości. Wsunęła palec pod prześcieradło i ostrożnie odkryła szeroki tors Benedykta.

Popatrzyła na ciemne, poskręcane włosy, rosnące mu na klatce piersiowej i sięgające zwięzającym się pasmem aż do pępka. Pomyślała, że ma przed sobą ideał męskiej urody, i zaraz potem jej ręka, jakby nagle obdarzona własną wolą, wyciągnęła się ku wspaniałym mięśniom, zarysowanym pod oliwkową skórą.

Camilla zorientowała się w tym i szybko cofnęła ją za plecy. Przez chwilę stała, obserwując miarowe oddechy Benedykta, wkrótce jednak jej wzrok zabłądził niżej, na granicę opalonego ciała i białego prześcieradła.

Pomyślała, że Benedykt musi spać nagi. Nic nie wskazywało na to, by miał czymkolwiek okryte biodra. To nieprzyzwoite, uznała. Nic dziwnego, że w jej głowie zaległy się dziwne, zakazane myśli.

Najgorsza jednak była ciekawość. Camilli przyszło do głowy, że mogłaby po kryjomu obejrzeć Benedykta w całości. Przecież śpi snem sprawiedliwego. Naturalnie zdawała sobie sprawę, że tak naprawdę nie to jest ważne. Ważne było przede

wszystkim, by uszanować jego prywatność i zachowywać się tak, jak powinna się zachować przyzwoita kobieta.

Niestety, pokusa była silniejsza. Camilla pochyliła się głębiej. Policzki paliły ją od zażenowania, mimo to nie mogła zapanować nad ręką, która po trochu zbliżała się do Benedykta, aż w końcu ujęła palcami za prześcieradło. Na chwilę wstrzymała oddech, a później najdelikatniej jak umiała, odsunęła posciel, obnażając ciało Benedykta aż po muskularne uda.

Czerwień na jej policzkach nabrała intensywniejszego odcienia. Camilla nie mogła odwrócić wzroku, wpatrywała się jak zahipnotyzowana w płaski, harmonijnie umięśniony brzuch i gładkie, krzepko wyglądające uda. Najbardziej jednak zainteresowało ją miejsce pomiędzy nogami. To tak wygląda mężczyzna?

Przełknęła ślinę. Nigdy nie wyobrażała sobie tego w taki sposób. Choć za nic by się do tego nie przyznała, kilka razy rozmyślała na ten temat. Nie była pewna, czego właściwie należy oczekiwać, w każdym razie rzeczywistość okazała się zupełnie inna...

Gdy stała tak zapatrzona, Benedykt mruknął coś przez sen i przewrócił się na bok. Natychmiast zaczęła podziwiać smukłą linię jego ciała i krzywiznę pośladków. Odruchowo wyciągnęła dłoń i dotknęła opuszkami palców gładkiego ciała. Zdziwiło ją, że Benedykt jest taki ciepły i że to dotknięcie sprawiło jej dużą przyjemność.

Wiedziała, że powinna cofnąć rękę, ale tym razem nie mogła już tego zrobić. Objęła dłonią pośladek i odniosła wrażenie, że powierzchnia skóry jest tu trochę inna. Zaintrygowało ją, czy w innych miejscach znów zauważyłaby różnicę i czy cały Benedykt jest taki miły w dotyku.

Mimo szaleńczego bicia serca i całkiem wbrew rozsądkowi pogłaskała Benedykta po boku. Jeszcze tylko chwilę, jeszcze raz, powiedziała sobie, przesuwając dłoń w górę.

Bok był miękki, wkrótce jednak natrafiła na twarde progi żeber. Na torsie skóra nie była już gładka, porastały ją włosy, a okryte nią mięśnie nadawały jej twardość. Prześlizgnęła się kciukiem przez sutkę, która ku jej zdumieniu zareagowała na to drgnieniem.

Camilla znieruchomiała. Przypomniała sobie, jak jej sutki twardniały od pieszczot Benedykta. W zamyśleniu obwiodła kciukiem brązowe kółko, ucieszona reakcją, jaką to wywołało. Nawet nie zdawała sobie sprawy z tego, że twarz ożywił jej zmysłowy uśmiech.

- Przesuń dłoń niżej, to będziemy się uśmiechać oboje - rozległ się nagle chrapliwy głos, który wyrwał Camillę z zamyślenia.

Żachnęła się i raptownie cofnęła rękę, spoglądając Benedyktowi w twarz. Przyglądał się jej z uwagą, a ciemne oczy podejrzanie mu lśniły. Śmiertelnie zawstydzona Camilla spąsowiała na twarzy i w jednej chwili znalazła się przy drzwiach. Nie zdążyła jednak dosięgnąć klamki, bo Benedykt wyskoczył z łóżka i złapał ją w pól.

- Nie! Nie odchodź. Boże, nie możesz teraz odejść!

Camilla jęknęła i ukryła twarz w dłoniach. Wiedziała, że nie przeżyje tego upokorzenia. Już nigdy nie będzie mogła spojrzeć Benedyktowi w oczy. Owszem, bywało nieraz, że dopuszczała się różnych zawstydzających postępów, ale nigdy czegoś takiego.

- Puść mnie! - krzyknęła zduszonym głosem, usiłując się wyrwać.



- Pst... - Ukrył twarz w jej włosach i zaczął ją całować.  
- Wszystko w porządku. Nie odchodź. Nie odwracaj się ode mnie.

Oddech miał urywany, a w głosie słychać było drzenie. Po-całował ją w szyję, dłońmi zaczął poznawać jej brzuch. Camilla zadrżała. Nawet oddech Benedykta ją podniecał. Aż trudno było jej uwierzyć, że po tak wielkim upokorzeniu jest jeszcze zdolna do jakichkolwiek doznań.

- Nie mam nic przeciwko temu, co robiłaś - powiedział Benedykt. - Sprawiałaś mi tym przyjemność.

Jeszcze raz cicho jęknęła i wreszcie udało jej się wyrwać. Podbiegła do łóżka i rzuciła się na nie zrozpaczona. Skuliła się, odwrócona plecami do mężczyzny, byle tylko znaleźć się jak najdalej od niego. On jednak przyszedł za nią. Poczuła, jak sprężyny łóżka uginają się pod jego ciężarem, a potem - jak Benedykt kładzie jej rękę na plecach i zaczyna delikatnie głaskać.

- Cii... Nie przejmuj się. - Wyciągnął się obok niej, wsparty na łokciu, i czekał, aż pieśczoćta i kojący głos zdziałają cuda.

Przesunął rękę niżej. Pogłodził ją po pośladkach, potem po krzyżu, potem znowu przebył dłonią krzywiznę pośladków i dotarł aż do uda. Powtarzał tę pieśczoćtę znowu i znowu, szepcząc nic nie znaczące, lecz krzepiące słowa. Po chwili zawędrował dłonią na jej brzuch, potem wyżej, objął pierś. Camilla uświadomiła sobie nagle, że już nie leży ciasno skulona, że nie wiadomo kiedy wyprostowała ciało i odchyliła się nieco, żeby ułatwić mu pieśczoćtę.

Przez tkaninę sukni czuła, jak gorące są opuszki jego palców. Jeszcze chwila i dłoń Benedykta wślizgnęła się w de-

kolt jej sukni, odsunęła materiał i zamknęła się na obnażonej piersi.

Camilla głośno nabrała powietrza, zachwycona nowym wrażeniem. Benedykt tymczasem zaczął obwodzić palcem koniuszek jej piersi, raz po raz lekko go przyszczypując. Gdy nagle cofnął dłonie, Camilla chciała zaprotestować, gdyż czuła się tak, jakby coś straciła, zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, poczuła dłonie Benedykta z tyłu, na nogach. Przesuwały się ku górze, wślizgnęły się pod spódnice, aż wreszcie spoczęły na pośladkach. Camilla odruchowo poruszyła biodrami. W odpowiedzi jedna z dłoni wsunęła się między jej uda.

- Och, proszę - szepnęła. - Nie możemy... Musimy przestać... - Wiedziała jednak, że nie może przestać, że gdyby Benedykt odsunął się teraz od niej, przyciągnęłaby go do siebie znowu. - Nie mogę...

- Nie martw się - szepnął jej do ucha, przyprawiając ją o kolejny dreszczyk. - Nie skrzywdzę cię. Dam ci rozkosz.

Camilla chrapliwie odetchnęła. Nie wiedziała, o co mu chodzi. Próbowwała jednak wyzwolić w sobie resztki oporu.

- Spokojnie, obróć się. - Cofnął dłonie i ułożył ją na wznak. - Chcę cię obejrzeć - dodał i zaczął rozpinać powoli guziki jej sukni, od góry do samego dołu.

Leżała spokojnie, czekając aż Benedykt upora się z tym niełatwym zadaniem. Przez cały czas bacznie przyglądała się jego ciału, które wciąż nie przestawało jej zdumiewać. Już przezwyciężyła wstyd, magia dotyku zrobiła swoje. Gdy więc spojrzała na oczywisty dowód pragnienia Benedykta, policzki znów jej się zaróżowiły, tym razem z pożądania.

Benedykt rozebrał ją bardzo sprawnie, od czasu do czasu przerywając tę pracę pieścizotą. Wreszcie nagrodził go widok

obnażonej Camilli. Długo jej się przyglądał, chcąc zapamiętać każdy skrawek pięknego ciała, ona tymczasem czekała stęskniona na pierwszy dotyk.

Wreszcie Benedykt położył dłonie na jej piersiach i znów rozpoczęły się pieszczoty. Nie śpieszył się, starał się odnaleźć wszystkie wrażliwe miejsca. Dokładnie poznał jej piersi, brzuch, biodra, potem zaś z uśmiechem narysował kółeczko wokół jej pępka i wolno powiódł palcem jeszcze niżej. Camilla syknęła, jakby miała wybuchnąć szlochem - i mimowolnie zaprosiła go dalej.

Chwilę później wyprężyła się jak struna. Zdawało jej się, że na całym świecie nie ma wspanialszego doznania. Ale wtedy Benedykt nachylił się nad nią i wkrótce zrozumiała, jak bardzo się myliła. Fala przyjemności, która nadeszła, była jeszcze większa od poprzedniej.

Rozkosz zaczynała graniczyć z bólem. Camilla nie umiała sobie wyobrazić końca tej cudownej męki. Czuła, że jest u progu czegoś, o czym nawet nie śniła.

Tymczasem jej kochanek nie ustawał w pieszczotach. Był coraz śmielszy, coraz bardziej zdecydowany, a przy tym wciąż delikatny i czuły. Kiedy zaś Camilli zdawało się, że jeszcze chwila, a umrze ze szczęścia, przekonała się, co jest za progiem. Ta fala rozkoszy była dosłownie porażająca. Porwała ją i poniosła ku cudowi spełnienia.

Gdy w końcu Camilla odzyskała jasność myślenia, westchnęła cicho i wstydliwie popatrzyła na Benedykta. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak dogłębnie zaspokojona.

- Och, Benedyckie...

Wolno cofnął rękę po jej udzie. Camilla spuściła wzrok i zobaczyła jego wielką, sztywną męskość.

- Ojej! - Podniosła oczy i niespokojnie spojrzała mu w twarz. - Czy ty nie... Czy tobie nie...

Uśmiechnął się do niej.

- Ja tak i mnie tak. - Kosztowało go wiele wysiłku, by czule cmoknąć ją w usta i na tym poprzestać. - Ale nie martw się. Wszystko będzie dobrze. Obiecałem, że cię nie zhańbię, i nie zrobię tego. To było tylko dla twojej przyjemności.

- Tak, ale...

- Pst... - Pokręcił głową. - Nie martw się, naprawdę nic mi nie będzie.

Pochylił się i jeszcze raz ją pocałował, tym razem nieco mniej powściągliwie. Po dłuższej chwili oderwał jednak usta od jej warg i polecił:

- A teraz zamknij oczy i śpij.

- Zostaniesz tu ze mną?

Skinął głową.

- Tak, zostanę.

Camilla uśmiechnęła się niepewnie, wciąż trochę zamroczona po upajających doznaniach, i posłusznie spuściła powieki.

Benedykt przełknął ślinę i odwrócił się do niej plecami. Próbował odzyskać kontrolę nad swoim ciałem. To, co zrobił, było szaleństwem, wiedział, że będzie za to płacił przez najbliższe godziny. Powinien był zawczasu wyjść z pokoju, ale nie umiał oprzeć się pokusie. Przynajmniej jednak miał dość silnej woli, żeby nie wykorzystać tej niedoświadczonej dziewczyny, choć były chwile, w których powstrzymywał się z najwyższym trudem.

Położył się na wznak i zaniknąwszy oczy, zasłonił je zgiętym ramieniem. Zaczął ćwiczyć głębokie oddechy, jeden, drugi,

trzeci... Powoli wracał mu spokój. Musiał jednak jeszcze długo rozmyślać, by wreszcie zmorzył go sen.

Camilla leniwie przebiła igłą płótno, jednym uchem słuchając nie kończącej się paplaniny ciotki Lidii. Przez cały ranek była jak we śnie. Przebudziła się wcześniej, szczęśliwa i ożywiona. Przez chwilę leżała i przyglądała się Benedyktowi, który spał obok. Zastanawiała się, czy jeszcze kiedyś dozna czegoś takiego, jak poprzedniego wieczoru. Od samej myśli o tym czuła mrowienie na całym ciele.

Wyskoczyła z łóżka i szybko się ubrała. Bardzo nie chciała, żeby Benedykt zbudził się i był świadkiem jej zachwyków nad jego osobą. Trochę ją to bowiem irytowało, że tak pewnie władał swoimi pragnieniami i uczuciami, a ją potrafił całkowicie pozbawić władzy nad sobą. Naturalnie nie można było powiedzieć, żeby mu w tym nie pomagała.

Przypływ zalał już groblę, więc zrezygnowała z wizyty na wyspie. Zjadła śniadanie, a potem poszła do pokoju dziennego. Nie miała nic lepszego do roboty, więc zadumawszy się głęboko nad wydarzeniami ubiegłego wieczoru, wzięła do ręki rozpoczętą robótkę i zaczęła haftować wzór na poszewce od poduszki. Wkrótce przyłączyła się do niej Lidia. Ponieważ ciotka miała ochotę na długą rozmowę o zaletach Benedykta, co ostatnio zdarzało jej się bardzo często, wyobraźnia Camilli została wystawiona na ciężką próbę.

Na szczęście przyszedł również pan Thorne i odwrócił uwagę Lidii, mówiąc:

- Och, gdybym umiał namalować pani portret w tej chwili! Prawdziwa Arachne!
- Zdaje się, że Arachne tkła, a nie wyszywała - wtrąciła

niewinnie Camilla. - Poza tym, jeśli dobrze pamiętam, skończyła jako pająk.

- Pająk! - krzyknęła Lidia. - Doprawdy, panie Thorne, wolałabym nie być porównywana do pająka.

Młody człowiek spieszył się mocno i pospiesznie zaczął się tłumaczyć:

- Naturalnie miałem na myśli Arachne w ludzkiej postaci, zanim zazdrosna bogini ją zakłęła. Wolałbym uciąć sobie język, niż panią obrazić.

- Prawdę mówiąc, nie bardzo rozumiem, na ile zmienia to sytuację - stwierdziła cierpko Lidia i Camilla musiała z całej siły przygryźć wargi, żeby nie parsknąć śmiechem na widok urażonej miny adoratora.

Rozmowa pana Thorne'a z Lidią potoczyła się dalej wokół wspólnych znajomych z Londynu, których nazwiska niewiele Camilli mówiły, ona sama spokojnie powróciła więc do swych marzeń na jawie.

Gdy do pokoju wszedł Benedykt, spokój opuścił ją w jednej chwili. Nie pojmowała, skąd wiedział, gdzie ją zastanie, w każdym razie teraz on stał bez słowa, a ona, choć pozornie pochłonięta robótką, zastanawiała się usilnie, jakież to moce tkwią w tym mężczyźnie, skoro jej ciało tak ochoczo reaguje na samą tylko jego obecność. Wreszcie podniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. Policzki natychmiast jej poczerwieniały.

- Dzień dobry, Benedyckie.

- Dzień dobry, kochanie. - Wszedł do pokoju, uprzejmie przywitał się z Lidią oraz piewcą jej urody, a potem usiadł przy Camilli na sofie. - Jak się czujesz? Mam nadzieję, że dobrze spałaś.

Czerwień na jej policzkach zamieniła się w paś.

- Ehm... tak, dobrze. Chciałam powiedzieć, że... to było bardzo przyjemne. To znaczy... lubię... - Urwała, bo miała wrażenie, że niemiłosiernie się płacze, a każde słowo jest dwuznaczne.

Benedykt uśmiechnął się, więc skupiła wzrok na jego wargach. Pomyślała, że ma piękny uśmiech, lecz jeszcze bardziej podobało jej się, gdy czuła dotyk tych warg w czasie pocałunku. Przypomniła sobie, jak wędrowały po jej ciele, jak pieściły piersi, i wszystkie inne myśli nagle uleciały jej z głowy.

- W taki piękny dzień moglibyśmy urządzić sobie piknik na wyspie - ciągnął Benedykt.

- Co? - Camilla spojrzała na niego wielkimi oczami.

- Na wyspie Keep - sprecyzował Benedykt. - Powiedziałś, że kiedyś się tam wybierzemy, więc pomyślałem, że dziś jest znakomita okazja. Wzielibyśmy koszyk z jedzeniem.

- Eee... - Dlaczego tak uczeplił się tego pomysłu? Camilli zdawało się, że Benedykt w tajemniczy sposób wyczuwa, czego najbardziej na świecie nie chciałyby robić. - Przecież jest przypływ - zaprotestowała słabo.

- Możemy popłynąć łódką. Wyspa jest blisko, sił do wiosłowania na pewno mi wystarczy.

- O, tak! - wykrzyknęła zachwycona Lidia. - Świetny pomysł. Taki romantyczny.

- Mamy jeść w ruinach? - wyraziła powątpiewanie Camilla. - Byłam tam wiele razy, to w gruncie rzeczy nic ciekawego.

- Och, niech pani pomyśli o przeszłości tego miejsca - włączył się do rozmowy pan Thorne, przejęty zgrozą, że można nie doceniać gotyckiego uroku ruin. - Heroiczne czyny, czażące się zło, lochy i piękne panny zamknięte w wieży...

- Zdaje mi się, że mieszkańcy tego donżonu bardziej narzekali na przeciagi, niż upajali się tajemniczym otoczeniem - stwierdziła Camilla. - Nie sądzę, żeby były tam jakiekolwiek lochy, a tym bardziej panny zamknięte w wieży.

- Nie bądź taka przyziemna - powiedział przymilnie Benedykt. - Ja nigdy nie widziałem tych ruin, więc wydają mi się ciekawe.

Camilla zrozumiała, że dalsze protesty mogą wzbudzić podejrzenia, więc uśmiechnęła się nieszczerze i powiedziała:

- Zgoda. Możemy tam popłynąć.

Przypomniała sobie, że jej pacjent jest dobrze ukryty w podziemiach. Nie było powodu obawiać się, że Benedykt go znajdzie. Naturalnie gdyby natrafił przypadkiem na wejście do podziemi, mógłby chcieć je zbadać. Miała jednak nadzieję, że w razie czego wytłumaczy mu, jak niebezpieczne mogą być stare piwnice.

Posłała kucharce liścik z prośbą o przygotowanie koszyka z jedzeniem, po czym poszła na górę przebrać się w suknię bardziej nadającą się do chodzenia po skałach i ruinach. Z koszykiem pełnym jedzenia wyruszyli z Benedyktem na przystań. Camilla ulżyło, gdy zobaczyła, że mała łódka Anthony'ego jest na miejscu. Benedykt odwiązał łódź i powiosłowali po gładkiej tafli wody w stronę wyspy.

Camilla oprowadziła Benedykta po ruinach, pokazała mu, gdzie kiedyś była wielka sień i inne pomieszczenia donżonu. Bardzo ją jednak zaniepokoiło, że Benedykt wtyka nos we wszystkie możliwe zakamarki. Musiała z uśmiechem ulegać jego kaprysom i obchodzić z nim wszystkie stosy kamieni. Gdy znaleźli się w dawnej kuchni, bardzo uważała, żeby nie patrzeć na nierówno rozrośnięty krzak, który osłaniał klapę do



piwnic, a jeszcze bardziej, żeby nie okazać zdenerwowania i nie chcieć za szybko stamtąd odejść.

Im dłużej chodzili po wyspie, tym głębiej Camilla się zastanawiała, czy Benedykt czegoś nie podejrzewa. Poprzedniego dnia bardzo skrupulatnie wypytywał ją, gdzie była. Czy widział ją w drodze na wyspę albo z wyspy? A może zauważył Anthony'ego? Jeśli naprawdę był urzędnikiem celnym, mógł sądzić, że w ruinach mają kryjówkę przemytnicy. To byłoby logiczne. Postanowiła na wszelki wypadek odwieść go od tego pomysłu.

- Wiesz, miejscowi boją się tych ruin - powiedziała mu, gdy wracali ku nasłonecznionemu, trawiastemu miejscu, które wybrali na piknik.

Uważnie przyglądała się jego reakcji. Dostrzegła jedynie oznaki bardzo umiarkowanego zainteresowania.

- Naprawdę? Dlaczego?

- Po okolicy krąży legenda, że to miejsce jest nawiedzone. Wzięła się chyba stąd, że spalone ruiny wyglądają dość upiornie, chociaż prawdę mówiąc, największe zniszczenia poczyniono na wyspie, gdy brano stąd kamienie na budowę Chevington Park.

- Rzeczywiście, duchy powinny tu mieć uciechę. - Rozłożył koc na ziemi, a Camilla zaczęła wypakowywać zawartość koszyka.

- Pewnie dlatego ludzie wierzą, że one tu są.

- Jakiego rodzaju są te duchy?

- Och, najróżniejsze. Niektórzy twierdzą, że to kobieta, której zmarły dzieci. Chodzi po galerii, która już nie istnieje, załamuje ręce i przejmująco zawodzi. Inni chcą widzieć kobietę w bieli, to dość typowe, prawda? Są też tajemnicze światła...

Nie wiem, co jeszcze. W każdym razie wszystko to jest nieprawda. Prawie przez całe życie mieszkamy w pobliżu tej wyspy i nigdy nie zauważyliśmy niczego podejrzanego. Ale wieśniacy i tak się boją.

Znów spojrzała kątem oka na Benedykta. Nie potrafiła wywnioskować z jego miny, czy słowa te wywarły na nim jakiegokolwiek wrażenie.

Uśmiechnęła się do niego blado, a potem zaprosiła go do jedzenia. Kucharka przeszła samą siebie, być może podobnie jak ciotka Lidia oczarowana pomysłem romantycznego lunchu młodożeńców. Po lunchu Camilla z Benedyktem siedzieli na kocu i rozmawiali, wpatrując się w wodę, klify na drugim brzegu i widoczne w tle zabudowania Chevington Park.

Benedykt otoczył ją ramieniem. Camilla nie mogła powstrzymać westchnienia. Jak przyjemnie było siedzieć z nim w ten sposób. Niespodziewanie do oczu napłynęły jej łzy. Nie mogła zrozumieć, jak coś tak przyjemnego może jednocześnie sprawiać ból.

Było jej przyjemnie, bo cieszyła się, że jest z nim, że może się do niego przytulić. Cierpiała zaś z miłości.

Długo nie chciała się do tego przyznać, ale uczucie to dojrzewało w niej od wielu dni. Co za ironia losu, że zakochała się w człowieku odgrywającym rolę jej męża. Czyżby był takim dobrym aktorem? A może Benedykt, którego nawet nie znała z nazwiska, był jej przeznaczony? Czyżby po tylu latach spotkała w tych przedziwnych okolicznościach mężczyznę, któremu będzie mogła oddać swe serce?

Benedykt dotknął palcem jej podbródka i delikatnie obrócił ku sobie jej twarz. Czule ją pocałował i Camilla zapragnęła, by ten czar trwał wiecznie. Ale słodycz pocałunku szybko za-

mieniła się w żar. Benedykt lekko popchnął Camillę na koc i przykrył ją swoim ciałem. Był gorący, spragniony...

Wiatr znad morza pieścił ich ciała i igrał im we włosach. Całowali się bez końca. Camilla nieśmiało dotknęła okrytego koszulą torsu Benedykta. Zareagował gwałtownym wdechem, a ona odważyła się przesunąć ręką po twardym brzuchu i ramionach. Przypomniała sobie, jak wyglądał nagi poprzedniego wieczora i jak to było, gdy dotykała jego obnażonego ciała. Wsunęła mu dłoń za koszulę, a on pocałował ją jeszcze namiętniej niż przed chwilą. Potem zaczął tyczyć wargami gorący szlak na jej szyi i wzdłuż krawędzi dekoltu.

- Pragnę cię - wymruczał, wtulając usta w jej szyję. - Boże, nie zniosę drugiej takiej nocy, jak ostatnia.

- Nie musisz.

- Jak to? - Przerwał pieszczotę, uniósł się na łokciach i spojrzał na nią z napięciem. Oczy mu płonęły.

- Chciałam powiedzieć, że nie musisz narzucać sobie ograniczeń - odparła, sama zaskoczona swoją śmiałością. Była jednak pewna, że go kocha, i z taką samą pewnością wiedziała, że to jest dla niej jedyna szansa na miłość. Wkrótce Benedykt pójdzie swoją drogą, a ona zostanie sama. Niechby przynajmniej miała co wspominać. - Ja też cię pragnę. Weź mnie.

Przełknął ślinę. Podmuch wiatru zmierzwił mu włosy.

- Nie wiesz, co mówisz. Twoja reputacja... twoja przyszłość... A jeśli poczniesz dziecko?

- To mój kłopot, prawda? - odparła. - Co zaś do mojej reputacji, to i tak nic jej nie uratuje, jeśli ktokolwiek się dowie, że nie jesteśmy małżeństwem. Zresztą od początku planowaliśmy, że owdowieję. A wdowy miewają dzieci.

- Tak. Ale skutki tej maskarady będą nie do zatarcia. Sprawa jest trudniejsza, niż ci się zdaje.

- Ale nie taka trudna, jak to przedstawiasz - zripostowała i nagle się uśmiechnęła. - Czy nawet o to musimy się kłócić, Benedyckie?

Zamiast odpowiedzieć, schylił się i wycisnął pocałunek na jej wargach. Gdy wreszcie uniósł głowę, powiedział chrapliwym głosem:

- To nie jest dobry czas ani miejsce. - Energicznie wstał i podał rękę Camilli. - Wracamy do domu.

Pierwszy raz, odkąd usiedli do pikniku, rozejrzeli się dookoła. Wiatr, który zerwał się, gdy leżeli na kocu, nawiał kłęby burych chmur. Niebo ciemniało dosłownie z każdą chwilą, a chmury zbijały się w coraz większą masę.

- Och, nie, burza - jęknęła Camilla. - Powinnam była to przewidzieć.

- Spokojnie. Jeszcze jest daleko. Na pewno zdążymy. Do brzegu mamy tylko kawałek.

Camilla niepewnie spojrzała do góry. Wiedziała, jak błyskawicznie nadchodzi burza na wybrzeżu. Ale Benedykt miał rację. Jeszcze był czas, by bezpiecznie wrócić na ląd.

Szybko spakowali zawartość koszyka i złożyli koc, a potem pobiegli na skalisty brzeg, gdzie zostawili łódź. Wrzucili koszyk i sami wskoczyli do środka.

Benedykt usiadł przy wiosłach. Camilla żałowała, że nie może mu pomóc. Dorastała nad morzem, więc w dzieciństwie nauczyła się wiosłować. Gdyby jednak chciała teraz pracować jednym wiosłem, na pewno nie dorównałaby siłą pociągnięcia Benedyktowi i łódź płynęłaby nierówno.

Ale i tak posuwali się do brzegu bardzo wolno. Na morzu

powstała krótka, bardzo nieprzyjemna fala i raz po raz coraz to nowa porcja wody wlewała się do łodzi, tworząc kałużę na dnie, która wkrótce sięgnęła trzewików Camilli. Zaskoczona, zerknęła w dół i zaczęła gorączkowo szukać w koszyku czegoś do wylewania wody za burtę. Znalazła wreszcie czarękę, wyrzuciła z niej resztki jedzenia do oceanu i wzięła się do pracy.

Niestety, wody na dnie wciąż przybywało. Camilla z przerażeniem uświadomiła sobie, że taka jej ilość na pewno nie przelała się przez burtę.

- Benedykcie! - Spojrzała na niego trwożliwie. - Łódź przecieka.

- Widzę - odparł. - Marna ta łupina. - Zerknął przez ramię w stronę wyspy. Byli mniej więcej w połowie drogi.

Zaczął wiosłować z całych sił, a Camilla wlewała wodę najszybciej, jak umiała. Mimo to łódź zanurzała się coraz głębiej i pokonywała fale z coraz większym trudem. Burza robiła swoje. W pewnej chwili nadeszła wielka fala, zmiotła ich z podtopionej łodzi i nagle oboje znaleźli się w wodzie.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Camilla wynurzyła się niemal natychmiast, parskając i plując słoną wodą. Zaczęła poruszać rękami i nogami, by utrzymać głowę na powierzchni, a jednocześnie rozglądała się za Benedyktem. Gdy ujrzała, jak wynurza się jakieś dwa metry dalej, od razu poczuła się pewniej.

Szybko zsunęła z nóg trzewiki. Na szczęście miała suknię, z wąską spódnicą i niewiele halek pod spodem. Mimo to sięgnęła pod spódnicę i pościagała je, wiedziała bowiem, że nasiąknięty wodą materiał może pociągnąć ją na dno.

Benedykt podpłynął do niej i otoczył ją ramieniem. Pokręciła głową i krzyknęła z nadzieją, że będzie ją słyszeć mimo świstu wiatru i huku fal:

- Umieć pływać! Nie musisz mi pomagać!

Ruchem głowy potwierdził, że zrozumiał, i oboje obrócili się ku brzegowi. Camilla nieraz wypływała daleko, ale nigdy przy takiej fali. Raz po raz wiatr stawiał nad nią wielkie ściany wody, które z hukiem waliły się jej na głowę. Musiała też walczyć z prądem, ściągającym w głąb oceanu. Gdy załamująca się fala przywaliła ją ogromem spienionej wody i rzuciła w morską kipieli, przerażona Camilla pomyślała, że to chyba koniec. Na szczęście ostatnim wysiłkiem wypłynęła na powierzchnię, kaszłąc i rozpaczliwie wymachując rękami, a Bene-

dykt zdążył podpłynąć, ujął ją pod ramiona i podtrzymał, póki nie odzyskała tchu.

Nadeszła następna fala, ale dłuższa, więc tylko łagodnie ich uniosła i rozbiła się za nimi. Widok brzegu dodał im sił, popłynęli dalej. Teraz fale zdawały się im sprzyjać, co chwila gwałtownie popychając ich do przodu. Pojawiło się jednak nowe niebezpieczeństwo - prąd niósł ich prosto na ostre skały u wejścia do jaskini.

Niebo przecięła błyskawica. W jej świetle ujrzeli najbardziej radosny widok tego dnia: grupa służących z Chevington Park weszła z liną do wody. To znów dodało im sił. Zaczęli przeczyć w tamtą stronę. Ostatni w szeregu ratowników był Anthony, zanurzony po pas w wodzie. Zakręcił zwojem liny nad głową i cisnął nim przed siebie. Koniec zapadł się w wodę niedaleko od nich. Anthony przyciągnął go do siebie i rzucił ponownie.

Tym razem Benedykt zdołał chwycić linę, okręcił ją sobie wokół ramienia, a drugim ramieniem mocno objął Camillę. Teraz wystarczyło tylko utrzymywać się na powierzchni i czekać, aż ratownicy przyciągną ich do brzegu.

Gdy wreszcie stanęli na wąskiej plaży, natychmiast zawięto ich w koce, a Anthony podszedł do Camilli, by zanieść ją do domu. Benedykt zastąpił mu jednak drogę i położył dłoń na ramieniu.

- Ja ją zaniosę.
- Pan stracił wiele sił.
- Nie jestem aż taki zmęczony, żebym nie mógł zaopiekować się swoją żoną.

Anthony otworzył szeroko oczy ale wzruszył ramionami i nie próbował się upierać. Camilla natomiast, która straciła

mnóstwo sił, oparła tylko Benedyktowi głowę na ramieniu, cicho westchnęła i w bezruchu upajała się tym, że jest bezpieczna.

Benedykt zaniósł ją prosto do sypialni, w której już trzaskał ogień na kominku, i postawił ją obok kadzi z gorącą wodą. Dał znak Millie, żeby wyszła z pokoju, i sam pomógł Camilli rozebrać się z mokrych, klejących się do ciała ubrań. Po chwili Camilla z cichym westchnieniem zanurzyła się w cudownie ciepłej wodzie, on zaś szybko zdjął z siebie ubranie i usiadł w kadzi za jej plecami.

Nie zaprotestowała. Pochyliła się do przodu, żeby zrobić dla niego miejsce, a potem oparła się o jego tors. Benedykt objął ją od tyłu i przytulił policzek do jej włosów. Długo siedzieli przytuleni, rozkoszując się ciepłem.

- Bałem się, że cię stracę - szepnął wreszcie.

Camilla odpowiedziała mu cichym westchnieniem. Zamknęła oczy.

- Śmiertelnie się przestraszyłem - ciągnął. - Wiesz, o czym myślałem? Że umrę, nie przekonawszy się nawet, jak to jest kochać się z tobą, najdroższa.

Przesunął usta niżej i delikatnie cmoknął ją w ucho. Potem ujął wargami różowy płatek i zaczął go pieścić, rozsyłając po całym ciele Camilli podniecające dreszczyki. Mimo zmęczenia i senności poczuła nagłe ożywienie.

- Drugi raz nie popełnię tego błędu - powiedział gardłowym głosem i pocałował ją w szyję.

Przesunął dłońmi po jej wilgotnych ramionach, potem dotarł na plecy, wreszcie położył je tam, gdzie zwykle znajdował się dekolt sukni. Zachwycało go, jaką delikatną skórę ma Camilla. Objął z błogim westchnieniem jej piersi.



Powiedział coś, ale ponieważ wargi miał przytulone do jej pleców, Camilla nie rozumiała ani słowa. Zresztą nie miało to dla niej znaczenia. I tak była teraz w innym świecie, pochłonięta niezwykłymi doznaniem, oczarowana i wyczekująca. Wspomnienie oszałamiającej rozkoszy, jaką przeżyła poprzedniego wieczoru, przyprawiło ją o zawrót głowy.

Benedykt wciąż pieścił jej piersi. Potem przesunął ręce niżej, po płaskim brzuchu, i rozchylił jej uda. Jego dłonie wędrowały powoli to tu, to tam, potęgując niezwykle doznania i prowadząc na skraj spełnienia.

Gdy jednak zdawało się, że jeszcze chwila, a Camilla wstrząśnie ostateczny spazm, dłonie Benedykta nagle się cofnęły. Ujęły ją za ramiona i obróciły, tak by mogła spojrzeć mu w oczy. Instynktownie pojęła, o co chodzi, i pocałowała go w usta.

Ich wargi zetknęły się delikatnie, ale z każdą chwilą pocałunek stawał się coraz bardziej namiętny. Języki splatały się i bawiły z sobą. Nawet nie czuli chłodu, który otaczał ich wilgotne ciała. Było im gorąco od pocałunków, które trwały bez końca.

Wreszcie Benedykt podniósł się, wyszedł z kadzi i pomógł wstać Camilli. Owinął ją ręcznikiem, podczas gdy ona podziwiała smukłość i muskulaturę jego ciała. Wyjął ją z kadzi, postawił na dywaniku przed kominkiem i zaczął wycierać.

- Benedykcie... - szepnęła, kładąc mu ręce na torsie.
- Słucham, kochana....

Nie powiedziała już ani słowa, odpowiedziała palcami, które zaczęły wędrować po jego ciele, jeszcze wilgotnym po kąpieli. Obwiodła jego drobne sutki, ciesząc się, że twardnieją od jej pieszczot, potem skupiła uwagę na brzuchu i biodrach.

Powiodła dłonią niżej, jeszcze niżej... W ostatniej chwili odwaga ją jednak zawiodła i dłonie skrzyły, by zatrzymać się na pośladkach.

Spojrzała mu w twarz. Powieki miał spuszczone, skórę na policzkach napiętą. Wyglądał jak człowiek cierpiący ból i tylko pełny, zmysłowy uśmiech na jego wargach zdradzał, że Benedykt przeżywa raczej rozkosz niż cierpienie.

Otworzył oczy i zażądał chrapliwym głosem:

- Dotknij mnie....

Camilla zrozumiała, o co mu chodzi. Nieśmiało przewędrowała palcami na jego biodra, okrążyła je i dotarła do ud.

Znieruchomiła na chwilę, a potem ostrożnie otoczyła dłonią widoczny znak jego pożądania. Drgnęła spłoszona i nerwowo się roześmiała. Wkrótce jednak nabrała śmiałości i zaczęła go delikatnie pieścić.

Po chwili zwarli się w chciwym, żarłocznym pocałunku. Benedykt wpił palce w jej pośladki. Przeszył ją nagły dreszcz. Wspięła się na palce, żeby być jeszcze bliżej niego. Miała ochotę połknąć go, ogarnąć całego, wchłonąć w siebie. A on pożył jej wcale nie mniej.

Wreszcie pociągnął ją na dywanik przed kominkiem, ułożył obok siebie i zaczął pieścić ustami jej piersi. Pocałował po kolei obie sutki, otoczył jedną z nich wargami, jęknął z rozkoszy...

Każde poruszenie jego ust przypominało jej o dziwnym, pulsującym doznaniu w dole brzucha. Chciała je uciszyć, ale Benedykt robił wszystko, by je spotęgować.

Rozkosz stawała się nie do zniesienia. Camilla jęknęła i poruszyła instynktownie biodrami, jakby wyczuła, że zbliża się do progu, który przekroczyła poprzedniego wieczoru.

W końcu, gdy zdawało jej się, że oszaleje z pragnienia, lekko uniósł jej pośladki i wsunął się między nogi.

- Proszę cię... - szepnęła. - Proszę... Chcę cię... mieć... poczuć...

Słyszając to, omal nie stracił panowania nad sobą. Na chwilę znieruchomiał, a potem zaczął przygotowywać sobie drogę.

Camilla szeroko otworzyła oczy, wpiła palce w ramiona Benedykta. Zabolało ją, zaraz jednak zapomniała o tym, przejęta cudownym wrażeniem, że nareszcie jest wypełniona, nasycona, kompletna. Po chwili odważyła się nawet poruszyć, by zaprosić Benedykta jeszcze głębiej.

Gdy poczuła pierwsze pchnięcie, zrozumiała, że szczyt rozkoszy jest jeszcze przed nią. Benedykt prowadził ją do niego bez pośpiechu, znacznie wolniej niż domagały się jej zmysły. Wydawało się jej, że tego nie zniesie, że zaraz zacznie krzyczeć, ale wtedy rytm nabrał pewności i gwałtowności. Benedykt wykonał jeszcze kilka mocnych pchnięć i znów znalazła się na grzbiecie tej samej fali, co poprzedniego wieczoru.

I wtedy krzyknęła. Wpiła palce w ramiona Benedykta, a on opadł na nią i wtulił głowę w zagłębienie jej szyi.

Camilla czuła, że ma ochotę jednocześnie śmiać się i płakać. Chciała zadać Benedyktowi miliony pytań, ale jej myśli wciąż szaleńczo wirowały, nie była więc w stanie żadnej z nich ubrać w słowa. Najbardziej chciała mu powiedzieć, że go kocha. Pilnowała jednak, by te słowa niebacznie nie wyrwały się z jej ust. Nie była taka naiwna, żeby sądzić, że Benedykt się z nich ucieszy.

Benedykt zręcznie wysunął się z objęć Camilli. Zasnęli razem, spleceni w uścisku przed kominkiem, ale potem ogień

wygasał i w pokoju zrobiło się zimno. Przykląkł wtedy i wzięwszy Camillę na ręce, zaniósł ją do łóżka, ostrożnie ułożył w pościeli i otulił kołdrą. Westchnąwszy, uśmiechnęła się przez sen, a potem skuliła na boku. On zaś odsunął zabłąkany kosmyk włosów z jej czoła, zastanawiając się jednocześnie, dlaczego tak późno zrozumiał, że ją kocha.

Przez tę wiedźmę Annabeth nie ufał kobietom. Ale Camilla w niczym nie była podobna do Annabeth. To zauważyłby nawet półgłówek. I pomyśleć, że omal jej nie stracił. Och, Boże...

Teraz wiedział już, co robić. Najpierw powinien wybawić z kłopotów jej narwanego kuzyna i załatwić sprawę, która go tu przywiodła. A potem dopilnować, żeby nie wybuchł skandal z powodu całej tej maskarady. Przede wszystkim jednak musiał odwiedzić earla.

Z westchnieniem przestał medytować nad uśpioną Camilla i podszedł do szafy z bielizną. Ubrał się w okamgnieniu, cmoknął Camillę w czoło i wyszedł z pokoju.

Jenkins otworzył drzwi i wprowadził go do środka, po czym zaanonsował gościa earlowi. Staruszek podniósł głowę i uśmiechnął się.

- O, jesteś. Cały i zdrowy, jak widzę, mimo przygody.

- Tak, sir. Camilli też nic się nie stało, tylko bardzo się zmęczyła. Spała, jak wychodziłem z pokoju.

Chevington skinął głową i wyrazistym gestem pokazał Jenkinsowi, by się oddalił.

- Teraz powiedz mi, co się wydarzyło. Ukrywają to przede mną, żebym nie dostał następnego ataku. Powiem ci, że mnie to strasznie irytuje. Dowiedziałem się tylko, że złapała was burza, ale oboje mieliście szczęście. Jak to było naprawdę?

- Urządziliśmy piknik na wyspie. Nadchodzącą burzę zauważyliśmy dopiero w ostatniej chwili. To moja wina. Nie jestem przyzwyczajony do takich gwałtownych zmian pogody, jakie są na wybrzeżu. Dzieciństwo spędziłem w Lincolnshire, więc nie ma się czemu dziwić. - Zawahał się niezdecydowany, jak wiele powiedzieć earlowi. Nie chciał przestraszyć staruszka, choć z drugiej strony przekonał się już, że earl myśli dużo bardziej rzeczowo, niż sądzą jego bliscy.

Chevington zmarszczył czoło.

- Coś przede mną przemilczano. Co takiego? Wyduśże to z siebie, człowieku. I nie bój się, że dostanę apopleksji. Ostatnio czuję się dużo lepiej. Nawet wstaję i chodzę po pokoju, jeśli tylko uda mi się pozbyć tego zrzędy Jenkinsa. No, więc co się stało?

- Prawdopodobnie zdążylibyśmy dopłynąć łodzią do brzegu przed burzą, gdyby łódź nie zaczęła nabierać wody. I na pewno nie fiknęlibyśmy kozła do oceanu. A tak o mało nie utonęliśmy.

- Omal nie utonęliście! - Staruszek przybrał gniewną minę. - Boże! Wiedziałem, że coś przede mną ukrywają. Ładne mi szczęście, nie ma co mówić.

- W każdym razie dotarliśmy do brzegu i nie jesteśmy ranni. Problem w tym, że... ktoś uszkodził tę łódź.

- Uszkodził? Jak? Kto zrobiłby coś takiego?

- Nie wiem kto, sir. Tego dopiero mam nadzieję się dowiedzieć. Sądzę jednak, że w dniu wywiercono dziurę, a potem zatkano ją okrągłym kawałkiem drewna, który przyklejono czymś słodkim, na przykład cukrem albo miodem. Nie wiem, po jakim czasie spoiwo miało się rozpuścić. Może winowajca w ogóle się nad tym nie zastanawiał. Może było mu wszystko

jedno, czy utoniemy w drodze na wyspę, czy płynąc z powrotem.

Chevington przyglądał mu się osłupiały.

- Nie mogę uwierzyć.

- Ale to prawda. Camilli nawet o tym nie wspomniałem. Nie chciałem jej przestraszyć. Pewnie sądzi, że łódź po prostu zaczęła przeciekać sama z siebie.

Earl miał co do tego poważne wątpliwości. Bądź co bądź, Camilla wychowała się nad wodą i dobrze znała się na łodziach, więc na pewno zauważyłaby specjalnie wywierconą dziurę. Postanowił jednak nie rozwiewać złudzeń Benedykta. Był przekonany, że ten młody człowiek wkrótce sam się przekona, jaka jest Camilla.

- Tylko dlaczego? - Zadał pytanie, które dręczyło go najbardziej. - Dlaczego ktoś chciałby zaszkodzić tobie i Camilli? Czy sądzisz, że może to mieć związek z przemysłem?

Benedykt westchnął. Ociągał się z przejściem do tematu, o którym chciał porozmawiać. Wolał nie stracić szacunku staro earla.

- Nie wykluczam, że przynajmniej częściowy.

- Czy dowiedziałeś się czegoś o Anthonym? - dopytywał się dalej earl. - Czy zadaje się z przemysłnikami?

- Tego nie wiem na pewno. Dotąd nie znalazłem na to dowodu, chociaż napomykało o tym wielu służących i parę osób we wsi. Na pewno jednak Anthony w coś się wplątał. Ostatnio ukradkiem wymknęli się z Camilla na wyspę Keep. Dlatego chciałem tam dziś popłynąć.

- Wyspa Keep? - powtórzył earl zdumiony. - Po co mieliby się tam wymykać?

- Nie mam pojęcia, sir. Ale wyprawili się przed świtem.

Gdy potem zapytałem Camille, gdzie była, powiedziała, że u starej kobiety, Nan jakiejś tam, która zachorowała.

- Skłamała? - Chevington wydawał się tym trochę zaskoczony. - To znaczy, że naprawdę coś się dzieje. Do diabła, mam nadzieję, że Anthony nie wciągnął jej w jedną ze swoich awantur. Tak czy owak, nie umiem sobie wyobrazić, co mogliby robić na wyspie. Tam są tylko ruiny. I po co mieliby chodzić w tajemnicy? Mogą przecież całkiem jawnie iść tam albo popłynąć, kiedy mają ochotę.

- Moim zdaniem nie chcieli, żeby ktokolwiek ich zobaczył. Prawdopodobnie coś tam ukryli. - Na chwilę zamilkł. - Jeśli Anthony jest zamieszany w przemyt, to może na wyspie przechowuje się towar?

Chevington wzruszył ramionami.

- Pewnie można by. Ale w takim razie powinniście go dzisiaj znaleźć. Tam wszystko jest na wierzchu. Jaskinie byłyby znacznie lepszą kryjówką niż ruiny donżonu. - Urwał nagle i zaczął nad czymś w skupieniu rozmyślać. - No, nie. Tam są jeszcze piwnice.

- Piwnice, sir? - Benedyktowi przyśpieszył puls.

- Tak. Pod donżonem ciągnęły się piwnice, w których składowano żywność. Były dość obszerne. W średniowieczu trzymano tam w beczkach duże zapasy jedzenia i piwa, by nie wspomnieć o broni. Mówi się też o lochach, ale ja w to wątpię.

- Jak się wchodzi do piwnic?

- Nie wiem, nigdy w nich nie byłem. Sądziłbym raczej, że już się zapadły. - Earl westchnął. - Ale jeśli ktokolwiek odkrył drogę do piwnic, to na pewno ci dwoje. Oni umieją sobie przysparzać kłopotów. Piastunka i gubernery zawsze mieli przy nich pełne ręce roboty. - Urwał zafrasowany. -

Więc wciągnął w to Camillę, tak? A niech piorun strzeli tego chłopaka!

- Proszę mi wierzyć, sir, że zrobię wszystko, żeby tylko Camilla nie była w to uwikłana.

Chevington gniewnie parsknął.

- Widać, że jesteś od niedawna jej mężem. Ona zawsze postępowała tak, jak jej się podoba, a dla tego młodego łapserdaka robi wszystko.

Benedykt zmarszczył czoło.

- Wiem o tym, sir. Ale kiedy zorientuję się, co knują, postaram się, żeby Camilla nie miała wyboru.

- Porozmawiam z Anthonym - posępnie zapowiedział earl. - Zmuszę go, żeby wszystko wyznał, i każę mu z tym skończyć. Byłem dla niego zbyt pobłażliwy. Nie chciałem uwierzyć w to, co mówią ludzie. - Pokręcił głową. - Może dałem mu za wiele swobody? Ta piła Beryl powtarza mi to od lat.

- Nie wiem, sir, czy właśnie na tym polega problem.

- Nie zgadzasz się ze mną? - Chevington przekrzywił głowę i zerknął na Benedykta z zainteresowaniem. - Powiedz mi więc, jakie jest twoje zdanie.

- Myślę, że winna jest nuda, sir. Anthony ma bardzo żywiołową naturę, dlatego życie tutaj... hm, trochę go nuży. Czy jeśli uda mi się wydostać go z tarapatów, nie narażając na szwank dobrego imienia Chevingtonów, to zechce pan popuścić mu cugli?

- Popuścić cugli? Co to ma znaczyć? Nigdy tego chłopaka krótko nie trzymałem.

- Nie, sir. Ale trzyma go pan blisko siebie, bez wątplenia z miłości. Tymczasem ten młody człowiek kipi energią, która



potrzebuje ujęcia. Podobno chce wstąpić do wojska. Są gorsze rzeczy na świecie dla takiego chłopaka. W wojsku przynajmniej nauczyłyby się dyscypliny i miałyby okazję spożytkować swoją energię.

Staruszek zbladł.

- Nie mogę podjąć takiego ryzyka. Anthony jest dziedzicem.

- W wojsku jest wielu dziedziców. Ja też byłem wojsku.

Stary earl uniósł brwi.

- Jesteś dziedzicem? Nikt mi nie powiedział, że masz tytuł.

- Celowo to zataiłem. Właśnie o tym przyszedłem z panem porozmawiać. Ale najpierw proszę mi obiecać, że przynajmniej zastanowi się pan nad tym, czy nie pozwolić Anthony'emu na wyjazd z Chevington Park. Chodzi naturalnie o dłuższy okres. Jeśli wojsko jest dla pana nie do przyjęcia, to proszę pomyśleć o wysłaniu go do Oksfordu. Albo... - dokończył zrezygnowany - niechby pomieszkał u nas w Londynie.

- W Londynie? Myślałem, że mieszkanie w Bath.

- Już niedługo. Później przeniesiemy się do stolicy. Niechby, na przykład, Anthony przyjechał do nas na cały sezon. Nabrałby trochę ogłady. Dopilnowałbym, żeby nie wdał się w hazard na dużą skalę i nie dał się oskubać szulerom.

Chevington skinał głową.

- Zgoda. Pomyślę o tym. Nie chciałem i nadal nie chcę odbierać chłopakowi wolności.

- Wiem, sir. Wszystko, co pan robi, robi pan z miłością.

Benedykt zamilkł. Spojrzał na earla, który przyglądał mu się z coraz większym zainteresowaniem.

- I co dalej? - spytał earl. - Podobno chciałeś mi jeszcze coś powiedzieć. Co takiego? Mów śmiało, młodzieńcze.

Benedykt zaczerpnął tchu. Miał nadzieję, że nie zaszkodzi staremu earlowi. Ale musiał wyjaśnić tę sytuację. Nie mógł wymyślać coraz to nowych kłamstw i coraz bardziej pograżać siebie i Camilli.

- Rzecz w tym... - zaczął i odchrząknął. Chevington przynaglił go skinieniem głowy. - Nie byłem z panem całkiem szczery. Camilla i ja... my... Cóż, nie nazywam się Lasiter i nie jestem mężem pańskiej wnuczki - dokończył w pośpiechu.

Zapadło długie milczenie. Chevington wpatrywał się w niego tak oszołomiony, że nawet nie wybuchnął gniewem.

- Słucham?

Benedykt powtórzył to samo, co powiedział przed chwilą, a potem tak zwięźle, jak tylko potrafił, opisał wydarzenia wieczoru, kiedy to spotkał Camillę.

Zanim skończył, earl był paşowy na twarzy.

- Tak, czegoś takiego można się było po Camilli spodziewać. Zawsze miała obłąkane pomysły i zawsze źle na nich wychodziła, podobnie jak Anthony. Ale kim ty, u diabła, jesteś, i dlaczego zgodziłeś się na tę propozycję?

- Jestem lord Rawdon.

- Rawdon! Phi! Wymyśl coś lepszego, chłopcze. Znam lorda Rawdona. Jest starym człowiekiem, bliższym mojego wieku niż twojego. Ma na imię Sylvester. Grywamy razem w karty.

- W to nie wątpię. Stryj zawsze lubił hazard. Na szczęście dla rodziny więcej wygrał, niż stracił.

- Twój stryj?

- Tak. Jego młodszym bratem był mój ojciec. Nikt nie przypuszczał, że tytuł przejdzie na mnie, ale jeśli nie liczyć Sylwestra, Wincrossowie żyją raczej krótko.

- Zdawało mi się, że Sylvester ma syna.

- Miał. - Na wargach Benedykta zaigrał uśmieszek. - Myśli pan, że zapłacę się w wyjaśnieniach? Słowo daję, że wiem, o czym mówię. Stryjenka, która była tylko kilka lat młodsza od stryja, ku zdumieniu wszystkich mimo dojrzałego wieku urodziła syna. Ale w czasie gdy byłem na wojnie, chłopiec dostał gorączki i zmarł. Dlatego po śmierci Sylwestra w ubiegłym roku to ja zostałem baronem.

Chevington nieruchomo wpatrywał się w niego przez długą chwilę.

- Może wyjaśnisz mi, dlaczego lord miałby udawać męża mojej wnuczki.

- Wiem, że to brzmi niedorzecznie.

- Mam wrażenie, że nie bardziej niedorzecznie niż reszta tej historii. - Chevington skrzyżował ramiona na piersiach.

- Miałem powód. Przyjechałem tutaj ująć zdrajcę.

Nie wiadomo, czego stary earl się spodziewał, ale na pewno nie tego. Wytrzeszczył oczy na Benedykta.

- Zdrajcę? O czym ty mówisz, człowieku?

Benedykt zaczął opowiadać earlowi o siatce „Gideon” i swoich ostatnich kłopotach, które sprowadziły go do Edgecombe. Gdy skończył, staruszek z westchnieniem oparł się o wezgłowie.

- Chcesz mi powiedzieć, że Anthony macza palce również w zdradzie? W to nie uwierzę.

- Nie. Bardzo wątpię, czy Anthony ma z tym cokolwiek wspólnego. Ale ktoś z przemytników musi mieć. Wszystko wskazuje na nowego przywódcę. Przyznam się panu, że bardzo liczę na pomoc Anthony'ego. Tylko że on musi zachować nieposzlakowaną reputację. Przecież nie mogę pozwolić na to, żeby kuzyn mojej żony zawisł na szubienicy.

- Zdaje się, że Camilla nie jest twoją żoną.  
- Zamierzam ją poślubić, gdy tylko całe to zamieszanie się skończy.

- Bardzo jestem ciekaw, jak poślubisz kobietę, którą wszyscy już uważają za twoją żonę.

Benedykt uśmiechnął się chytrze.

- Mam pewien plan.

- W to nie wątpię. Widzę, że z Camilla dobrze do siebie pasujecie. - Uniósł rękę, gdyż Benedykt otworzył usta. - Nie, w ogóle nie chcę o tym słyszeć. Chyba za bardzo się zesta-  
rzałem na takie matactwa. - Urwał. - Czy Camilla wie o tym wszystkim?

- Nie, sir. Ona sądzi, że zgodziłem się jej pomóc za pieniądze, które mi zaproponowała. Uważała mnie za złodzieja.

Kąciki ust Chevingtona nieznacznie się uniosły.

- Co skłania cię do przypuszczenia, że Camilla zgodzi się na twój plan?

- Ufam, że zdołam ją do niego przekonać.

- Czyżby? - Stary człowiek szeroko się uśmiechnął. - Chcesz się założyć?

Benedykta, który sam miał niemałe wątpliwości, bardzo zirykowało niedowierzenie earla.

- Będzie musiała się zgodzić - stwierdził z kwaśną miną.  
- Inaczej straci dobrą reputację.

- Na twoim miejscu nie posługiwałbym się tym argumentem. Camilla bardzo nie lubi, gdy się ją do czegoś zmusza. Nie sądzę, na przykład, żeby zgodziła się poślubić człowieka tylko dla ratowania swojej reputacji.

- Ale mnie wcale nie o to chodzi! - zaperzył się Benedykt.  
- Ja ją kocham!

- Naprawdę? Wobec tego radzę ci, żebyś zrobił to, co zawsze robiłem z jej babką.
- To znaczy co?
- Przebłagaj ją. To jedyny sposób, niestety.

Camilla zbudziła się i rozkosznie przeciągnęła. Zerknęła na Benedykta. Jeszcze spał, leżąc na brzuchu. Wyciągnęła rękę i lekko pogłaskała go po głowie.

Poprzedniego wieczoru, kładąc się do łóżka, Benedykt ją zbudził i znów się kochali. Przeżyli jeszcze wspanialsze chwile niż za pierwszym razem, choć zdawać by się mogło, że nie jest to w ogóle możliwe.

Pomyślała o przyszłości i od razu zrobiło jej się smutno. Szybko jednak przegnała tę przykrą myśl. Wiedziała, że na smutki przyjdzie czas później, gdy Benedykt ją zostawi.

Nie żałowała tego, co się stało, lecz również nie miała złudzeń. Kochała Benedykta, nie oczekiwała jednak, że on odwzajemni jej uczucie. Przecież przyjechał do Chevington Park, bo miał własne powody, więc gdy zrobi swoje, po prostu odjedzie. Camilla tłumaczyła sobie, że już pogodziła się z losem i nie pozwoli, by niepokój o przyszłość zatruł jej radość z tego, co miała teraz, a jednak gdzieś na dnie serca czaił się żal i lęk przed bólem rozstania. Czy mogła przypuszczać, że tak się skończy ich znajomość, że pokocha tego przedziwnego mężczyznę?

Owinęła na palcu pasemko włosów i przez chwilę rozważała pomysł, by zbudzić Benedykta, całując go od stóp do głów. Byłby to bardzo przyjemny początek dnia.

Ale wzywał ją obowiązek. Zaniebdała swojego pacjenta, musiała więc zajrzeć do niego i sprawdzić, czy odzyskuje siły.

Nie wiedziała nawet, czy po burzy Anthony zdołał wrócić na wyspę. Dlatego niepokoiła się o bezpieczeństwo rannego mężczyzny podwójnie. Nie dość, że miał wysoką gorączkę, to jeszcze zagrażał mu nieznanemu prześladowca.

Jej obawa była tym większa, że przecież wiedziała, iż przygoda z przeciekającą łodzią nie była dziełem przypadku. Postanowiła nie mówić Benedyktowi, że wie o przewierconym dnie łodzi, choć prawie natychmiast zauważyła, w jaki sposób powstało uszkodzenie.

Nie miała pojęcia, kto chciał ich zatopić, ale przeczuwała, że sabotażysty chodziło o rannego mężczyznę ukrytego na wyspie. Czyżby niedoszły morderca już odkrył jego schronienie? Camilla nie rozumiała tego, co się dzieje wokół niej, ale wydawało jej się niemożliwe, by dwie próby morderstwa, dokonane prawie w tym samym miejscu i czasie, były dziełem dwóch różnych osób. Koniecznie musiała więc sprawdzić, czy jej pacjentowi nic się nie stało.

Wstała z łóżka, umyła się, ubrała cicho w prosty strój, a potem wyślizgnęła się na korytarz. Szybko przemknęła do kuchni, gdzie wyprosiła u kucharki trochę jedzenia. Tak wyekwipowana mogła iść na wyspę.

Droga do ruin zajęła jej więcej czasu niż zwykle, co chwila bowiem przystawała i rozglądała się dookoła, dręczona przeświadczeniem, że morderca może obserwować ją z ukrycia. Raz wydało jej się nawet, że słyszy za plecami jakiś dźwięk, ale gdy się obróciła, wszystko było w porządku. Pomyślała, że zawodzą ją nerwy, i dalej ruszyła groblą ku ruinom.

Znalazłszy się w starej kuchni, jeszcze raz ostrożnie omiotła spojrzeniem okolicę, po czym zeszła do podziemi. Wyjęła świecę, zapaliła ją i zbliżyła się do drzwi izby, w której leżał ranny.

Drzwi otworzyły się tak niespodziewanie, że omal nie upuściła świecy.

Na progu stał jej kuzyn.

Odetchnęła z ulgą.

- Anthony! Przez ciebie omal nie umarłam ze strachu. Dlaczego tak na mnie wyskakujesz?

- Usłyszałem, że nadchodzisz - odrzekł radośnie, nie zwracając uwagi na jej pochmurną minę. - Mam wspaniałą wiadomość. Nasz pacjent jest przytomny!

- Co?

- Ocknął się. I nie ma gorączki. - Anthony wyszedł jej na spotkanie. - Przyszedłem tu wczoraj wieczorem i zobaczyłem, że gorączka mu spadła. Powiedział nawet parę słów. Na razie niewiele. Spytał, gdzie jest i kim jestem, a potem znowu zasnął. Ale wyraźnie czuje się lepiej.

Camilla pochyliła się do kuzyna i szepnęła:

- Dowiedziałeś się czegoś o nim?

- Nie. Bardzo mało. Nie chciałam go męczyć, bo jest jeszcze bardzo słaby. Ale gdy się obudzi dziś rano, na pewno będzie bardziej chętny do rozmowy.

Weszli do następnej izby. Camilla podeszła do pościania i spojrzała na rannego. Leżał skulony na boku, owinięty kocem jak kokonem. Ramieniem zasłaniał sobie głowę. Z zadowoleniem spostrzegła, że na twarz wracają mu kolory, a oddech jest dużo równiejszy.

Mężczyzna jakby wyczuł, że jest obserwowany, bo raptownie otworzył oczy i szybko usiadł, chociaż wzdrygnął się z bólu. Przez chwilę przyglądał się Camilli, a potem powiedział:

- To pani musi być tą dobrodziejką, o której opowiedział mi mój młody przyjaciel.

- Wygląda pan dużo lepiej.

- Dziękuję. Ale wyłącznie dzięki pani opiece. - Usiłował wstać, jak nakazywało dobre wychowanie, lecz nogi nie chciały go słuchać.

- Niech pan się nie przejmuję konwenansami. Nie warto w ten sposób tracić energii. - Postawiła na ziemi pudełko, które z sobą przyniosła, i zaczęła w nim grzebać. - O, mam tu dla pana trochę gorącej herbaty i specjalny kleik na wzmocnienie.

Anthony pochylił się ciekawie nad garnuszkiem stojącym w pudełku i paskudnie się skrzywił.

- Tfu!

- Siedź cicho. Kleik to dla chorego najlepsze lekarstwo. Potrzeba mu czegoś ciepłego, pożywnego i wypełniającego żołądek, żeby łatwiej odzyskiwał siły.

- To brzmi bardzo zachęcająco - włączył się do rozmowy obcy, przesyłając Camilli uśmiech. - Szczerze mówiąc, jestem tak głodny, że zjadłbym dosłownie wszystko.

Camilla odwzajemniła uśmiech. Ranny był przyjemnie wyglądającym młodym człowiekiem, a wrażenia tego nie psuły ani kilkudniowy zarost, ani niewiarygodnie potargane włosy. Mężczyzna jakby czytał w jej myślach, bo przecesał dłonią włosy i znów przesłał jej uśmiech, tym razem pełen skruchy.

- Przepraszam. Muszę wyglądać jak włóczęga.

- Skądże. Wygląda pan jak człowiek, który przez kilka dni był bardzo ciężko chory - surowo poprawiła go Camilla, nalewając kleiku z garnka do talerza.- Proszę. Czy ma pan dość sił, żeby utrzymać talerz samemu, czy panu pomóc?

Twarz odrobinę mu się zaróżowiła.



- Dziękuję, chyba nie jest ze mną tak źle, żebym nie dał sobie rady - powiedział szybko.

Zwróciła jednak uwagę, jak bardzo drży mu ręka, trzymająca naczynie. Jeszcze wiele mu brakowało do ozdrowienia. Przełknął kilka łyków kleiku, mozolnie podnosząc łyżkę do ust, a potem opadł z powrotem na poślanie.

- Dziękuję - powiedział do Camilli. - Jest mi teraz dużo lepiej.

Anthony zapomniał na chwilę o swej niechęci do kleiku i zjadł pełny talerz. Tymczasem ich podopieczny westchnął cicho, zamknął oczy i ułożył się wygodniej.

Camilla bała się, że znowu zaśnie, więc powiedziała:

- No, skoro czuje się pan lepiej, to musimy porozmawiać.

Uniósł powieki i popatrzył na nią, a jej się wydało, że w jego oczach widzi nieufność.

- Na przykład o tym, jak się pan nazywa - dodała. - Nie mamy pojęcia, kim pan jest.

- Wiem. Jest pani wyjątkowo życzliwą i dobrą osobą, skoro pomogła pani nieznanemu człowiekowi.

Mówił z obcym akcentem, chociaż trudno to było zauważyć. A może tylko jej się zdawało?

- Dziękuję. Ale nie oczekuję od pana komplementów, tylko chcę wiedzieć, jak się pan nazywa.

Zawahał się nieznacznie, a potem powiedział:

- Nazywam się James. James Woollery.

- Rozumiem. - Zastanawiała się, czy nieznajomy nie obdarzył jej komplementem, żeby zyskać na czasie i szybko wymyślić sobie pierwsze lepsze nazwisko. - A w jaki sposób znalazł się pan w tak dramatycznej sytuacji?

- Camillo... - włączył się Anthony. ~ Może pan nie czuje

się jeszcze na siłach, by odpowiadać na tyle pytań. Przecież powiedziałem ci, co się stało.

~ Chciałabym usłyszeć to od niego.

- Wszystko jest w najlepszym porządku, Anthony - zapewnił go Woollery. - Doskonale rozumiem pani ciekawość. Żałuję tylko, że niewiele mogę powiedzieć. Napadnięto mnie, ale kto to zrobił i dlaczego, tego nie wiem. Ukrył się wśród skał. Czekał tam na mnie, a gdy przechodziłem, wyskoczył z nożem. Broniełem się. Nie wiem dokładnie, co zaszło. Zranił mnie i zacząłem krwawić, lecz udało mi się wyciągnąć pistolet i wtedy ten człowiek uciekł. Strzeliłem do niego, ale zdaje się, że chybiłem.

- I nie ma pan pojęcia, kto to był?

Pokręcił głową.

- Dolną część twarzy zakrywała mu chustka, a czapkę miał nisko naciśniętą na czoło. Widziałem tylko jego oczy, w dodatku było ciemno. Na pewno go nie poznałem. Nie sądzę nawet, żebym mógł go rozpoznać, gdybym zobaczył go drugi raz.

- Jakiego był wzrostu? Wysoki? Niski?

- Wysoki odparł. - Wyższy ode mnie. Silny.

- Czy coś panu ukradł?

- Nie. - Pierwszy raz Woollery odwrócił od niej wzrok.

- Przypuszczam, że zamierzał mnie najpierw zabić, a potem obrabować, ale na szczęście do tego nie doszło.

Camilla skinęła głową. Bardzo ją zainteresowało, czy to przypadek, że mężczyzna odwrócił głowę akurat w tej chwili.

- Mimo wszystko wydaje mi się to dziwne. Dlaczego nie zażądał po prostu, żeby oddał mu pan kosztowności? To dość niezwykłe, żeby zabijać obcego człowieka tylko po to, by go obrabować, nie sądzi pan? Przynajmniej w tej okolicy...

Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, jakie były jego zamiary.
- Panie Woollery, skąd pan pochodzi?

Uniósł brwi.

- Z Dorset. Wraciałem do domu.
- Z Francji? - spytała chłodno Camilla.

Woollery znieruchomiał.

- Co pani chce przez to powiedzieć?
- Chcę powiedzieć, że był pan wśród przemytników. Przypłynął pan poprzedniej nocy łodzią, wiozącą ładunek brandy.
- Przykro mi, ale pani się myli. - Uroczo się do niej uśmiechnął.

- Czyżby? - Camilla wyzywająco spojrzała mu w oczy.

- Panie Woollery, liczę, że zrozumie pan moje stanowisko. Pomogliśmy panu, bo to był z naszej strony zwykły ludzki odruch. Tak samo pomogliśmy każdemu. Jednakże wiemy na pewno, że był pan wśród przemytników. Na łodzi widziano pański sygnet, a takich przedmiotów łatwo się nie zapomina.

Instynktownie sięgnął do linki na szyi, ale nie powiedział ani słowa.

- W najlepszym razie jest pan zamieszany w przemyt. Ale wygląda na to, że przypłynął pan tutaj z Francji. W gorączce mającym panu po francusku.

- Naprawdę? - Wydał jej się zdziwiony i, nie wiadomo czemu, jakby zadowolony z tego faktu.

- Tak.

- To nietrudno wyjaśnić. Moja matka była emigrantką z Francji, dlatego mówię po francusku prawie tak samo dobrze, jak po angielsku.

- Możliwe, że tak jest, ale to nie wyjaśnia, co pan robił

nocą z przemytnikami. Nie wyjaśnia też, jak pan się tutaj dostał i jaki był cel pańskiego przybycia.

Mężczyzna przytknął drżącą dłoń do czoła.

- Wiem, że to wygląda podejrzanie. Ale słowo daję, że jestem Anglikiem tak samo, jak pani Angielką, i nie mniej kocham swoją ojczyznę. Nie znam nazwiska człowieka, który mnie napadł, ani powodu, dla którego to zrobił. Co zaś do reszty... Bardzo przepraszam, ale po prostu nie wolno mi powiedzieć nic więcej.

- Nie wolno! - wykrzyknęła Camilla.

- Co to ma znaczyć? - pierwszy raz odezwał się Anthony.  
- Niech pan pamięta, Woollery, to nie jest czas i miejsce na głupie skrupuły. Od tego może zależeć pańskie życie. Pańskie i nasze. Musi nam pan powiedzieć. O co chodziło?

- Ano właśnie - rozległ się dudniący głos z progu. - Ja też chciałbym to wiedzieć.

- Benedykt! - przeraziła się Camilla i w jednej chwili odwróciła się do drzwi. Mimowolnie stanęła tak, by zasłonić obcego. Teraz dopiero się zaczęło, pomyślała. - Co ty tu robisz?

- To chyba ja powinienem ciebie o to spytać - odparł spokojnie Benedykt, wchodząc głębiej do izby. - Śledziłem cię, kochanie. Bardzo mnie ciekawiło, dlaczego tak ciągnie cię do tych opuszczonych ruin. Przepraszam za spóźnienie, ale zmięrzyłem sporo czasu, zanim znalazłem wejście do piwnic. Za bardzo mnie wyprzedziłaś i nie mogłem podejrzeć, jak się tu dostałaś.

- Chcesz powiedzieć... chcesz powiedzieć, że wiedziałeś? Przez cały czas?

- Wiedziałem, że wykradacie się tutaj z Anthonym. Po co, tego nie byłem pewien. Miałem nadzieję, że wyznasz mi pra-

wdę, ale tego nie zrobiłaś, musiałem więc wziąć sprawę w swoje ręce.

Anthony stanął u boku Camilli i spojrzał na Benedykta z zaciętą miną.

- To nic była jej wina. Wszystko biorę na siebie. Ona tylko chciała mi pomóc, kiedy powiedziałem jej, co się stało.

- W to nietrudno mi uwierzyć - odparł oschle Benedykt.  
- A teraz zechciejcie się odsunąć i pokazać, kogo tak pracowicie ukrywacie.

Ruszył śmiało przed siebie, ale po kilku krokach stanął jak wryty.

- Boże wielki...

Camilla spojrzała ze zdziwieniem najpierw na Benedykta, potem na chorego. Ich podopieczny wytrzeszczał oczy na Benedykta mniej więcej tak samo, jak Benedykt na niego.

- James Woollery...

- Major! - Woollery poderwał się z posłania. - Lord Rawdon!

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

- Kto taki? - Camilla spojrzała na Woollery'ego z niedowierzaniem.

Ten zachwiał się, kolana się pod nim ugięły, ale Benedykt szybko doskoczył i go podtrzymał.

- Hej, Anthony, pomóż mi go ułożyć! Camillo, przynieś wody!

Oboje natychmiast wykonali polecenia. Anthony z Benedyktem oparli Woollery'ego o ścianę, a Camilla przybiegła do nich z pełnym dzbankiem. Benedykt zaczął lekko klepać Woollery'ego po policzkach.

- Znasz go? - spytała wciąż bardzo zdziwiona Camilla.

- Tak. - Benedykt nalał sobie wody na dłonie i zaczął zwilżać nią twarz młodego człowieka. - James... James! Zbudź się. To ja, Rawdon.

- Ale skąd...? - zainteresował się Anthony. - Czy wic pan, co mu się stało?

- Nie. A wy nie wiecie? - Rozejrzył się dookoła. - Nic trzymacie go tu czasem jako więźnia?

- Więźnia?! Skądże. - Anthony wydał się bardzo urażony tym pomysłem. - Ukrywamy go. Przyniosłem go tutaj, żeby mógł bezpiecznie wylizać się z ran. Żeby nie znalazł go czło-

wiek, który na niego napadł. Jak mógł pan pomyśleć, że go więzimy!

- To do niego podobne - ponuro stwierdziła Camilla. Zaczynało do niej docierać, że Benedykt oszukiwał ją od samego początku. - Lord Rawdon, jak widać, nie ufa nikomu.

Benedykt przeszył ją wzrokiem, ale zanim zdążył coś powiedzieć, Woollery otworzył oczy. Nieprzytomnie rozejrzał się dookoła, aż wreszcie skupił wzrok na Benedyckie.

- Lord Rawdon! - powiedziała jeszcze raz z głębokim szacunkiem. - Co pan tu robi? Jak pan się dowiedział?

- Jak do tej pory dowiedziałem się bardzo mało. Co się panu stało, poruczniku Woollery? Dlaczego pan jest w takim stanie?

- Ktoś na mnie napadł... Jak tylko wysiadłem z łodzi... Pomogłem w wyładunku, a potem zacząłem się oddalać. Miałem iść do wsi.

- Do Edgecombe?

Woollery skinął głową.

- Tak. Zamierzałem wynająć konia. Ale ktoś się na mnie zaczął. Nie mam pojęcia kto. Było ciemno, a on miał zasłoniętą twarz. Widziałem tylko oczy. Udało mi się go spłoszyć, a następnego ranka ten miły młody człowiek mnie odnalazł.

- Skinął głową ku Anthony'emu. - Nie wiem, co bym bez niego zrobił. Ocalił mi życie. Przydźwigał tutaj, ukrył i zabandażował mi rany.

- Nie wiedzieliśmy, kto próbował go zabić - wyjaśnił Anthony. - Obawiałem się, że niedoszły morderca może spróbować drugi raz. A to była jedyna kryjówka, jaka mi przyszła do głowy. Niestety, porucznik dostał gorączki. Zacząłem się bać, że nie przeżyje. Dlatego sprowadziłem Camillę. Wiedzia-

łem, że będzie umiała mu pomóc lepiej niż ja. No i proszę: po jej lekach gorączka spadła. - Spojrzał na Camillę jak dumny ojciec.

Camilla miała ochotę go uderzyć, żeby nie szczyrzył tak zębów. Czuła się wykorzystana przez wszystkich. Dała jednak spokój Anthony'emu, odwróciła się za to do Benedykta i spytała go lodowatym tonem:

- Kim ty właściwie jesteś? Co tu robisz? I jakie masz prawo zadawać nam te wszystkie pytania?

- Nie zna go pani? - spytał zbity z tropu Woollery. - To jest lord Rawdon. - Powiedział to tak, jakby wszyscy na całym świecie musieli to wiedzieć. - Dowodził moim oddziałem podczas kampanii hiszpańskiej. Wtedy znałem go po prostu jako majora Wincrossa, bo jeszcze nie miał tytułu.

- Major Wincross? - Anthony w skupieniu zmarszczył czoło. - Już gdzieś słyszałem to nazwisko. Ależ to... Tak, to o panu Graeme ciągle opowiada! - Spojrzał na Benedykta prawie z czcią. - Sir, nie umiem wyrazić, jak bardzo jestem zaszczycony, że mogę pana poznać.

- Przecież znasz go już kilka dni - złośliwie zauważyła Camilla. - Czy miałeś na myśli kuzyna Graeme, brata Harolda i Bertrama?

- A kogo by innego? Kto jeszcze opowiadałby o bohaterze spod San Luis.

- Spod czego?

Benedykt jęknął.

- Proszę was, nie roztrząsajcie starych dziejów.

Ale Woollery z entuzjazmem włączył się do rozmowy.

- Tak, to jest właśnie lord Rawdon! A kim jest ten Graeme, o którym pan wspomniał? Czy też żołnierzem?



- Tak. Służy w ciężkiej jeździe. Graeme Elliot. Nieustannie opowiada nam, jak Wincross ze swoimi ludźmi został odcięty, lecz mimo to uniknął niewoli i przeprowadził żołnierzy z powrotem do swoich...

- Przepraszam, panowie, że przerywam te wojenne wspomnienia - wtrąciła chłodno Camilla - ale czy moglibyśmy wrócić do poprzedniego tematu? Chciałabym wreszcie się dowiedzieć, kim są ci dwaj ludzie i co robią w Edgecombe.

Anthony spojrział na nią bardzo rozdrażniony.

- Przed chwilą ci się przedstawili, Millo. To jest James Woollery, dzielny żołnierz, a nie szpieg naszego wroga. A to jest lord Rawdon, człowiek, który...

- Dobrze, tyle zrozumiałam, bohater spod San Luis. Ja pytam, co oni mają wspólnego z przemytnikami. I dlaczego porucznik Woollery majaczył po francusku. I dlaczego lord Rawdon przyjechał tutaj udawać...

Benedykt przerwał jej, uśmiechając się do niej czule.

- Widzisz, Anthony, lady Rawdon ma taki charakter, że zawsze chce dostać odpowiedzi na swoje pytania.

- Kto? - spytał Anthony.

Woollery spojrział niepewnie na Rawdona, potem na Camillę i znów na Rawdona.

- Sir, czy mogę jej powiedzieć?

- Naturalnie. - Benedykt zbył jego wątpliwości niedbałym gestem. - Rozmawiasz z moją żoną. Camilla jest nową lady Rawdon.

Camilla zwróciła się do Benedykta. Jej oczy pałały gniewem.

- Co takiego? Oszalałeś?

- Spokojnie, kochanie. - Uśmiechnął się, podszedł do niej i uściśnął mocno jej dłoń. - Przed Woollerym niczego nie mu-

simy udawać. Możesz wiedzieć, kim naprawdę jestem. Porucznik jest jednym z moich ludzi.

Woollery znów spojrzął na Camillę ze skruchą.

- Przepraszam, milady, że panią wystraszyłem. Ale, jak powiedziałem, moja matka była Francuzką, a ja spędziłem ostatnio sporo czasu na kontynencie, udając Francuza, więc widocznie zacząłem myśleć po francusku. Czasem trudno mi się przestawić z jednego języka na drugi.

- Widzisz, Millo? - Anthony zwrócił się do kuzynki z chełpliwym uśmiechem. - Powiedziałem ci, że ten człowiek wcale nie musi być szpiegiem.

- Och, on jest szpiegiem - powiedział Benedykt. - Tylko że naszym. Pewien czas temu Winslow, Sedgewick i ja zorganizowaliśmy siatkę szpiegowską Winslow nawiązał kontakt z przemytnikami, żeby zapewnić nam kanał przerzutowy dla ludzi i informacji.

- Ach, więc to dlatego wyładowywał pan brandy! - wykrzyknął Anthony, patrząc na Woollery'ego.

- Wpadłeś, co? - zagadnął Benedykt. - Musiałeś zapomnieć o zasadach ostrożności.

- Zobaczyłem u niego sygnet zawieszony na szyi - wyjaśnił Anthony. - Wiedziałem, że pan nie jest zwyczajnym przemytnikiem.

- Mówiłem ci, że któregoś dnia ten sygnet wpędzi cię w kłopoty - powiedział Benedykt do porucznika.

- To jest mój amulet, sir. Nie mogłem go zostawić. Noszę go od dzieciństwa!

- Tym razem amulet nie przyniósł ci szczęścia.

Na chwilę zapadła cisza, wszyscy wrócili myślami do napaści na porucznika.

- Ale co pan tu robi, sir? - spytał w końcu Woollery. - Czy przyjechał pan z powodu mojego zniknięcia?

- Przyjechałem, bo nie ty pierwszy znikłeś. Ktoś próbuje zniszczyć naszą siatkę. Nie mamy wiadomości od Keswicka, który powinien był wrócić trzy tygodnie temu, nie mamy też wiadomości od innych naszych ludzi, ani z Francji, ani stąd. Zapadła martwa cisza. - Westchnął. - W przypadku Keswicka ten zwrot trzeba chyba niestety traktować dosłownie.

- Chce pan powiedzieć, że Keswick nie żyje?

Benedykt skinął głową.

- Jeśli wnioskować z twojego przypadku, to tak. Tylko dzięki szybkiej orientacji i pomocy Anthony'ego uniknąłeś śmierci.

- To straszne. - Młody człowiek zbladł jeszcze bardziej. Na chwilę zamknął oczy.

- Owszem. Dlatego Sedgwick i ja postanowiliśmy sprawdzić na miejscu, co się dzieje.

- Więc to dlatego... - zaczęła Camilla.

- Dlatego tak chętnie tu przyjechałem? - przerwał jej Benedykt, patrząc na nią znacząco. - Tak, kochanie. Naturalnie chciałem poznać rodzinę żony, ale miałem też inny powód. W każdym razie na pewno już rozumiesz, dlaczego musiałem udawać, że nie nazywam się Rawdon.

Camilla patrzyła na niego osłupiała. Dlaczego Benedykt koniecznie chce udawać jej małżonka przed tym młodzieńcem? I tak trzeba było wymyślić nową bajkę dla rodziny, skoro wyszło na jaw, że Benedykt jest lordem i bohaterem wojennym. Tym się szczególnie nie przejęła. Ale była święcie przekonana, że utrzymywanie pozorów tego małżeństwa przed ludźmi, którzy znają Benedykta jako Rawdona, musi skończyć się katastrofą.

- Czy odkrył pan, kto zagraża naszej siatce? - spytał tymczasem Woollery.

- Człowiek, który zabił Nata Crowdera! - wykrzyknął nagle Anthony. - To dlatego tak pan wypytywał o ten wypadek. A ja myślałem, że pan jest urzędnikiem celnym.

Woollery zachichotał, rozbawiony tym pomysłem, a Rawdon się uśmiechnął.

- Urzędnik celny? Nic dziwnego, że byłeś wobec mnie taki nieufny. A ja z kolei podejrzewałem cię o wciąganie mojej żony w przemyt.

Anthony wydawał się przerażony.

- Sir! Za nic nie zrobiłbym czegoś takiego! To byłoby zbyt niebezpieczne.

- Dla ciebie też jest zbyt niebezpieczne - stwierdził bez ogródek Benedykt. - Twój dziadek zamartwia się o ciebie, a założę się, że również o Camillę.

- Ale skąd dziadek o tym wie? - Anthony zrobił wielkie oczy. - Millo! Nic powiedziałaś chyba...

- Nie, nie powiedziałam dziadkowi, że jesteś przestępcą - odrzekła Camilla. - Myślisz, że chcę go zabić? - Oskarżycielsko spojrzała na Benedykta. - Ty mu powiedziałaś?

- Nie. Daję słowo. - Benedykt wyciągnął ręce do góry, jakby się poddawał. - Nie rzucaj się na mnie. Earl sam o tym usłyszał. Zdaje się, że w okolicy wszyscy o tym wiedzą. Myślałeś, Anthony, że earlowi, który ma tylu przyjaciół, nikt o tym nie powie? Otóż lord Chevington słyszał to i owo i poprosił mnie o pomoc. Miałem dowiedzieć się, czy pogłoska ta jest prawdziwa, czy jego wnuk rzeczywiście naraża na zhańbienie dobre imię rodziny i może zostać powieszony jak zwykły złodziej.

Anthony spłonął rumieńcem.

- Sir! Ja nie... To nie było tak.

- Nie? A jak? Nie pomagałeś rozprawiać przemycanych towarów?

- Nie, no... czasami pomagałem.

- A gdyby żołnierze albo urzędnicy celni cię złapali, to czy sądzisz, że puściliby cię wolno tylko dlatego, że jesteś przyszłym earlcm Chevington?

- Ja... - Anthony wydawał się coraz bardziej zawstydzony.

- Tak naturalnie myślałeś, jeśli założyć, że w ogóle myślałeś. Ale mogę ci powiedzieć, że gdyby cię złapano, powieszono by cię z całą resztą. W najlepszym razie jako człowiekowi szlachetnie urodzonemu złagodzą cię wyrok na deportację do kolonii karnej. Tak czy owak, sprowadziłbyś hańbę na rodzinę. A gdyby cię powieszono, to następny w kolejce do tytułu earla Chevington jest kuzyn Bertram. Wyobrażam sobie, jak cieszyłby się z tego twój dziadek. Naturalnie jeżeli wcześniej nie dostałby drugiego ataku apopleksji.

- Benedyckcie, dość tego! - krzyknęła Camilla, widząc skruszoną twarz Anthony'ego. - Anthony na pewno już rozumie swój błąd.

- Czyżby? No, może teraz już rozumie. Ale przedtem zapewne uważał, że świetnie się bawi. A ty, kochanie, nie zrobiłaś nic, żeby go od tego odwieść.

- Proszę nie winić Camilli, sir - odważył się odezwać Anthony. - To wszystko była moja wina. O przemyśle powiedziałem jej dopiero ostatnio i zaraz wymusiła na mnie obietnicę, że z tym skończę. Naprawdę skończę. Powiem Jemowi, że następnym razem nie mogę z nimi iść.

- Nie powiesz i nie skończysz z tym - sprzeciwił się Benedykt. - Jeszcze nic teraz.

Anthony wytrzeszczył na niego oczy.

- Słucham? Myślałem, że pan...

- Tak. Chcę, żebyś wystąpił z bandy. Nawet usilnie na to nalegam. Rozmawiałem już z twoim dziadkiem, żeby trochę popuścił ci cugli. Dziadek zgodził się zastanowić nad twoimi studiami w Oksfordzie, chociaż słyszałem, że nie przykładasz się do nauki i nie masz do tego serca.

- Zacznę się przykładać, sir, jeśli będzie to oznaczało, że mogę wyjechać z Edgecombe.

- Uważam, że tak byłoby dla ciebie najlepiej - zgodził się Benedykt. - Ale zanim to się stanie, pójdziesz jeszcze raz na rozładunek łodzi. I weźmiesz z sobą nowego pomocnika.

- Nie rozumiem.

- Oszalałeś? - krzyknęła Camilla. - Dopiero co udało ci się go od tego odwieść!

- Och, tym razem Anthony będzie służył swojej ojczyźnie. A ja zostanę jego pomocnikiem.

- Chce pan zdemaskować przywódcę! - ucieszył się Anthony. Oczy mu zabłyśły. - Co za niesamowita przygoda. Pan i ja złapiemy go razem!

Entuzjazm młodego człowieka wywołał uśmiech na twarzy Benedykta.

- Mniej więcej.

- Może pan na mnie liczyć, sir. Nic pożałuje pan tego.

- Lepiej, żebym nie pożałował - powiedział surowo Benedykt. - Ale musisz dokładnie wypełniać moje rozkazy, Anthony. Żadnych szalonych pomysłów! Zrozumiałeś?

- Tak, sir. Będę robił dokładnie to i tylko to, co pan mi każe.

- Ja też wam pomogę, sir - odezwał się Woollery.

- Naturalnie, jeśli tylko czujesz się na siłach.

- Benedykcie, chyba nie mówisz poważnie! - Camillę przejęła trwoga. - Chcesz wplątać Anthony'ego w coś jeszcze gorszego niż przemyt! Dotychczas przynajmniej tamci ludzie na niego uważali, chronili go.

- Wcale nie! - zaperzył się Anthony.

- Bądź dorosły, Anthony. Na pewno tak było. Nie mogli pozwolić, żeby coś ci się stało, bo za bardzo bali się gniewu twojego dziadka. Ale ten nowy pomysł... to straszne. Będziecie ścigać kogoś, kto już zabijał innych ludzi, na przykład Nata Crowdera, i prawdopodobnie tego Keswicka, o którym wspomniał Benedykt. Ten sam człowiek próbował również zabić porucznika Woollery'ego. Ojej, nareszcie rozumiem... to na pewno on przewiercił dno naszej łodzi!

Benedykt spojrzał na nią z uznaniem. Powinien był przewidzieć, że Camilla się tego domyśli.

- On jest niebezpieczny - ciągnęła zapalczywie. - Jeśli postawicie go w sytuacji bez wyjścia, bez wahania was zabije.

- E, tam - zlekceważył jej obawy Anthony. - Nie martw się na zapas, Millo. Nic mi się nie stanie.

- Nie bądź taki pewien - ostrzegł go Benedykt. - Nie życzę sobie, żebyś przyjmował taką postawę, bo inaczej zginiemy przez ciebie wszyscy. Ten człowiek naprawdę jest niebezpieczny i musimy zachować wyjątkową czujność.

- Rozumiem, sir.

Teraz Benedykt zwrócił się do Camilli:

- Jednego jeszcze nie wiesz, kochanie. Ja też jestem wy-

jątkowo niebezpiecznym przeciwnikiem. I możesz być pewna, że będę uważał na Anthony'ego.

- Masz ci los - jęknęła Camilla. - Wydaje ci się, że jesteś niewyciężony.

- Niezupełnie. - Uśmiechnął się. - Ale bywałem już w trudnym położeniu. Wiem, jak dbać o własną skórę i o skórę moich ludzi. Zawsze wracałem razem z nimi.

Camilla chciała się sprzeciwić, ale wiedziała, że jest to bezcelowe. Gdy mężczyzna na coś się zdecyduje, nie zmieni zdania, zwłaszcza gdy decyzja jest niebezpieczna i ryzykowna.

- W takim razie nie pozostaje mi nic innego, jak iść z wami - stwierdziła spokojnie.

- Co? - powiedzieli chórem wszyscy trzej mężczyźni, choć tylko Woollery wydawał się tym zdziwiony.

- Nie ma mowy - odparł Benedykt. - Zabraniam ci.

- Co robisz? - spytała niebezpiecznie słodkim tonem.

Anthony jęknął, wiedział bowiem, że lepiej nie można było Camilli sprowokować.

- Bądź rozsądna, Millo - wtrącił szybko. - Nie możesz z nami iść. Natychmiast by cię rozpoznano. Nikt nie weźmie cię za mężczyznę.

- Jestem niewiele niższa od Jema Crowdera.

- Możliwe, za to kształty masz... hm, nieco inne.

Camilla trochę się zaczerwieniła, ale powiedziała zdecydowanie:

- Pleciesz androny. W takim ubraniu, w jakim idzie się na przemyt, nikt nie zauważy moich kształtów.

- Jest też kwestia chodu - dodał Benedykt, stwierdziwszy, że Anthony uderzył we właściwy punkt. - Sposób poruszania się, a nawet sposób przechylania głowy masz zdecydowanie



kobięcy. I nie mów mi, że jesteś w stanie podnieść beczkę brandy tak jak mężczyzna.

- Słusznie - podchwycił Anthony. - Jak tylko spróbujesz podnieść coś ciężkiego, zdradzisz się. I nas przy okazji.

Camilla nie chciała zrezygnować, rozumiała jednak, że argumenty mężczyzn są rozsądne. Postanowiła zmienić taktykę.

- Powiedźcie mi wobec tego, jak zamierzacie wmieszać się między przemytników. Nic sądzicie, że pomocnicy Anthony'ego zwrócą na to uwagę?

Anthony smutno skinął głową.

- Ona ma rację. Nic wiem, jak pan to robi.

Benedykt się zamyślił.

-- A gdyby zachorował nagle i nie mógł iść ktoś z ludzi, którzy zwykle rozładowują łódź? Czy wtedy banda nie potrzebowałaby posiłków? - zapytał.

- Pewnie potrzebowałyby.

- Znasz niektórych spośród tych ludzi, prawda?

- Tak.

- Czy jest tam rodzina, z której chodzi zwykle więcej niż jedna osoba?

Anthony skinął głową.

- Matsonowic. Jest ich trzech. Dwaj bracia i syn jednego z nich. Wszyscy mieszkają razem. Ale skąd może pan mieć pewność, że zachorują?

- Są zioła, które mogą to sprawić. Prawda, kochanie? - Benedykt zwrócił się do Camilli.

Uśmiechnęła się kwaśno.

- Nic wiem. Nic mam zwyczaju truć ludzi.

- Nic im się nie stanie - przekonywał ją Benedykt. - Wrzucimy im to do jedzenia w południe, żeby trochę pobolał

ich brzuch. Kiedy dojdzie do ciebie wiadomość, że banda pilnie potrzebuje rąk do pracy... - zwrócił się do Anthony'ego - powiesz, że w Chcvington Park jest ogródnik, lokaj albo ktośkolwiek, kto chciałby zarobić trochę pieniędzy bez zadawania pytań.

Anthony skinął głową.

- To mogę zrobić.

- Wszyscy poszaleliście - powiedziała Camilla. - I wszystkich was pozabijają.

- Masz inne propozycje? - spytał wyzywająco Benedykt.  
- Widzisz jakiś sposób wciągnięcia w pułapkę człowieka, który sprzedaje nasz kraj wrogom? A może uważasz, że powinniśmy zostawić go w spokoju, żeby dalej robił swoje?

- Na pewno nic. - Camilla spojrzała na niego dość posępnie. Benedykt był bliski zapędzenia jej w kozi róg. Naturalnie nic mogła pozwolić, żeby zdrajca dalej szkodził ojczyźnie, niestety, nie mogła też wymyślić innego sposobu, żeby go ująć.

- Ale wasz plan jest niebezpieczny i o tym mówię.

- Moja kochana, odrobina niebezpieczeństwa dodaje smaku życiu.

- Mhm, a ja od początku wiedziałam, jakim jesteś smakoszem - odcięła się.

Woollery i Anthony popatrzyli na nią dziwnie. Tylko Benedykt znał przyczynę jej złego humoru, ale w obecności innych ludzi nie mógł nic powiedzieć, żeby ją uspokoić.

Przeklinał swój los. Zupełnie nie tak wyobrażał sobie chwilę, w której Camilla dowie się prawdy. Zrozumiał, jak źle rozegrał tę partię. Od razu powinien był wiedzieć, że Camilla nie jest zamieszania ani w szpiegostwo, ani w przemyt i nawet nie pomaga Anthony'emu. Gdyby powiedział jej prawdę o so-

bie i swoim zadaniu, szybciej dowiedziałyby się o tajemniczym rannym człowieku. Wszystko byłoby prostsze, a Camilla nie urządzałyby niepotrzebnych dąsów.

- Dobrze, wszystko jasne - oznajmiła chłodno Camilla. - Na mnie czas, mam kilka spraw do załatwienia. Zostawiam was, panowie. Planujcie w spokoju swoją ekspedycję.

Obróciła się na pięcie i wyszła z izby.

- Camillo! Poczekaj! - Benedykt ruszył za nią, ale Anthony położył mu rękę na ramieniu.

- Na pana miejscu dałbym jej chwilę spokoju - powiedział. - Jeśli pan zacznie ją teraz przekonywać, urwie panu głowę, to pewne. Znam to dobrze. - Uśmiechnął się żałośnie. - Jest zła, bo nie może z nami iść. Ale jak trochę pomyśli, to przestanie się ciskać, zobaczy pan. Zawsze była rozsądna. I na pewno nic szepnie o tym nikomu ani słowa.

- Tego jestem pewien - przyznał Benedykt, patrząc za Camilla niezdecydowanym wzrokiem. Najprawdopodobniej Anthony miał rację. Gdyby chciał z nią zaraz porozmawiać, wybuchłaby kłótnia. Oboje żałowałiby potem tego, co powiedzieli, a jego sytuacja stałaby się jeszcze gorsza. Westchnął. - Chyba dobrze mi radzisz. Porozmawiam z nią później. - W sypialni, gdzie będę mógł obsypać ją pocałunkami i pieszczotami, dodał szybko w myślach.

Camilla biegiem pokonała groblę, nic zwracając uwagi na fale ochlapujące jej stopy. Była wściekła. Lord Rawdon, też coś! Czuła się zdradzona i porzucona. Jej życie legło w gruzach, a winę za to ponosił Benedykt.

Znalazszy się w domu, zrezygnowała ze śniadania. Było jej niedobrze. Zamiast tego poszła do sypialni i zadzwoniła

na Millie. Gdy w godzinę później wrócił Benedykt, Camilla komenderowała krzątającym się oddziałem, złożonym z dwóch lokajów i pokojowej.

Benedykt przystanął i spojrzął na pryczę, wstawioną w kąt pokoju. Pokojowa sprawnie ją słała, lokaje zaś stali po obu stronach i unikali jego wzroku. Odwrócił głowę ku Camilli, która chłodno odwzajemniła jego spojrzenie, stojąc z ramionami skrzyżowanymi na piersiach.

Zwrócił się z powrotem do służących:

- Fora! - Jego mina wystarczyła, by wszyscy troje znikli z pokoju w jednej chwili, a Millie na wszelki wypadek dokładnie zamknęła za sobą drzwi. - Co to ma znaczyć? - spytał Benedykt, wskazując nowy mebel.

- Prycza? Na pewno już kiedyś coś takiego widziałeś. W wojsku pewnie nawet na tym spałeś.

- Przestań udawać głupią. Wiesz, o co mi chodzi. Co ta prycza tutaj robi?

- Sądziłam, że się domyślisz. A co do udawania głupiej, to obawiam się, że nic muszę udawać. Czy nie dlatego wybrałaś mnie do tej maskarady?

- Przypomnij sobie łaskawie, jak było naprawdę - syknął przez zęby Benedykt. - To ty mnie wybrałaś, a nie ja ciebie. - Uprzymiśnij sobie, że przez ostatnie dni całkiem zapomniał, jak irytująca potrafi być Camilla.

- Naturalnie. Z tego wynika, że wina jest moja.

- To nie jest niczyja wina. - Usiłował zachować rzeczowy ton, chociaż już nie bardzo wiedział, o czym właściwie rozmawiają. - Po prostu stało się i teraz oboje musimy się starać, żeby jak najzręczniejszym wyjść z kłopotów.

- Właśnie to robię. Przez cały czas zastanawialiśmy się,

w jaki sposób wstawić do pokoju drugie łóżko, i proszę - wreszcie je masz. Pamiętam, że planowaliśmy nawet kłótnię, po której zacząłbyś spać w garderobie. Sądzę, że upłynęło już dość czasu, a udawać skłóconych chyba nie będzie nam trudno. Kazałam więc lokajom przynieść pryczę ze strychu. Sprawdziliśmy, czy pasuje do garderoby, ale tam było strasznie ciasno i ciemno. Dlatego uznałam, że w kącie będzie ci lepiej.

Benedykt podszedł do niej bliżej. Oczy mu płonęły.

- Przestań! Doskonale wiesz, że nie potrzebuję osobnego miejsca do spania. Moje miejsce jest w twoim łóżku.

Camilla odwzajemniła jego spojrzenie i odparła beznamiętnie:

- Nie jest.

- Do diabła, Camillo. Przestań się zachowywać w ten sposób!

- W jaki? Jak ktoś, kogo oszukałeś? Kogo okłamałeś i przechytryłeś? Jak kobieta, którą uwiodłeś i porzuciłeś?

- Nieprawda! - Zaczerwienił się. - To znaczy, owszem, pewnie można powiedzieć, że cię uwiodłem. Powinienem być poczekać. I poczekałbym, gdybym był silniejszy. Ale zrozum, Camillo, że jestem tylko człowiekiem. Przez cały czas byłem tak blisko ciebie, patrzyłem na ciebie, czułem twój zapach, wiedziałem, że śpisz obok mnie... to wszystko doprowadzało mnie do obłądu.

Jego głos brzmiał tak namiętnie, że Camilli zrobiło się gorąco. Zmieszana, odwróciła głowę.

- Owszem, przyznaję, że najczęściej grałeś rolę dżentelmena - powiedziała cicho - a za to, co było wczoraj, można mnie winić nie mniej niż ciebie, ale... - odwróciła się do niego nagle i dokończyła łamiącym się głosem: -dlaczego mnie okłamałeś?

- Nigdy cię nie okłamałem.  
- Nie powiedziałaś mi prawdy!  
- Mój Boże, Camillo, a co miałem zrobić? Szukałem zdrajcy. Przyjechałem tutaj, nie znając nikogo. Wiedziałem tylko, że jestem we właściwym miejscu. Nie mogłem wszystkim dookoła opowiadać, jaka jest moja misja.

- No i nic o tobie nie wiedziałam. Mimo to zaufałam ci na tyle, żeby wpuścić do swojego domu i przedstawić rodzinie jako narzeczonego. Pozwoliłam ci nawet spać w mojej sypialni, wierząc, że nie wykorzystasz tej sytuacji.

- To jest zupełnie co innego. Nie mówię o prywatnych sprawach. Gdybym ja postąpił niewłaściwie, ucierpiałby na tym nasz kraj.

- Myślałeś, że to ja mogę być szpiegiem? - Głos Camilli był zimny jak lód.

- Nie, oczywiście, że nie. Nigdy nie sądziłem, że to ty jesteś osobą, której szukam.

- Tylko dlatego, że jestem kobietą, a ty uważasz, że kobieta nie byłaby w stanie tego dokonać?

- Wcale nie dlatego! Po prostu byłem pewien, że nie zdradziłabyś swojej ojczyzny. Ale nie mogłem ryzykować. Gdybyś przypadkiem komuś o mnie opowiedziała, wiadomość mogłaby dojść również do uszu tamtego człowieka.

- Rozumiem. Uznałeś, że nie potrafię dochować sekretu.

- Twierdzisz, że nie podzieliłabyś się nim z Anthonym? O tym, że nie jesteśmy małżeństwem, powiedziałaś mu od razu.

- Na miłość boską, on i tak przecież to wiedział. I wiedział, że opowiedziałam dziadkowi bajkę. Poza tym Anthony nic jest tak łatwowierny, jak ciotka Lidia. Nie uwierzyłyby, że przypadkiem poznałam i poślubiłam mężczyznę dokładnie

w tym czasie, w którym Lidia zaczęła opowiadać o moim ślubie. A może myślałeś, że to Anthony jest szpiegiem?

- Mógłby nim być, nie wykluczałem tego. Nie sądziłem, że nim jest, ale sprawa miała zbyt wielką wagę, bym mieszał do niej swoje osobiste uczucia. Myślisz, że było mi przyjemnie cię zwodzić? Albo okłamywać twojego dziadka? Albo robić inne rzeczy, które robiłem?

- Masz na myśli wproszenie się do mojego łóżka? Czy to też była część twojego planu? Może chciałeś sobie zapewnić moją lojalność na wypadek, gdybym jednak dowiedziała się, kim jesteś. Nic z tego, lordzie Rawdon!

Benedykt wzdrygnął się, jakby go uderzyła. Na policzkach pojawiły mu się czerwone plamy.

- Niech to piorun strzeli! Nie jestem takim głupcem, żeby sądzić, że okażesz więcej lojalności mnie niż swojemu kuzynowi albo na przykład obcemu człowiekowi, którego znajdujesz rannego i ledwie żywego w ruinach. Swoich sekretów strzegłaś przede mną całkiem dobrze. Ale daję ci słowo, że nie kochałem się z tobą z wyrachowania. W tym nie było nic więcej oprócz ślepej, nierozumnej żądzy!

Camilla zbladła. Przez długą chwilę w pokoju panowało milczenie.

- Dziękuję, że wyjaśniłeś mi, co tobą kierowało - powiedziała wreszcie drżącym głosem. - Powinnam być ci wdzięczna za to, że przynajmniej nie było między nami wyższych uczuć, tak?

Benedykt jęknął.

- Nic! To wcale nie tak miało zabrzmieć. Mój Boże, czy sądzisz, że chciałbym się z tobą ożenić, gdybym pragnął cię jedynie dla zaspokojenia własnej żądzy?

Camilla zrobiła wielkie oczy.

- Ożenić? O czym ty mówisz? Nikt z nas nigdy nie wspominał o małżeństwie.

- Ja wspomniałem. Nie zauważyłaś, że przedstawiłem cię Woollery'emu jako lady Rawdon?

- Owszem, zauważyłam, ale nie rozumiem, dlaczego to zrobiłeś. Nie możesz mnie poślubić. Twoja rodzina nigdy na to nic pozwoli. A moja...

- Moja rodzina nie ma tu nic do gadania. To ja decyduję, czy chcę się żenić i z kim.

- Ale nie możesz wziąć sobie żony ze zszarganą reputacją. A moja niewątpliwie będzie zszargana, gdy ta historia wyjdzie na jaw.

- Nie wyjdzie. W tym rzecz. Jeśli pobierzemy się naprawdę, wtedy unikniemy skandalu.

- Nic z tego nie będzie. - Camilla spojrzała na niego z rozpaczą. - Cała moja rodzina sądzi, że nazywasz się Lassiter i że już jesteś moim mężem. Jak zamierzasz im zniecka powiedzieć, że jesteś lord Rawdon i chcesz mnie poślubić? Przecież wiadomo, od kiedy śpimy razem w tym pokoju. Jeśli sądzisz, że ciotka Beryl nabierze wody w usta, to się grubo mylisz. A jest jeszcze kuzyn Bertram! Nic dziwnego, że wydałeś mu się znajomy. Na pewno widział cię w Londynie. To byłaby dla niego wspaniała plotka do opowiadania, a Bertram tym żyje. Nie, to niemożliwe...

- Mylisz się. Znam księdza, który udzielił nam ślubu i zachował to w tajemnicy. Uratowałem życie jego synowi. Ten ksiądz na pewno nie zakwestionuje prawdziwości moich słów, jeśli będę podawał datę ślubu przesuniętą o dwa lub trzy tygodnie. Zresztą nie sądzę, by ktoś fatygował się



do prowincjonalnej parafii i tam sprawdzał, czy zgadzają się daty.

- A co z twoim nazwiskiem? Wszyscy będą podejrzewać jakieś kręactwo, gdy ciotka Beryl powie, że przedstawiłam cię pod nazwiskiem Lassiter.

Benedykt uśmiechnął się z dużą dozą pewności siebie.

- Wytlumaczmy twojej rodzinie, że musiałem wystąpić pod fałszywym nazwiskiem, ponieważ szukałem szpiega. Gdy ujmiemy tego zdrajcę, przyjedziemy z Jemrynem do Chevington Park i wytłumaczmy, jakie znaczenie dla kraju i króla miało to, co zrobiliśmy. Wierz mi, zanim Jermyn skończy tłumaczyć, ciotka Beryl będzie święcie przekonana, że to ona pomogła schwytać wroga i że przez cały czas wiedziała, kim jestem, tylko strzegła tajemnicy dla dobra Anglii. Rozumiesz? Twoja rodzina nie będzie rozpowiadać tej historii, a jeśli nawet, to w naszej wersji, według której przez cały czas byliśmy małżeństwem.

Camilla odwróciła się. Benedykt zaproponował jej dokładnie to, czego chciała, a jednak czuła chłód w sercu. Cóż, nie wspomniał ani słowem o miłości, mówił tylko o zdrowym rozsądku i konwenansach. Nie kocha jej, ale ponieważ uległ żądzy, jako dżentelmen musi ją teraz poślubić.

- Rozumiem. - Podeszła do okna i wbiła wzrok w niewidoczny punkt za szybą. Łzy cisnęły jej się do oczu. Przełknęła ślinę. - Rozumiem, ale się nie zgadzam.

Jej konkurent wlepił w nią zdumiony wzrok.

- Słucham?

- Powiedziałam „nie”. Nie wyjdę za ciebie za mąż.

Benedykt zmartwiał. Snując swoje plany, tego jednego nie wziął pod uwagę. Nie przypuszczał, że Camilla może mu od-

mówić. Sądził, że chwile namiętności, które przeżyli, są wymowniejsze niż najpiękniejsze miłosne wyznania, na które mogliby się zdobyć.

- Czy jesteś na mnie zła, że cię oszukałem?

- To nie o to chodzi. - Camilla była dumna ze swego opanowania. W jej głosie nie było słyhać najmniejszego drżenia. - Powiedziałam ci od razu, gdy się poznaliśmy, że nie zamierzam wyjść za męża.

- Do diabła! - wybuchnął Benedykt. - To nie jest czas na głupie gadanie o głupich ideach głupich sawantek! Na miłość boską, Camillo, pomyśl o swojej rodzinie. Pomyśl o swojej przyszłości! Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak zaszkodzi wam skandal? Masz całkowitą rację, że gdy tylko ciotka Beryl i kuzyn Bertram dotrą do Londynu, rozpuszczą straszne plotki. Nawet jeśli ciotka ma dość rozumu, by wiedzieć, że te plotki mogą zaszkodzić również przyszłości jej córek, to nie sądzę, żeby powstrzymała się od opowiedzenia tak smakowitej historyjki zaufanym przyjaciółkom. A to znaczy, że wkrótce będzie o tym wiedzieć całe towarzystwo. I twoja reputacja naprawdę będzie w strzępach.

- Dlatego właśnie do końca życia będę żyła w odosobnieniu. Zamieszkać w Chevington Park. Mogę obejść się bez bałów i przyjęć. Życie na wsi całkiem mi odpowiada.

- Miło mi słyszeć, że podoba ci się życie na wsi, bo ja też wolę je od mieszkania w mieście i gdy tylko przestanę być potrzebny w Londynie, zamierzam spędzać większość czasu w swoim majątku. Jako żona będziesz mi naturalnie towarzyszyć.

Camilla obróciła się gwałtownie i stanęła z nim twarzą w twarz. Benedykt zirytował ją tak, że na chwilę zapomniała o swym żalu i cierpieniu.

- Nie ma mowy! Czyżbyś nie był w stanie nic zrozumieć?

- Przeciwnie. Rozumiem wszystko dużo lepiej od ciebie. Ale sądzę, że nawet ty potrafisz pojąć, co trzeba. Wyjdiesz za mnie za męż. Nie masz innej możliwości i nie obchodzi mnie, czy sobie tego życzysz, czy nie. Masz mnie poślubić!

Z tymi słowami obrócił się na pięcie, otworzył drzwi, omal nie wyrwawszy ich z futryny, i wyszedł z pokoju. Camilla z krzykiem pobiegła za nim i z całej siły je zatrzęsęła. Trudno, pomyślała, rzucając się na łóżko, przynajmniej nikt w tym domu nie będzie wątpił w kłótnię młodożeńców.

Zaraż potem zalała się łzami.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jeśli nawet krzyki i trzaskające drzwi umknęły czyjejs uwa-  
gi i kłótnia „młodożeńców” nie dotarła do jego świadomości,  
wkrótce wszyscy dowiedzieli się o niej, patrząc na zachowanie  
Benedykta i Camilli. Młodzi od jakiegoś czasu trzymali się  
osobno, odzywali do siebie rzadko i tylko wtedy, gdy musieli.  
Służba dobrze wiedziała, że państwo śpią na dwóch łóżkach,  
w których rano pościel jest jednakowo wymięta, jak po bez-  
sennej nocy, spędzonej na przewracaniu się z boku na bok.  
"tylko mało rozgarnięty człowiek nie zauważyłby też chłodu  
Camilli ani wściekłości rozsadzającej Benedykta.

Camilla spędzała większość czasu na nieistotnych roz-  
mowach z ciotką Lidią lub kuzynem Bertramem albo zamy-  
kała się w sypialni, z której potem zawsze wychodziła z za-  
czerwionymi oczami. Natomiast Benedykt poświęcił się ty-  
powym zajęciom dżentelmena: jeździł konno albo grał w kar-  
ty z Anthonym lub Jamesem Woollerym, którego ściągnął do  
Chevington Park i zakwaterował w jednym z dziecięcych  
pokoi.

Camilla była dość zaskoczona, gdy Anthony i Benedykt  
przyprawdzili Woollcry'ego do domu i przedstawili go jako  
przyjaciela tego pierwszego. Powiedzieli też, że Woollcry spadł

z konia w drodze do Chevington Park, więc przez kilka dni musi poleżeć w łóżku, żeby odzyskać siły. Posunięcie wydało jej się lekkomyślne.

- Czy nie obawiasz się, że ten, kto go napadł, spróbuje jeszcze raz? - spytała Anthony'ego, odciągawszy go na stronę po obiedzie. - Wystawiacie go na cel.

- Hm... Prawdopodobnie.

- Jak możesz o tym tak obojętnie mówić?!

- To jest część naszego planu. Pomysł Benedykta. - Twarz Anthony'ego zapałała entuzjazmem. Od pewnego czasu było tak zawsze, gdy wspominał imię jej rzekomego męża. - James jest przynętą. Mamy nadzieję, że którejś nocy morderca wślizgnie się do domu, żeby z nim skończyć, a my już będziemy na niego czekać.

- Czy to właśnie do was Benedykt wykrada się w środku nocy?

- Tak. Na zmianę trzymamy wartę.

- Domyślam się, że porucznik Woollery przystał na ten pomysł.

- Naturalnie. Plan mu się bardzo spodobał. Nic rozumiem, Camillo, dlaczego jesteś dla Benedykta taka surowa. Odkąd dowiedzieliśmy się, że nic jest nikim podejrzanym, zachowujesz się nadzwyczaj dziwnie.

- Zachowywałbyś się tak samo, gdybyś stwierdził, że ktoś, komu ufałeś, nadużył twojego zaufania.

- Czy nie sądzisz, że trochę przeinaczasz fakty? - bez ogródek spytał Anthony. - Nigdy mu nie ufałaś. Najpierw uważałaś, że jest złodziejem, a potem przekonałem cię, że raczej urzędnikiem celnym. Zawsze odnosiliśmy się do niego bardzo podejrzliwie.

- Ale nie podejrzewałam go o bycie lordem ani bohaterem wojennym.

- Mówisz od rzeczy. - Anthony przyjrzał się jej, całkiem zdezorientowany. - Nie poznaję cię, Millo.

Camilla wiedziała, że ostatnio rzeczywiście nie jest sobą. Bez przerwy miała do kogoś pretensje i najczęściej albo popłakiwała, albo udawała przesadnie szczęśliwą. Brakowało jej rozmów i czasu spędzanego z Benedyktem. Nocami nie mogła zasnąć, przewracała się z boku na bok, myśląc o jego pieśczętach. Dziwiło ją, że tak bardzo tęskni do namiętych chwil, które dzielili, choć było ich przecież tak niewiele.

- Nie rozumiem, dlaczego nie chcesz go poślubić - powiedział cicho Anthony.

Camilla spojrzała na niego spod przymrużonych powiek.

- Czy on ci o tym powiedział?

- Powiedział, że zaproponował ci małżeństwo. Ale nic bylibyście oboje w takim żalonym stanie, gdybyś się zgodziła. Nie mam racji?

- Nie jestem w żalonym stanie.

- Masz mnie za dziecko? - odparł Anthony. - Jeśli jesteś szczęśliwa, to nic chciałbym zobaczyć nikogo smutnego. Nawet dziadek wie, że coś się między wami nie układa. Pytał mnie wczoraj wieczorem, o co wam poszło. On bardzo lubi Benedykta.

- Wiem. Cała moja rodzina go uwielbia.

- Powiedzmy sobie szczerze, Millo - co innego miał zrobić? To moja matka opowiedziała wszystkim głupią bajkę o małżeństwie. A zaręczyny na niby też nie on wymyślił. Gdy jednak na szali znalazła się twoja reputacja, oświadczył ci się i postąpił jak prawdziwy dżentelmen.

- Typowo męski punkt widzenia!  
- Jestem mężczyzną - zwrócił jej uwagę. - Ale nie ja jeden byłbym zdania, że słusznie postąpił. Gdyby mama albo ciotka Beryl o wszystkim wiedziały, uważałyby tak samo.

- Och, tak, oczywiście. Postąpił najśluszniej jak można - odparła prowokująco Camilla. Jak mogła wytłumaczyć Anthony'emu, że nie chciała być dla Benedykta obowiązkiem tylko kochaną osobą. Westchnęła. - Nic rozumiesz? Nie chcę być z mężczyzną tylko dlatego, że przez swoją nierozwagę postawiłam nas w kompromitującej sytuacji. To byłaby kara, nie małżeństwo, a na to się nic zgodzę. Jak czułbyś się na miejscu Benedykta, gdybyś zaproponował kobiecie pomoc, niechby nawet dla jakichś tam własnych celów, a skończyłoby się na tym, że musisz ją poślubić dla ratowania jej reputacji?

Takiego argumentu Anthony się nic spodziewał.

- To by mi się bardzo nie podobało.  
- Sam widzisz. Jak więc mogę go do tego zmuszać? Zachował się jak dżentelmen, występując z propozycją małżeństwa, to fakt, ale ja nie mogę jej przyjąć. Szczególnie po opowieściach porucznika o tym, za jaką to świetną partię jest uważany Benedykt przez panny na wydaniu i jak bardzo jest niechętny małżeństwu oraz kobietom.

- Powiedziałbym, że to rzeczywiście świadczy na jego niekorzyść - niedyplomatycznie przyznał Anthony. - Ale musisz przyjąć te oświadczenia, Millo. Inaczej będziesz zrujnowana. Pomyśl tylko, co powie ciotka Beryl.

Camilla cicho jęknęła.

- Nawet mi o tym nie przypominaj.  
- I mimo to nie zmienisz zdania?

- Nie sędę.

Anthony westchnął ciężko.

- A wszyscy mówią, że to ja nie mam zwyczaju myśleć.

Camilla wcześniej schroniła się w sypialni. Zdażyła już znienawidzić bezsenne noce, ostatnio zdarzające jej się jedna za drugą. Leżała i bez przerwy rozmyślała o Benedykcie - gdzie jest, co robi, czy i jemu jest tęskno do namiętnych chwil, które razem przeżyli. Czasem nawet zdawało jej się, że postąpiła głupio, nie przyjmując oświadczyn- Małżeństwo z człowiekiem, który jej nie kocha, i tak byłoby lepsze niż te długie godziny dojmującej samotności.

Spojrzała na pryczę w drugim kącie pokoju. Spanie w jednym pokoju z Benedyktem przysparzało jej dodatkowych cierpień. Powinna była zażądać, żeby przeniósł się do pokoiów dziecięcych, do Anthony'cgo i porucznika Woollery'ego. Zajmowaliby kawalerską kwaterę na drugim piętrze, a ona miałaby święty spokój.

Westchnęła i zaczęła rozpuszczać włosy. Może namiętność wystarczy, by małżeństwo było udane. Niektóre pary nic mają nawet tego. Gdyby poślubiła Benedykta, przynajmniej nie czułaby się przez cały czas niespokojna i niezaspokojona.

Zastanawiało ją, czy Benedykt wie, jak bolesne jest dla niej spanie z nim w tym samym pokoju. A może właśnie dlatego jeszcze się nie wyniósł. To byłoby do niego podobne. Ostatniego wieczoru udawała, że śpi, ale patrzyła spod przymkniętych powiek, jak Benedykt się rozbiera. W pewnej chwili zaczął celebrować zdejmowanie koszuli, zupełnie jakby wiedział, że jest obserwowany. Tego nie mogła znieść. Zamknęła oczy i przewróciła się na drugi bok.



Teraz zadzwoniła na pokojówkę, rozebrała się i wsunęła pod kołdrę. Chciała dobrze się wyspać tej nocy. Ale minuty się wlokły, a ona wciąż dumiała. Po pewnym czasie przemknęło jej przez myśl, że Benedykta nie ma podejrzanie długo. Zwykle przychodził do sypialni wkrótce po niej.

Czekała na jego kroki w korytarzu, ale nie mogła się doczekać. Wreszcie postanowiła sprawdzić, która godzina. Podeszła do zegara, stojącego na gzymsie kominka. Pokazywał prawie północ. Gdzie się podział Benedykt? Wszyscy w domu już poszli spać, nawet takie nocne marki, jak ciotka Lidia i kuzyn Bertram.

Nagle rozległo się ciche pukanie do drzwi. Otworzyła je i zobaczyła pokojowca earla, trzymającego pod pachą staroświecką lunetę swojego chlebobdawcy.

- Jenkins!

Skinał głową z posepną miną.

- Tak, panienko. Obserwowałem ogród z okna jego lordowskiej mości, dokładnie tak jak panienka mnie prosiła.

Camilla wiedziała, że Jenkins i tak spędza mnóstwo czasu z lunetą w ręce. Właśnie dlatego poprosiła go o tę przysługę

- I co? Widziałeś mojego męża?

- Tak, panienko. Niecałe dziesięć minut temu przemknęli się w stronę ogrodzenia razem z paniczem. Ledwie ich zobaczyłem, bo byli ubrani na czarno, ale na szczęście mignęła mi twarz panicza, gdy na chwilę zdjął kapelusz.

- Byli tylko we dwóch?

- Tak, panienko.

- Widocznie zostawili porucznika Woollery'ego w domu.  
- Przygryzła wargę. - Dobrze. Idź po Purdle'a. Jemu jednemu możemy tutaj ufać. Ty też pójdziesz z nami. Będziesz obser-

wował brzeg z klifu. - Staruszek był już zbyt niedołączny, by mógł przydać się w walce, ale wzrok wciąż miał sokoli, więc z lunetą earla był znakomitym kandydatem na wywiadowcę. - Ja tymczasem się przebiorę i pójdę po porucznika, Spotkamy się na dole za dziesięć minut.

- Weźmiemy obcego, panienko? - spytał nieufnie Jenkins.

- On jest bardzo oddany Benedyktowi, więc na pewno nam pomoże. - Camilla nie była pewna udziału Woollcry'ego, zwłaszcza że Benedykt zapowiedział porucznikowi, żeby nie pomagał jego żonie. Miała jednak nadzieję, że Benedykt po prostu nie przewidział jej inicjatywy, więc będzie mogła odpowiednio wpłynąć na młodego człowieka. Można było śmiało przypuszczać, że i on zechce mieć swój udział w tej przygodzie.

Szybko włożyła na siebie stare ubranie Anthony'ego, które wyciągnęła zawczasu z kufra na strychu. Anthony nosił je już bardzo dawno, więc nogawki musiała podwinąć tylko trochę. Potem zebrała włosy na czubku głowy i ukryła je pod czapką. Zrobiwszy to, uznała, że już może uchodzić za chłopaka, zwłaszcza w ciemności. Chyłkiem wbiegła na górę, cicho zapukała do drzwi i weszła do środka, zanim Woollery zdążył odpowiedzieć. Siedział z ponurą miną przy stole, a obok miał butelkę, kieliszek i pistolet.

- Lady Rawdon! - Zerwał się i zagapił na jej przebranie, chociaż starał się sprawić takie wrażenie, jakby wcale na nie nie patrzył. - Przepraszam panią, nie spodziewałem się towarzystwa. - Wziął frak z oparcia krzesła i zaczął go wkładać.

- Niech pan się nie trudzi, poruczniku. Weszłam tu nieproszona i wcale mnie nie dziwi, że nie spodziewał się pan towarzystwa. - Ani słowem nie wspomniała o swym przebraniu. - Poszli, prawda?

- Skąd... skąd pani wie?
- Och, poruczniku. Przecież to jest mój dom i moja służba, należy mi na tym, żeby wiedzieć, co się święci.
- Naturalnie, proszę pani.
- Jak widzę, nie wzięli pana do kompanii.
- Nic, proszę pani. - Nie całkiem udało mu się ukryć rozczarowanie. - Lord Rawdon powiedział, że ramię jeszcze mi nie wydobrzało. Już mnie nie boli - powiedział tonem skrzywdzonego chłopca - ale lord bał się, że nie będę w stanie udźwignąć beczki. Poza tym kazał mi zostać w domu na wypadek, gdyby ktoś chciał skorzystać z zamieszania wywołanego przez przemytników i w tym czasie mnie zabić. - Wskazał pistolet. - Strzelać już mogę.
- To bardzo dobrze. Potrzebuję pana pomocy.
- Pani? - Wydawał się tym zdziwiony, ale powiedział tylko: - Jeśli mogę w czymkolwiek pomóc...
- Idziemy za nimi.
- Słucham?
- Biorę kilku ludzi i idę za nimi. Nic podoba mi się plan Benedykta. Ma za wiele słabych punktów. Obawiam się, że Benedykta i Anthony'ego będzie dużo łatwiej zdemaskować niż tego nowego przywódcę.
- Milady! - Młody człowiek był wstrząśnięty. - Nie może pani zaatakować bandy przemytników!
- Nie mam takiego zamiaru. To byłoby bardzo nierozważne. Po prostu będziemy szli za nimi, trzymając się w bezpiecznej odległości. Ruszymy na pomoc Benedyktowi i Anthony'emu tylko wtedy, gdy rzeczywiście będą potrzebowali pomocy.
- A jeśli ktoś nas zauważy?
- Postaramy się, żeby do tego nie doszło - zapewniła go

Camilla z uśmiechem. - Dalej, poruczniku, czas ucieka. Idzie pan ze mną czy nie?

- Lord Rawdon na pewno będzie bardzo zły.

- Może nie. Zresztą czy nie byłby zły, gdyby pozwolił mi pan iść samej? To jest pytanie, które należy postawić.

Zaskoczyła Woollery'ego. Porucznik zaczął sobie wyobrażać rugę, jaką by dostał, gdyby spuścił oko z lady Rawdon.

- Słusznie, milady. Idę.

Poczekwała w korytarzu, aż ściągnie białą koszulę i włoży zamiast niej czarny sweter Anthony'ego. Potem zeszła do kuchni, gdzie spotkała Purdla'a i Jenkinsa. Obaj sędzy zmienili liberie na ciemne ubrania robotników. Camilla wyczuła zaskoczenie Woollery'ego na widok dwóch służących.

- Czy... czy oni idą z nami?

- Tak. To moi ludzie. - Purdle miał rzadzące włosy i okrągły brzuch, lecz wciąż był sprawny. Gorzej było z Jenkinsem, ale przecież nie mogła go zostawić. - Chodźmy, panowie. - Ruszyła do drzwi, trzymając jedną rękę w kieszeni płaszcza, w której miała pistolet dziadka. Zwróciła uwagę, że drugi pistolet od pary Jenkins ma za pasem. Natomiast Purdle był uzbrojony w solidną drewnianą pałkę.

Ruszyli przez ciemność, oświetlając drogę osłoniętą z trzech stron latarnią. Prowadził ich Jenkins. Szedł wolno, ale pewnie, nawet w ciemności.

Wyszli z ogrodu i skierowali się ku brzegowi morza. Potem przeszli kawałek po klifie, co pewien czas przystając, by Jenkins mógł sprawdzić przez lunetę, co się dzieje na brzegu. Wreszcie staruszek odchrząknął.

- Są tam - powiedział cicho i przykucnął. Pozostali poszli za jego przykładem.

Podał lunetę Camilli i wytłumaczył, na jakie punkty orientacyjne należy zwrócić uwagę. Wreszcie i ona zauważyła na morzu ciemny, płaski kształt dużej łodzi, a przed nią jeszcze dwu mniejszych, podpływających właśnie do brzegu. Zobaczyła nawet dwie sylwetki ludzi, którzy - jak wyjaśnił jej Jenkins - byli czujkami bandy.

- Z brzegu wejda na klify tędy, panienko - szepnął Jenkins i sękatym palcem wskazał wyraźnie wydeptaną ścieżkę. - Potrzebują dobrej drogi, bo będą mieli juczne zwierzęta.

Camilla skinęła głową.

- A dokąd pójda potem?

- Trudno zgadnąć, panienko. Powinniście znaleźć jak najlepszą kryjówkę, poczekać, aż was miną, i pójść za nimi.

Camilla skinęła głową. Razem z Purdle'cm i porucznikiem wycofała się w głąb ładu, uważając, by ich sylwetek ani przez chwilę nie było widać z dołu na tle nieba. Wiedziała, że łatwiej zauważyć ich z brzegu, niż im zauważyć przemytników. Usiedli we troje w krzakach za skałą i czekali, co będzie dalej.

Czekali długo.

Camilli zdrętwiały już nogi, zaczęły ją boleć plecy. Purdle, siedzący obok niej, zasnął i cicho pochrapywał. Z drugiej strony porucznik nerwowo się poruszył. Podejrzewała, że Woolery niepokoi się, co zrobi z nim Rawdon, jeśli jego żona ucierpi w czasie tej wyprawy. Była przecież pod jego opieką.

Nie zdziwiła się więc, gdy w kilka minut później Woolery zaczął przedstawiać jej korzyści płynące z powrotu do domu. Potraktowała go w sposób, który już wypróbowała na mężczyznach udzielających jej pouczeń - od czasu do czasu kiwała głową i wydawała nic nie znaczące mruknięcia, w ogóle nie słuchając o czym mowa. Porucznik prawdopodobnie myślał,

że powoli ją przekonuje, chociaż Anthony - gdyby przy tym był - wyjaśniłby mu szybko, że nic dotąd do niej ani jedno słowo z tej przemowy.

- I co będzie, milady? - zakończył, gdy Camilla nie zareagowała na powtórną sugestię, by wrócić wspólnie do Chevington Park. - Zgadza się pani?

- Na co mam się zgodzić? - spytała, spoglądając na niego bardzo zdziwionymi oczami.

- Że w domu byłoby o wiele bezpieczniej. Jestem pewien, że właśnie tego życzyłyby sobie lord Rawdon.

- Nic. Lord Rawdon życzyłyby sobie być dokładnie w tym miejscu, w którym jest teraz. Ale jeśli uważa pan, że w domu jest bezpieczniej, decyzja należy do pana. Może pan tam w każdej chwili wrócić.

Wytrzeszczył na nią oczy.

- Nie miałem na myśli siebie! Ja nie chcę wracać.

- Wobec tego rozumiemy się. Ja też nie chcę - powiedziała, nie zważając na jego głupią minę. - Oho, idzie Jenkins.

Stary sługa wyłonił się z mroku, człapiąc ku nim, jak umiał najszybciej.

- Skończyli wyładunek - powiedział, wciskając się do ich kryjówek. - W każdym razie na pewno już kończą. Konie ruszyły. To może być długa droga, panienko.

Camilla wysunęła przed siebie nogę, pokazując solidny trzewik.

- Specjalnie włożyłam coś odpowiedniego na długi spacer. Zapadło milczenie. Zaczęli nasłuchiwać, czy nie zbliżają się przemytnicy.

Wkrótce rozległy się ciche pobrzękiwania uprząży. Wszy-

szy czworo przycupnęli za skałą i wstrzymali oddech. Czoło czarnej procesji przeciągnęło powoli obok nich i poszło dalej.

Camilla ostrożnie wyrzała zza skały. Sądziła, że pozna Benedykta i Anthony'ego, nawet w przebraniu. Wydawało jej się, że pamięta ich chód, ruchy, że dobrze zna ich wzrost i sylwetki. Ale mimo że mężczyźni przechodzili niecałe pięć metrów od niej, nie potrafiła rozpoznać nikogo. Widziała tylko ciemne sylwetki, okryte ciemnymi strojami, w kapeluszach zsuniętych na czoło oraz chustach lub maskach zasłaniających twarz. Tylko trzech przemytnicy byli zdecydowanie za niscy jak na Benedykta lub Anthony'ego.

Pomyślała, że prawdopodobnie zna wszystkich tych ludzi i regularnie widuje ich w Edgecombe. Mimo to wydawali jej się teraz całkiem obcy. Zerknęła kątem oka na Jenkinsa i stwierdziła, że obserwuje pochód przed lunetę. Ciekawiło ją, czy udało mu się rozpoznać Anthony'ego lub Benedykta.

Waż postaci i koni zdawał się ciągnąć bez końca, wreszcie jednak minęło ich ostatnie zwierzę. Poczekali trochę, by upewnić się, że nie ma maruderów, a potem wyszli z ukrycia.

- Wracam do domu. Teraz tylko bym wam zawadzał - szepnął z żalem Jenkins, wręczając Camilli lunetę. - Proszę, może się to panu przydać. - Podał Woollery'emu stary pistolet, używany niegdyś do pojedynków. Porucznik wetknął go za pas, za którym z drugiej strony miał już swoją broń z wojska.

I tak Jenkins począpał w stronę domu, zaś pozostała trójka ruszyła za przemytnikami. Nie mogli używać latarni, nawet osłoniętej, bo światło by ich zdradziło, robili więc bardzo wolne postępy. Camilla modliła się, żeby nie skrócić kostki w cie-

mności. Wlekli się z tyłu, starając się nie tracić z oczu końca pochodu. Nieraz konie chowały się za grzbietem wzgórze i wtedy przeżywali chwilę lęku, czy nie znikły na dobre, zawsze jednak wkrótce ukazywały im się ponownie.

Zdawało się, że będą tak szli całą noc. Camilla zastanawiała się, czy tej samej nocy towar będzie rozprawiany. Uważała to za mało prawdopodobne, nic mogła jednak zrozumieć, czemu ten pochód tak długo trwa. Wreszcie przemytnicy skręcili z klifów w głąb łądy i skierowali się w stronę zadrzewionego obszaru, zwanego lasem Varner. Camilla zaniepokoiła się po raz kolejny. W lesie panowały jeszcze głębsze ciemności, więc byłoby im jeszcze trudniej nadażyć za bandą.

Nagle w oddali, na wprost przed sobą, zobaczyła niktę świecę, a po kilku kolejnych minutach karawana przemytników dotarła do leśnej polany, na której stały juczne konie. Przemytnicy postawili latarnie na ziemi i podnieśli kilka osłon, żeby oświetlić kawałek ziemi pośrodku.

Camilla, Purdle i Woollery przykucnęli w krzakach za skałą w pewnych odstępach od siebie i zaczęli się przyglądać. Mężczyźni, wciąż zamaskowani i nierozpoznawalni, przynosili skrzynki i beczki, po czym... chowali je w ziemi.

Dopiero po chwili Camilla zrozumiała, w czym rzecz. Przemytnicy musieli schodzić po stopniach ukrytej piwnicy. Tam składano towar do czasu, aż będzie go można rozprawiać. Jakby na potwierdzenie swych domysłów zauważyła nawet zarys drewnianej kłapy na zawiasach, odcinający się nieco od otoczenia. Na co dzień kłapę maskowano, żeby nikt nie zainteresował się tym miejscem. Było stąd zresztą bardzo daleko do jaskiń, owej rzekomej kryjówki przemytników.

Camilla dziwnie się czuła, patrząc na mężczyzn, w milczę-



niu wykonujących swoją pracę. Zdawało jej się, że uczestniczy w jakimś tajemnym obrzędzie. W pewnym sensie tak zresztą było. Odkrycie tego miejsca przemytnicy bez wątpienia uznałyby za świętokradztwo.

Nagle skuliła się pod krzakiem, bo jeden z mężczyzn ruszył w jej kierunku. Już, już zdawało jej się, że ją zauważy i nie będzie dla niej ratunku, ale przemytnik przeszedł obok ledwo widoczną ścieżką.

Camilla ostrożnie odsunęła się w drugą stronę. Zerknęła tam, gdzie powinien kryć się Purdle, ale go nie dostrzegła. Za to za plecami, znacznie bliżej, wyczuwała obecność porucznika Woolley'ego.

Wciąż uporczywie wpatrywała się w polanę, starając się śledzić wzrokiem wszystkich odchodzących, żeby sprawdzić, czy któryś z nich nie przypomina jej Benedykta lub Anthony'ego. Nagle jej uwagę zwrócił mężczyzna, który był równie wysoki, jak oni. Zaraz jednak spostrzegła, że krok w krok za nim idzie jeszcze dwóch innych, i uznała, że to nie mogą być jej mąż oraz kuzyn; zrozumiała za to, co w zamaskowanym przemytniku zwróciło jej uwagę.

Miękki chód. Właśnie przystanął i rozejrzał się dookoła, żeby sprawdzić, czy nikt go nie obserwuje. Potem szybko znikł w zaroślach, a za nim jego dwaj towarzysze.

To nic byli Anthony z Benedyktem. Przede wszystkim szli we trzech. Wydawało się prawdopodobne, że są spokrewnieni ze sobą i bardziej niż inni uważają, by ich nie rozpoznało. Może dbali o dobre imię rodziny.

Camilla nie mogła pozbyć się wrażenia, że ten miękki chód i rozglądanie się na wszystkie strony zwiastują coś niedobrego. Wahała się, czy nie powinni ruszyć za tymi ludźmi.

Zanim jednak cokolwiek postanowiła, dwóch następnych mężczyzn oddzieliło się od grupy i ruszyło śladem podejrzanej trójki.

Czyżby Benedykt i Anthony? Obaj byli wysocy, jeden nieco smklejszy od drugiego, czyli tak jak powinno być.

Camilla obejrzała się na Woollery'ego. Gdy wskazał jej dwóch mężczyzn, skinęła głową. Wysunęli się ze swej kryjówki, dołączył do nich Purdle i ostrożnie zaczęli się przeciskać między drzewami.

Z początku sądziła, że w zaroślach zgubili trop, ale gdy wyszli spomiędzy drzew, Woollery dostrzegł dwie sylwetki, szybko podchodzące pod pobliski pagórek. Podażyli za nimi.

Pogoń trwała kilka minut. Camilla i jej ludzie to zauważali swoich podopiecznych, to tracili ich z oczu. Gdy tamci stawali na pagórku i ich kontury zaczynały się rysować na tle nieba, natychmiast stawali się widoczni.

Śledzeni podchodzili teraz długim, łagodnym stokiem pod niską, podłużną skałę, która znaczyła grzbiet wzgórze. Camilla, Purdle i Woollery przyczaili się na dole, w cieniu drzewa, i czekali, aż tamci znikną po drugiej stronie, na bezdrzewnym stoku nie było bowiem żadnej zasłony.

Ale gdy dwaj mężczyźni osiągnęli wreszcie szczyt wzniesienia, rozległ się nagle suchy trzask. Jeden z nich rozrzucił ramiona i zatoczył się do tyłu. Camilla jak sparaliżowana patrzyła na trzech przemytników wyskakujących zza skały i atakujących dwóch, którzy podążali ich śladem.

Wreszcie wydała krzyk wściekłości i pędem puściła się w stronę walczącej grupki. W biegu wyciągnęła z kieszeni pistolet, wiedziała jednak, że jest jeszcze za daleko, by strzelić. Porucznik Woollery wyprzedził ją i wypalił z pistoletu w po-

wietrze, licząc na to, że spłoszy napastników. Na skuteczne użycie broni palnej nie było szans, pięciu walczących mężczyzn skłębiło się bowiem na ziemi, tworząc zwartą masę szczepionych w walce ciał.

Woollery dopadł tej masy pierwszy, wymachując na prawo i lewo kolbą pistoletu. Dwaj mężczyźni odtoczyli się w bok, zwarci w zapaśniczym uścisku. Jeden, będący w tej chwili na górze, wciąż miał maskę na twarzy. Drugim był Benedykt.

Camilla rzuciła się zamaskowanego mężczyznę. Ten zdażył uderzyć Benedykta pięścią w twarz, ale poczuwszy nagły ciężar na plecach, zaczął bronić się przed nowym przeciwnikiem. Chciał ją zrzucić, lecz Camilla trzymała się na jego plecach z całych sił, a jednocześnie zatopiła mu zęby w szyi. Mężczyzna zaryczał jak zraniony byk i zamachnął się ramieniem do tyłu. Trafił Camillę w policzek. Potem odwrócił się i poprawił cios uderzeniem łokcia w żołądek.

Tymczasem jednak zerwał się Benedykt, więc mężczyzna rzucił się do ucieczki. Jego kompani, z których jeden dostał od Purdle'a pałką po plecach, wzięli przykład z przywódcy. Benedykt puścił się za nimi.

Camilla usiadła na ziemi i próbowała dojść do siebie po potężnym uderzeniu, które odebrało jej dech. Nagle jej wzrok padł na leżącego w trawie kuzyna. Strach ścisnął jej serce. Podpełzła do niego na czworakach i zawołała ze zgrozą:

- Anthony! Anthony! Co ci jest? Jesteś ranny?

Anthony wydał jęk i usiadł, trzymając się za ramię.

- Niech to diabli, trafili mnie. - Urwał i wytrzeszczył oczy na Camillę. - Milla! Skąd się tu wzięłaś? I co ty masz na sobie?

Porucznik Woollery ukląkł przy Anthonyem i szybko obejrzał postrzał.

- W porządku. Kula czysto przeszła przez ramię. Do wesela się zagoi. - Wziął nóż i odciął Anthony'emu rękaw koszuli, po czym zabandażował nim ranę.

Camilla ostrożnie obmacała policzek w miejscu, gdzie została uderzona. Dotyk sprawiał jej ból. Z przerażeniem pomyślała o siniaku, który będzie miała nazajutrz.

- Widziałeś go, Anthony? - spytała. - Wiesz, kto to jest?

- Nic... Nie udało nam się zerwać maski z twarzy. Widziałem tylko twarz jego pomocnika, ale o nim samym wciąż nic nie wiemy. To na pewno ktoś obcy. Tyle się dowiedziałem...

Benedykt wrócił do nich z ponurą miną.

- Niech to diabli! Uciekł. - Podeszedł prosto do Camilli i poderwał ją z ziemi. - Nic ci się nie stało? - Przytulił ją, zaraz jednak odsunął znowu na wyciągnięcie ręki i przyjrzał się jej twarzy. - Skrzywdził cię? Boże, że też go nie złapałem! Ale... Co ty tu właściwie robisz? Powiedziałaś, że zostaniesz w domu.

Camilla wyrwała się z jego objęć, urażona tym wybuchem złości.

- Powiedziałam, że nic będę udawać przemytnika. Nie mówiłam nic o tym, że nie pójdę twoim śladem.

- Do diabła! Mogli cię zabić! Powiedziałem ci, że masz zostać w domu, i tam w tej chwili powinnaś być. Woollery, skórę ci wygarbuję za to, że jej pomogłeś w tej eskapadzie!

- Ty to nazywasz eskapadą?! - zaperzyła się Camilla. - Uratowaliśmy wam życie! Poszliśmy za wami, żeby w razie czego wam pomóc, no i potrzebowaliście pomocy. Przecież nie było tak, że omal go nie złapaliście; przeciwnie - omal

nie pozwoliliście się zabić! - Szarpała nią wściekłość, podsycona jeszcze przez strach, którego najadła się przed chwilą. - Widzę jednak, że lepiej by było, gdybym rzeczywiście została w domu. Niechby was zabili! - Z tymi słowami raptownie się odwróciła i pobiegła w stronę Chevington Park.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Następnego ranka Camilla obudziła się obolała, z poczuciem, że twarz ma dwa razy większą niż zwykle. Jedno spojrzenie w lustro wystarczyło jej, by przekonać się, że istotnie oko ma opuchnięte i posiniaczone. Wyglądała jak ulicznik po bójce, tym bardziej że miała również przekrwione białka oczu, potargane włosy i brudne policzki, na których znać było jeszcze ślady łez.

Ostatniej nocy przybiegła do domu i zamknęła się w sypialni. Nie ugięła się przed głośnym pukaniem Benedykta, mimo że wiele razy wołał ją po imieniu. Wreszcie ciotka Beryl wstała i ostro powiedziała Benedyktowi, żeby poszedł sobie gdzie indziej. A ona, wyczerpana długim płaczem, zmęczyła się tak bardzo, że zasnęła.

Otworzyła drzwi dopiero rano, pokojówce, która delikatnie stuknęła przez kilka minut. Widząc ją, Millie wydała okrzyk przerażenia i natychmiast uciekła. Wróciła po chwili z kawałkiem świeżego mięsa, który kazała jej przyłożyć do stłuczonego policzka. Przez cały czas z niedowierzaniem kręciła głową i coś pomrukiwała ze współczuciem.

- Co się stało, pszepani? - spytała w końcu, przerażona, ale też bardzo zaciekawiona. - Czy pani... czy pani była wczoraj z paniczem Anthonyem?

- Ja... - Camilla uświadomiła sobie, że nie przygotowała jak dotąd żadnej historyjki, tłumaczącej jej stan. - Tak - powiedziała ostrożnie. - Jak on się dzisiaj czuje?

- Dobrze, proszę pani. Przyszedł wczoraj doktor, chociaż było już bardzo późno, i powiedział, że panicz szybko wydobrzeje. Pan Lassiter wytłumaczył nam, że zdarzył się wypadek podczas wspinaczki.

Camilla pochwyciła znaczące spojrzenie pokojówki. Bez wątpienia wszyscy służący podejrzewali, że Anthony poszedł gdzieś z przemytnikami i stąd jego rana. Służba zawsze wszystko wiedziała. Teraz mieli nowy temat do domysłów: jej podbite oko i udział w eskapadzie Anthony'ego. Camilla westchnęła. Wiedziała, że pod schodami tego ranka aż huczy od plotek.

- Tak - powiedziała obojętnie - bardzo przykry wypadek. Upadłam na skałę, kiedy próbowałam mu pomóc. Sama sobie jestem winna.

Millie pomogła Camilli umyć się i ubrać. Rozczesywanie splecionych włosów zajęło sporo czasu, ale w końcu Camilla zdołała doprowadzić się do względnie normalnego stanu. Naturalnie jeśli nie liczyć podbitego oka.

Nie była w nastroju do jedzenia, poza tym obawiała się, że jeśli zejdzie na śniadanie, spotka Benedykta. Był on ostatnią osobą, którą chciałyby zobaczyć, zupełnie nie wiedziała więc, gdzie ma się podziać. Porozmawiałyby z kimś o swoich kłopotach, na Anthony'ego nie miała jednak co liczyć. Millie powiedziała jej, że kuzyn leży w sypialni na górze, ma ramię na temblaku i słucha, jak piastunka załamuje nad nim ręce. Zresztą w tej sytuacji Anthony zamiast ją pocieszyć, prawdopodobnie wzięłby stronę Benedykta, którego podziwiał.

Ponieważ była bardzo rozżalona i czuła się oszukana, postanowiła odwiedzić dziadka. W kłopotach zawsze zwracała się właśnie do niego.

Jenkins, który otworzył drzwi, głośno syknął na widok jej oszpeconej twarzy. Earl w chwilę później zareagował podobnie, zaraz jednak odesłał pokojowca i wyciągnął ramiona do Camilli. Łkając, rzuciła mu się w objęcia i pozwoliła się objąć tak samo, jak dawno temu, gdy była jeszcze dzieckiem. Postanowiła już więcej nie płakać, ale do oczu napłynęła jej nowa fala łez. Szlochając, opowiedziała dziadkowi, co się stało poprzedniego wieczoru i jak straszną złością wybuchł Benedykt na jej widok.

- Ja przecież tylko chciałam mu pomóc! Boże... On mnie nienawidzi.

- Na pewno nie. Nie zachowałby się tak gwałtownie, gdybyś nie była dla niego ważna.

- Dziwny sposób okazywania uczuć.

- To prawda. Ale gdy ktoś się przestraszy, czasem zachowuje się niemądrze. Czy pamiętasz, jak mały Anthony zgubił się w jaskiniach, a ty strasznie go skrzyczałaś, kiedy Silsby wreszcie go stamtąd wyprowadziła?

- Myślałam, że się zabił! - krzyknęła Camilla, przypominając sobie tamto zdarzenie. - Byłam na niego wściekła!

- Dlatego, że się przestraszyłaś. Wierz mi, że ja też miałem ochotę spuścić mu lanie. To samo jest teraz z Rawdonem. Przestraszył się, gdy nagle pojawiłaś się w czasie walki. Powiem ci, Camillo, że i ja nie mogę o tym spokojnie myśleć.

- Nic mi się nie stało. W każdym razie nic naprawdę złego. Ten siniak okropnie wygląda, ale kość nie jest złamana. A zrobiłam to, żeby mu pomóc. Było właściwie trzech na jednego, bo Anthony'ego postrzelili już na początku.



- Wiem, wiem... Ale podejrzewam, że mężczyźnie nie jest zbyt przyjemnie, gdy żona ratuje go w takiej sytuacji.

- Baniałuki! Głupia męska duma! - złościła się Camilla, musiała jednak przyznać, że poczuła się nieco lepiej. - Zresztą nie jestem jego prawdziwą... - Urwała i niespokojnie spojrzała na dziadka.

- Kim nie jesteś? - spytał z naciskiem. - Chciałaś powiedzieć, że nie jesteś jego prawdziwą żoną?

Camilla uważnie popatrzyła mu w oczy.

- Jak możesz... O czym ty mówisz?

- Nie próbuj mnie przechytrzyć, moja panno. - Earl uniósł palec, jakby jej groził. - Znam cię od kołyski. A mówię o tej bajce, którą próbujesz mnie otumanić, odkąd przyjechałaś. A nawet dłużej. Wstydź się, że chciałaś oszukać starego człowieka.

- I oczywiście mi się nie udało. Jak się dowiedziałeś? Czy wszyscy już o tym wiedzą?

- Nie sądzę. Ja wiem, bo on mi powiedział.

- Kto?

- Rawdon. Twój rzekomy mąż. Przyszedł do mnie i wszystko wyznał.

- Ale... dlaczego?

Stary earl wzruszył ramionami i przesłał wnuczce znaczące spojrzenie.

- Widocznie gryzło go sumienie, że mnie oszukuje. To było tego dnia, kiedy omal nie utonęliśmy. Wyobraził sobie pewnie, co by było, gdyby musiał spotkać się ze Stwórcą, mając takie kłamstwo na sumieniu.

- Czyli zanim odkrył obecność porucznika Woollery'ego - mruknęła bardziej do siebie niż do dziadka.

- Kogo? Ach, tego chłopaka. Benedykt mi o nim opowiedział.

- Co Benedykt opowiedział?

- O Woollerym?

- Nie. O mnie i o naszym małżeństwie.

- Nie jestem pewien, czy dokładnie pamiętam. Powiedział, kim naprawdę jest, i przeprosił mnie za oszustwo. Wytłumaczył mi, co tu naprawdę robi i w jaki sposób Lidia utrudniła wam życie przez swą lekkomyślność. Powiedziałem mu, że wybuchnie straszny skandal, a on na to, że nie, że na pewno zapobiegnie temu skandalowi. Wspomniał jeszcze, że ma pewien plan, ale go nie zdradził. To zresztą chyba już nie ma znaczenia, bo wygląda na to, że jego gadanie o ślubie też było niewiele warte. Nie widzę żadnych oznak tego ślubu. Muszę powiedzieć, że bardzo się na nim zawiodłem.

- Wiesz równie dobrze, jak ja, że Benedykt chciał mnie poślubić - powiedziała gniewnie Camilla. - To ja mu odmówiłam. Nie wątpię, że przyszedł do ciebie i o tym również ci opowiedział.

- Tego nie zrobił, ale sam się domyśliłem, bo przez ostatnie dni jest w wyjątkowo podłym nastroju. Dlaczego, u licha, mu odmówiłaś?

- Trudno powiedzieć, że mu odmówiłam, tak jak trudno powiedzieć, że poprosił mnie o rękę. Po prostu oznajmił, że się pobierzemy.

Earl chrząknął.

- Spartaczył oświadczyzny, co? Tak myślałem. Dzisiejsi młodzi ludzie nie mają wdzięku i ogłady. Brak im wyrafinowania.

- Wcale nie o to chodzi. Powiedziałam, że go nie poślubię,

bo wiem, że on tak naprawdę wcale tego nie chce. Zaproponował mi małżeństwo, gdyż jest dżentelmenem. Dżentelmen nie mógłby mnie skompromitować, a potem się ze mną nie ożenić.

- Rozumiem. Czyli nie chcesz zostać jego żoną tylko dlatego, że Benedykt jest dżentelmenem.

Camilla spojrzała błagalnie w górę.

- Nie dlatego.

- Hm, rozumiem, że wolałabyś takiego mężczyznę, który wcale nie zaproponowałby małżeństwa kobiecie, mimo że splamił jej dobre imię.

- On go wcale nie splamił. To była moja wina, nie jego, że znaleźliśmy się w tej głupiej sytuacji. Nie pozwolę po prostu, żeby przez resztę życia musiał płacić za mój błąd. Cieszę się, że jest honorowym mężczyzną, ale ja nie jestem kobietą, która umie wykorzystać takie poświęcenie.

- Rozumiem. - Chevington na chwilę zamilkł. - Wiesz, muszę ci powiedzieć, że tego wieczoru, kiedy mi wszystko wyznał, nie wydawał się niechętny waszemu małżeństwu.

- Na pewno robił dobrą minę do złej gry.

- Czy spytałaś go, dlaczego chce się z tobą ożenić, czy też po prostu przyjął, że to dla niego wyłącznie sprawa honoru?

- On mówił tylko o tym - powiedziała Camilla ze smutkiem. - O skandalu, o mojej reputacji i o swoim planie, jedynym który może mnie uratować przed hańbą. Ani słowem nie wspomniał o miłości. Nie musiałam go o nic pytać.

- To dziwne... - wycedził Chevington, patrząc na wnuczkę. - Ze mną też mówił o honorze. Sądził, że ten argument cię przekona. Cóż, nie wydaje mi się, żeby wiele wiedział o ko-

bietach. Tylko że gdy go spytałem, dlaczego chce cię poślubić, powiedział mi, że z miłości...

Camilla poderwała głowę i spojrzała na dziadka z bezbrzeżnym zdumieniem.

- Co takiego?

- Powiedziałem, że on cię kocha, Camillo. Czy to coś zmienia w twoim myśleniu?

- Och, dziadku! Naprawdę?

Skinął głową, a Camilla podskoczyła radośnie i mocno go uściskała.

- To zmienia wszystko!

Benedykt jechał do wsi w ponurym milczeniu. Cały ranek był w paskudnym nastroju, a to, że Camilla nie zeszła na śniadanie, nie poprawiło mu bynajmniej humoru. Otrzymał wkrótce potem liścik od Jermyna Sedgewicka, który wrócił właśnie do Edgcombe i chciał się pilnie z nim spotkać, burknął tylko coś pod nosem i zmiął kartkę w dłoni.

Przez chwilę zastanawiał się nawet, czy nie zlekceważyć wezwania od przyjaciela. Nigdy w życiu nie czuł się tak podle. Rozstanie z Annabeth wydawało mu się teraz drobnostką w porównaniu z tym, co właśnie się stało. Wiedział, że z Camilla sam wszystko popsuł.

Gdy miał wreszcie okazję trochę pomyśleć, zrozumiał, że Camilla naprawdę musiała się o niego martwić, skoro zorganizowała to pospolite ruszenie. Chciała uchronić go przed niebezpieczeństwem i prawdę mówiąc, chyba uratowała mu życie. A on zamiast podziękować jej za nadstawienie karku, zamiast przytulić ją, wyrazić swą wdzięczność i ucieszyć się, że nic jej się nie stało, po prostu ją zbeształ. Tak bardzo się przeraził,

gdy zobaczył ją siedzącą z podbitym okiem na ziemi, że w ogóle stracił zdolność myślenia. Owładnęła nim trwoga i przestał nad sobą panować.

Teraz pojął jednak, że swym zachowaniem skrzywdził ją znacznie bardziej niż ów zamaskowany napastnik. Znienawidziła go za to, co jej powiedział, i nie sądził, by kiedykolwiek mogła zmienić do niego swój stosunek. Do stu piorunów! Niechby ich zabili! Życie przestało mieć sens, skoro nie było w nim miejsca na ich pojednanie i miłość.

Po powrocie do domu próbował jeszcze wszystko naprawić, ale Camilla zamknęła drzwi na klucz. A rano nawet na chwilę nie pojawiła się na dole. Stracił jedyną kobietę, jaką kiedykolwiek kochał, a do tego nawet nie udało mu się zdemaskować zdrajcy.

Westchnął i ostrożnie dotknął siniaka na policzku. Nie miał ochoty pokazać się w tym stanie Jermynowi, który na pewno z właściwą sobie bystrością zada wszystkie potrzebne i niepotrzebne pytania. Nie minie wiele czasu i dokładnie się dowie, co zaszło między „młodożeńcami”, a wtedy - Benedykt był tego pewien - nie zawaha się powiedzieć mu, jak źle się spisał.

Musiał jednak jechać na spotkanie, wezwanie od Jermyna było bowiem pilne. Jego wahaniom ostatecznie położył kres Purdle, który wszedł do salonu i zaanonsował Harolda Elliota. Benedykt natychmiast zerwał się z fotela, ale nie zdążył uniknąć spotkania z duchownym. Kuzyn Harold wkroczył do środka z błogim uśmiechem na twarzy i zanim Benedykt zdążył dotrzeć do drzwi, wygłosił wstrząśniętym głosem kilka uwag na temat jego pokiereszowanej twarzy. Przez następne dziesięć minut wyrażał żal, że nie będą mogli dłużej pogawędzić, aż wreszcie Benedyktowi udało się uciec pod pretekstem zapla-

nowanej wcześniej konnej przejażdżki. Porucznik Woollery, który również siedział w salonie, zorientował się w sytuacji i wyszedł za swym przełożonym w przekonaniu, że jego pomoc będzie dlań nieoceniona.

Po drodze do wsi Benedykt nieco ochłonał, więc gdy w kilka minut później wjeżdżał na dziedziniec gospody, nie był już tak bardzo przygnębiony. Natychmiast zaprowadzono ich z Woollerym do saloniku, gdzie Jermyn Sedgewick siedział już na ławie przy kominku.

Na ich widok zerwał się z miejsca.

- Benedykcie, dobrze że... na miły Bóg, co ci się stało?  
- Ach, mówisz o tym... - Benedykt uniósł dłoń do policzka. - Obawiam się, że spotkałem człowieka, którego szukamy.

Sedgewick rozpromienił się na te słowa.

- Czy to znaczy, że go złapałeś?  
- Nie. Szczęście nam nie dopisało. Postrzelił Anthony'ego, a mnie, jak widzisz, tak oto urządził. Co gorsza, nadal nie wiem, kto to jest. Nosił maskę, nie udało mi się jej zedrzeć. Śledziliśmy go, jak odchodził ze swoimi ludźmi, ale złapali nas w zasadzkę. Cóż, ponieśliśmy klęskę. Zachowałem się jak niedoświadczony rekrut.

- W to wątpię.

- Nie wątpiłbyś, gdybyś tam był - powiedział z goryczą Benedykt. - Ocalili nas obecny tu porucznik Woollery, Camilla i jej kamerdyner.

- Porucznik Woollery! wykrzyknął Jermyn i przyjrzał się dokładnie młodemu człowiekowi. - Boże, to naprawdę pan! Cywilne ubranie bardzo zmienia. Poza tym chyba pan schudł.

- Tak jest. Cieszę się, sir, że pana widzę.

- A ja się cieszę, że wrócił pan z Francji cały i zdrow.

Woollery i Benedykt szybko wyprowadzili go z błędu, opisując ostatnie wypadki.

- Rozumiem - powiedział Jermyn i usiadł w fotelu z zamysłoną miną. - Może wobec tego przydadzą się wam wiadomości, które zebrałem w Londynie.

- Chcesz powiedzieć, że coś znalazłeś? - Benedykt nastawił uszu. - Dlaczego od razu nam nie powiedziałeś?

- Nie jestem pewien, czy ten trop prowadzi do człowieka, którego szukamy. To wydaje się nieprawdopodobne, ale... - Wzruszył ramionami. - Zresztą sami posłuchajcie, czego dowiedziałem się o mieszkańcach Chevington Park. Najpierw pan Thorne. Jest chyba dokładnie tym, kim się wydaje, czyli młodym człowiekiem, który dysponuje skromnym majątkiem, uważa się za genialnego poetę, a obecnie gorzeje miłością do hrabiny Marbridge. W zeszłym roku przyjechał do Londynu ze swojej posiadłości na wsi, żeby przyjrzeć się miejskiemu życiu i sprawdzić, czy sprzyjają mu muzy. Ma troskliwych rodziców, nie żyje ponad stan, nie ma praktycznego podejścia do życia, a jedynym przestępstwem, jakie obciąża jego sumienie, są wprost tragiczne wiersze.

Benedykt chrząknął pod nosem.

- A Oglesby?

- O, to jest bardziej interesująca postać. Naprawdę nazywa się Jack Cooper i jest synem buchaltera. Nie widać po nim, w jaki sposób zdobywa środki na utrzymanie, naturalnie jeśli nie liczyć jego twarzy oraz specyficznego chodu.

- Co pan ma na myśli? - spytał zdziwiony Woollery.

- Sprzedaje swoje ciało? - zainteresował się Benedykt.

- Och, mogłeś to nazwać mniej dosadnie, przyjacielu.

W każdym razie jedzenie, stroje i miejsce zamieszkania pana Oglesby'ego wydają się uzależnione od dobrej woli dżentelmenów, którym akurat towarzyszy.

Tym razem zdziwił się Benedykt.

- Chcesz powiedzieć, że kuzyn Bertram jest...

- Jednym z tej wcale niemałej rzeszy mężczyzn, którzy najwyżej cenią sobie towarzystwo innych osobników tej samej płci.

- Mój Boże... - Benedykt parsknął śmiechem. - Że też ja na to nie wpadłem. Czyli Bertram upodobał sobie grecką formę miłości. No, no... Chciałbym zobaczyć, co powiedzieliby na to Harold i ciotka Beryl. Chociaż nie. Po przemyśleniu stwierdzam, że raczej wolałbym tego nie widzieć. - Zachichotał. - To dlatego przyszli kiedyś do jaskini. Nie mieli żadnych niecznych zamiarów, nie zajmowali się szpiegowaniem ani przemytem. Bertram i jego ukochany szukali po prostu altanki z dala od nieznośnych krewnych.

- Tak przypuszczam. - Sedgewick również się uśmiechnął. - Ale nie chciałem porzucać tego tropu, bo z tego samego powodu Bertram mógłby być ofiarą szantażu Francuzów. Albo mógłby po prostu potrzebować pieniędzy. O ile wiem, ma olbrzymie długi. Lubi to, co w życiu najlepsze.

Benedykt! ponownie zainteresował się wywodem Sedgewicka.

- Myślisz więc, że mógłby zdradzić dla pieniędzy?

Sedgewick pokręcił głową.

- Zrezygnowałem w końcu z tego pomysłu. Rzecz w tym, że on w ogóle nie spłaca tych swoich długów. Zdaje się żyć z pensji, wyznaczonej mu przez ojca. Z plotek wynika zaś, że przyjechał do Chevington Park, żeby odetchnąć trochę od wie-



rzycieli. Naturalnie możliwość szantażu zawsze pozostaje aktualna, ale jest też inna możliwość...

- Jaka?

- Sprawdziłem wszystkie osoby, które wymieniłeś jako mieszkańców Chevington Park, i dowiedziałem się, że najczęściej bywa w Londynie wielebny Harold Elliot. Pozornie nic w tym niezwykłego, prawda? Może w tym czasie spotykać się z jakimś uczonym mężem, radzić się biskupa albo przebywać w sanktuarium, na przykład w Canterbury. Prawda jest jednak taka, że nigdy tego nie robi. Zamiast tego - że się tak wyrażę - rusza na podbój Londynu. Wiem to od Gilesa Annerwicka. Pamiętasz go, Benedykcie?

- Naturalnie. Był w Eton o rok wyżej od nas. Trochę hulaka, jeśli się nie mylę.

- Dalej jest taki. Pije na umór, a połowę dochodów wydaje na tancerki. Rodziny nie ma, więc w zasadzie szkodzi tylko sam sobie. Jest zresztą całkiem sympatyczny. Chciałem z nim porozmawiać o Bertramie Elliocie, ale okazało się, że mało go zna. Obraca się w innych kręgach. Powiedział za to, że widuje Harolda Elliota. Pierwszy raz spotkał go w ubiegłym roku w jakiejś sali gry. Nawet wydało mu się to dziwne, bo sądził, że Harold został duchownym, ale uznał, że coś mu się pomieszało. Od tej pory spotkał go jeszcze kilka razy, zawsze w dość podejrzanych miejscach.

- Wielki Boże!

- Zacząłem sprawdzać naszego wielebnego. Okazało się, że rzeczywiście często jeździ do Londynu. Utrzymuje tam garsonierę, jest bywalcem jaskiń gry i burdeli. Dużo pije, gra wysoko, a nawet za wysoko, i popełnia rozliczne grzechy z kobietami lekkiego prowadzenia. Krótko mówiąc, żyje całkiem

inaczej niż przystoi duchownemu. Co zaś jest najważniejsze dla nas, wydaje, a co za tym idzie - ma znacznie więcej pieniędzy niż powinien mieć, jeśli sądzić po wpływach do parafialnej kiesy.

- Wielki Boże! - Benedykt zerwał się na równe nogi, odsuwając krzesło z taką siłą, że przewróciło się na podłogę.

- Ciekawe, prawda?

- Ciekawe!? To potworne! - przeraził się Benedykt. - Ten człowiek jest teraz w Chevington Park. Z Camillą! - Odwrócił się do drzwi i wybiegł z saloniku.

Camilla wypadła z sypialni earla i zbiegła na dół w poszukiwaniu Benedykta. Było jej lekko na duszy. Jego wczorajsza złość nie miała już znaczenia, tak samo jak nie miało znaczenia to, że ukrył przed nią swoje nazwisko oraz tytuł. Nie miało znaczenia nawet jej podbite oko, chociaż normalnie byłaby tym tak zawstydzona, że za nic nie pozwoliłaby komukolwiek się zobaczyć.

W tej chwili ważne było dla niej tylko to, co Benedykt powiedział jej dziadkowi - że ją kocha. Musiała go znaleźć i z nim porozmawiać. Musiała się przekonać, czy to prawda.

W pokoju dziennym zastała Lidie z robótką na kolanach i dość niewyraźną miną.

- Lidio, czy...

- Camillo, jesteś nareszcie! - rozległ się za jej plecami głos kuzyna Harolda.

Camilla cicho jęknęła i zwróciła się w jego stronę. Kuzyn Harold wstawał właśnie od sekretarzyka. Nic dziwnego, że Lidia miała skwaszoną minę, skoro musiała słuchać jego wywodów.

- Witaj, Haroldzie. Nie wiedziałam, że tu jesteś.
- Mam nadzieję, że to prawda, bo czekam na ciebie już od pół godziny.

Camilla uniosła brwi.

- Czekasz na mnie?
- Nie pamiętasz? Mieliśmy dziś rano popracować nad przygotowaniem kwesty. W zeszłą środę powiedziałaś mi, że z przyjemnością mi pomożesz, więc zaproponowałem, że zrobimy to dzisiaj. Ściślej mówiąc, zaproponowałem dzień wczorajszy, ale potem przypomniałem sobie, że mam ważne spotkanie, więc umówiliśmy się na dzisiaj.

- Tak, tak, naturalnie - skwapliwie przytaknęła Camilla.
- Już sobie przypominam, Bardzo przepraszam, Haroldzie, wyleciało mi to z głowy. To straszne, że fatygowałeś się taki szmat drogi na próżno.

- Wcale nie na próżno - odrzekł radośnie Harold. - Możemy wykonać tę pracę teraz. Mam dużo czasu.

- Niestety, muszę porozmawiać z Benedyktem.
- Przykro mi, Camillo. Benedykta nie ma. Spotkaliśmy się w drzwiach. Powiedział, że ma pilną sprawę w Edgecombe.

- Ach, rozumiem. - Bez wątpienia tą pilną sprawą było uniknięcie towarzystwa kuzyna Harolda, pomyślała. Chętnie sama skorzystałaby z jakiegoś pretekstu, by czym prędzej czmychnąć.

- To znaczy, że tymczasem jesteś wolna. Czy to nie wspinałe, że wszystko zawsze samo się układa?

Odsunął dla niej krzesło od sekretarzyka i zrezygnowana Camilla usiadła. Nie zdziwiło jej bynajmniej, że prawie natychmiast Lidia przypomniała sobie o czymś ważnym, i po chwili w salonie zostali sami - ona i kuzyn Harold.

Na szczęście zajęcie, które jej przypadło, wcale nie było takie uciążliwe. Musiała po prostu sporządzić jedną wielką listę darowizn, przepisując informacje z różnych kartek i karteluszków, które dał jej Harold. Gorzej, że w tym samym czasie trwał nieprzerwany monolog Harolda o kościele, parafianach, jego wspaniałych kazaniach, modlitwach, pieśniach i innych sytuacjach, w których mogły zabłysnąć jego nieprzebrane cnoty i talenty.

Słuchała tego jednym uchem, a jednocześnie szybko wydłużała listę, stawiając równe, kształtne litery. Skończywszy pracę, zebrała wszystkie karteczki i wrzuciła je do kosza na papiery.

- Ojej, poczekaj! - zawołał nagle Harold z wyrazem zgrozy na twarzy. - Na drugiej stronie jednej z tych kartek... miałem notatki do kazania. - Pochylił się nad koszem i zaczął przerzucać pogniecione papiery. Był w rękawiczkach i Camilla pomyślała, że to pewna przesada, nawet jak na kuzyna Harolda. Zresztą rękawiczki bardzo mu przeszkadzały. Wreszcie ściągnął prawą i triumfalnie dokończył poszukiwań.

- Jest! - ucieszył się i usiadł na krawędzi krzesła, które przed chwilą zwolniła Camilla. - Mam tu cytat, który podał mi doktor Livermore. Nie chcę go zgubić. To bardzo uczony człowiek ten Livermore.

Camilla nie była w stanie nic powiedzieć. Nagle zaschło jej w gardle. Wbiła wzrok w dłoń kuzyna, którą wygładzał właśnie zgnieciony kawałek papieru. Skórę na knykciach miał pościeraną i podrapaną, jak człowiek, który brał udział w bójce.

Harold uniósł głowę. Zauważył pobladłą nagle twarz Camilli i jej szeroko otwarte oczy.

- A niech to diabli! - zaklął i szybko schował dłoń do kieszeni.

Ostatecznie potwierdził tym podejrzenie Camilli, lecz mimo to wyciągnęła rękę i szarpnęła za lśniącą, białą chustkę, którą miał na szyi, żeby ostatecznie się upewnić. Zerwał się na równe nogi, zdążyła jednak zauważyć drobne, czerwone ślady, zostawione poprzedniego wieczoru przez jej zęby.

Harold ruszył do drzwi, ale Camilla zastąpiła mu drogę i szeroko rozłożyła ramiona.

- Nie, Haroldzie!

- Zejdź mi z drogi, głupia! - Chwycił ją za ramię i odsunął na bok. - Nie zmuszaj mnie, żebym cię skrzywdził.

- Już skrzywdziłeś! - krzyknęła z oburzeniem. - Nie wyjdiesz stąd. Nie pozwolę ci! To ciebie szuka Benedykt, ty zdrajco!

- Niech go piorun strzeli! - zaklął znowu i odepchnął Camillę pod ścianę.

Wyszedł z pokoju, ale ona wybiegła za nim, krzycząc:

- Benedykcie! Anthony! Purdle! Na pomoc! Na pomoc!!!

Na jej krzyk zjawili się w sieni dwaj lokaje. Stanęli z wytrzeszczonymi oczami i patrzyli bezradnie, jak milady mocuje się z proboszczem.

- Pomóżcie mi! Nie stójcie tak, osły!

Harold wyrwał się z jej uścisku, ale nie zdążył zrobić nawet trzech kroków, gdy frontowe drzwi otworzyły się gwałtownie i do domu wpadł Benedykt. Zanim Camilla zorientowała się w zamiarach kuzyna, Harold chwycił ją od tyłu i przycisnął do siebie z taką siłą, że zabrakło jej powietrza. Jednocześnie drugą ręką wyszarpnął z kieszeni pistolet i przycisnął jej lufę do skroni.

Benedykt zatrzymał się raptownie, tuż za nim stanął porucznik Woollery. W sieni zapadła nagle martwa cisza.

- Puść ją, Elliot. - Benedykt zacisnął dłonie w pięści. - Masz już dość kłopotów. Możesz liczyć tylko na nasze wpływy, moje i earla. Jestem lord Rawdon, a nie...

- Wiem, kim jesteś, głupcze! - burknął Harold. - Wiedziałem od samego początku. Widziałem cię wcześniej i słyszałem o tobie. Myślisz, że nie mam rozumu i nie pilnuję, co robią i kim są moi wrogowie? Od pierwszej chwili, gdy przestąpiłeś ten próg, wiedziałem, że to marne przedstawienie, że wcale nie nazywasz się Lassiter i nie jesteś mężem mojej kuzynki. Igrałem z tobą i śmiałem się do rozpuku z twoich wysiłków. Wiem, co wszyscy o mnie myślicie - zaśmiał się gorzko. - Pedantyczny, nudny kuzyn Harold. Nikomu nigdy nie przyszło na myśl, że mogę zrobić coś złego. Jestem stateczny i przyzwyczajony do przesady, za wielki ze mnie nudziarz, co? Ha, mój dandysowaty braciszek mógłby wam powiedzieć, ile razy on albo Graeme niewinnie dostali burę za różne przewinienia. Ale nawet oni byli ślepi, tak samo jak wy. Nie mieli pojęcia, co naprawdę robię. A Camilli trudno było uwierzyć w dowód, który miała przed oczami...

- Haroldzie, niech pan będzie rozsądny - odezwał się Benedykt, starając się zachować spokój. - Wiemy, że jest pan zdrajcą. Zabił pan Nata Crowdera i przynajmniej jednego z moich ludzi. Próbował pan zabić porucznika Woollery'ego. O pańskiej roli wiedzą nie tylko Woollery i Camilla, lecz również Jermyn Sedgewick. Nie uda się panu uciec, a jeśli nawet, to nie na długo. Jeśli zaś teraz skrzywdzi pan Camillę, tylko pogorszy pan tym swoją sytuację. - Harold nie odpowiedział, więc Benedykt dodał z zaciętą miną: - Przysięgam ci, Elliot,

że jeśli włos jej z głowy spadnie, będziesz umierał długo i w męczarniach.

- Jak zamierzasz spełnić tę groźbę, Rawdon, skoro wcześniej sam będziesz martwy?

- Chcesz mnie zabić? - Benedykt postąpił krok naprzód, rozpościerając ramiona. - Dalej. Możesz to zrobić. Teraz, tutaj...

- Benedyckie, nie! - krzyknęła Camilla. Wiedziała, czego próbuje Benedykt. Chciał rozwścieczyć Harolda, żeby ten strzelił w niego i zużył w ten sposób jedyną kulę.

Zanim jednak doszło do najgorszego, na schodach ukazała się ciotka Beryl.

- Co tu się dzieje? - spytała zrzędliwym tonem, przystając u podnóża schodów między Haroldem i Benedyktem. - Dlaczego wszyscy tak krzyczą? Boli mnie głowa.

- Lepiej niech pani porozmawia ze swoim synem. - Benedykt wskazał Harolda z Camilla, znieruchomiałych pośrodku sieni.

Lady Beryl spojrzała na syna.

- Co tu się dzieje? - zapytała ponownie. - Dlaczego trzymasz ten pistolet... och, Camillo, co ty robisz w jego objęciach? To nie przystoi, chyba o tym wiesz.

- On chce mnie zabić! - krzyknęła Camilla. - Na miłość boską, czy ty tego nie widzisz, ciociu?

- Co za niedorzeczność - odparła zdecydowanie ciotka Beryl. - Haroldzie, natychmiast odłóż ten pistolet i przyjdź do mnie. Czy to ma być jakiś dziwaczny żart? Powtarzałam przecież setki razy, że nie pozwolę wam, chłopcy, tak dokazywać w moim domu.

Camilla jęknęła. Jeszcze chwila i pan Thorne zabłądzi do sieni w poszukiwaniu rymu albo nadejdzie kuzyn Bertram i powie, że pistolet nie pasuje Haroldowi do ubrania.

- Ciociu Beryl! On grozi, że mnie zabije!  
- Banialuki... Haroldzie, powiedziałam, żebyś odłożył ten pistolet. To nie ma sensu.

- Nie! Powiem wam, co nie ma sensu. Otóż nie ma sensu próbować znośnie żyć za tę jałmużnę, jaką dostaje proboszcz. To jest czysta niemożliwość. Dlatego natychmiast się zgodziłem, gdy Billouart zaproponował mi pieniądze za wejście pomiędzy przemytników. Probostwo nigdy mnie nie interesowało. Wszyscy myśleli, że prebenda od dziadka jest szczytem moich marzeń. Akurat! Bertram miał wziąć lwią część wszystkiego, bo jest najstarszy; Graeme mógł wstąpić do wojska, tak jak zawsze chciał... A ja jestem najmłodszy, więc przeznaczono mnie do kościoła. To nie było uczciwe!

- Znowu wracamy do starych sporów? - westchnęła ciotka Beryl. - Nie rozumiem, Haroldzie, po co w tej chwili o tym mówisz. To jest dobra parafia, taki mól książkowy, jak ty powinien być z niej bardzo zadowolony.

- Do diabła, wcale nie jestem zadowolony! - krzyknął wściekle, a ręka zadrżała mu tak, że Camilla omal nie umarła ze strachu, czy pistolet przypadkiem nie wypali. - Chcę się bawić! Dość mam tego pocziwego nudziarza Harolda, dość mam siebie i swojego życia. Nie zamierzam siedzieć z nosem w książkach, gdy wszyscy dookoła pysznie się bawią!

- Masz rację, Haroldzie - próbowała go uspokoić Camilla. - I wcale nie musisz. Zupełnie nie zdawałam sobie sprawy z tego, co czujesz. Przepraszam cię. Nikt z nas nie wiedział... Osobiście zawsze myślałam, że wolisz...

- Kiwać się nad stołem i czytać książkę o sakramentach, zamiast biegać po dworze?



- Och, mój drogi, po tylu latach wciąż jeszcze narzekasz?  
- dobiegł ich nagle mocny męski głos.

Wszyscy obrócili głowy w tamtą stronę i ujrzeli kuzyna Bertrama, który właśnie wszedł do sieni z oranżerii w towarzystwie pana Oglesby'ego. Bertram oparł o podłogę czubek laseczki zwieńczonej złotą gałką, przybrał wystudiowaną pozę i omiół wszystkich kpiącym spojrzeniem.

- Ho, ho, co za zgromadzenie! Czyżbym w czymś przeszkodził?

- Bertramie, idź stąd - wycodził Harold. - Nie mam ochoty słuchać w tej chwili twoich błyskotliwych uwag.

- Ależ drogi bracie... - Bertram leniwie podszedł kilka kroków w jego stronę. - Wcale nie zamierzam być błyskotliwy.

Camilla zerknęła kątem oka na Benedykta, który centymetr za centymetrem wysuwał się zza ciotki Beryl i zbliżał do Harolda. Pozostało jej mieć nadzieję, że błazeństwa Bertrama zajmą Harolda jeszcze przez chwilę.

- Zastanawiałem się, skąd tutaj takie poruszenie - ciągnął tymczasem Bertram. - Dlaczego grozisz bronią kuzynce Camilli? Chyba nie obraziła cię swoim strojem? Muszę podkreślić, że kuzynka Camilla zawsze ubiera się bardzo gustownie. - Spojrzał z westchnieniem na matkę i siostry. - Czego, niestety, nie można powiedzieć o mojej rodzinie.

- Bertramie, jesteś głupi - burknął Harold. - A teraz zechciej łaskawie się odsunąć i pozwól mi skończyć to, co zacząłem.

- Nie mogę ~ sprzeciwił się Bertram. - Jak by to wyglądało, gdyby zaczęto o tobie mówić, że wymordowałeś własną rodzinę?

Niespodziewanie skoczył naprzód, jednym ruchem poderwał laseczkę i mocno uderzył Harolda od dołu w nadgarstek. Pistolet wystrzelił w powietrze, z żyrandola posypały się odłamki szkła, a ciotka Beryl i jej dwie córki dostały spazmów. Camilla rzuciła się na ziemię i odtoczyła od Harolda, Benedykt zaś długim susem pokonał resztę przestrzeni, dzielącej go od wielebnego, i powalił go dwoma dobrze mierzonymi ciosami.

W kilka sekund było po wszystkim. Benedykt zostawił nieprzytomnego Harolda porucznikowi Woollery'emu, żeby ten go związał, a sam opadł na kolana przy Camilli. Podniósł ją z ziemi i przytulił tak mocno, że nie mogła odetchnąć. Wcale jej to jednak nie przeszkadzało. Przyłgnęła do niego, a on całował ją po włosach i twarzy, szepcząc jej do ucha najczulsze słowa.

- Nic ci się nie stało? - Puścił ją na chwilę, żeby sprawdzić, czy naprawdę jest cała i zdrowa, a potem znowu wziął w objęcia.

- Nic a nic.

- Boże, ależ się przestraszyłem. Myślałem, że cię zastrzeli na moich oczach.

Camilla skinęła głową.

- Wiem. Ale to było szaleństwo, że zacząłeś go prowokować. Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby zamiast do mnie strzelił do ciebie! - Zaciśnęła dłoń i uderzyła go po torsie. - Co ci przyszło do głowy, żeby tak ryzykować!?

Pocałował ją namiętnie i ta odpowiedź jej wystarczyła.

Wreszcie Benedykt wstał, pomógł podnieść się Camilli, a potem podszedł do kuzyna Bertrama, który bez powodzenia próbował uspokoić szlochającą matkę i siostry.

- Dziękuję, Elliot - powiedział i mocno uściśnął mu dłoń.

- Bardzo zręcznie pan to rozegrał. Nigdy nie zdołam się panu odwdziaczyć.

- Nie ma potrzeby, przyjacielu - odparł niedbale Bertram, choć jego pozę wystudiowanej obojętności skaziło lekkie drżenie głosu. - Zawsze lubiłem kuzynkę Camillę.

Tymczasem do sieni zbiegli się służący i reszta członków rodziny, którzy usłyszeli strzał oraz krzyki. Zapanował nieopisany chaos. Nawet earl i Jenkins stali na piętrze, oparci o poręcz, i spoglądali ciekawie w dół.

Benedykt wziął Camillę za rękę i wyprowadził na korytarz, a potem schronił się z nią w pokoju, który był położony najdalej od gwarnej sieni.

- Benedykcie - zaprotestowała. - Czy nie powinieneś zostać i załatwić wszystko do końca?

- Woollery da sobie radę. Poza tym, jeśli się nie mylę, w każdej chwili należy spodziewać się Jermyna. On będzie wiedział, co robić dalej. Ja mam ważniejsze sprawy na głowie.

- Co takiego? - spytała, patrząc na niego szeroko otwartymi oczami.

- To. - Benedykt ukląkł przed nią i zajął w jej źrenice.

- Ale co znowu... Co ty robisz?

- Korzystam z rady twojego dziadka. Błagam.

- Oszalałeś? O co chcesz błagać?

- O twoją rękę. Nie odmawiaj mi, Camillo. Nie mogę bez ciebie żyć. Przez cały czas myślę tylko o tobie. Chcę już zawsze być przy tobie, słyszeć twój śmiech, słuchać twojego głosu, kłaść się z tobą wieczorem do snu i budzić się rano obok ciebie... - Ujął ją za rękę. - Proszę, powiedz „tak”.

Camilla wahała się z odpowiedzią.

- Nie powiedziałaś mi czegoś ważnego. Dlaczego chcesz mnie poślubić?

- Dlaczego? - Spojrzał na nią zdumiony. - Przecież właśnie ci powiedziałem. Nie mogę żyć bez ciebie. Ostatnie kilka dni to było istne piekło.

- Ale dlaczego, do kroćset!?

- Bo cię kocham, najdroższa! A dlaczegoż?

Camilla uśmiechnęła się szeroko i padła mu w ramiona.

- Czy to oznacza „tak”, lady Rawdon? - zapytał.

Skinęła głową i pogłaskała go po kruczoczarnych włosach.

- No proszę... - uśmiechnął się przekornie. - Zdawało mi się, że nie wierzysz w instytucję małżeństwa.

Camilla figlarnie uniosła brew.

- Tym razem chyba zrobię wyjątek.

## EPILOG

Camilla uniosła lewą rękę, zachwycona złotym pierścieniem, lśniącem na jej serdecznym palcu. Przekręcała dłoń na różne sposoby, ciesząc się grą światła, załamывanego przez drogocenny rubin.

- Wiesz - powiedziała rozbawiona - dobrze się stało, że ten pierścionek naprawdę należał do twojej babki.

Benedykt uśmiechnął się do niej z drugiego końca pokoju, zdjął z ramion frak i cisnął go na krzesło.

- Nigdy nie twierdziłem inaczej. To ty uznałaś, że go ukradłem.

Camilla odwzajemniła jego uśmiech.

- Sam wiesz, że dałeś mi wszelkie powody, bym uważała cię za przestępcę.

- Nie wszelkie - odparł pogodnie, odwrócił się do toaletki i zaczął rozpinać mankiety koszuli.

Camilla przyglądała mu się coraz bardziej podekscytowana. Pomyślała, że tego wieczoru pierwszy raz widzi, jak rozbiera się jej prawdziwy mąż.

Po południu wzięli potajemny ślub na plebanii u znajomego proboszcza, który zgodnie z przewidywaniem Benedykta nie miał nic przeciwko temu, by zmienić nieznacznie datę zaistnienia sakramentu. Tydzień wcześniej, zaraz po zdemaskowa-

niu szpiega w Chevington Park, Benedykt i Jermyn odwieźli Harolda do Londynu. Benedykt wrócił dopiero dzisiaj i swoim prywatnym powozem od razu porwał Camillę do Sussex.

Świadkami skromnej ceremonii byli tylko żona proboszcza i jego syn. Gdy Camilla ujrzała syna, zrozumiała, na czym polega dług wdzięczności księdza. Młody człowiek, chodzący o kulach, nie miał kawałka jednej nogi i podobnie jak porucznik Woollery nazywał Benedykta majorem. Był jego podwładnym z czasów kampanii hiszpańskiej, jednym z tych żołnierzy, których Benedykt szczęśliwie przeprowadził przez linie nieprzyjaciela.

Po uroczystości proboszcz i jego rodzina namówili młodźców do pozostania na herbacie, jednak gdy tylko państwo młodzi uznali, że wypada im opuścić plebanię, wsiedli do powozu i ruszyli na północ, do majątku Benedykta. Na noc zatrzymali się w gościnnym zajeździe z czerwonej cegły.

Teraz Camilla oparła się na poduszkach i popatrzyła na męża, z zadowoleniem myśląc o czekającej ich nocy.

- Wiesz - powiedziała. - Wcale nie jestem pewna, czy ciotka Beryl naprawdę wierzy w nasze małżeństwo.

- Może nie - odrzekł beztrąsko. - Ale to nie ma znaczenia. Jesteśmy małżeństwem i nie musimy tego nikomu udowadniać. Proboszcz na pewno nikomu nie powie, że ślub wzięliśmy dopiero dzisiaj.

- Ale wszyscy w domu słyszeli, jak Harold wykrzykiwał, że nie jesteście mężem i żoną.

- Tak, ale potem oboje powiedzieliśmy, że kłamał, i zapewniliśmy wszystkich, że jednak mamy ślub. Twoi krewni byliby bardzo niemądry, gdyby uwierzyli zdrajcy, a nie nam. Zresztą gdyby twoja reputacja miała ucierpieć, to ich również.

Jedyną osobą pozbawioną rozsądku na tyle, by chcieć ci zaszkodzić nawet własnym kosztem, jest ciotka Beryl, zaręczam ci jednak, że akurat ona nic nikomu nie powie.

Camilla uniosła brwi.

- Skąd wiesz?

- Wczoraj z nią rozmawiałem. Zgodziła się ze mną, że powinna w tym roku zrezygnować z sezonu w Londynie, podobnie jak jej córki.

- Słusznie. Sądzę, że nawet kuzyn Bertram pozostanie na wsi, zważywszy na skandal wywołany przez Harolda.

- Plotek bez wątplenia nie da się uniknąć.

- Plotek!? - Camilla wytrzeszczyła oczy na męża. - Wszyscy się o tym dowiedzą. To nie są żadne plotki. Harold jest zdrajcą.

- Jest. Ale nie wszyscy się o tym dowiedzą. - Benedykt przeszedł przez pokój i usiadł na łóżku obok niej. Minę miał poważną. - Harold wyjedzie z kraju, bez prawa powrotu. Nie będzie mógł też zamieszkać w żadnej brytyjskiej posiadłości. Ale nie zostanie publicznie osądzony jako zdrajca.

- Dlaczego?

Benedykt spojrzał na nią zagadkowo.

- Kuzyn Bertram bez wątplenia by się zgodził, gdybym powiedział, że nie wypada mieć zdrajcy w rodzinie.

- Ależ Benedyckie! On jest winny! Zniszczył twoją siatkę. Zabił twoich kurierów. I Nata Crowdera. Próbował zabić porucznika Woollery'ego. Próbował zabić mnie. Ciebie i Anthony'ego również. Nie możesz puścić go wolno.

Benedykt uśmiechnął się do niej.

- Nieustannie mnie zadziwiasz. Wolałabyś raczej mieć splamione dobre imię, niż pozwolić mu ujść wolno?

- Naturalnie. Przecież zdradził ojczyznę!

- Zgadza się, że zasługuje na wszystko, co najgorsze.

Ale musimy postępować praktycznie. Nie możemy dowieść, że Harold zabił innych kurierów. Nie ma ciał, nie ma narzędzi zbrodni, a on wszystkiemu zaprzecza. Nie możemy nawet dowieść, że to on napadł na porucznika Woollery'ego ani że walczył ze mną i Anthonyem tamtej nocy. Nikt z nas nie widział jego twarzy. Na pewno możemy tylko powiedzieć, że miał poranione ręce następnego dnia po tym, jak mnie napadnięto. Harold nie przyzna się do związków z przemytnikami, a tym bardziej do udziału w szpiegostwie. Znasz go. Wyobraź sobie, jak w sądzie odgrywałby cnotliwego kaznodzieję, jak zaślaniałby się godnością i świątobliwością swojej służby.

Camilla zmarszczyła czoło. Rzeczywiście, nietrudno jej było wyobrazić sobie Harolda, który mydli oczy sędziom udawaniem przykładowego sługi bożego. Bądź co bądź, długo oszukiwał wszystkich w okolicy, nawet własną rodzinę.

- Może masz rację.

- Poza tym oficjalne oskarżenie go o zdradę oznaczałoby również koniec siatki „Gideon”. Przecież musielibyśmy publicznie wyjaśnić szczegóły naszej pracy, a to zniszczyłoby nawet te resztki organizacji, które jeszcze istnieją. Tego nie chce ani Jermyn, ani ja, ani nasz rząd. Cena byłaby zbyt wysoka. Wprawdzie stracilibyśmy kilka meldunków, ale wciąż mamy ludzi, którzy będą psuć krew Bonapartemu. To jest znacznie ważniejsze niż doprowadzenie do procesu jednego człowieka.

- Rozumiem.

- Jedyne zarzut, jaki można by mu postawić, to usiłowanie zabójstwa twojej osoby. Gdyby chciało mu za to wytoczyć proces, ty i cała twoja rodzina bylibyście ciągnani po sądach. Twój



dziadek i ja musielibyśmy użyć wszystkich swoich wpływów, żeby temu zapobiec. Dlatego dużo lepiej jest po prostu pozbyć się tej kanalii. - Uśmiechnął się kwaśno. - Sądzę, że kuzyn Harold będzie miał dostatecznie niemiłe życie, gdy znajdzie się z dala od Anglii, pozbawiony święceń i wpływów, jakie dawała mu przynależność do rodziny Elliotów. Podejrzewam, że wkrótce dowie się, co to naprawdę znaczy nie mieć pieniędzy, mimo że przez wiele lat uważał się za biedaka.

- Biedny Harold - powiedziała Camilla bez śladu współczucia.

- Zawarliśmy jednak umowę. W zamian za to, że odstąpiliśmy od procesu o zdradę stanu, morderstwo oraz usiłowanie morderstwa, Harold opowiedział nam ze szczegółami, co robił, spisał to i opatrzył swoim podpisem. Wiemy więc dokładnie, ile szkód wyrządził naszej siatce i jak możemy te szkody naprawić. Powiedziałem ciotce Beryl, że mam ten dokument, a potem wyjaśniłem jej, że w razie gdyby rozeszły się jakiegokolwiek plotki o wątpliwej legalności naszego małżeństwa, oficjalnie ogłoszę, że jej syn jest zdrajcą. Chyba nawet ciotka Beryl rozumie, że nie mogłaby się po czymś takim pokazać w towarzystwie. W każdym razie zapewniła mnie, że nawet nie przyszło jej do głowy, by komukolwiek wspominać coś na nasz temat.

Camilla zachichotała.

- Teraz widzę, jakim jesteś nadzwyczajnym mężczyzną. To wspaniałe, że dokonałeś bohaterских czynów na wojnie, ocalałeś swoich ludzi i ująłeś zdrajcę. Ale tak naprawdę twojej odwagi dowodzi dopiero poskromienie ciotki Beryl.

Benedykt wybuchnął śmiechem.

- Ty bezwstydnico. Co ja mam z tobą zrobić?

Camilla uśmiechnęła się do niego uwodzicielsko i leniwym ruchem założyła ręce za głowę, eksponując swoje kobiece wdzięki.

- Och, milordzie, myślałam, że dobrze wiesz, co chcesz ze mną zrobić.

Oczy mu zabłyśły. Pochylił się nad nią i powiedział:

- Och, milady, wiem bardzo dobrze.

Ich wargi się zetknęły i Camilla przestała się przekomarzać. Objęła męża za szyję i razem opadli na miękkie poduszki.